



HIPNOZA

BARTŁOMIEJ BASIURA

 rozpisani.pl

Dla niezależnych autorów

Projekt okładki

PLAYSTOP

Korekta

Małgorzata Stempowska

Skład i łamanie

Tomasz Szymański

© Copyright by Bartłomiej Basiura

ISBN 978-83-940592-6-2

Wydanie I, Warszawa 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez pisemnej zgody autora.

Druk i oprawa

Drukarnia Cyfrowa

OSDW Azymut sp. z o.o.

ul. Senatorska 31

93-192 Łódź



Napisałeś książkę i chcesz ją wydać? Zapraszamy do serwisu Rozpisani.pl. Znajdziesz tu szeroki zakres usług wydawniczych, dzięki którym Twoja książka trafi do księgarń. Pomożemy Ci dotrzeć do czytelników na całym świecie!

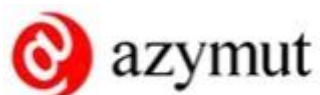
Kontakt

www.rozpisani.pl

info@rozpisani.pl

Publikacja elektroniczna

Tomasz Fiałkowski



HIPNOZA

BARTŁOMIEJ BASIURA

By przetrwać.

Przyszłość. Urok. Pamięć.

Od autora

Od tego wszystko się zaczęło. Zmieniamy się, a obserwacja tego procesu to przygoda, z którą przyszło mi się zmierzyć, bo nie ma lepszego narzędzia do kumulowania wspomnień jak właśnie książki.

Pamiętam ten dzień. Napisałem maturę, rozpoczęły się najdłuższe wakacje mojego życia i postanowiłem podjąć kolejne wyzwanie, którym było napisanie książki.

Nigdy nie potrafiłem poskromić własnej wyobraźni, a najtrudniejszym zadaniem okazywało się podporządkowanie trendom i życie według schematu. Wszechobecny wyścig szczurów zaprowadził mnie do punktu, w którym wyrzuciłem konwencje z własnego świata i przystąpiłem do stworzenia czegoś nowego.

Kiedy teraz sięgam do „Hipnozy”, dostrzegam świat widziany z perspektywy osiemnastolatka — te ideały nieskażone realiami, które miałem w kolejnych latach okazję poznać, tę filozofię, która kształtowała mój światopogląd. Czasem zastanawiam się, skąd miałem takie pomysły, co było moją inspiracją. Jeśli pewnego dnia poznam odpowiedź, chętnie się nią z Wami podzielę.

Podobno człowieka poznaje się nie po tym, jak zaczyna, ale jak kończy. Z drugiej strony prolog może determinować odbiór całej trylogii. Polecam pozostałe części — „Ucznia Carpozova” oraz „Zamkniętą prawdę” — dostępne również w formie elektronicznej.

Przez ostatnie pięć lat nic się nie zmieniło w kwestii przesłania: zapraszam Cię, Czytelniku, do intelektualnej gry metafor i manipulacji, oszczerstw, kpin i pytań, na które odpowiedzi będziesz musiał znaleźć sam.

Hipnoza to niezwykle stan świadomości i poddania, kiedy ulegasz pewnej sile zewnętrznej i to ona determinuje Twoje działania. Możemy posłuchać instrukcji lub iść pod prąd. W każdej pesymistycznej wizji można odnaleźć również jasną stronę — to, co widzisz, może się okazać zwykłym snem.

Życzę miłej lektury.

www.basiura.com.pl

Prolog

Sięgnęła po strzykawkę. Wiedziała, co robi. Po raz pierwszy była tego taka pewna. Nigdy wcześniej tego nie próbowała, ale tym razem się nie bała. Przecież nic się nie stanie.

Zawsze bała się igieł. Takie długie, takie grube...

Sam widok powoduje ból.

Nie trafiła w żyłę. Zdziwienie. Ogarnęła ją fala spokoju. Następnym razem na pewno się uda. Popatrzyła przed siebie.

Spokój. Tylko tego potrzebowała.

Jeszcze raz skierowała wzrok na strzykawkę. Dlaczego właśnie ona musi to robić? I czemu akurat dzisiaj się nie boi? Jej ręka lekko zadrżała. „Teraz!” — usłyszała głos w swojej podświadomości. Wyprostowała rękę. Nie umiała dostrzec żyły. „Przecież na stole jest pasek uciskowy” — otrzymała kolejną podpowiedź. Zacisnęła go mocno na przedramieniu. Od razu poczuła lekkie mrowienie w palcach.

Silnym i zdecydowanym ruchem wbiła igłę. Przez chwilę się zawahała, a następnie powoli zaczęła wstrzykiwać bezbarwną ciecz. Otworzyła oczy. Spodziewała się bólu. Z ulgą zdała sobie sprawę, że wszystko jest w porządku, czuła się wyśmienicie. Poluzowała pasek uciskowy, powoli wstała i włożyła go do pobliskiej komody. Strzykawkę umieściła w torebce foliowej i szczelnie ją zamknęła. Musiała tak zrobić. Podeszła do zmywarki. Włożyła dwie filiżanki. Usłyszała wir wody, która zaczęła krążyć wśród brudnych naczyń.

Poczuła lekki zawrót głowy. Znowu miała białe ręce. Zrobiło się jej zimno. Usiadła na kanapie i położyła głowę na miękkiej poduszce. Odpływała. Zamknęła oczy, oddychanie sprawiało jej coraz większą trudność.

Musiała zachować spokój. To było słowo klucz...

Przecież było tak pięknie. Błady uśmiech przeszedł przez jej twarz. Zdała sobie sprawę, że to już koniec, że umiera.

A on tylko patrzył.

Część I

WTOREK, 12 MARCA

Spokój to tylko fikcja czasu, niespełnione pożądanie, którego granicą staje się dopiero śmierć.

Rozdział 1

NIE! PRZECIEŻ TAKIE RZECZY SIĘ TUTAJ NIE ZDARZAJĄ, nie w tym miejscu. I czemu tak wcześnie? Znowu nie przygotowała śniadania Jasiowi, znowu nie zdążyła zrobić makijażu, znowu nie widziała się z Markiem. Mąż po raz kolejny nie wrócił na noc do domu. Nic się nie układało. Była sama, inni tylko śnili o lepszym jutrze i nic nie robili. Maria Kozielska tak wiele chciała osiągnąć, tyle zobaczyć, a wciąż tkwiła w małej wsi Opaka, by codziennie dojeżdżać do niewielkiej Komendy Powiatowej Policji w Lubaczowie. Trzymała ją tutaj wyłącznie bliskość pięknych bieszczadzkich lasów.

Słońce dopiero wschodziło. Było wcześnie, a wysokie na kilkanaście metrów drzewa lśniły w lekkiej poświacie poranka. Pędziła ponad sto kilometrów na godzinę. Chwilę później stanęła z piskiem opon przed miejskim szpitalem przy ulicy Mickiewicza. Portier skierował ją do piwnic. Nigdy wcześniej tutaj nie była, nie wiedziała, jak się zachować

Ciemno i zimno.

Lodowato.

Weszła przez stalowe drzwi do niewielkiego pomieszczenia. Na stole postawionym na środku sali leżały zwłoki kobiety. Obok krzątał się technik, a lekarz tylko przyglądał się badawczo. Przy ścianie ujrzała Roberta, jej przyjaciela ze służby. Był młodszy, zwykle wyjeżdżali razem na patrole. Do Kozielskiej, jako starszej stażem, należało ostatnie słowo, co bardzo jej odpowiadało. Trudno mu się było pogodzić z myślą, że to kobieta ma nad nim władzę, ale szybko się do tego przyzwyczaił. Maria dostrzegła w oczach kolegi fascynację. Nieraz słyszała jego narzekania na wieczną monotonię oraz brak mrozących krew w żyłach pościgów rodem z amerykańskich filmów. Codziennością były jedynie małe kradzieże, pijana młodzież i fałszywe alarmy bombowe. W jego oczach można było również dostrzec strach. Strach przed śmiercią, na którą oboje właśnie patrzyli.

Znajdowali się w małym, zagraconym pokoju, który zapewne wcześniej służył jako szpitalny magazyn. Z uwagi na brak specjalistycznych pomieszczeń do przeprowadzania sekcji zwłok wybrano to miejsce ze względu na wieczny chłód i anonimowość. Ten ostatni czynnik był priorytetem. Po raz pierwszy podczas rozmowy z przełożonym, komendantem Głowąłą, Maria słyszała w jego głosie

panikę. Ten doświadczony policjant zawsze był dla innych opoką. Jego postawa przekładała się na pozostałych — ośmioosobową załogę, która sprawowała pieczę nad całym powiatem lubaczowskim.

Tego poranka komendant wezwał ją w trybie natychmiastowym, nakazał jej jechać prosto do szpitala, wziąć dokumentację sporządzoną przez lekarza medycyny sądowej i przyjechać do „bazy głównej”, jak nazywano siedzibę przy ulicy Chrobrego. Prosił o dyskrecję. Zabójstwa zdarzały się w tej okolicy bardzo rzadko. Dziesięcioletni staż Marii nie pamiętał podobnych wydarzeń. Wszelkie próby zakłócenia porządku wywoływały automatycznie zainteresowanie prasy, a tego woleli uniknąć.

Maria podeszła bliżej stołu. Dostrzegła niewielką tacę z podstawowymi instrumentami chirurgicznymi oraz noże przypominające te, których używała do krojenia mięsa we własnym domu. Zawsze bała się lekarzy. Nie miała żadnej operacji i choć teraz była biernym obserwatorem tych czynności, pomyślała, że nie chciałaby, aby taka sekcja była przeprowadzana na niej.

— Dzień dobry! — powiedziała cicho, wręcz szeptem, jakby bała się, że ofiara ją usłyszy i się obudzi. — Przyjechaliśmy po wstępne wyniki sekcji. Mamy je zawieźć na komendę — lekarz, widząc przerażenie malujące się w jej oczach, delikatnie się uśmiechnął, ale nic nie powiedział. Nie przerywał swoich czynności.

Był to wysoki mężczyzna powyżej pięćdziesiątki. Ciemne kosmyki włosów powoli pokrywały się siwizną. Nocny zarost wskazywał, że podobnie jak Kozielska został wyrwany z błogiego snu. Jego ruchy były szybkie i zdecydowane. Maria odwróciła wzrok, gdy zobaczyła pocięty na kawałki mózg. Próbowała skupić się na czymś innym, ale nieprzyjemny zapach nie pozwalał zebrać myśli. Stała w milczeniu, czekając na jakiegokolwiek konkluzje. Technik zaczął powoli zszywać rozciętą skórę, co wskazywało na to, że pierwsze czynności sekcji zwłok zostały zakończone.

Kwadrans później podpisał kilka kartek i włożył do czarnej teczki. Wszystko przekazał Kozielskiej.

— Rzeźnia! — z końca sali dobiegł stłumiony głos Roberta. Mógł sobie darować to słowo.

— To była dobra śmierć — odparł po chwili lekarz. — Ta kobieta wiedziała, co ją czeka. Umierała stosunkowo krótko i co najważniejsze — w

spokoju.

W sali zaległa cisza. Maria popatrzyła na Roberta. Te słowa jeszcze do niego nie dotarły. *Dobra śmierć*. Sama nie wiedziała, co o tym sądzić. W jej pamięci nadal tkwiła sylwetka ojca, który zginął na służbie. To był wypadek. Chciał uratować leżące w samochodzie dziecko. Kiedy podszedł bliżej pojazdu, doszło do wybuchu. Wydarzenie to stało się impulsem dla Marii: zrezygnowała ze swoich studiów biologicznych i wstąpiła do akademii policyjnej.

Dobra śmierć...

Czy jej tata chciał tak zginąć? Czy była to dobra śmierć?

Nie wiedziała, co lekarz miał na myśli, mówiąc, że ta kobieta umierała w spokoju. Nie знаła jeszcze sprawy. Nie była pewna, czy chce poznać.

Wzięła teczkę i pożegnała się z lekarzem. Wsiedli do radiowozu. Jechali pustymi ulicami budzącego się miasta. Zaczynał się piękny, słoneczny dzień. Sprawdzian wytrzymałościowy dla Marii. Była świadoma swojej nadwagi, mimo to wyciągnęła batonik i bez skrępowań go zjadła, nie martwiąc się o kalorie. Teraz już była gotowa, aby zmierzyć się z nowym wyzwaniem.

Rozdział 2

SIEDZIAŁ I GAPIŁ SIĘ. PROSTO PRZED SIEBIĘ, prosto na obraz. Jak zwykle te oczy były takie nieprzeniknione. Bezwyraz. Bezuczuciowość. Bezsensowność. Ale jakie to było piękne! Ciężko mu było oderwać wzrok.

Był z siebie dumny. Wykonał zadanie bezbłędnie. Wszystko tak, jak było zaplanowane.

Prawie. Ale w końcu to była jego pierwsza misja. Teraz pozostało cierpliwie poczekać. Spojrzał jeszcze raz. Obraz wisiał w zaciemnionym miejscu i gdyby nie mała lampka nocna, zapewne nie dostrzegłby jego twarzy. Czego chcesz, mały chłopczyku? Co się gapisz, malutki? Przecież miał z tym obrazem tyle wspomnień. Zawsze mu towarzyszył — kiedy płakał i kiedy podejmował ważne decyzje. Te oczy wskazywały mu drogę. Tak było również wczoraj.

Odwrócił się w stronę lustra. Dopiero teraz zaczynał korzystać ze swoich wdzięków. Uroda sprzyjała geniuszom. Wrócił do własnego pokoju, który

urządzony był na kształt staroświeckiej izby grzeszącej swoją prostotą. Obmył twarz i zaczął się przygotowywać do kolejnego zadania.

Był pewny, że wszystko mu się uda. Nie było innej możliwości.

ROBERT PEWNIEMAN MANEWROWAŁ KIEROWNICĄ RADIOWOZU. Choć początkowo Maria nie zgadzała się, aby to właśnie on prowadził samochód, szybko się przekonała o jego umiejętnościach i dała przyzwolenie. Młodszy kolega ze służby był niskim blondynem o sportowej sylwetce. Zawsze reprezentował komendę w Lubaczowie na wszelakich zawodach sprawnościowych oraz strzeleckich, organizowanych w kręgach policyjnych. Robert był doceniany, ale ludzie unikali go ze względu na dość dziwne upodobania. Młody funkcjonariusz pasjonował się historią. W czasie rozmów często stosował porównania, przywołując zdarzenia znane z historii, co dla człowieka z zewnątrz, który wcześniej go nie znał, było co najmniej dziwne i niedzisiejsze. Maria szybko się przyzwyczaiła do jego „odmienności”, a Robert raczył ją fascynującymi opowieściami, o których nie dowiedziałyby się z podręczników szkolnych. Ceniła jego inność, bo sama często miała świadomość, że nie pasuje do tego środowiska. Jako niedoszły biolog zawsze była na bakier z historią, więc z zasady pozostawała wyłącznie biernym słuchaczem.

Dojeżdżali do komendy. Ulica Chrobrego znajdowała się w samym centrum. O tak wczesnej porze miasto wyglądało jak wymarłe. Maria trzymała w rękach czarną teczkę. Widok zwłok młodej kobiety był dla niej wstrząsający, mimo że w trakcie studiów niejednokrotnie miała do czynienia z tym widokiem. Czy to było samobójstwo? Myśl o zabójstwie była dla niej abstrakcyjna — nie tutaj. Lekarz musiał się pomylić, ale wołała poczekać, aż pozna szczegóły sprawy.

Weszli do środka. Wszyscy już na nich czekali. Kozielska dostrzegła osoby, których nigdy wcześniej tutaj nie widziała. Oprócz kolegów, z którymi pracowała na co dzień, zobaczyła wysokiego, przysadzystego szatyna, który rozmawiał właśnie z komendantem Głową. Obok Czynickiego, czyli policjanta, który pracował w komendzie w Lubaczowie jako informatyk, siedziała młoda brunetka. Miała śniadą cerę i delikatne rysy twarzy.

Kozielska podała przełożonemu czarną teczkę.

Tak jakby nie mogła mieć innego koloru.

Chyba wszyscy na to czekali, bo nastąpiło ogólne poruszenie. Odstąpili od

wykonywanych wcześniej czynności i zgromadzili się wokół Głowali, czekając na informacje oraz dyspozycje.

Ich baza główna przy ulicy Chrobrego była niewielka, składała się jedynie z czterech pokoi, z czego jeden był zajmowany przez komendanta, a kolejny przez Czynickiego, u niego znajdowała się również dyspozytorka. Największe pomieszczenie stanowiło część wspólną policjantów, którzy na co dzień zajmowali się patrolowaniem ulic i robotą papierkową. Ostatni pokój był pierwotnie pokojem przesłuchań, ale nie znalazł zastosowania i teraz służył jako archiwum zbytecznych dokumentów, które mnożyły się w zatrważającym tempie. Ten parterowy budynek w centrum miasta, przypominający wojskowy barak, który niszczył obraz pięknych renesansowych zabudowań Lubaczowa, posiadał również piwnicę, pod względem rozmieszczenia będącą kopią parteru. Mieściła się tam mała cela dla tymczasowo zatrzymanych. Reszta pomieszczeń pozostawała niezagospodarowana. Zimą komendant pozwalał spać tam bezdomnym. Było to jednak nieformalne i teoretycznie taka praktyka nie miała miejsca.

— Mamy do czynienia z trudną sytuacją — zaczął Głowala. Obok niego nadal stał tęgi szatyn. Maria dostrzegła, że co jakiś czas komendant zerka na niego, szukając potwierdzenia własnych słów. — Znalezione zwłoki Teresy Wójcik. Wczoraj w późnych godzinach wieczornych posterunkowy Czynicki dostał wezwanie. Zadzwoiła do nas matka zmarłej. Prosiła o sprawdzenie, czy z córką wszystko w porządku. Miały się ze sobą skontaktować, oczekiwała na telefon, do tej pory nigdy podobna sytuacja się nie przydarzyła. Dzwoniła również do jej znajomych. Nikt o Teresie nic nie wiedział. Wysłaliśmy do jej domu Joasię i Tada. Znalezione ją leżącą na sofie. Już nie żyła.

Nastąpiła chwila przerwy. Czynicki podszedł do komputera i włączył projektor. Na ścianie ukazał się obraz. Najpierw mapa okolicy. Czerwoną kropką zaznaczono miejsce zamieszkania Wójcik. Dom znajdował się około dwóch kilometrów na południe od Dachnowa.

Był to środek lasu. Tam, gdzie nic innego nie ma.

Pojawiło się kolejne zdjęcie. Jakość była słaba. Maria domyśliła się, że widzi dom zmarłej. Wysoki na dwa metry murowany płot w dużej części zasłaniał dom z czerwoną dachówką.

— Teresa Wójcik mieszkała na uboczu. Dom otoczony jest ze wszystkich stron przez las. Wygląda bardziej jak twierdza, tak przynajmniej wynika ze

sprawozdania Joasi i Tadka. — Głowala zerknął porozumiewawczo na dwójkę funkcjonariuszy. — Kiedy nikt nie odpowiadał na dzwonek domofonu, funkcjonariusz Renes — komendant wskazał na Tadka — spróbował otworzyć furtkę. Gdy i te działania nie dawały skutków, przeskoczył przez płot. Automatycznie rozległ się alarm. Dom posiada instalację przeciwwłamaniową firmy Tralex. To alarm pierwszej generacji — wyjaśnił, choć Maria miała wrażenie, że sam do końca nie wie, o czym mówi. — Przy wejściu są umiejscowione dodatkowe czujniki, które monitorują posiadłość. Wyłączyć alarm mógł tylko właściciel, konieczne było wprowadzenie dwunastocyfrowego kodu. Drzwi frontowe były zamknięte, podobnie wszystkie okna i wyjście z drugiej strony domu, gdzie mieści się ogród.

Maria mogła również inaczej wytłumaczyć fakt, że nikt nie otwierał drzwi. Normalni ludzie nie spodziewają się o północy nieproszonych gości. Nie widziała w tym nic wyjątkowego. Skoro Teresa Wójcik mieszkała tam sama, miała prawo się przestraszyć, tym bardziej że prywatność była w tych okolicach bardzo ceniona.

Projektor zaskoczył i ukazała się kolejna fotografia. Dom był bardzo przestronny. Maria wiedziała, że w tych okolicach jest wiele takich posiadłości. Zamieszkiwali je ludzie bardzo zamożni, którzy ze względu na swoją przeszłość szukali schronienia i spokoju. Domy te były fortecami niedostępnymi dla osób z zewnątrz. Instalowano w nich sprzęt antywłamaniowy z najwyższej półki. Tacy ludzie chcieli być niewidzialni i nie lubili, gdy naruszano ich spokój.

— Z pierwszych ustaleń techników, którzy na moją prośbę zostali przysłani prosto z Krakowa przez Franciszka Aleszkiewicza — Głowala wskazał na szatyna stojącego tuż obok niego — wynika, że alarm był wyłączany ostatniego wieczoru dwukrotnie. Najpierw od godziny 17.00 do 19.00, następnie od 21.00 do 22.30.

— Czy to ważne? Właściwie nadal nie rozumiem, dlaczego mnie tu wezwano — odezwała się brunetka, ta sama, która wcześniej siedziała obok Czynickiego.

— Przedstawiam państwu — komendant zdał sobie chyba sprawę, że powinien to zrobić na początku — Dorotę Maj. Poprosiłem ją o przysługę. Dziękuję ci, że zjawiałaś się tak szybko — tym razem zwrócił się bezpośrednio do Doroty, patrząc jej prosto w oczy. — Jestem przekonany, że twoja wiedza i umiejętności będą nam bardzo potrzebne. Proszę państwa! — jego niski głos delikatnym echem rozszedł się po wyblakłych ścianach pokoju. — Mamy do czynienia z okrutnym zabójstwem.

Maria wydała zduszony okrzyk. W oczach Roberta dostrzegła iskrę fascynacji. Na ścianie pojawiło się kolejne zdjęcie. Na sofie leżała kobieta, Teresa Wójcik. Jej twarz była blada, wręcz sina. Kozielska dostrzegła na drugim planie telewizor plazmowy i wieżę do odtwarzania muzyki. Na ścianach wisiały zdjęcia oraz obrazy. Wygląd pokoju pasował w jej mniemaniu do wzoru przestronnych, luksusowych salonów.

— Z całym szacunkiem, panie komendancie — Dorota Maj zwróciła się w stronę Głowali. Wydawała się zniecierpliwiona, jak gdyby chciała stąd wyjść. — Dlaczego jest pan taki pewny, że popełniono zabójstwo? Nadal nie rozumiem mojej roli w tej całej sprawie.

— Po kolei — komendant zerknął na ścianę, na której ukazało się nowe zdjęcie. Maria domyśliła się, że zostało wykonane już przez techników kryminalistyki, bo jakość była nieporównywalnie lepsza, a kadr koncentrował się na detalach. — Na zdjęciu widzicie państwo Teresę Wójcik. Lekarz medycyny sądowej określił godzinę zgonu na mniej więcej 22.30. Wstępna analiza wykazała, że w krwi znalazł się środek uspokajający — Głowala zerknął na czarną teczkę, która teraz znajdowała się tuż przed nim. — Była to duża dawka substancji o nazwie Tranxene. Z notatek lekarza wynika, że były również śladowe ilości Alprazolamu. Na dalsze ustalenia musimy poczekać, ale wygląda na to, że właśnie to było bezpośrednim powodem zgonu.

Kozielskiej niewiele to mówiło. Pierwszy raz słyszała te nazwy.

Franciszek Aleszkiewicz odwrócił się i podszedł do małego okna. Przez dłuższą chwilę rozmawiał przez telefon, pokiwał głową, delikatnie przyglądał ciemne włosy. Marii wydał się typowym facetem w średnim wieku. Przypomniały się jej słowa dziadka. Kiedy była mała, siadali całą rodziną na poobiednią kawę, czemu towarzyszyły liczne anegdoty. Kiedy jej tata skończył celebrować czterdzieste urodziny, podszedł i szepnął: „Witaj, brzusi, żegnaj, siusiu”.

Pierwsze wrażenie było równoznaczne ze stwierdzeniem, że ten człowiek zwyczajnie nie miał gustu. Pod granatową marynarką można było dostrzec niewyprasowaną beżową koszulę. Spodnie zapewne należały do garnituru, jednak kant był dość zaniedbany — zwyczajnie go nie było. Aleszkiewicz po chwili wrócił i szepnął komendantowi kilka słów. Głowala zmarszczył brwi.

— Kryminaliści zakończyli pracę i zabezpieczyli teren. Znalezione,

przepraszam — komendant uśmiechnął się cynicznie — nie znaleziono nic. Zebrano ślady z dywanu, odciski butów, wszystkie ślady linii papilarnych, jednak istnieje wątpliwość, czy przyniesie to jakikolwiek rezultat. Zapytają mnie państwo, dlaczego upieram się przy opinii, że było to zabójstwo, w końcu logiczny wniosek to samobójstwo. — Pojawiło się zdjęcie przedramienia Teresy Wójcik. Głowala wskazał na dwa ślady ułcucia. — Igła leżała tuż obok ofiary zapakowana w woreczek foliowy. Na strzykawce znaleziono odciski palców Teresy. Wygląda na to, że pierwsza próba trafienia w żyłę była nieudana. Lekarz stwierdził, że czas pomiędzy wstrzyknięciem substancji a śmiercią to około dziesięciu minut. Jesteśmy przekonani, że ktoś jej w tym pomógł. Tadek wszedł do domu jako pierwszy — Kozielska zerknęła na funkcjonariusza, który siedział z boku ze spuszczoną głową. — Zanim zastąpiła go grupa techników, którzy przyjechali w trybie pilnym na moją prośbę, zrobił kilka zdjęć. Jego uwagę przykuła zmywarka. Wszystko wskazuje, że Wójcik włączyła ją kilka minut przed śmiercią, prawdopodobnie po dokonaniu zastrzyku. Przy włączniku znaleziono tylko jej odciski palców. Co dziwne, w środku były jedynie dwie filiżanki. Zaskakujące, nieprawdaż? Przypuszczalnie robiła to pod groźbą napastnika. Obecności drugiej osoby dowodzi wskaźnik termiczny — Głowala wskazał na niewielki przyrząd, który przypominał pistolet będący na wyposażeniu każdego posterunku, tyle że zamiast lufy umieszczono w nim niewielki nadajnik i monitor. — Zabójca zostawił dla nas wiadomość. — Maria zaczynała się gubić w kolejnych informacjach. — Właśnie dlatego wszyscy się tutaj zebraliśmy, właśnie dlatego was zaangażowałem i zawiadomiłem centralę. W laboratorium już badają zawartość strzykawki. W torbie znajdowała się również kartka. Wydaje mi się, że jest to wiadomość dla nas.

Projektor znowu przeskoczył. Przez chwilę Maria nic nie widziała. Czynicki wyostrzył obraz. Ukazało się coś niezrozumiałego. Jakiś rysunek, znak, symbol. Cokolwiek to było, Kozielska widziała coś takiego po raz pierwszy w życiu.



— Czy ktoś może mi wytłumaczyć, co to właściwie znaczy? — Głowala zerknął z zażenowaniem na swoich współtowarzyszy. — Bo widzicie, ten ktoś, kto stoi za zabójstwem Teresy Wójcik, kimkolwiek jest, czy kobietą, czy mężczyzną, czyta w moich myślach. *Contradictio in se* oznacza w języku łacińskim sprzeczność samą w sobie.

Odpowiedzią dla komendanta była tylko głucha cisza.

Z pamiętnika filozofa

Ta pani. Jak zwykle w białym, jak zwykle się uśmiecha. Taka sztuczność — uczucie jako towar XXI wieku. Chodzi szybko, jakby bała się, że każda chwila stagnacji przybliży ją do śmierci. Ach, śmiertelnicy, co wy poczniecie po śmierci?

Czasem usiądzie, pogłodzi się po swej idealnej jasnej główce, szepnie słówko. Znowu pada — „jaka piękna pogoda”. Czy jest gruba? A może chuda? Niektórzy mówią, że wygląd nie ma znaczenia. Brednie, brednie, brednie.

Ten pan. Najpierw przychodzi, potem odchodzi. Wszystko ma swoją kolejność. Smutny człowiek — doświadczony przez życie. Czy mu współczuć? Współczuć mu to tak, jakby współczuć całemu światu. Bo czym się różni on od każdego innego pana X lub pani Y, krążących po tym świecie? Często siada obok mnie, czasem po drugiej stronie. Opowiada o świecie zaprzepaszczonej szans, o swoim bycie, który wciąż tli się ogniem gorących wspomnień. Mówi o zmianach, przemianach, wszelkich wybojach, przeszkodach, problemach. Patrzy za siebie, zamiast przed siebie, chociażby pod prąd, nawet gdyby miało być ciężko... Przecież nie pozostaje nam nic innego.

Siedzę, ciągle siedzę. Siedzę i nic. Nieważni są inni. Człowiek dzisiejszego dnia jest najważniejszy sam w sobie. Po co mu inni — on jest samowystarczalny. Siedzę. Jak zwykle siedzę i gapię się na te niezliczone człekokształtne postacie, które biegną przed siebie w niekończącym się wyścigu szczurów i próbują być kimś więcej, niż na to zasługują. No ale w końcu nadzieja umiera ostatnia. Niech się cieszą, póki mogą.

Czy istnieje zbrodnia doskonała? Czy można popełnić przestępstwo i zachować przy tym zimną krew, nie pozostawić żadnych śladów, być nadal bezbronnym obywatelem — niewinnym pasożytem? Przecież podobno wszystko jest możliwe. Zasada przeniesienia Edmunda Locarda: cokolwiek robimy, pozostawiamy ślad, wystarczy nawet małe włókno. Niesamowite, prawda? Wszystko ma jakiś sens, ale żeby być duchem, żeby poruszać się bez śladu, potrzeba magii.

Wszystko na tym świecie jest możliwe.

Świat obraca się do góry nogami, a my wciąż żyjemy z przeświadczeniem, że siła przyciągania jest wystarczająca, aby utrzymać stabilność.

Tyle że my — ludzie — i również ja — wariat określający się mianem filozofa — widzimy tylko przestrzeń przed sobą. Czasem warto odwrócić głowę, zobaczyć, co dzieje się za nami. Wszystko, co jest dookoła nas, to otwarta książka, z której powinniśmy nauczyć się czytać. Patrząc tylko przed siebie, dostrzegamy jedynie wstęp, który nie zawsze jest wystarczająco ciekawy, by zachęcić nas do kontynuowania lektury.

Pusto. Ludzie lubią miejsca zaludnione. Ja też. Podobno era koczowniczego trybu życia zakończyła się kilka tysięcy lat temu. Pytanie, w jakiej erze MY żyjemy. Chcąc nie chcąc, poruszamy się w stadach, bo tak jest łatwiej. Mało kto odważy się samotnie wyjść na miasto, wejść do ciemnego zaułka. W grupie czujemy się silniejsi. Podstawą naszego bytu jest poczucie bezpieczeństwa. Często w zależności od uczuć, które w nas tkwią, lub z powodu naszych gabarytów, a raczej ich braku, sami nie jesteśmy w stanie zapewnić sobie bezpieczeństwa. Wtedy właśnie próbujemy znaleźć się w głębi większej masy, zabarykadować się we wnętrzu grupy i egzystować życiem innych, opancerzeni w kaftan bezpieczeństwa.

Ten pan i ta pani są sami. Szukają dla siebie miejsca i nie bez przypadku siadają właśnie obok mnie. Łakną rozmowy, chcą się czuć bezpiecznie. Czują się lepiej, że ktoś taki jak ja chce z nimi rozmawiać.

Robię im łaskę.

Rozdział 3

CONTRADICTIO IN SE. SPRZECZNOŚĆ SAMA W SOBIE. Głowa miała rację. Czy ta śmierć miała jakikolwiek sens? Teresa Wójcik miała 29 lat. Pochodziła z zamożnej rodziny. Jej ojciec posiadał akcje w dobrze prosperującej firmie ubezpieczeniowej, a matka, już na emeryturze, dorabiała jako tłumacz języka arabskiego. Rodzice mieszkali w Warszawie, a Teresa przeniosła się na te tereny dwa lata temu, kiedy po zamieszkaniu w pracy postanowiła odseparować się od wcześniejszej rzeczywistości.

Contradictio in se. Po co ofiara miała sama sobie wstrzykiwać środek o bliżej nieznanym pochodzeniu, a następnie schować strzykawkę do hermetycznego opakowania? To zwyczajnie nie miało sensu. Teresa mieszkała w twierdzy. Kozielska nie potrafiła określić jej domu innym słowem. Jedyne, czego brakowało,

to mostu zwodzonego i baszty z uzbrojonymi żołnierzami. Wskazywałyoby to, że ofiara знаła mordercę albo przynajmniej osobę, która przyglądała się jej w godzinie śmierci i zostawiła policji list. Przez chwilę przypuszczano, że jest to list pożegnalny Teresy, jednak jego treść pozostawała niezrozumiała. Mimo wszystko przeważała opinia, że pozostawił go ktoś z zewnątrz, tym samym zaczynając z policją grę, w której brakowało zasad. Godziny wyłączenia alarmu zgadzały się z przypuszczalną godziną zgonu Teresy. Ktoś musiał go włączyć ponownie, gdy wychodził, a wtedy Teresa była już zapewne martwa.

Lekarz medycyny sądowej znalazł na ciele ofiary ślady pobicia. Prawy policzek był zaczerwieniony, co wskazywało na uderzenie. Na szyi widniał siny ślad, lecz jedynie z lewej strony, co wykluczało duszenie. Wszystkie ślady były jeszcze analizowane. Czy doszło do walki pomiędzy nią a napastnikiem? Zadrapania były dość świeże. Należało zbadać trop, ale nawet nie wiedzieli, od czego zacząć.

Contradictio in se. Dlaczego właśnie ona? Teresa Wójcik. I ten znak. *Contradictio in se.* Pomoc zaproponowała stołeczna komenda policji, która miała większe doświadczenie w badaniu dowodów niż policjanci z Lubaczowa.

Maria znów siedziała w samochodzie. Prowadził Robert, a jego głowa kołysała się w rytm starego rockowego hitu, wydobywającego się z radia. Jechali w kierunku Dachnowa, aby potem zjechać z trasy i skierować się do domu Teresy Wójcik. Przydzielono im zadanie przesłuchania świadków. Istniała nikła szansa, że ktokolwiek coś widział. Na tych terenach zamieszkało wielu bogaczy, dla których priorytetem była prywatność. Nie interesowano się cudzymi sprawami, dzięki czemu zapewniano sobie anonimowość, a dalekie odległości nie sprzyjały nawiązywaniu bliższych kontaktów. Z map sporządzonych dwa lata temu wynikało, że w pobliżu domu ofiary mieszczą się jedynie cztery działki budowlane, lecz nie mieli pewności, czy ktoś tam faktycznie mieszka.

Dojechali do Dachnowa. Była to mała wieś, jakich wiele w tej okolicy. Maria pamiętała, że co roku przyjeżdżała tutaj z tatą na festyn organizowany z okazji pierwszego dnia wakacji. Była to atrakcja regionu. Dzieci bawiły się na karuzelach, a dorośli mogli usiąść ze znajomymi, napić się piwa i posłuchać dobrej muzyki w folkowych rytmach. Specjalnie na tę okazję produkowano miejscowy specjał — prawólkę. Maria poczuła głód na samą myśl o przepysznych bakaliach zanurzonych w miodzie i czekoladzie. Od kilku lat festiwal był dla Marii jedynie utrapieniem. Jako policjantka zawsze musiała dbać o porządek i bezpieczeństwo podczas tego typu imprez. Niestety pojawiły się problemy związane z napływem

„zachodu”: narkotyki, które zakłócały spokój rodzinnego święta, co kiedyś było nie do pomyślenia. Wywołało to automatycznie falę niechęci i strachu, ludzie przestali więc tak licznie przyjeżdżać. Cierpiał na tym cały biznes turystyczny, który był dla wielu jedynym źródłem dochodu.

Skręcili w lewo.

— Podobna sytuacja była z Rasputinem — Robert zwrócił się do Marii.

„Zaczęło się” — pomyślała Kozielska. Była do tego przyzwyczajona, lecz nadal pozostawała w szoku po informacjach, jakie usłyszała w komendzie. Po raz pierwszy miała do czynienia z zabójstwem. To wszystko ją przerastało. Marek, jej mąż, nadal nie odpowiadał na telefony. Naprawdę się o niego bała. I z całym szacunkiem do wiedzy historycznej Roberta — nie widziała ani jednego podobieństwa pomiędzy mistyczną postacią Rasputina, którego pamiętała jak przez mgłę z lekcji historii w liceum, a Teresą Wójcik. Mimo to odwróciła wzrok w jego stronę i pozwoliła kontynuować.

— Rasputin, jak może pamiętasz, to mnich, którego uważa się za jednego z głównych sprawców obalenia caratu Mikołaja II i wybuchu rewolucji lutowej w Rosji w 1917 roku. — Maria oczywiście nie miała pojęcia, ale kiwnęła porozumiewawczo głową, jakby to, co powiedział, zgadzało się z jej wiedzą. — W rzeczywistości od początku XX wieku Rosja była pogrążona w wielkim kryzysie ekonomicznym i społecznym — kontynuował Robert. — Wojna rosyjsko-japońska, następnie wybuch rewolucji w 1905 roku jedynie pogłębiły niechęć społeczeństwa do carskiego tronu. Na dworze pojawił się mnich. Mówiono, że ma wielką moc, że jego ręce leczą, a wzrok zabija. Zawędrował wysoko, bo stał się ulubieńcem żony Mikołaja II. Poznał najważniejsze sekrety carskiej władzy. Prowadził rozpustne życie, noce spędzał z prostytutkami. W chwilach upojenia często zdradzał tajemnice dworu. Wiedział jednak za dużo, przez co stał się niebezpieczny nie tyle dla cara i jego żony, ale przede wszystkim dla możnowładców. Aleksandra Fiodorowna, żona Mikołaja, była gwarantem życia Rasputina. Plotki mówiły o romansie. Tajemniczość Rasputina była jego wielką zaletą. Choć nie był przystojny...

— Nadal nie widzę podobieństwa — przerwała mu Maria, widząc, że zaczyna się rozkręcać. On mógł tak godzinami.

— Bo widzisz, Rasputin został zamordowany. Do dziś nie wiadomo, kto za tym stał. Działo się to w czasie bardzo burzliwym dla Rosji. Niepowodzenia w

walkach I wojny światowej spowodowały wystąpienia publiczne. Na ulice wyszli ludzie domagający się detronizacji Romanowa, a przecież Rasputin przepowiedział upadek caratu. Wywołało to ogólne przerażenie w kręgach monarchistów, głównie tych młodych, którzy liczyli na wielką karierę polityczną. Wszystkim były znane zdarzenia, które potwierdzały dar przepowiadania przyszłości przez Rasputina. Doszło do zamachu. Krąży plotka, że pomimo kilkudziesięciu strzałów Rasputin dalej żył, nie dało się go zabić. — Przez ciało Marii przeszedł zimny dreszcz. — Był to początek fali zabójstw. Choć nie jest to w żaden sposób udowodnione, stał za tym morderca działający z wyrachowaniem. Zawsze pozostawiał karteczkę w pewnym sensie podobną do tej, jaką pokazano nam na komendzie. Mówiła o tym, że zabójca działa dla wspólnego dobra, a jego czyny nigdy nie powinny być i nie będą dostrzeżone przez prawo. I faktycznie. W tym niespokojnym dla Rosji okresie kilkanaście zabójstw nie zostało dostrzeżonych, zabójca nigdy nie został odnaleziony. Rasputin stał się jednak legendarny, a jego śmierć była zwyczajnie próbą sił dla seryjnego mordercy.

— Uważasz, że to dopiero początek? — spytała Maria z lekkim przerażeniem. Wolą nie wnikać w tajniki wyobraźni Wysockiego; porównanie śmierci Teresy Wójcik z zabójstwem Rasputina było dla niej zbyt wielką abstrakcją.

— Jestem przekonany. Znaleźliśmy się w środku gry, tyle że to nasz rywal nadal trzyma piłkę, a my nie mamy pojęcia, jak mu ją odebrać — odparł Robert.

„MUSIAŁAM WCZEŚNIEJ WYJECHAĆ. ZJEDZ ŚNIADANIE, pieniądze na kanapkę masz na stole”. Jasio oderwał kartkę zostawioną przez jego mamę na lodówce. Zdziwił się — mama zawsze czekała, aż się obudzi, czasem zawoziła go do szkoły i dbała, aby odżywał się zdrowo.

Miał osiem lat. Był „kochaniutkim, słodziutkim buziaczkiem” dla wszystkich ciotek oraz wujków, no i dziadków oczywiście. Opaka stanowiła centrum jego wielkiego życia. Rodzice dawali mu wszystko, czego potrzebował. Był jedynakiem, a każda jego zachcianka była spełniana. Jasio korzystał z przywileju bycia „kochanym dzieckiem”. Niestety rzadko gdziekolwiek wyjeżdżał, co bardziej wynikało z ograniczonego budżetu rodziców niż przywiązania do Opaki. Mama zawsze się o niego bała i choć teraz był starszy, zawsze pojawiała się jakaś wymówka. To był ich świat dorosłości, do którego nie miał biletu wstępu. Był wszystkiego ciekawy, łakomy wiedzy. Może faktycznie nie wszystko rozumiał, ale przecież dopiero się uczył.

Podszedł do lodówki. Odetchnął z ulgą, kiedy nie wyczuł zapachu owsianki. Mówiąc delikatnie, zwyczajnie nie przepadał za takim jedzeniem. Teraz miał nieograniczony wybór.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Dzień dobry, babciu! — przywitał się Jasio.

Chodziła lekko przygarbiona. Zimą często pomagała sobie laską, aby przypadkiem nie upaść na śliskim chodniku.

— O! Mój mały urwis już nie śpi! — ucieszyła się na widok wnuka.

Jasio pobiegł na górę, aby włożyć mundurek szkolny. Lubił swoją szkołę, która mieściła się w odległości niespełna siedmiuset metrów od jego rodzinnego domu.

Szybko włączył komputer. Połyskujący w świetle laptop, który leżał na biurku, był źródłem jego dumy. Od małego fascynowała go technologia programowania. To źle brzmiało w jego wieku. Wątpił, aby ktokolwiek traktował go poważnie, bo w końcu „miał tylko osiem lat”. Wiele czytał i choć było to dla niego skomplikowane, poznał już podstawowe tajniki tworzenia programów. Dzięki nauczycielowi informatyki dowiedział się wiele o praktycznym wykorzystaniu Internetu. W czasie kiedy jego rówieśnicy siedzieli przed monitorami i grali w słabej jakości gry online, on częściej próbował swoich sił w ich tworzeniu. Na forach wymieniał się informacjami.

Poczuł zapach owsianki. O nie! A miało być tak pięknie. Sprawdził szybko pocztę e-mail. Wiedział, że babcia nie da mu pójść do szkoły, zanim wszystko nie zniknie z talerza, a nie chciał się spóźnić na pierwszą lekcję ze względu na to, że była to właśnie informatyka. Szybko zbiegł na dół.

Babcia była kochana. Jak wszystkie babcie. Gdy był mały, spędzał z nią całe dni. Dziadka nie pamiętał. Rodzice unikali tego tematu. Nieraz słyszał historie o jego wielkiej odwadze, jednak nie był do końca przekonany, czy może w to wszystko wierzyć.

— A co się stało z dziadkiem? — pewnego razu zapytał mamę.

— Dziadziuś odszedł, Jasiu. Ale on jest tam u góry i strzeże cię, aby nic ci

się nie stało — odpowiedź zawsze brzmiała tak samo.

Internet okazał się bogatym źródłem informacji. Jasio dowiedział się o jego karierze policyjnej. Przeczytał wzmiankę o wypadku sprzed kilku lat. Z krótkiego fragmentu artykułu wynikało, że jego dziadek zginął podczas próby ratowania osób uwięzionych w samochodzie.

Dziadkowie od strony taty rzadko go odwiedzali. Lubił ich, bo zawsze przywozili fajne prezenty. Na siódme urodziny dostał od nich rower, którego zazdrościli mu wszyscy koledzy. Mieszkali we Wrocławiu. Gdy był mały, nigdy nie przyjeżdżali. Dopiero od pewnego czasu.

Jasio wziął plecak i wybiegł z domu. Idąc chodnikiem, oczywiście z lewej strony, na co zawsze zwracała uwagę jego mama, zobaczył mężczyznę, który siedział na krawężniku po drugiej stronie ulicy. Widział go po raz pierwszy. Chłopiec odwrócił głowę i puścił się biegiem — w końcu pierwsza była informatyka.

Rozdział 4

TEN LAS BYŁ TAKI NIEPRZENIKNIONY. Jako mała dziewczynka zawsze bała się zapuszczać w głąb puszczy. Bieszczady kryły sekrety. Raz powierzona tajemnica pozostawała ukryta na zawsze.

Tereny te zostały wcielone do Polski po wojnie polsko-rosyjskiej po I wojnie światowej. Pokój w Rydze unormował przynależność tych bezkresnych lasów do państwa polskiego, ale zacofanie i duże odległości zniechęcały do lokowania się na tych ziemiach. Migracja pozioma sprowadzała się w zasadzie do przeprowadzki ze wsi do metropolii.

Niedaleko leżały wzniesienia Bieszczad, które w okresie PRL stały się azylem dla wielu osób. Działacze opozycyjni byli często prześladowani przez służby bezpieczeństwa, a brak możliwości wyjazdu za granicę wymuszał szukanie miejsc odosobnienia w dziczy. To określenie przyłgnęło do południowo-wschodniej części Polski. Również teraz lasy wykorzystywano jako kryjówkę, stanowiły idealne miejsce schronienia. Region ten stał się zapleczem wypoczynkowym dla wielu gwiazd show-biznesu i polityków, którzy szukali odpoczynku od natarczywej prasy.

Każdy mógł znaleźć tutaj to, czego potrzebował. Właściciele rozległych

posiadłości wiedzieli, jak przyciągnąć ludzi. Proponowali niewielkie działki, często znakomicie ukryte w lesie. Gwarantowali anonimowość, a lokalni mieszkańcy nie protestowali. Napływ ludzi umożliwiał wzrost kapitału, który był bezwzględnie ważny dla tej części Polski, określanej mianem Polski B.

Kozielska lubiła w wolnym czasie kontemlować ten sielski spokój. Problemy wychowawcze i małżeńskie, które nasilały się wraz ze stażem, zachęcały ją do długich spacerów, na których mogła sobie wszystko przemyśleć. Maria miała swoje ulubione miejsce. Gdzieś daleko, gdzieś, gdzie nikt inny jej nie dostrzeże. Lecz tutaj nigdy nie była.

Zostawili radiowóz przed domem ofiary. Droga asfaltowa skończyła się już dawno. Zastąpiła ją kręta i nierówna leśna dróżka. Nie było problemu z dojazdem pod dom Teresy Wójcik, ale żeby mogli jechać dalej, przydałby się wóz terenowy, którego komenda w Lubaczowie nie mogła im zapewnić. Pozostałe cztery domy, jeżeli zawierzyć mapom, mieściły się jednak jeszcze dalej, więc Robert, widząc stan drogi, postanowił zostawić samochód i iść pieszo. Pierwsze dwa budynki okazały się zupełnie puste. Jeden był bardzo stary. Maria wątpiła, aby ktokolwiek go w ostatnich latach zamieszkiwał. Drugi był natomiast nowy, niezwykle zadbane. Robert dla pewności przeszedł przez płot i sprawdził, czy rzeczywiście nikogo tam nie ma. Korespondencja sięgająca trzech tygodni wstecz upewniła ich, że nie mieszka tu nikt, kto mógłby być świadkiem wczorajszych wydarzeń.

Jeśli ufać intuicji Roberta, Teresa była pierwszą ofiarą, a miały pojawić się kolejne. List pozostawiony na miejscu zabójstwa wskazywał na to, że zabójca nie boi się policji i liczy na dobrą zabawę. Maria nie miała pojęcia, co może być dla niego motywacją. Nieformalną lekturą podczas jej edukacji przystosowującej do służby policyjnej była książka Stanisława Werskła, która wnikliwie i rzetelnie opisywała psychologiczne podejście do napastnika. Przyszli funkcjonariusze często z dystansem podchodzili do tego tematu, śmiali się, że wystarczy im dobra spluwa i kilka ton amunicji. Kozielska miała do tego inne podejście. Nie była dobra w strzelaniu, wytrzymałość i siła nie stanowiły jej mocnej strony. Zwyczajnie wolała zjeść batonik niż uprawiać sport. Podejście psychologiczne było dla niej zdecydowanie bardziej ciekawe, dlatego lektura Werskła często przedłużała się, zabierając czas przeznaczony na sen. Autor starał się udowodnić, że łatwiej schwytać zabójcę, gdy stworzy się jego portret psychologiczny. Wtedy można zrozumieć jego działania, a nawet przewidzieć kolejne posunięcie.

Maria wyobraziła sobie swojego przeciwnika. Nie wiedziała nawet, czy ma do czynienia z mężczyzną, czy kobietą. Historia pokazywała, że płęć nie ma

większego znaczenia. To kobiety często okazywały się bardziej przebiegłe i zdolne do wyrzeczeń, byle osiągnąć zamierzony cel, nie zawsze zgodny z obowiązującym prawem. Kto będzie kolejną ofiarą? Jeśli Robert miał rację, równie dobrze może się nią stać ona sama. Domyślała się, że wiadomość pozostawiona przez zabójcę jest kluczem do rozwikłania zagadki. Pytanie, jak ją można przetłumaczyć. Miała wrażenie, że ktoś za bardzo wziął sobie do serca książki Browna, bo zabawa w symbole do niej nie przemawiała.

Contradictio in se.

To był Lubaczów, cholera!

Kozielska i Robert zatrzymali się na rozwidleniu. Stanęli przed wyborem. W prawo czy w lewo? Rozdzielili się. Doświadczenie zawodowe mówiło Marii, że zawsze lepiej działać w zespole. Tyle że służba nigdy wcześniej nie postawiła jej w podobnej sytuacji i to, co się działo, było swoistym precedensem. Pozostawała pod wpływem głupich thrillerów. Kiedy bierze się udział w akcji, gdy dochodzi do strzelaniny, zawsze przyda się wsparcie. Dodatkowo świadek mógł potwierdzić raport. W jej przypadku broń była tylko dekoracją.

Szła teraz powoli. Nierówna droga, pełna wystających ostrych kamieni, gałęzi, dziur oraz wyskoków, była niedostępna dla zwykłego samochodu. Ogarnął Kozielską nienazwany lęk. Gęsty las nie dopuszczał promieni słonecznych. Słyszała trzask pękających pod jej stopami gałązek, rozchodzący się echem po bezkresnej puszczy. Straciła z oczu Roberta. Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Zapięła służbową kurtkę pod szyję i bacznie wypatrywała potencjalnego ryzyka.

Wszędzie czyha zło...

Maria zaśmiała się pod nosem. Czego się obawiała? Przecież tutaj nikogo nie było. Nagle usłyszała głośny pisk. Obróciła się, w przerażeniu odpinając kaburę, żeby odbezpieczyć swojego policyjnego glocka. To był tylko jakiś ptak.

Tylko ptak.

Taki błahy dźwięk wystarczył, aby jej serce zaczęło bić mocniej niż zwykle. Uspokój się, kobieto! Otarła kropelki potu z czoła.

Jej oczom ukazał się piękny, duży dom wykonany z drewna. Zawsze

marzyła, aby w takim zamieszkać, chociaż cieszyła się z tego, co ma.

Kolejny dom bogacza. Z ciekawością spojrzała w okna, ale nie dostrzegła żadnego ruchu. Podeszła do furtki. Przez niewielkie szpary w płocie dostrzegła drzwi wejściowe. Nacisnęła przycisk domofonu. Oniemiała. Przy domofonie została zainstalowana mikrokamera. Maria widziała takie na targach policyjnych. Były wykorzystywane przede wszystkim przez służby wywiadowcze, jednak znalazły zastosowanie również w instalacjach antywłamaniowych.

Brak odpowiedzi. Znowu nacisnęła przycisk. Wydawało jej się, że widzi jakiś cień za szybą. Może tylko jej się wydawało. Dostrzegła tył dużego samochodu terenowego, który był zaparkowany za domem. Nacisnęła przycisk domofonu jeszcze raz. Trzymała dłużej, chyba za długo, bo drzwi otworzyły się z hukiem. Maria zrobiła dwa kroki do tyłu. Zdawała sobie sprawę, że nie zostanie tu mile przywitana. Lasy zapewniały anonimowość. Przede wszystkim cisza i spokój. Nikt nie życzył sobie nieproszonych gości, tym bardziej policji. Mimo wszystko kiedy zobaczyła twarz właściciela, przestraszyła się. Wiedziała, z kim ma do czynienia, każdy by wiedział. Żałowała, że zgodziła się rozdzielić z Robertem. Za późno było na wzywianie Wysockiego, sama musiała się zmierzyć z mecenasem Okulickim.

— Słucham?! — adwokat zmierzał do furtki, przy której stała. Na jego twarzy malowała się furia.

— Dzień dobry...

— Zaraz się okaże, czy taki dobry — odchrząknął Okulicki.

Mecenas Władysław Okulicki. Postać mityczna. Automatycznie przed oczami Kozielskiej pojawił się Rasputin z opowieści Roberta. Adwokat był człowiekiem sukcesu. Przez długi czas pracował w stołecznej Warszawie. Maria słyszała o jego karierze — bronił największych zbirów oraz bardzo wpływowych ludzi. Okulicki zawsze osiągał zamierzony cel. Przygotowanie i nonszalancja zaskakiwały prokuratorów, którzy nie mieli ani szans, ani wystarczającej elokwencji, aby sprzeciwić się inteligentnie dobranym argumentom. Kozielska do końca nie знаła historii schyłku jego kariery. Podobno sprzeciwił się mafii i uciekł gdzieś, gdzie nikt nie mógł go znaleźć. Wcześniejsza gburowatość została zastąpiona podwojonym wstrętem do bliskiej mu rzeczywistości. Równie dobrze wszystkie te informacje mogły być wyssane z palca. Maria sama nie wiedziała, czy może im wierzyć. Teraz ta sława polskiej palestry stała przed nią. Komendant

Głowała był swego czasu bliskim przyjacielem Okulickiego. Wszyscy funkcjonariusze zostali poinformowani o jego pobycie na tych terenach, ale bliższe informacje o miejscu zamieszkania pozostawały nieznane.

Nieoficjalnie było wiadomo, że to właśnie do Okulickiego należy miejscowy tartak. Posiadanie monopolu na wyrąb drzew gwarantowało dostatek. Firma Tartex była prowadzona przez braci Dąbek, jednak Robert, który dorabiał sobie w tartaku jako student, wspominał Marii o częstych wizytach mecenasa. Niezaprzeczalnie był to człowiek o wielkiej władzy, którą potrafił wykorzystać. Przede wszystkim do własnych celów.

— Nazywam się Maria Kozielska. Jestem funkcjonariuszem poli...

— Przecież widzę, jest pani w mundurze — odburknął Okulicki. Podszedł do furtki. Z bliska wydawał się niższy. — Czego pani chce?! Ja tutaj policji nie prosiłem.

Maria już go nie lubiła. Zawsze starała się być wobec wszystkich neutralna, przynajmniej na początku. Ale ten facet zwyczajnie ją wkurzał. Nie chciała mu dać tej satysfakcji, aby nią pomiatał.

— Chciałabym z panem porozmawiać — powiedziała twardo.

— Ja bym chciał pogadać sobie z Cameron Diaz i Nicole Kidman — Okulicki zaśmiał się pod nosem. Chyba faktycznie rozśmieszyła go jego — o, jakże śmieszna — riposta, bo śmiechu nie było końca.

— Mogę wejść? — Kozielska zignorowała przytyk mecenasa.

Okulicki zawahał się. Marii wydawało się, że zaraz poszczuje ją psami, które w oddali zaciekle ujadły. Ku jej zdziwieniu jeszcze raz spojrzął na odznakę, która już prawie wyslizgnęła się z jej spoczonej ręki, i lekko uchylił furtkę.

Znalazła się w przestronnym holu. Na ścianach wisiały poroża, zapewne upolowanej zwierzyny. Usiadła na skórzanej sofie. Rozejrzała się dookoła. Zastanawiała się, jak mecenas radzi sobie w samotności. Majętny kawaler, playboy. Brak było wzmianki o jakichkolwiek związkach, a tak dużo przestrzeni. W myślach zobaczyła swój własny zagracony dom. Choć był mniejszy od rezydencji, w której właśnie się znajdowała, często okazywał się zbyt duży. Wtedy właśnie prosiła mamę, aby przyjechała, posiedziała z nimi.

Rodzina jest najważniejsza.

Okulicki usiadł na fotelu. Maria poczuła zapach kawy. Aromat migdałowy. Aż się rozmarzyła. Kochała kawę, przede wszystkim jej smak. Oczywiście z dużą ilością mleka. Było po jedenastej. Już tak późno, a ona była w końcu od szóstej na nogach. Mecenas nie zaproponował nic do picia. Pozostało obejść się smakiem. Obiecała sobie, że pierwsze, co zrobi, jak wróci do komendy, to wypije cały dzbanek kawy.

Na ścianach salonu wisały obrazy. Kozielska nigdy nie interesowała się sztuką, wszystko oceniała w kategoriach ładne-brzydkie. Obrazy u mecenasa były... inne. Nie doszukała się ani jednego pejzażu, widoku martwej natury. Królowała abstrakcja. Nie były to jednak nowe płótna. Niczym nie przypominały dzieł z wystawy malarstwa nowoczesnego, którą odwiedziła w ramach integracji policjantów województwa podkarpackiego. Tam nawet nie próbowała się domyślać, „co autor miał na myśli”. Dzieła przedstawiały jedynie zlewające się smugi. Podobno to sztuka, podobno to piękne, podobno to metaforyczne odbicie naszej rzeczywistości, ale Maria, z całym szacunkiem dla artystów XXI wieku, uważała, że przedawkowali albo zwyczajnie żyją w innej rzeczywistości niż ona.

Obrazy w salonie Okulickiego były bardzo specyficzne. Było na nich widać ludzkie twarze. Im dłużej policjantka się im przypatrywała, tym bardziej była przerażona tym, co widzi.

To były ludzkie twarze w godzinie śmierci.

Oczy zamknięte, przymknięte, wytrzeszczone. Usta zakrwawione, sine. Nosy obdarte, brudne, złamane. Maria zerknęła na Okulickiego. Czy on był normalny? Uśmiechał się pod nosem, widząc jej zdziwienie i przerażenie.

— Czym mogę szanownej pani służyć? — mecenas wydał się zniecierpliwiony, mówił z arogancją, jakby czas poświęcony na tę rozmowę z góry uważał za stracony.

— Nie wiem, czy pan wie, ale ostatniej nocy doszło w okolicy do morderstwa.

— I? — na Okulickim słowa Marii nie zrobiły większego wrażenia.

— Chcemy się dowiedzieć, czy może pan coś wie na ten temat. Może pan widział coś podejrzanego?

— Jedyne, co podejrzanego widzę, to że jakiś policjant próbuje przeskoczyć moją furtkę. — Maria dostrzegła małą czerwoną diodę, która migiała intensywnie nad drzwiami wejściowymi.

Mecenas wyszedł i po chwili przyprowadził ze sobą Roberta. Rozbawiło to Kozielską. Wściekły adwokat trzymał za ramię policjanta na służbie, który był bliski płaczu.

Po pięciu minutach Maria i Robert wyszli z domu Okulickiego z pustymi rękami. Nie powiedział im nic, co mogłoby przynajmniej częściowo pomóc rozwikłać zagadkę morderstwa. Nadal brakowało im informacji. Dom, w którego stronę poszedł Robert, okazał się pusty. Maria miała tego wszystkiego dość. Okulicki czuł się bardzo pewnie na swoim terenie i miała świadomość, że nawet gdyby ten stary adwokat coś wiedział, to i tak by nic nie powiedział.

Rozdział 5

— ZRYWAM Z TOBĄ! — KAMILA TREWOR PATRZYŁA prosto na Michała. Nawet nie mrugnęła.

Nastała cisza. Michał opuścił głowę. Był przepiękny wiosenny dzień, tak że Kamila myślała tylko o wyjściu na balkon oraz odpoczynku. Ale miała jeszcze jedną sprawę do załatwienia.

— Czy ty naprawdę nie rozumiesz?! — gwałtownie wstała i podeszła do okna. — Jesteś cudownym człowiekiem. Jeszcze nieraz się zakochasz.

Trewor wiedziała, że to właśnie w niej się zakochał, że to właśnie ją zapragnął mieć na własność. Ale nic nie mogła poradzić na to, że ona miała inne plany. Nie chciała dzieciaka. To była ślepa i jednostronna miłość.

— Przykro mi! — dodała, widząc jego zasmuconą twarz.

Michał nadal nie odpowiadał. Przecież zwyczajnie do siebie nie pasowali. Ona szukała wielkiej miłości, chciała prawdziwego uczucia, tyle że to nie było takie łatwe. On miłość pojmował w aspektach patosu. „To nie jest zwykły czas, kiedy człowiek żyje upojony czarą radości z syropem miłości. Ta ulotna chwila,

kiedy ciało wędruje po same krańce nicości. Perspektywa absolutu, receptury ognistości, przepowiednie Majów nie mają znaczenia. Jesteśmy tylko ty i ja — tylko to się liczy”. Gadał tak na okrągło. Kamila tylko się śmiała.

Rzygała tęczę.

Miłość była tylko uczuciem, a uczucia są ulotne.

— Ja cię nie kocham! Czemu tego nie rozumiesz?!

Jej życie było całkowicie inne. Kochała siebie, ceniła swoją urodę i skrzętnie ją wykorzystwała, aby dostać to, na co miała ochotę.

Wszystko zależało od nastroju.

Dopiero niedawno wróciła w te strony, wcześniej studia w Krakowie i dorywcza praca w Warszawie. A Michał? Czekał na nią. Pomiedzy piekłem a niebem, jak mawiał w niezliczonych listach miłosnych. Dla Kamili było to fajne, ale tylko na początku. Coś nowego. Romantyk, który poświęciłby życie, byle ją uszczęśliwić. Potem zdała sobie sprawę, że zasługuje na coś więcej. Próbowała spokojnie, jednak nie dawało to żadnych skutków. Zaczęła go unikać. Kiedy tylko się pojawiał, zapadała się pod ziemię. Dzisiaj nie wytrzymała — musiała to zakończyć jak najszybciej.

Po chwili Michał wyszedł, coś mrużąc pod nosem. W blasku słońca Kamila dostrzegła łzę na jego policzku. Co to za facet, który płacze?

Żalotne.

Zamknęła drzwi. Poszła prosto na piętro. Stała przed lustrem i zdjęła z siebie ubrania. Miała już dwadzieścia dziewięć lat, ale rzadkie stosowanie makijażu uchroniło ją przed wczesnymi zmarszczkami. Była materiałem na modelkę. Długie, szczupłe nogi, płaski brzuch, wydatne piersi i te oczy... Te oczy przyciągały mężczyzn jak magnes. Kilka razy próbowała swoich sił w świecie modelingu, ale było to dla niej zbyt monotonne. Ona szukała ciągłych zmian, nie pozwalała sobie na nudę. Nie lubiła, gdy traktowano ją jak przedmiot.

Podobnie w życiu uczuciowym.

Pracowała w stadninie koni jako instruktor. Praca nie przynosiła dużych

dochodów, ale przyszłość miała już dawno zabezpieczoną dzięki wujostwu. Rodziców straciła, gdy była bardzo mała. Opiekunowie zadbali, aby niczego jej nie brakowało. Ponieważ nie mieli swoich dzieci, traktowali ją jak córkę. Wujek Artur prowadził własną firmę i chętnie by widział Kamilę jako następcę, ona jednak nie chciała wchodzić do jeziora pełnego krokodyli, jak nazywała świat biznesu. Miała na własność kilka koni w Darkowie, traktowała to jako inwestycję. Mieszkańcy tych przygranicznych terenów raczej nie spędzali czasu na podobnych rozrywkach. Jak by na to nie patrzeć, wypożyczenie konia lub lekcja z instruktorem były drogie, a miejscowych nie było stać na taką przyjemność. Prawdziwy zarobek był na większych delegacjach. Uczestnicy nocowali w jednym z wielu agroturystycznych ośrodków w okolicy, a żeby urozmaicić sobie czas, często wypożyczali konie na górskie przejażdżki.

Jej mały domek, a raczej willa leżała na skraju lasu pomiędzy Opaką a Suchą Wolą. Był to jeden z prezentów od jej byłego chłopaka. Pomimo że rozstali się w niezgodzie i z jej winy, do czego przyznawała się otwarcie, kilka dni po rozstaniu wysłał jej list, w którym przeproszał za wszystko, a jako dowód szczerych uczuć dołączył klucz do domu.

Kamila nie pojednała się z tym bogaczem, ale klucz pozwoliła sobie zatrzymać.

To był jej świat. Wiedziała, jak dyktować warunki.

TAK NIE MOŻNA. PRZECIEŻ ON JĄ TAK KOCHAŁ. Mógł godzinami pieścić jej delikatne usta, dotykać aksamitnej skóry...

Tak nie można. Michał Rybak stał nieopodal domu ukochanej. Zobaczył, jak Kamila wychodzi na balkon. Była taka piękna. Już chciał wrócić, przytulić, pocałować, dotknąć, przynajmniej ten jeden raz... na do widzenia.

Odwrócił się. W oddali spostrzegł samolot lądujący na lotnisku w Borchowie. Kiedyś wzleci w powietrze. Chciał być pilotem — oni byli rozchwytywani przez wszystkie kobiety świata. Na razie marzył tylko o Kamili Trewor. Nie potrzeba mu było więcej.

— Jeszcze tu wrócę — Michał przyśpieszył kroku, zerkając ostatni raz na swoją ukochaną.

Z pamiętnika filozofa

Ta pani. Znowu przyszła. Dzisiaj bielsza niż zwykle. Tak biała, że odbija się od niej wszelkie światło. Iskrzy. Dajcie mi okulary przeciwsłoneczne, bo nie wytrzymam. Dzisiaj się tak nie śpieszyła. Pogadaliśmy o pogodzie. „Jaka piękna pogoda”. Gdy pięć minut później piorun trafił dziesięć metrów od ławeczki, na której siedziałem, wcale się nie zdziwiłem. Przecież nic się nie da przewidzieć.

Ten pan. Jeszcze go nie było. Ale ja mam czas, poczekam, nigdzie się nie śpieszę. Nie cierpię spóźnialskich. Trzeba szanować własny czas, ale również innych. „Pięć minut cię nie zbawi”. Na pewno? Przecież można w tym czasie tyle zrobić. Zjeść obiad, umyć się, obejrzeć kilka reklam w telewizji, zdrzemnąć się. Świat daje nam możliwości na tacy, ale przez naszą głupotę wybieramy nie to, co trzeba.

Ale taki właśnie jest czas. Doceniamy go dopiero, kiedy nam go brakuje, a nic nie zrobiliśmy, aby go lepiej wykorzystać kilka godzin wcześniej, kiedy spędziliśmy godzinę, oglądając telezakupy.

Czasoprzestrzeń. Zgadzam się z drogą ewolucji. Zgadzam się z teorią, że wszystko jest zależne od nas samych. Zgadzam się z wszystkimi, którzy mają jakiegokolwiek zdanie o życiu. Przecież wszystko jest jak jeden organizm, wszystko jest tym samym, ujętym po prostu w inny sposób, innymi słowami.

Rodzimy się. Nic nas wtedy nie obchodzi, bo jako małe szkraby mamy mnóstwo przywilejów. Możemy beczeć do woli, robić siusiu i kupkę w niestosownej chwili. Wszystko jest nam wybaczone. To, na kogo wyrośniemy — upraszczając sprawę — na dobrego lub złego człowieka, nie zależy od nas. Może właśnie dlatego wychowanie ma tak duże znaczenie. Wszystko zależy od rodziców lub osób, które się nami opiekują. Miejsce dorastania i opieka sprawowana nad nami przez pierwsze lata życia mają wpływ na nasze zachowanie, co przekłada się na karierę zawodową. Od kariery zawodowej zależy nasza starość i to, czy do niej dożyjemy. Tak więc wszystko sprowadza się do dzieciństwa. Szczęśliwe, spełnione, radosne? Czy to rzeczywiście ma głębszy sens? Przecież możemy być najszczęśliwszymi dziećmi pod słońcem, a potem wylądować na bruku. Może być też odwrotnie — po zerwaniu kontaktu z patologiczną rodziną, w której każdego dnia byliśmy bici i poniżani, staniemy się biznesmenami na skalę światową i wszyscy będą nam jeść z ręki.

Tak dużo ludzi krąży wokół nas, a my nie słyszymy ich krzyku, wołania o

pomoc. Ludzie czują się tacy zagubieni. Również ja szukam drogi, ścieżki, która doprowadziłaby mnie do bądź co bądź nieuniknionej śmierci. Nie chciałbym jednak, aby była zbyt krótka.

Dziurawa.

Chciałbym trochę pożyć, zaznać jeszcze więcej, odkryć emocje, które krążą w głębi jeszcze nierozpoznanego tajemniczego tworu, jakim jest mój organizm. Francuska dzielnica Montmartre. Tak tam kolorowo. Wciąż coś się dzieje. Nowi ludzie, szukający pamiątek turyści, artyści liczący na to, że pewnego dnia znajdzie się człowiek, który dostrzeże ich talent. No i widoki... widoki na przyszłość.

Blżej nieba.

Chciałbym, żeby właśnie to miejsce stało się końcem drogi, którą kroczę naprzód.

Ludzie czują. Są jak otwarta księga, którą trzeba zacząć czytać. Emocje malują się na ich twarzach. A ja siedzę i czytam — chyba nie mam innego wyboru.

Zbliża się jakiś facet, wygląda na trzydzieści kilka lat. Jedzie na rowerze, choć jest to ślimacze tempo, bo ludzie ciągle zachodzą mu drogę. Na jego twarzy wściekłość. Gdzieś się śpieszy. Przechodzi dziewczyna — jest naprawdę piękna. Hiszpańska uroda jest łakomym kąskiem. Rowerzysta przystaje. Przecież pięć minut go nie zbawi.

A inni niech czekają.

Tak więc rowerzysta przystaje. Śledzi wzrokiem zgrabne ruchy nieprzyzwoicie pięknej szatynki. O tak, ona jest naprawdę piękna. Biała sukienka delikatnie opina krągłe pośladki. Na jego twarzy pojawia się uśmiech. Jego myśli wręcz słyszą. Wie, że to dziewczyna nie na jego siły. Co najwyżej koleżanka, nie partnerka na długie lata życia.

I znowu jedzie dalej. I znowu się złości. Ach te okropne potwory — ludzie.

Podobnie ta pani i ten pan. Mają niskie mniemanie o sobie. Umożliwia to manipulację. Świat programuje ich, programuje mnie, programuje ciebie i jedyną bronią jest samokontrola i pewność we własnych czynaniach. Boisz się, że nieznamna piękność cię odrzuci na dzień dobry? Spróbuj. Nic nie tracisz.

Bo życie zaskakuje w najmniej spodziewanym momencie.

Rozdział 6

CONTRADICTIO IN SE. PRZESTĘPCA, KIMKOLWIEK BYŁ, MIAŁ RACJĘ. Wszystkie dowody stanowiły odrębność. Nie było wspólnych elementów. Kryminaliści znaleźli wiele odcisków palców, jednak trudno było logicznie wyjaśnić pochodzenie niektórych próbek. Technicy doszli do wniosku, że wszystko zostało dokładnie wysprzątane i odkurzone. Możliwe, że przez samego mordercę. Worek odkurzacza był pusty. Jedynie przy drzwiach znaleziono niewielki fragment wskazujący na to, że ktoś nosił rękawiczki. Mikroskopijny ślad mógł posłużyć jako dowód dopiero w przypadku znalezienia materiału porównawczego. Ani w Polsce, ani w żadnym innym kraju nie istniała baza odcisków rękawiczek. Bez rezultatu przeszukano również garderobę Wójcik.

Na podłodze, tuż przy oknie, znaleziono kawałek ziemi. Analiza wykazała, że jest to gleba typowa dla obszarów bieszczadzkich. Duża kwasowość, która wymusiła wapniowanie, była wystarczającym powodem, aby sądzić, że mogła się tam znaleźć dawno i nie wiązać się bezpośrednio z zabójstwem. Nadal trwała analiza porównawcza z ziemią, która znajdowała się wokół domu ofiary. Punktem zaczepienia w tym przypadku była duża ilość trocin. To nic niezwykłego. Teresa mogła być na spacerze w lesie i pozostawić ślad, który teraz spędzał sen z oczu kryminalistów. W końcu mógł to być trop, który doprowadzi do kryjówki zabójcy.

Ślady linii papilarnych. W domu znaleziono ich wiele, ale należały do ofiary. Jeśli napastnik faktycznie miał rękawiczki, była to tylko strata czasu. Motyw kradzieży został wykluczony, jednak czekali na przyjazd rodziców Teresy, aby potwierdzili, czy wszystkie kosztowności ich córki nadal są w domu.

Badania strzykawki wykazały, że wstrzyknięto środek znany pod nazwą Alprazolam. Tak jak lekarz medycyny sądowej przewidział, była to mieszanka dwóch powszechnie znanych leków uspokajających — Alprazolamu oraz Tranxenone. Ich pochodna w postaci Alprazolamu, nawet w niewielkich ilościach, prowadziła do szybkiego obumierania komórek nerwowych. W rzeczywistości powodem śmierci nie było wstrzyknięcie tej substancji, ale brak dopływu tlenu do płuc, co było jednym z głównych efektów ubocznych Alprazolamu. Teresa Wójcik umierała około dziesięciu minut. Oba leki wykorzystywano w szpitalach jako środek uspokajający. Nie były dostępne w aptekach, co mogło pomóc namierzyć

sprawcę.

W szufladzie komody znajdującej się pod telewizorem odkryto pasek uciskowy. Wszystkie wnioski wskazywały na to, że ofiara wykorzystała go, aby wykonać swój zastrzyk śmierci. Znalaziono małe włoski, zlecono badanie DNA, ale nikt nie spodziewał się rewolucji w śledztwie.

Ślady butów. Wszelkie odciski przestały mieć większe znaczenie, gdy do środka wszedł Tadek. Naniósł błota, nie zadbał o zabezpieczenie miejsca przestępstwa. Rzeczywistość weryfikowała umiejętności. Potencjalne ślady kół, które mógł zostawić napastnik przed bramą wjazdową, także zostały zniszczone przez radiowóz. Komendant Głowala nie mógł ukarać funkcjonariuszy, którzy zjawili się tam pierwsi, czyli Joasi i Tadka. Wiedział, że codzienność nie wymaga od nich tak wielkiej ostrożności, jaka powinna być zachowana podczas oględzin miejsca zbrodni. Wezwano ich do skontrolowania, czy wszystko jest w porządku. Nawet w najdalej idących domysłach nie mogli podejrzewać, że spotkają się z podobnym zdarzeniem.

Dorota Maj niejednokrotnie miała do czynienia z zabójstwami. Piętnaście lat temu, kiedy odbierała dyplom z wyróżnieniem, myślała, że będzie wiodła smutne życie naukowca. Wszystko zmieniło się, kiedy pojechała na dwuletni staż do Nowego Jorku. Wiedziała, że to dla niej wielka szansa. Wykorzystała ją znakomicie. Kiedy wróciła do Polski po przedłużonym pobycie w Stanach Zjednoczonych, była już sławnym na całym świecie specjalistą do spraw badania śladów i substancji. Jej wynalazek — chromatograf cykliczny — zyskał uznanie kryminalistyków. Sama często pomagała w dochodzeniach. Głównym źródłem jej zarobku były wykłady. Przyjaciele z całego świata wysyłali jej zaproszenia na światowe dni nauki. Przychody jej budżetu uzupełniały wpływy ze sprzedaży chromatografów cyklicznych.

Zjawiała się tutaj przypadkiem. Było bardzo wcześnie, kiedy zadzwonił do niej komendant Głowala. Słyszała o nim już dawno temu. Kiedy była na studiach we Wrocławiu, często jako ochotnik pomagała w centrum ekspertyz sądowych. Głowala był wtedy komendantem wojewódzkim tamtejszej policji.

— Dzień dobry! Nazywam się Jarosław Głowala. Przepraszam, że dzwonię o tak wczesnej porze. Wydaje mi się, że mamy coś, co powinno panią zainteresować.

Dorota Maj nie czekała długo. Mieszkała dość blisko Lubaczowa, w

niewielkim domu blisko Krowicy Lasowej. Pożegnała się z mężem i synem i przyjechała na komendę. Wyzwania były czymś więcej niż tylko sprawdzaniem swoich umiejętności. Pozwalały czuć się potrzebną. Dorota nie posiadała wielkiego daru przemawiania. Jako początkujący naukowiec bała się tłumu. Studenci, przed którymi stawała w ostatnich latach, słyszeli pewien strach w jej głosie, choć przecież przyszli na salę właśnie dla niej. Dlatego w kalendarzu niewiele było wykładów. Woląла pracę naukową, nawet w formie pomocy w sprawie kryminalnej, za co zwykle pozwalała sobie wystawić pokaźny rachunek.

Siedziała właśnie nad niewielkim papierkiem, który został znaleziony przez techników na miejscu zbrodni.

Contradictio in se. Sprzeczność sama w sobie. Szybko okazało się, dlaczego komendantowi tak zależało na przyjeździe Doroty Maj. Wszyscy na posterunku liczyli na to, że skomplikowany chromatograf cykliczny po zbadaniu korespondencji od sprawcy da jakiś trop, którego nadal brakowało. Przecież minęło już tak wiele czasu. Zabójca mógł już dawno uciec, a nie znano nawet motywu przestępstwa. Rodzice Teresy właśnie przybyli i rozmawiali z komendantem. W pokoju przesłuchań siedział jej chłopak, trzydziestoletni Tomasz Domagała. Do Borchowa, gdzie mieściło się niewielkie lotnisko, przyleciał przedstawiciel Komendy Głównej w Warszawie. Miał załatwić dodatkowych ludzi. Franciszek Aleszkiewicz nalegał, aby to właśnie jemu przekazać śledztwo, ale Głowala zdecydowanie odmówił. Priorytetem stało się jak najszybsze znalezienie mordercy. Do wieczora miał dotrzeć również Paweł Kownacki. Był on profesorem psychologii na Uniwersytecie Rzeszowskim. Przedstawiciel polskiej kinetyki miał brać udział we wszystkich przesłuchaniach i pomóc w utworzeniu profilu psychologicznego poszukiwanego przestępcy.

Dorota Maj tym się jednak nie interesowała. Miała swoje zadanie, które chciała jak najlepiej wykonać. Dążenie do perfekcji zawsze ciążyło na jej działaniach. Bycie najlepszym w świecie wybitnych jednostek nie jest łatwe, ale możliwe, a perfekcjonizm w każdym wymiarze do tego przybliża.

Włączyła swój chromatograf cykliczny. Jej wynalazek znacząco się różnił od wynalazków z końca ostatniego stulecia. Chromatograf miał wielu ojców, ale powstał właśnie z jej inicjatywy. Z daleka wyglądał jak inkubator dla noworodka. Jednak im bliżej się stało, tym bardziej widoczna była skomplikowana struktura. Tradycyjny chromatograf gazowy swoim kształtem przypominał dużą mikrofalówkę. Grupa pracująca nad tym cyklicznym postawiła na praktyczność. Wygląd nie miał znaczenia. Teraz przez podwójne szkło o grubości kilku

centymetrów można było dostrzec tysiące biegnących drucików, pluskiew, rurek i czujników. Zwyczajny chromatograf działał na zasadzie rozpylenia w jego przestrzeni fazy nośnej, którą najczęściej stanowił hel lub argon, był w stanie szczegółowo podać zawartość pierwiastków badanego przedmiotu. Znalazł szerokie zastosowanie w kryminalistyce, w badaniu dowodów.

Chromatograf cykliczny Doroty Maj był również urządzeniem gazowym, ale podstawa funkcjonowania była zgoła inna. Mieszanina gazów — helu, argonu i wodoru — działała powoli, ale dokładniej. Powiększona baza umożliwiała odnalezienie substancji, które często były przypadkowe, ale historia знаła już przypadki, że okazały się źródłem prawdy. Operacja była mozolna, lecz jej rezultat — bardzo szczegółowy. Cykliczność polegała na rozpylaniu w przestrzeni chromatografu niewielkiej ilości mieszaniny gazów w odstępach czasowych.

List pozostawiony na miejscu zbrodni mógł się okazać nieprzydatny. Użyto zwyczajnego papieru średniej jakości, który można dostać w każdym sklepie w okolicy. Tajemniczy znak był wydrukowany na popularnej drukarce laserowej. Takie informacje nic im nie dawały. Szczególny rodzaj papieru lub tuszu miał ograniczoną liczbę dostawców, dzięki czemu łatwiej było znaleźć chociażby odbiorców danego materiału.

Jak po drabinie, na samą górę...

Kartka była ucięta równo, zapewne nożyczkami. Zmierzyła ją i okazało się, że wiadomość znajduje się na kwadracie o boku równym dwanaście centymetrów.

Dorota Maj starannie wsunęła kartkę do środka. Początkowe próby często kończyły się fiaskiem. Niewłaściwie dobrane gazy, a raczej ich proporcje, często niszczyły badaną próbkę. Gdyby w tym przypadku tak się stało, nie wybaczyłyby tego sobie.

Rozejrzała się. Miała do czynienia z tymi ludźmi po raz pierwszy. Ich brak doświadczenia był widoczny na pierwszy rzut oka, ale nie można im było odmówić zapału i chęci do pracy. Na naukę nigdy nie jest za późno. Osobiście preferowała próbowanie własnych sił na symulatorach i w trakcie ćwiczeń w terenie. Sytuacja, która miała tu miejsce, była bardzo poważna. Doszło do śmierci, a każda kolejna minuta albo pozwalała uciec zabójcy, albo przybliżała do kolejnego zabójstwa.

Teraz wszyscy funkcjonariusze zgromadzili się wokół chromatografu. Widziała w ich oczach jasne iskierki. Na świecie taki sprzęt stał się popularny i był

w podstawowym wyposażeniu prawie każdego posterunku. Na polskie realia to było zwyczajnie zbyt drogie. Dorota Maj już dawno zapowiedziała skonstruowanie chromatografu jeszcze lepszego, ale tańszego, tak aby dostęp do niego nie zależał od liczby zer na koncie bankowym.

Nacisnęła niebieski guzik i patrząc na miny swoich nowych kolegów, lekko się uśmiechnęła.

— To trochę potrwa.

Rozdział 7

WOLAŁABY, ABY PAWEŁ KOWNACKI JUŻ PRZYJECHAŁ. Nigdy się z nim nie spotkała, ale słyszała o jego wielkich zasługach. Rozumiał gesty, rozpoznawał kłamstwa. Łączył wszystko w całość — intonację, mowę ciała oraz samą treść wypowiedzianych słów. Maria Kozielska została przeznaczona wilkom na pożarcie — miała przeprowadzić przesłuchanie Tomasza Domagały.

Niedorzeczność.

Tego dnia wszystko było nie tak. Po co ta bezsensowna śmierć? Po co ci wszyscy świadkowie, a raczej ich brak? No i jeszcze ten mecenas... Nigdy nie lubiła prawników, obojętne, jaka była ich specjalizacja. Z Okulickim rozmawiała tylko pięć minut. Wystarczająco długo, aby to się już więcej nie powtórzyło.

Pokój przesłuchań został zaimprovizowany przez Czynickiego w jednym z nieużywanych piwnicznych pokoi. Drewniany stół, mały dyktafon i słabej jakości kamera, która została zainstalowana przy samym suficie. Pokój oczywiście nie miał lustra fenickiego, więc umieszczono niewielki monitor w pomieszczeniu obok, gdzie można było zobaczyć obraz z kamery.

Czynicki był człowiekiem niewielkich gabarytów, ale miał niekończące się chęci do pracy. Wiecznie był w ruchu. Wśród policjantów panowało przeświadczenie, że posterunek jest jego domem. Często wchodził w potyczki z komendantem Głową. Był odpowiedzialny za całą dyspozytorkę nie dlatego, że nikt inny nie chciał. Powodem było to, że komendant uważał go za jedyne właściwego człowieka na to stanowisko. Lubaczów, podobnie jak przyległe wsie, był miejscowością bardzo spokojną, a Czynickiemu nudziło się czekanie na jakikolwiek sygnał. Gdy Głowa nakrywał go w innym miejscu, niż ten powinien być, zaczynały się problemy. Świadkowie często kpili sobie z tych rozmów, bo

raczej przypominały kabaret niż poważną kłótnię. Czynicki niezmiernie lubił się z Głową i skrzętnie wykorzystywał przyjaźń, która pomiędzy nimi istniała. Maria uważała, że funkcjonariusz często przesadza. Sama wolałaby degradację niż sięganie po słowa, które mogłyby zagrozić jej pracy w policji. Kolega pracował jednak na innych papierach i wolno mu było więcej niż Kozielskiej.

Maria wolałaby zostać w pokoju funkcjonariuszy i obserwować efekty pracy chromatografu, który faktycznie był fascynującym urządzeniem. Studiując biologię, widziała wiele wynalazków. Często były efektem pracy polskich studentów. Osobiście była antytalentem i ignorantem, jeśli chodzi o wszelkie nowinki techniczne, ale chromatograf cykliczny zrobił na niej duże wrażenie i była bardzo ciekawa wyników.

Kawa. Wreszcie dobra kawa. Weszła do niewielkiego pokoju. Czuć było stęchliznę, bo te pomieszczenia z powodu wiecznej wilgoci i nieporządku nie były używane od lat. Maria zdziwiła się, widząc jasno jarzącą się żarówkę, zwisającą z sufitu, który sukcesywnie był zjadany przez grzyb. Wchodząc do środka i widząc na korytarzu pozostałości po miejscach na pochodnie, spodziewała się, że przyjdzie jej przesłuchiwać przy świeczce. Tomasz Domagała siedział już przy stole. Miał na sobie schludny garnitur. Przy szyi wisiał nieudolnie zawiązany krawat, a ostatni guzik białej koszuli był rozpięty. Był dobrze zbudowany. Garnitur świetnie leżał na jego sylwetce sportowca. Włosy miał ciemne. Grzywkę ułożył za pomocą żelu. Wąskie oczy były lekko zaczerwienione. Czyżby płakał? Idealnie czysta cera. Gdy weszła, obrzucił ją spojrzeniem z góry na dół. Już dawno przestała się podobać mężczyznom. Nie była zbyt wysoka, przestała dbać o stan fizyczny, co sprawiło, że przytyła. Choć jeszcze nie odliczała dni do czterdziestki, to jednak wiek ten nadchodził nieubłagane. Mimo wszystko akceptowała swój wygląd.

Usiadła naprzeciw Tomasza. Przypomniały jej się słowa Głowali. Kiedy z nim ostatni raz rozmawiała, wyglądał na przemęczonego. Choć czekał na taką sprawę od lat, miał świadomość, że ludzie mu podporządkowani nie mają odpowiedniego doświadczenia. Sam czynnie się zaangażował. Umożliwił przyjazd ludzi ze stolicy i specjalistów takich jak Dorota Maj oraz Paweł Kownacki. Teraz rozmawiał z rodzicami Teresy.

Maria pamiętała dzień, w którym jakiś policjant przyjechał do ich rodzinnego domu. Była wtedy przerwa wielkanocna. Kiedy powiedział o śmierci jej taty, rzuciła się na niego i zaczęła bić pięściami po klatce piersiowej. Nie panowała nad emocjami. Rodzice Teresy przyjechali z Warszawy tak szybko, jak było to możliwe. O śmierci swojej córki dowiedzieli się przez telefon i Maria

pomyślała, że długa podróż pozwoliła im przemyśleć wiele spraw.

Głowala ostrzegł Kozielską, że nie wiedzą, kto jest zabójcą, że może być nim każdy. Staruszka wracająca ze sklepu, dziecko bawiące się w piaskownicy, a może Tomasz Domagała. Kozielska dotknęła swojej kabury i upewniła się, że broń jest na miejscu.

Spojrzała na siedzącego przed nią mężczyznę. Nigdy wcześniej go nie widziała. Ludzie żyli na tych terenach jako autonomiczne organizmy. Nie wychylali się poza swoje małe państwo — wieś, w której mieszkali. Maria jako policjantka miała więcej kontaktu z ludźmi, jednak i tak był on ograniczony.

Przypomniały się jej procedury związane z przesłuchaniami. Zapytała Tomasza, czy jest gotowy. Gdy kiwnął głową potakująco, włączyła dyktafon. Przy kamerze zaświeciła się zielona dioda. Czynicki pomyślał o wszystkim.

— Funkcjonariusz Maria Zofia Kozielska, numer odznaki 3564. Przesłuchanie dnia czternastego marca. Przesłuchanie podejrzanego...

— Zaraz, zaraz! — Tomasz przerwał Kozielskiej i gwałtownie wstał. — Jakiego podejrzanego? To chyba jakieś nieporozumienie!

Marii żal było Domagały. Został wyrwany z pracy. Rano dowiedział się o śmierci ukochanej, z którą planowali ślub. Była jednak zmuszona wykonać polecenia Głowali, a powiedział jasno: „przesłuchać podejrzanego”.

W końcu napastnikiem może być każdy.

Już miała odpowiedzieć, choć w rzeczywistości improwizowała, bo nie wiedziała, jaka może być jego reakcja, ale uratował ją telefon. Wyłączyła dyktafon.

— Słucham? — nie powinna odbierać, ale chciała przeczekać złość przesłuchiwanego.

— Dzień dobry! Nazywam się Paweł Kownacki — Maria usłyszała niski męski głos. — Czy zaczęła już pani przesłuchanie? Zaraz będę na miejscu. Czy może pani poczekać?

— Oczywiście! Nie ma problemu! — odetchnęła z ulgą, spoglądając kątem oka na nadal wściekłego Tomasza.

— Ach! I byłbym zapomniał! Mam prośbę. Czy może pani zainstalować kamerę na podłodze?

WRÓCIŁ ZE SZKOŁY. DROGA POWROTNA BYŁA ZAWSZE dłuższa niż ta w drugą stronę. Rozmowy z kolegami i bieganie w kółko. W domu na Jasia czekała babcia. Zdziwił się. Przyzwyczyił się do tego, że taty w domu nigdy nie było, ale mama, pomimo że pracowała jako policjantka, zwykle czekała na niego z obiadem.

Dziwne.

Szybko zjadł posiłek, który przygotowała babcia, chwilę później pobiegł na górę włączyć komputer. Kiedy dostał go od rodziców, bardzo się cieszył. Wcześniej korzystał ze sprzętu taty, jednak ograniczony dostęp utrudniał naukę. Poza tym ojciec archiwizował na dysku ważne dokumenty i rodzice bali się, że kiedyś coś przypadkiem usunie. Przecież jest „tylko małym dzieckiem”.

Początkowo wahali się, czy pozwolić mu na założenie własnej skrzynki pocztowej. Twierdzili, że jej nie potrzebował. W końcu się zgodzili. Internet okazał się dla niego niesamowitym centrum przepływu informacji. Szybko zaczął korespondować z osobami o podobnych zainteresowaniach. Tu nie liczył się wiek, a wiedza. Oczywiście był świadomy niebezpieczeństw, jakie czyhają na niego w sieci, ale umiał się zabezpieczyć przed jakimkolwiek niepowołanym gościem. Nigdy nie podawał informacji, które mogłyby się okazać zagrożeniem.

Żadnego maila. Sprawdził najczęściej odwiedzane fora. Odpisał na dwa listy i położył się na łóżku, korzystając z okazji, że mamy nie ma w domu. W końcu nadejdzie czas, kiedy będzie musiał odrobić zadanie domowe. Po chwili usłyszał dźwięk, który sygnalizował otrzymanie wiadomości. Jasio rzadko odwiedzał czaty, niczym nieograniczony dostęp nie weryfikował wiedzy użytkowników. Tym bardziej zdziwił się, kiedy wyskoczyło okienko rozpoczynające rozmowę.

— Cześć.

Jasio nie znał rozmówcy, ale odpisał. Po chwili otrzymał kolejną wiadomość.

— Może porozmawiamy o twojej mamie?

Rozdział 8

NIE PASOWAŁ MARII DO PROFILU PROFESORA. Przed Kozielską stał wysoki na metr dziewięćdziesiąt szatyn. Delikatnie uścisnął jej rękę. Jego głos był taki cudownie męski. Inne określenie nie przychodziło jej na myśl. Czowała rozchodzące się po jej ciele wibracje. Największym zaskoczeniem okazał się wiek. Profesorzy w czasach, kiedy to ona studiowała, byli zwykle siwymi dziadkami. Paweł Kownacki był stosunkowo młody. Kozielska zdziwiłaby się, gdyby miał więcej niż 40 lat.

Zostawiła Kownackiego z Domagałą, a sama udała się do pokoju obok. Usiadła tuż przy niewielkim ekranie. Nie miała pojęcia, czemu miała służyć kamera zainstalowana przy podłodze. Na ekranie pokazującym jej obraz nie było widać nic poza spodem stołu i nogami Domagały, który nie kryjąc wściekłości, czekał na rozwój wydarzeń.

W jej pomieszczeniu był zainstalowany głośnik, ale nie był on potrzebny, bo wrzask podejrzanego rozszedł się echem po całym posterunku. Kownacki z ciekawością spojrzął na Tomasza, a następnie zagłębił się w krótkie, kilkustronicowe akta sprawy. Na stole położył teczkę z wynikami sekcji, które widocznie już przejrzał. Wyciągnął okulary i umieścił je na czubku nosa. Ku zdziwieniu Kozielskiej profesor po chwili wstał i rozłożył stojak. Na trójnogu została powieszona twarda podkładka, a na niej kilka kartek rozmiaru A3. Co kombinował? Kownacki ustawił stojak prostopadle do przesłuchiwanego. Sam odwrócił się tyłem do niego i przygotował się do pisania. Maria nie miała szans dostrzec, co zostało napisane na tablicy, ze względu na umiejscowienie kamery. Była pewna, że podejrzanym również nic nie widział, gdyż Paweł wszystko zasłaniał.

— Jak ma pan na imię? — z głośnika wydobył się delikatny głos Kownackiego. Maria zdziwiła się, słysząc tak spokojny ton. Ona wołała grę w złego gliniarza i nie patyczkowałaby się z Tomaszem. Ale miała już swoją szansę, z której nie skorzystała. Teraz pozwoliła działać profesjonalistom.

— Nazywam się Tomasz Domagała, ale...

— Gdzie pan mieszka?

— W centrum Dachnowa, razem z rodzicami. Chcę poprosić o adwokata. Chyba mam do tego prawo?

— Ile ma pan lat? — Kownacki zignorował słowa Domagały.

Maria zdziwiła się. Paweł zaczął poruszać ręką. Napisał coś na swojej prowizorycznej tablicy. Tomasz zaczął się wiercić na krześle. Wyciągał szyję, aby dostrzec, co Kownacki napisał. Na nic to się nie zdało. Opadł bezsilnie na krzesło.

— Kim była dla pana Teresa Wójcik? — profesor pozostawał odwrócony plecami do przesłuchiwanego. Nie spojrział mu jeszcze ani razu w oczy. Zdziwiło to Kozielską. Ekspert kinetyki, badacz mowy ciała, a ignorował wszelkie ruchy, które mogły się okazać przydatne.

— Byliśmy parą. Za dwa miesiące świętowalibyśmy dwa lata. — Maria wychwyciła lekko podniesiony głos podejznanego.

Domagała spojrział na dyktafon. Nie świeciła się żadna kontrolka. Maria domyślała się, że właśnie dzięki temu ta rozmowa odbywa się w takim spokoju. Podejrzany nie zdawał sobie jednak sprawy, że wciąż działają kamery, które oprócz obrazu rejestrowały również dźwięk.

Kownacki napisał na tablicy kolejne słowo.

— Kiedy ostatni raz widział się pan z Teresą? — Maria nie mogła uwierzyć, że profesor zachowuje taki spokój. Miał przed sobą potencjalnego zabójcę, a traktował go jak własnego syna. Tomasz mógłby go zaatakować z tyłu, profesor nie miałby nawet możliwości zareagować. To, co robił, było naprawdę nieodpowiedzialne.

— Wczoraj. Teresa skończyła pracę przed osiemnastą. Tutaj, w Lubaczowie. Odwiozłem ją. Posiedziałem u niej około godziny — w głosie Domagały można było wyczuć zażenowanie, że tak długo musi siedzieć i odpowiadać na pytania zmierzające donikąd.

— Czy zauważył pan coś podejznanego w zachowaniu narzeczonej? Czy coś zwróciło pana uwagę?

— Wie pan, jakie są kobiety. Humorki im się zmieniają z godziny na godzinę i nie mamy na to większego wpływu — uśmiechnął się pod nosem. Mając na uwagę, że Teresa nie żyła, było to nie na miejscu.

Maria nie zgadzała się z nim. Mimika jego twarzy mówiła całkowicie co innego niż słowa. Chciała krzyknąć, żeby zwrócić uwagę Kownackiego na fałsz Domagały.

Czy rzeczywiście kobieta nie może zaznać równowagi psychicznej? Kozielska odnosiła się z dystansem do różnic płciowych. Praca w policji nauczyła ją, że musi się starać, aby mężczyźni traktowali ją na równi z nimi. Pod względem psychologicznym uważała jednak, że wszystko zależy od człowieka.

Wszystko zależy od nas samych.

— Dlaczego Teresa przyjechała tutaj? Jeżeli się dobrze orientuję — Kownacki zerknął na swoją dokumentację — Teresa Wójcik przyjechała z Warszawy dwa lata temu. Co mi pan może o tym powiedzieć?

— Niewiele na ten temat rozmawialiśmy. Z tego, co wiem, doszło do nieprzyjemnego incydentu. Znam to tylko z opowieści, bo Teresa nie chciała o tym wspominać, a ja nie naciskałem. Była w pracy molestowana przez swojego szefa. Kiedy nie chciała spełnić jego żądań, została zwolniona. Oskarżyła swojego pracodawcę, ale przegrała sprawę.

„Jak na tego, co nic nie wie, to podał dość szczegółowe informacje” — pomyślała Maria.

— Czy znał pan kod od alarmu w domu Teresy Wójcik?

Tomasz się zawahał.

— Wie pan, często odwiedzałem Teresę. Jej dom to twierdza i oboje chcieliśmy uniknąć kosztów przyjazdu ochrony do nieuzasadnionych alarmów, dlatego podała mi kod.

Kownacki znów napisał coś na tablicy. Maria była naprawdę bardzo ciekawa jego techniki. Zerknęła na drugi ekran, na którym znajdował się obraz kamery umiejscowionej na podłodze. Nadal nie rozumiała celu jej zainstalowania.

— Czy Teresa mówiła coś o gościach, którzy mieli ją odwiedzić tego dnia?

— Nic. Wieczory z zasady spędzała w samotności. Tutaj nie ma zbyt wiele miejsc, gdzie można wyjść wieczorem i spotkać się ze znajomymi.

— Czy ma pan jakieś przypuszczenia, kto może stać za tą zbrodnią? Czy Teresa miała wrogów? Kto mógł mieć motyw?

Tomasz pokiwał przecząco głową.

— Każdy ma wrogów. Nie wszyscy nas lubią, tak samo jak my odnosimy się z pewnym dystansem do niektórych osób. Nie przychodzi mi do głowy nikt konkretny.

Kownacki nagle się odwrócił. Po raz pierwszy spojrzał w oczy podejrzanemu.

— Czy śmierć Teresy przyniosła panu jakieś zyski?

— Nic poza smutkiem — oczy Tomasza lekko zabłyśły. Marii wydawało się, że podejrzany zaraz uroni łzę.

— Dziękuję bardzo za rozmowę. Proszę chwilę poczekać — Kownacki wyszedł z pokoju.

Oczom Marii ukazała się tablica. Czysta kartka, która była tam wcześniej, wisiała na tym samym miejscu w nienaruszonym stanie. Tomasz Domagała gapił się teraz na nią i nic nie rozumiał.

Profesor przyszedł do pokoju, gdzie siedziała. Kozielska nadal nie rozumiała, jaki miał zamysł. Nie знаła się na kinetyce. Do tej pory po prostu jej to nie interesowało. Nie podobało się jej samo przesłuchanie, nie przyniosło żadnych rezultatów.

Kownacki usiadł obok Marii. Cofnął film z przesłuchania do początku. Ku jej zdziwieniu większą uwagę skupiał na obrazie z perspektywy podłogi.

Trwało to dłuższą chwilę. Następnie wstał. Popatrzył na nią. Miał takie niebieskie oczy. Magiczne. Zatarł ręce.

— Czas zacząć!

KOMUNIKACJA NIEWERBALNA BYŁA WCIAŻ NIEDOCENIANA we współczesnej kryminalistyce. Paweł Kownacki wiedział o tym najlepiej. Zbyt

wielką wagę przywiązywało się do treści słów, które w rzeczywistości stanowiły jedynie siedem procent ogólnego przesłania. Pozostała część sprowadzała się do uczuć wyrażonych głosem i mimiką. I tym właśnie się zajmował. Już na pierwszym roku studiów wybrał się na wykład z kinetyki. To bardzo ogólne określenie dotyczyło nauki zajmującej się ludzkimi gestami. Zafascynował się tym. Wszystko można wyczytać, zanalizować i wykorzystać.

Wielu ludzi posiadających wiedzę kinetyczną, kinezjetyczną, proksemiczną i prąjęzyczną z łatwością manipulowało innymi. Kownacki wolał pozytywne aspekty tego rzemiosła i w razie potrzeby zawsze chętnie pomagał policji, tworząc własne portrety psychologiczne przestępców, ale również biorąc udział w przesłuchaniach podejrzanych.

Poprosił o zainstalowanie kamery na podłodze. Jej obraz był bardzo ważny. To właśnie dzięki niej było widać wszelkie ruchy świadczące o podenerwowaniu i stresie. Twarz była często wyłącznie tłem. Jeśli nie widział rąk i nóg, obraz był niepełny.

— Zacznijmy jeszcze raz — Kownacki usiadł naprzeciw Tomasza Domagały.

Proksemika jest nauką zajmującą się odległością przestrzenną między ludźmi. Paweł Kownacki wiedział, jak w zależności od strefy bliskości jest w stanie wchodzić w interakcje z przesłuchiwanym. W tej chwili znajdował się w strefie społecznej, która oscylowała pomiędzy odległością 1,22 a 3,6 metra. Przygotował się jednak na możliwość naruszenia strefy osobistej. Strefy intymnej wolał unikać, chyba że sytuacja miała miejsce poza pokojem przesłuchań, a miałyby do czynienia z kobietą.

— Dlaczego pan mnie okłamał? — tym razem patrzył Domagale prosto w oczy.

Są dwa typy człowieka: ekstrawertyk i introwertyk. Ten pierwszy kieruje się intuicją i emocjami. Przeciwnie introwertyk, którego bronią jest rozsądek i logika. Tomasz Domagała był tym drugim, bardzo pewnym siebie. Trudno było go wytrącić z równowagi, stąpał mocno po ziemi. Żeby go złamać, Pawłowi posłużył pewien element — „biała kartka”. Na początku jego kariery był to jedynie eksperyment. Niejednokrotnie korzystał z takiego zestawu. Zwykle faktycznie pisał. Słuchał głosu, jego tonacji, ale zarazem treści. Odwrócony plecami do przesłuchiwanego wypisywał wszystko, co nasuwało mu się na myśl. Dzisiaj

jednak, widząc pewność siebie Domagały, postanowił złamać jego logikę. Udawał, że pisze, a w rzeczywistości symulował. Metoda „białej kartki” miała również drugą stronę. Przesłuchiwany, widząc, że rozmówca go nie widzi, nabierał pewności siebie. Nie dbał o ruchy swoich rąk i nóg, bo wydawało mu się, że po pierwsze są one nieważne, a po drugie nikt ich nie dostrzega.

Nic bardziej mylnego.

Teraz nadszedł etap uzupełnienia tej kartki. Pierwsze pytania były kontrolne. W pewnym sensie niepotrzebne, bo wszystkie dane były w aktach. Pozwoliły jednak Kownackiemu na poznanie podstawowych ruchów. Kolejne po porównaniu z tymi z pierwszej fazy mogły dać znak, że nie wszystko jest w porządku.

Kinetyka. Ukochana kinetyka.

— Zaczynjmy od początku. Powiedział pan, że byliście parą. Wydaje mi się — Kownacki lekko nachylił się nad stołem, wchodząc w strefę osobistą rozmówcy, a jego oczy zamieniły się teraz w czarne punkciki — a raczej jestem przekonany, że czegoś mi pan nie powiedział.

Domagała zmarszczył brwi.

— Byliśmy parą, ale — krótka chwila zawahania — od pewnego czasu zwyczajnie się nam nie układało. Tak bywa.

W odpowiedzi na pierwsze pytania dotyczące ich związku Tomasz Domagała nieumyślnie zniżył głos. Była to oznaka kłamstwa. Intonacja ludzkiego głosu jest często różna i niekoniecznie musi sygnalizować jakieś przekłamania, ale w jego przypadku zmiana była zbyt wyraźna. Wręcz nienaturalna. Kolejnym powodem był ruch dolnych kończyn, które ustawiły się w znak X. Czasem nie zdajemy sobie sprawy, jak nasze ciało przemawia. Trudno nam kontrolować pewne zachowania, tym bardziej kiedy skupiamy się na wypowiedzanym kłamstwie.

Przesłuchiwany znalazł się w potrzasku. Nie pozostało mu nic innego, jak mówić prawdę.

— Proszę mi opowiedzieć o waszym wczorajszym spotkaniu — drążył Kownacki.

— Odwiozłem ją. Napiliśmy się kawy. Poczęstowała mnie herbatnikami. Takimi miodowymi, z rodzynekami. Odjechałem pięć minut przed dziewiętnastą. — Paweł uśmiechnął się pod nosem. Przesłuchiwany mówił zbyt wiele szczegółów, które z zasady powinny nam umknąć. Większość ludzi sądzi, że jeśli poda więcej informacji, wyda się to bardziej sensowne i oddali od nich wszelkie podejrzenia. W rzeczywistości to jedynie oznaka stresu, próba ukrycia czegoś.

— Proszę mi opowiedzieć o waszym wczorajszym spotkaniu — Kownacki nacisnął jeszcze bardziej.

Dostrzegł kątem oka, że jego palec wskazujący znalazł się w zaciśniętej dłoni drugiej ręki. Domagała szukał oparcia. Paweł się ucieszył. Tomasz znalazł się w pułapce i nikt nie był mu w stanie pomóc.

— Teresa miała zły dzień. W drodze powrotnej pokłóciliśmy się. Chciałem jej poprawić humor, ale gdy zobaczyłem, że moje działania nie dają większego rezultatu, wróciłem.

— Dlaczego mnie pan okłamuje? — powtórzył. Był jak lew, który chce się rzucić na zwierzynę.

Spokojnie. Prosto do celu. Profesor czuł się jak ryba w wodzie. Tym bardziej, że próby zatajenia prawdy przez Tomasza były żałosne.

— Sytuacja wymknęła się trochę spod kontroli. Wyżywała się na mnie za swoje niepowodzenia w pracy. Nie wiem, jak to się stało, ale nie wytrzymałem i ją uderzyłem. Wyrzuciła mnie.

Tomasz zakrył twarz. Kownacki już wiedział, że to nie morderca. Są dwa typy przestępców. Ci nikczemni, którzy nic nie czują, a ich postępowanie, zbrodnia, jakiej dokonują, ich nie zmienia, oraz ci, którzy zabijają przez przypadek. Świadomość czynu, którego dokonali, wywołuje w nich skruchę, co prowadzi do przyznania się. Tomasz popełnił wiele błędów, jednak nie był zabójcą. Kownacki znał sprawę tylko z akt, ale skąpe informacje bardzo go zaintrygowały. Spotykał się z morderstwami, ale w tym przypadku stało się coś niespodziewanego.

List.

Paweł był pewny, że zabójca jest gdzieś w pobliżu, krąży wokół nich, oddycha tym samym powietrzem i przygotowuje się do kolejnego ataku. Jaki był

jego cel? Kompromitacja policji? Ukazanie jej słabości? Te propozycje Kownacki raczej odrzucał. Zarys profilu psychologicznego tego człowieka, tworzący się w jego wyobraźni, ukazywał człowieka, który chce pokazać swoją władzę, sprawdzić się.

— A jak to było z przeszłością Teresy? Umieścił pan tę historię w próznie. Ktoś był. Coś zrobił. Jaki był tego faktyczny koniec?

Tomasz zawahał się. Paweł był na szczęście cierpliwą osobą.

— Widzi pan, to smutna historia, ale o szczęśliwym zakończeniu. Po przegranej rozprawie Teresa chciała popełnić samobójstwo i podcięła sobie żyły. Gdy to się jej nie udało, bo dzięki szybkiej interwencji rodziców uratowano jej życie, wciąż była nieszczęśliwa. Uciekła z Warszawy. Rodzice, nie wiedząc, co robić, kupili jej w okolicach dom. Nawet wtedy, gdy staliśmy się parą, wciąż była smutna.

— Czy próbowała targnąć się na swoje życie po raz kolejny?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Czasem o tym rozmawialiśmy. Przerazały mnie jej słowa. Prawdę mówiąc, zdziwiłem się, że przesłuchujecie mnie w roli podejrzanego. Kiedy usłyszałem o jej śmierci, byłem przekonany, że właśnie do tego doszło, że Teresa popełniła samobójstwo — te słowa brzmiały prawdziwie. — Nadal nie rozumiem.

— Przypuszczamy, że popełniono morderstwo.

Zapadła cisza. Tomasz patrzył na białą kartkę.

— Ostatnie pytanie — Kownacki zerknął na zegarek. — Co faktycznie pan zyskał na śmierci Teresy?

Domagała podniósł ręce w geście kapitulacji.

„Przede mną nic się nie ukryje” — pomyślał Kownacki z satysfakcją. Często ryzykował, drażył sprawę, nie znając końca, nie mając pewności, że zmierza w dobrym kierunku. Intuicja rzadko go myliła.

— I tak pewnie dojdziecie do tych dokumentów — Domagała powiedział lekko strapiiony. — Rok temu Teresa poprosiła, abym stał się współwłaścicielem jej

posiadłości. Ten piękny dom był jej skarbem. Od pewnego czasu nawiedzał ją pewien kupiec. Mówiła, że to niebezpieczny człowiek i nie chce, aby ten dom kiedykolwiek, nawet po jej śmierci, został przez niego kupiony. I tak stałem się współwłaścicielem.

— Kim był ten kupiec? — zainteresował się Kownacki.

— Władysław Okulicki. To emerytowany adwokat. Mieszka w okolicy. Jego własnością jest duży tartak obok Dachnowa. Z tego, co wiem, wykupuje wiele domów w okolicy. Tartak przynosi mu wysokie dochody, a te tereny są bardzo cenne. Żeby wyciąć drzewa, potrzeba akceptacji mieszkańców, a oni nigdy się nie zgodzą. To jest ich azyl, w którego poszukiwaniu przyjechali aż tutaj. Najlepszym sposobem jest po prostu wykup domu.

— No nic, dziękuję za rozmowę. Prosilibyśmy, aby został pan chwilę na komendzie. Chcielibyśmy pobrać odciski palców. Poprosimy również o odcisk buta. Proszę nie wyjeżdżać poza granice Polski do czasu wyjaśnienia całej sprawy.

— Oczywiście. Chciałbym zresztą zostać i śledzić postępy w dochodzeniu. Zależy mi na znalezieniu zabójcy. Może się do czegoś przydam.

Kownacki wstał.

— Nie wiem, czy ta informacja jest istotna — Paweł dostrzegł, że Tomasz się zawahał — ale wychodząc od Teresy, minąłem się w drzwiach właśnie z nim.

— Z kim? — Kownacki już wiedział, jak brzmi odpowiedź. Tak jakby nie mógł powiedzieć tego wcześniej.

— Z Okulickim.

Z pamiętnika filozofa

Ta pani. Ma bardzo zły humor. Jakkolwiek to rozumieć. Zabawne, jak nastrój się zmienia. Czasem naprawdę niewiele potrzeba. Jedna wiadomość, jeden gest, a nasze życie obraca się do góry nogami. Tej pani musiało się coś stać. Przecież zwykle przynajmniej zachowywała pozory normalności, siląc się na uśmiech. Warto się do niego zmusić, bo pozwala widzieć świat w całkowicie innych odcieniach.

Ten pan. Nie przyszedł. Chyba jest zajęty. I dobrze. Człowiek zajęty to człowiek zorganizowany. I tak właśnie powinno być. Można mówić, że jest się zmęczonym, że wciąż brakuje czasu na podstawowe rzeczy, które dają nam poczucie spełnienia. Może jednak lepiej, gdy nie ma zbyt wiele czasu? Potem myślimy, umartwiamy się, co nie jest ani ciekawe, ani pożyteczne.

Bieda. Widzisz ją na co dzień. Pani prosząca o pieniądze na chleb wydaje ci się jedynie zgorzkniałą babą, która swoim wyglądem chce wzbudzić litość i wyprosić kilka groszy na trunek, aby w końcu zaprowadził ją na zupełne dno. Ale każdy człowiek, którego widzisz na ulicy, ma swoją historię. Niektórzy to wielcy biznesmeni, banknoty służą im jako papier toaletowy albo chusteczki higieniczne. Są i ci, którym się nie poszczęściło. Zwykle przez przypadek, nieszczęśliwy traf. Jednak to też ludzie. Postaw się na ich miejscu. Choć stereotypy są błędne, łatwiej je przyswajamy, bo wydają nam się bardziej realne.

Zatem jesteś alkoholikiem, śpisz pod mostem, cuchniesz, żyjesz z dnia na dzień, czekając, aż w końcu umrzesz z wycieńczenia lub głodu. Uciekasz przed strażą miejską, która z twojej perspektywy tylko szuka takich jak ty. Siedzisz na ławce. Obserwujesz ludzi, którzy przechodzą jak najdalej od ciebie: akurat zachciało im się rozmawiać przez telefon, akurat nie mają czasu spojrzeć ci w oczy, zapytać, czy wszystko w porządku, czy dobrze się czujesz, czy czegoś nie potrzebujesz. Z czasem się przyzwyczajasz. Kiedy głód nalogu każe ci pić, szukasz jakiegokolwiek źródła procentów. Czasem nawet kradzież. No przecież musisz zaspokoić własne pragnienie! I tak w kółko. I tak cały czas. Upadasz coraz niżej i przez ludzi takich jak my nie masz zwyczajnie szans, aby wyjść z tego z dołka.

Ale może właśnie takie jest życie — egzystujemy na wiecznie poruszającej się sinusoidzie: grzbiet jest bardzo pochyły, łatwo stracić równowagę i upaść niżej.

Siedzę z perspektywą, że nic się dzisiaj ciekawego nie wydarzy. Rutyna, której nie umiem się przeciwstawić, bo to wiąże się z naruszeniem własnych zasad, których historia sięga zamierzchłych czasów. A gdzie miejsce na szaleństwo? Na inne przyjemności? Czy nasze życie nie może się niczym różnić od bytu innych ludzi? Wstaję, bo tak nie można. Wstaję, bo mam wszystkiego dość. Wstaję, bo usycham.

Wspominam, bo to jedyne, co dobre w naszym życiu. Nie umiemy cieszyć się codziennością. Lecę przed siebie. Omijam chmury. Szukam. Przecież wciąż jesteś tak daleko. Przecież wciąż cię nie umiem złapać. Zaczekaj! Rozumiem. Życie jest

zbyt krótkie, żeby chodzić na czworakach. Ale chwileczkę. Chcę ci coś powiedzieć. To wspomnienie jest dla mnie zbyt ważne, żebym pozwolił mu uciec.

Rozdział 9

ZAPADAŁ JUŻ ZMROK. MARZEC RZĄDZIŁ SIĘ WŁASNYMI PRAWAMI. Choć dzisiaj była piękna pogoda, jutro mogło nas czekać gradobicie i gwałtowny spadek temperatury. Marek Kozielski zdążył się przyzwyczaić do tego klimatu.

Praca dziennikarza zawsze była jego wielkim marzeniem. Na studiach często brał udział w warsztatach, aż jego talent został w końcu zauważony. Zaproponowano mu dobrze płatną pracę w głównej siedzibie redakcji gazety codziennej, jednak wymagało to wyjazdu do Warszawy. Ze względu na swoją żonę, z którą się pobrał na ostatnim roku studiów, odrzucił ofertę i przeniósł się do Opaki.

Nie było mu łatwo. Został redaktorem naczelnym oddziału podkarpackiego. Codziennie dojeżdżał do Lubaczowa. Podwładni traktowali go jako zło konieczne. Nigdy nie powiedzieli mu tego wprost, jednak opinia, że dostał tę posadę dzięki ojcu, co nie miało oparcia w faktach, przyłgnęła do niego. Tata faktycznie miał duże wpływy w branży dziennikarskiej, jednak Marek nigdy nie zgodziłby się na załatwienie pracy dzięki znajomościom. Sam nie miał odpowiedniej charyzmy, aby zaprowadzić w redakcji porządek, co stanowiło swoiste przyzwolenie na podobne plotki. Nie miał jednak wyjścia i starał się pracą zdobyć ich zaufanie oraz uznanie.

Od kilku miesięcy jego pozycja była bardzo zagrożona. Ludzie sprzeciwiali się stagnacji, wzrosła konkurencja na rynku, a gazeta nie przynosiła spodziewanych zysków. Rada nadzorcza już kilka razy zbierała się, aby go odwołać, innymi słowy: zdegradować Kozielskiego, ale do tej pory utrzymał posadę.

Do czasu...

Dlatego każdą chwilę spędzał w biurze: redagował nowe teksty oraz szukał kolejnych spraw i afer. Zaniedbywał dom. Nie podzielił się z żoną swoimi obawami. Był jej naprawdę wdzięczny, że znosi jego nocne nieobecności. Wmawiał sobie, że nadrobi ten czas, choć wiedział, że przecież nie w tym rzecz.

Słońce skryło się za wysokimi drzewami. Powoli zapadał zmrok.

Już czas.

Od pewnego czasu dostawał tajemnicze anonimy. Były adresowane wprost do niego. Zaciekawiał się sprawą. Pomyślał, że to jego szansa, aby pozyskać współpracowników, wyrobić markę firmie, a zarazem sobie.

I iść do przodu.

Wstępne rozpoznanie wykazało, że sprawa wiąże się z akcjami antykorupcyjnymi przeprowadzanymi przez CBA. Te działania były utajnione, ale pewne dane niepostrzeżenie wyciekły do opinii publicznej. Rząd szczycił się sukcesami agencji. Marek Kozielski znalazł informacje, że CBA opłaca pewne wysoko postawione osoby. Był to rodzaj korupcji elitarnej. Nazwa ta przyłgnęła do niezgodnej z prawem wymiany pieniędzy na wysokich szczeblach władzy. CBA płaciło w zamian za milczenie. Społeczeństwo nie знаło rzeczywistych efektów ich interwencji. Funkcjonariusze często nadużywali siły — przypadkowe złamanie kończyn i trwałe urazy psychiczne nie mogły wyjść na jaw. Byłaby to klęska „świetnie” pracującego państwowego tworu. Najgorsze było to, że CBA finansuje się z pieniędzy państwowych, czyli to właśnie zwykli podatnicy są obciążani kosztami. Marek domyślał się, że w Polsce opłacono około czterdziestu osób, które w zamian za wysokie wynagrodzenie zachowywały dla siebie informacje o haniebnym zachowaniu funkcjonariuszy podczas akcji.

Szedł powoli. Uważał na każdy krok. Był w lesie. Dosłownie. Gdzieś, gdzie nikt go nie znajdzie, gdzie nie będzie się bał podsłuchu. Zadzwoił telefon. Marek wzdrygnął się. Wibracja przeszła jego ciało.

— Halo! — odebrał.

— Przykro mi, ale muszę odwołać nasze dzisiejsze spotkanie.

Tylko czemu dopiero teraz dzwonisz?!

— Dobrze, czekam na dalsze informacje — był od niego uzależniony.

Nie wiedział, z kim właściwie ma do czynienia. Ten ktoś zapewniał, że chce pomóc, a takie słowa były przez Marka chętnie przyjmowane. Głos po drugiej stronie był modulowany, co uniemożliwiało rozpoznanie. Kozielski chodził po omacku. Musiał zachować dyskrecję, dopóki nie zdobędzie dowodu na to, że taki proceder w CBA faktycznie istnieje.

Zapadł zmrok. Gęsty las sprawiał, że dosłownie nic nie było widać. Marek nie miał latarki, więc przyświecał sobie światłem emitowanym przez komórkę. Dostrzegał jedynie ciemne zarysy konarów. Szedł na oślep, intuicyjnie kierując się na skraj lasu. Ale końca nie było widać. Nagle zdał sobie sprawę, że wie, kto był anonimem, że wie, kto stoi za łapówkami. Serce zaczęło mu bić szybciej. Tak długo na to czekał. To będzie prawdziwa sensacja. Już widział nagłówki w światowej prasie: „Korupcja zatrzymana!”.

Usłyszał szelest.

Ktoś szedł za nim.

Przyśpieszył kroku. Wydawało mu się początkowo, że to jakieś zwierzę.

Do czasu. Usłyszał przyśpieszony oddech. Ktoś był tuż za nim. Biegł. Marek ruszył przed siebie. Ale było już za późno.

Zobaczył przed oczami ciemność.

MARIA WESZŁA DO POKOJU FUNKCJONARIUSZY, a tuż za nią Paweł Kownacki. Była bardzo zdziwiona, widząc efekty jego pracy. Zafascynowała ją jego metoda. Znalazł sposób, by doprowadzić do spadku pewności siebie Tomasza Domagały, i najważniejsze — dowiedział się o sprawach, o których nie można wyczytać z akt. Sam przebieg przesłuchania bardzo ją zaskoczył. Kownacki szczegółowo opowiedział jej o znakach dawanych przez ciało przesłuchiwanego, o gestach świadczących o tym, że Tomasz chce coś ukryć. Wszystkie słabości Domagały wykorzystał po mistrzowsku.

Pokój funkcjonariuszy zmienił się nie do poznania. Stał się centrum dowodzenia. Chromatograf cykliczny nadal wykonywał czynności rozpoznające. W pomieszczeniu znajdowało się siedem osób. Maria zdziwiła się, gdy dostrzegła miejscowego księdza. Był ubrany jak każdy duchowny: czarna sutanna sięgająca do kostek, przy kołnierzyku koloratka. Kozielska nie miała nigdy okazji, aby go bliżej poznać. Ksiądz Jan rezydował w Lubaczowie, był wikarym. Maria miała nieuregulowany stosunek do Kościoła. Jej parafia mieściła się w Opacie, ale i tam rzadko bywała. Otwarcie sprzeciwiała się polityce Kościoła, która wedle jej mniemania prowadziła do wyciągania od wiernych pieniędzy. Rodzice wychowywali ją w duchu katolickim. Własnego syna również starała się przystosować do życia w rodzinie katolickiej, choć przychodziło jej to często z

trudnością. Nie uważała procesu laicyzacji za pozytywny, ale sama swoją postawą go wspierała. Na tych daleko wysuniętych na wschód terenach katolicyzm nie był religią dominującą. Bliskość granicy polsko-ukraińskiej sprawiła, że widoczne były następstwa historycznych podziałów. Było tutaj wielu prawosławnych, a także unitów. Wszyscy jednak odnosili się do siebie z tolerancją i nigdy nie dochodziło do większych sporów na tym gruncie.

Maria zastanawiała się, jaki jest cel wizyty księdza Jana na posterunku. Stał w rogu i rozmawiał z komendantem Głowąłą. Paweł Kownacki podszedł do nich, przywitał się z jej przełożonym i przedstawił mu wyniki przesłuchania. Na projektorze widniał teraz obraz kartki pozostawionej na miejscu zbrodni, najpewniej przez napastnika. Dorota Maj nadal siedziała obok swojego wynalazku w oczekiwaniu na wyniki. Kozielska nie miała jeszcze możliwości jej poznać. Wyglądała na kobietę z wyższych sfer i Maria obawiała się, że taka szara myszka z Opaki jak ona nie znajdzie z nią wspólnych tematów. Czynicki siedział w swojej dyspozytorce. Widziała go przez uchylone drzwi. Reszta czytała, sprawdzała i wypisywała raporty, co było zmorą każdego funkcjonariusza policji. Nie dostrzegła ani Franciszka Aleszkiewicza, szefa zespołu kryminalistów, ani żadnych przyjezdnych z Warszawy.

Kozielska usiadła przy swoim biurku. Widać, że ktoś tutaj sprzątał — sama nie należała do zbyt uporządkowanych. Gdy ostatnio opuszczała posterunek, na biurku leżały kubki, niedokończone raporty, które jak zwykle oddawała z opóźnieniem, oraz zdjęcia jej ukochanej rodziny, w tym czarno-biały portret ojca w mundurze.

Teraz wszystko znikło. Uchyliła szufladę i stwierdziła, że po prostu ktoś tam wszystko wrzucił. Na biurku pozostała jedynie lampka, której żarówka już dawno się wypaliła, a nikt nie miał ani czasu, ani chęci, żeby ją wymienić, oraz plik akt dotyczących sprawy, która spędzała sen z jej oczu.

To była stara historia. Przydzielono ją Marii ponad pięć lat temu. Jej pierwsze własne dochodzenie, może dlatego zabrała się do niego z tak wielkim zapałem i nie chciała się poddać. Przyjechała do nich zrozpaczona matka, która była święcie przekonana, że w okolicy pojawił się pedofil. Komendant zignorował tę wiadomość. Miesiąc później opinią publiczną wstrząsnęła wiadomość o zgwałceniu dziewięcioletniej dziewczynki, która mieszkała pod Miodowem. Nie było żadnych śladów.

Ofiara, Agnieszka Surma, zaniemówiła — nigdy nie powiedziała ani

jednego słowa na temat tego zdarzenia. Maria Kozielska była w kontakcie z innymi posterunkami w okolicy. Okazało się, że w ciągu ostatnich sześciu lat doszło do siedmiu podobnych przypadków. Za każdym razem sytuacja wyglądała tak samo. Dziecko znikало na kilka godzin. Zwykle zostawało odnalezione w miejscu opuszczonym, często na łące, leżące bez ruchu, czekające na ratunek. Żadna z nieletnich ofiar nigdy nie powiedziała słowa, które mogłoby naprowadzić na jakikolwiek trop. Wszystkie te zdarzenia miały miejsce w odległości do czterdziestu kilometrów od Lubaczowa. Od czterech miesięcy Maria nie miała nowych tropów. Pozostało czekać, a właśnie to było najgorsze.

Profesor odszedł od komendanta i usiadł na krześle blisko biurka Kozielskiej. Maria wyczuła jego zapach. Jej mąż, Marek, nigdy nie przywiązywał większej wagi do kosmetyków, Maria wręcz przeciwnie. Można było wyczuć delikatny aromat lawendy oraz jaśminu, raczej nietypowy u mężczyzn. Kownacki wyciągnął notes. Biała kartka szybko zapełniła się małymi literkami, których Kozielska nie mogła dostrzec. Domyśliła się, że robi notatki na temat każdej osoby, która jest w pomieszczeniu. Zerkał, pisał, zerkał, pisał.

Komendant Głowala.

Ksiądz Jan.

Dorota Maj.

Joasia.

Tadek.

Zaraz przyjdzie kolej na nią. Zesztywniała, spłotła ręce. Przecież to oznaka stresu. KOBIE TO! Wyluzuj! Oddychaj spokojnie! Spójrz na siebie. Napisze, że nerwowa z ciebie baba, ale obędzie się bez większego bólu.

— Czy mogę prosić o chwilę uwagi? — uratował ją Głowala. Kownacki w tym momencie przestał pisać. — Ksiądz Jan z parafii w Lubaczowie przechodził w pobliżu i zobaczył znak, który teraz widzimy na ścianie. Dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy. Księżo Janie, czy może pan opowiedzieć o tym wszystkim jeszcze raz? — Głowala zwrócił się w stronę wikarego.

— Jestem tutaj od niedawna. Trzy lata temu przydzielono mnie do waszej parafii — ksiądz Jan miał silny, głęboki głos, ale zachowywał się dziwnie. Poruszał

nerwowo rękami. Gdyby nie młody wiek, Maria powiedziałaaby, że widzi początkowe objawy choroby Parkinsona. Miło się go słuchało, ale ten, kto na niego patrzył, nie potrafił się skupić. — W swoim życiu miałem okazję wiele podróżować, również po krajach arabskich. Byłem wtedy młody, a wszystko, czego się tam uczyłem, było bardzo interesujące.

Komendant Głowala lekko odchrząknął, co było znakiem, żeby ksiądz zaczął się streszczać, tym samym przeszedł do rzeczy.

— Kochani! — Maria uśmiechnęła się pod nosem, bo zabrzmiało to, jakby zwracał się do swoich parafian. — Wiem, skąd pochodzi ten znak. Nie jestem pewien, czy moja wiedza wam w czymś pomoże, ale chyba warto spróbować. Spotkałem się z nim w Egipcie. To kraj, gdzie można oddychać starożytnością. Świat faraonów, wielkich piramid i tajemnic, w tym tajemnych znaków. — Komendant podsunął księdzu krzesło. Widocznie i on nie mógł dłużej znieść jego nerwowych ruchów. Nic to jednak nie pomogło. — Znak, który widzimy na zdjęciu, określany jest nazwą CIS. Prawdę mówiąc, dziwię się, że nikt go nie znał. Tym bardziej że osoba, która zostawiła tę wiadomość, dała państwu podpowiedź. CIS to pierwsze litery wiadomości tekstowej. *Contradictio In Se*. To znak symbolizujący władzę absolutną faraona. Datuje się go na XVII i XVI wiek przed naszą erą. Egipt powstał około roku 3000 przed narodzinami Chrystusa. Mówiąc: Egipt, mam na myśli zjednoczone tereny Górnego i Dolnego Egiptu — wikary się rozejrzał, aby upewnić się, czy funkcjonariusze cokolwiek rozumieją. — Wiek XVII i XVI to czasy drugiego okresu przejściowego. Rządzili wtedy Hyksosi. Egipt był słaby, czasy wielkich faraonów skończyły się wraz z końcem trzeciego tysiąclecia. Szukano następców Cheopsa, Chefrena czy Mykerinosa. Pozostawili po sobie wielkie monumenty symbolizujące ich potęgę, które możemy podziwiać do dziś w postaci piramid. Hyksosi byli w trudnej sytuacji. Wzrost potęgi innych państw w Azji Mniejszej, przegrane bitwy, klęska głodu oraz wieczne problemy z nieuregulowanym Nilem sprawiły, że kapłani zyskali na sile, bo to oni przepowiedzieli złe czasy, a faraonowie nie umieli sobie z nimi poradzić. Kapłani zawsze wiele znaczyli i liczono się z ich zdaniem, jednak okres panowania Hyksosów na stałe uzależnił faraonów od ich woli. Faraon był bogiem na ziemi, czyli królem, należał do niebios, był pośrednikiem pomiędzy poddanymi a panteonem. Kapłani wystawiali boskość faraonów na próbę. I tutaj zaczyna się historia znaku CIS, choć faktycznie powinniśmy mówić o amulecie CIS. „C” to nic innego jak *circle* — koło, które pojawiło się już w 1700 roku. „IS” to egipskie oznaczenie ostrego księżyca — ksiądz Jan spojrział na zdjęcie i wskazał na widniejące tam koło, a następnie ostry księżyc. — Amulet w takim kształcie wręczany był faraonowi. Jako pierwszemu dano go Siliksisowi. Oznaczał próbę,

którą musiał przejść faraon, aby być zaakceptowany przez kapłanów. Chodziło o udowodnienie swej odwagi, siły, sprytu i zdecydowania. Każdy z ostro zakończonych końców księżycy wskazywał kolejny krok. Trzy wykonane próby pozwalały faraonowi wejść do koła, które stanowiło symbol boskiego panteonu.

Ksiądz Jan wyglądał, jakby chciał coś dodać, ale czekał i napawał się ciszą, która zapadła w momencie, kiedy skończył.

— Chyba nadal czegoś nie rozumiem — Paweł Kownacki wstał i podszedł bliżej zdjęcia. — Co łączy nasze dzisiejsze zabójstwo z tym amuletem CIS i po jaką cholere ten łaciński zwrot?

— Oj! — ksiądz spojrzał z wyrzutem na Kownackiego, udając, że żaden brzydki wyraz do niego nie dotarł. — Proszę mi pozwolić wyjaśnić. To może oznaczać bardzo wiele. Możliwe, że zabójca, zabijając panią Teresę, zaczął właśnie pokazywać swoją boskość. W tym przypadku oznacza to, że jeszcze się z nim spotkamy, i to w najbliższym czasie, bo pomiędzy jednym a drugim zabójstwem powinno minąć nie więcej niż czterdzieści osiem godzin. Będzie się wam starał udowodnić waszą nieudolność, wady, ukazać bezsilność policji. Wtedy pozostanie wam jedynie uznać jego boskość — powiedział z trwogą. — Legenda głosi, że faraon musiał na każdej ofierze nakreślić znak amuletu. Zawsze miał to zrobić własną krwią, co było sposobem kapłanów na osłabienie kandydata do tronu. W tym przypadku widzę, że pozostawił wiadomość. Jego krew byłaby niezbitym dowodem, ponieważ policja zna sposoby na jej weryfikację. W czasach starożytnych faraon musiał zabić, musiał sprostać zadaniu i pokazać kapłanom, że jest godnym kandydatem.

— Czy jest szansa, aby przewidzieć kolejny ruch naszego napastnika? — głos komendanta wskazywał na zainteresowanie tematem.

— W starożytnym Egipcie zabójstwa były narzucone przez kapłanów. Każdy wymuszał na kandydacie odpowiednie zachowanie, sprawdzał spryt, siłę i odwagę. Zdecydowanie faraona było kluczem do ostatniej próby, możliwe, że najtrudniejszej — wejścia do koła i stania się władcą Egiptu do końca życia.

— Myślałam, że każdy chciał być faraonem i był to duży przywilej — Maria wydała się zaskoczona słowami księdza. Robert opowiadał jej kiedyś o wielkiej władzy faraona i mówił o tym z takim patosem, jakby sam chciał się stać jednym z nich.

— To prawda, jednak do czasu. W rzeczywistości dopiero za Ramzesa II pozycja faraona nabrała znaczenia. Władcy Egiptu w czasach Hyksosów zwykle nie dożywali trzydziestu lat, często w tajemniczych okolicznościach otruci lub zwyczajnie zasztyletowani. Wejście do kręgu oznaczało, że faraon brał na siebie pełną odpowiedzialność, a było to równoznaczne z przyznaniem, że cokolwiek by się działo, on sobie z tym poradzi. A proszę mi wierzyć, trzeba mieć do tego naprawdę dużą odwagę, na którą stać niewielu.

Nastąpiła chwila przerwy.

— Próbowaliście odczytać napis w innym języku? — wikary spojrzeli z ciekawością na łaciński zwrot.

— Co ma ksiądz na myśli? — zapytał Głowala.

— *Contradictio in se*. Z tego, co wiem, to podstawowy zwrot używany w języku prawniczym. — Maria była zadziwiona rozległą wiedzą księdza. — Mówi się, że to właśnie łacina jest źródłem wielu języków europejskich. Może amulet CIS jest tylko znakiem? Dynastia Hyksosów. To właśnie w okresie jej panowania powstało pismo hieroglificzne. W rzeczywistości to hieroglify były jednym z pierwszych rodzajów pisma, a łacina zwyczajnie je uporządkowała. A gdyby tak spróbować przetłumaczyć ten napis na hieroglify? To starożytne pismo niesłusznie często określane jest jako pismo obrazkowe, to bardziej znaki. W tym przypadku mogą dać jakiś trop, gdzie dojdzie do kolejnego zabójstwa.

Maria popatrzyła po twarzach funkcjonariuszy zgromadzonych w sali. Wszyscy wyglądali na wstrząśniętych sensacyjnymi spostrzeżeniami księdza.

Ona była bliska śmiechu. Hieroglify w całej tej opowieści wydawały się jej jeszcze bardziej absurdalne. Bo niby w jaki sposób obrazki miały wskazać im kolejną ofiarę? Miała coraz większe wątpliwości, czy gdzieś nie znajduje się ukryta kamera, a zaraz wyjdzie ekipa telewizyjna, aby wręczyć jej kwiaty.

Hieroglify. Tylko tego brakowało.

— To by było na tyle. Chyba więcej nie mogę pomóc.

Do sali wszedł Tomasz Domagała. Kiwnął komendantowi, który wskazał mu ręką swój gabinet. Kozielska sama nie wiedziała, co o tym myśleć. Wszystko wskazywało na to, że to dopiero początek, że będą jeszcze kolejne zabójstwa, a oni

nie mieli ani doświadczenia, ani żadnych tropów. Jeżeli zabójca chciał ukazać swoją boskość, to chyba źle dobrał swoich kapłanów.

Chromatograf cykliczny oznajmił, że skończył analizę.

Wreszcie.

Zadzwonił również telefon Marii.

— Słucham?

— Pani Maria Kozielska? — Po drugiej stronie słuchawki usłyszała nieznany jej głos kobiety.

— Tak. O co chodzi?

— Czy może pani przyjechać do szpitala? Pani mąż jest ranny.

Rozdział 10

KAMIŁA TREWOR POCZUŁA SIĘ SAMOTNA. NIE PIERWSZY raz pragnęła zwykłego towarzystwa drugiej osoby. Miała wiele przyjaciółek, które jednak nadawały się jedynie na zakupy, a nie na wieczorne rozmowy przy blasku ognia napełniającego ciepłem salon jej luksusowego domu.

Ciepły dotyk to wszystko, czego w tej chwili potrzebowała. Niech to już nawet będzie ten biedak, Michał Rybak... Ktokolwiek.

Zaczynała się przyzwyczajać. Ona zwyczajnie nie miała uczuć, nie potrafiła zdecydować. Miała wszystko oprócz miłości, ale chyba na własną prośbę. Była tchórzem, bała się zmian.

W swoim życiu miała wielu partnerów. Ze wszystkimi koniec wyglądał tak samo.

— Zrywam z tobą! — z zasady nie była pobłażliwa i nostalgiczna.

Może ta metoda była zbyt prosta, zbyt brutalna, ale ona nie widziała innego wyjścia. Nie tłumaczyła dlaczego, bo chyba sama nie była pewna, w czym tkwi problem. Kiedyś pewien chłopak, Nowak, załamał się po zakończeniu ich związku.

To było tak dawno. Traktował ją podobnie jak Michał Rybak. Była dla niego muzą, światłem i nadzieją. I nagle ten blask zgasł, zniknął w czarnej otchłani. Żałowała, ale dopiero później — zawsze jest tak, że doceniamy coś po fakcie. Uczymy się na błędach, a mimo to nieraz popełniamy je po raz kolejny. Teraz, siedząc w swojej willi i wpatrując się w ogień skrzący w kominku, zastanawiała się, czy ona ma w ogóle uczucia. Powinna się do tego przyznać już dawno i coś w sobie zmienić, bo trwanie w tym chorym systemie sprawiło innym już tak wiele niepotrzebnego bólu.

Co to za różnica? Mógłby przytulić ją ten biedak Nowak, a równie dobrze Michał, podobnie setka innych mężczyzn z jej przeszłości, z którymi kontakt z zasady sprowadzał się do niezobowiązującego seksu. Dla nich byłoby to niebo: trzymać taką kruszynę jak ona, dla niej to było obojętne. Chciała po prostu ciepła drugiej osoby. Czy to tak wiele? Szukała ideału, sądząc, że ona nim właśnie jest. Przeżywała swoje porażki, ale starała się ich nie zauważać.

Położyła się do łóżka. Czowała się obserwowana. Czy to złudzenie? Kto miałby odwagę nachodzić ją o takiej porze?

Niepotrzebnie wariowała.

SPOKÓJ! Otworzyła gazetę. Zatopiła się w lekturze artykułu dotyczącego celowości dofinansowania mammografii, skoro tylko nieduży odsetek kobiet skorzystał z takiej możliwości. Kamila bała się lekarzy. Zdrowie było ważne, lecz podobnie jak większość doceniała je dopiero, gdy było już zbyt późno na prewencyjne leczenie. Ona, ten chodzący ideał, przewlekłe chorowała w młodości. Od czasu, kiedy przeniosła się w te strony, czuła się wyśmienicie.

Nie dochodziło do niej żadne słowo, które czytała. W jej głowie wirowało tysiące niepokładanych myśli, tysiące bezbarwnych wspomnień, również tych związanych z Michałem Rybakiem.

Okno otworzyło się samoczynnie. Do pokoju wleciał zimny wiatr. Przez plecy przeszedł jej dreszcz. Szybko podbiegła do okna i je zamknęła. Wydawało się jej, że poruszyła się jakaś gałąź. Nikogo ani niczego nie dostrzegła. Sprawdziła jeszcze raz, czy wszystkie drzwi są zamknięte, i poszła spać.

Rozdział 11

DŁUGI DZIEŃ PRACY. TYLE SIĘ DZIAŁO, ŻE NAWET NIE miał czasu pomyśleć o tym, co robi. Teraz siedział w swoim niewielkim gabinecie.

Komendant Głowala długo czekał na dzień, w którym będzie mógł pokazać swoje możliwości oraz dowieść, że jest wart o wiele więcej, niż uznano kilkanaście lat temu. Ale wszystko było takie zagmatwane. Robił, co mógł, jednak brakowało mu wyszkolonych ludzi, informacji i jakichkolwiek tropów. Akcją zainteresowała się już stolica. Za kilka godzin do Lubaczowa miała przyjechać prasa i zamiast pracować, będzie musiał uspokajać wszystkich słowami: „sytuacja jest pod kontrolą”. A tak niestety nie było. Jeżeli słowa księdza Jana się sprawdzą, już wkrótce będzie kolejna ofiara. Głowala nawet nie próbował zgadywać, kto nią może być.

Rozmowy z rodzicami Teresy, a następnie Tomaszem Domagałą nie przyniosły żadnych efektów. Wójcik nie miała wrogów ani przyjaciół. Jedyne towarzystwo, w jakim się obracała, to współpracownicy, ale i oni w rozmowie telefonicznej nie potrafili pomóc.

Tropem był Władysław Okulicki. Komendant znał go osobiście, jednak poróżnił ich stosunek do biznesu. Mecenas chciał się wzbogacać, pomnażać majątek bez względu na dobro ludzi. Dla Głowali najważniejsza była praca, od zawsze. To ona przynosiła mu potrzebną satysfakcję. Może właśnie dlatego tak bardzo żałował utraconych szans z przeszłości. Dwanaście lat temu pracował we Wrocławiu. Był komendantem wojewódzkim policji, brał udział w wielu akcjach. Koordynował pracę każdego szeregowca, pozostawał w ścisłym kontakcie z przełożonymi w stolicy. Rzadko bywał w domu, ale nie miał nic przeciwko. Czy było to jego marzenie? Raczej ambicja, chęć udowodnienia sobie czegoś. I wszystko się spaliło, znikło, zmieniło w pył.

To była akcja. Zwykle takimi sprawami zajmują się antyterroryści, ale Głowala uznał, że to jego wielka szansa, że musi ją wykorzystać. Chciał udowodnić, że jest odpowiednim człowiekiem na odpowiednim miejscu. Dostał cynk, że w pewnym nocnym klubie działa szajka dealerów narkotyków. Używki były plagą nie tylko Wrocławia i żadne służby nie potrafiły sobie z tym poradzić. Prasa nieraz opiewała wielkie akcje antynarkotykowe, podczas których aresztowano podejrzanych i zabierano znalezione przy nich narkotyki. Akcja Głowali zakończyła się niestety fiaskiem. Gdy wpadł z policjantami do klubu nocnego, było tam wiele osób. Niedoświadczeni podwładni nie wiedzieli, jak się zachować. Któryś z funkcjonariuszy strzelił. Jedna osoba zginęła, dwie zostały ranne, w dodatku nie znaleziono żadnych narkotyków. Posypały się głowy. „Głowala winny masakrze w nocnym klubie” — krzyczały tabloidy. Został zdegradowany, choć wolałby stracić pracę. Wysłano go do Lubaczowa.

Tam, gdzie zazna spokoju i naprawi swoje błędy...

Po dwóch latach służby w tym spokojnym regionie został mianowany komendantem małej komendy w Lubaczowie. Prasa przestała się nim interesować, ale stolica niezmiennie prowadziła stały nadzór nad poczynaniami Głowali. Nie zdziwił się więc, gdy z samego rana z Warszawy wysłano dyrektywy do podkarpackich filii o wszelką pomoc. Przyjechał przedstawiciel, który miał być obserwatorem. Nietrudno było się domyślić, w jakim celu go przysłano. Do nadzoru nad działaniami komendanta i jako szpieg — kontakt, który będzie przekazywać informacje do centrali.

Głowala bał się, że sytuacja sprzed dwunastu lat się powtórzy. Jego podwładni nie mieli doświadczenia w sprawach zabójstw. Nadawali się do zabezpieczania masowych imprez, ewentualnie do wypisywania mandatów za nieprawidłowo zaparkowany samochód. Nigdy nie mieli możliwości postawić się śmierci. Ostatnie dwanaście lat służby Głowali przeminęło w takim spokoju, że zastanawiał się, czy w podkarpackim słowniku istnieje słowo „przestępstwo”. Dzisiaj stanęli jednak przed wyjątkowo trudnym zadaniem. Komendant miał wrogów, którzy tylko czekali na jego kolejny błąd i sprzeciwiali się pobłażliwemu potraktowaniu z przeszłości.

Podszedł do małej szafki, która stała w rogu jego gabinetu. Wyciągnął mały kieliszek. Następnie długo delectował się zapachem koniaku, który ulatniał się z otwartej butelki Metaxy.

Już tak dawno nie pił, tak długo wytrzymał. Zaczął pić po niefortunnej akcji. Gdyby nie zacisze Lubaczowa oraz wyrozumiała postawa znajomych, pogrążyłby się w nałogu. Mały barek w gabinecie był bardzo rzadko używany — tylko wtedy, gdy nadarzała się specjalna okazja. No ale taka właśnie miała miejsce. Ktoś wyciągnął przeciwko niemu ciężkie działa, a on nie mógł się poddać.

— Panie komendancie — Czynicki wszedł do gabinetu. Kątem oka zerknął na koniak, ale nie skomentował.

Głowala ceniał Czynickiego. Choć często wchodził z nim w spory, lubił jego poczucie humoru i oddanie pracy. Posterunkowy nie miał rodziny i całkowicie poświęcał się policji.

Spojrzał na niego pytająco.

— Chyba mamy problem, panie komendancie. Pamięta pan tę starą skrzynkę na listy? Tak jak rozkazano, codziennie ją sprawdzam. Dostaliśmy pierwszy list od ośmiu lat, a ten list jest zaadresowany do pana — powiedział Czynicki, podając kopertę Głowali.

Komendant wziął nóż do papieru i rozerwał kopertę. Nie wiedział, co oznaczają te słowa, ale był przekonany o jednym — właśnie dostał list od poszukiwanego przestępcy. Najgorsze przypuszczenia się spełniły — będą kolejne ofiary, prędzej czy później.

Głowala przechylił kieliszek i nalał kolejną porcję uśmierzającego ból koniaku.

WSZYSCY BYLI RAZEM. KOZIELSKA, JEJ SYNEK JASIO, mama oraz Marek, który teraz leżał na szpitalnym łóżku i z trochę wymuszonym uśmiechem spoglądał na swoich gości. Napadnięto go, był cały posiniaczony. Miał zabandażowane nadgarstek oraz głowę. Gdy nieznanymi napastnikami, bo Marek nie potrafił powiedzieć, ilu ich było, napadli go, a następnie uciekli, udało mu się zadzwonić na pogotowie. Chwilę później stracił przytomność. Lekarze szukali go bardzo długo, ponieważ informacje o miejscu, gdzie przebywał, były niespójne i niedokładne, a ciemny las nie sprzyjał poszukiwaniom. Większych obrażeń nie było i wyglądało na to, że zostanie tylko na noc, na obserwację, a następnie wróci do domu. Jednak stan zdrowia nie był największym problemem.

Amnezja.

Lekarze powiedzieli, że wstrząs mózgu mógł wywołać krótkotrwałą amnezję wsteczną, która potrwa nawet kilka dni lub tygodni. Marek pamiętał wszystko oprócz ostatniego dnia. Maria nie wiedziała, czym zajmował się jej mąż. Starali się nie rozmawiać o pracy, bo była jedynie zapalnikiem do kłótni i nieporozumień. Dziennikarz i policjantka. To nie był najlepszy dobór zawodów. Kozielska wiedziała, że jej mąż często powstrzymuje się, żeby nie zapytać o sprawy, które mogłyby się stać świetnym tematem na artykuł.

Lata ich młodości już dawno minęły. Maria dobrze pamiętała psychologiczne podejście do małżeństwa, które jej mąż opisał w pewnym wydaniu swojego dziennika. Artykuł nie miał większego odzewu, bo jak sam Marek twierdził, ludzie nie szukają filozoficznych tekstów. Społeczeństwo łąknie plotek i ploteczek o celebrytach, wielkich afer, najlepiej na najwyższych szczeblach polityki. Teksty psychologiczne już dawno straciły swoją wartość i były

zwyczajnie niedostrzegane.

Jednak Maria wciąż miała w pamięci nawet tytuł: „Małżeństwo, czyli staroświecki związek dwojga”. Marek opisał tam trzy fazy związku małżeńskiego. Według niego każdy etap określał pewien umowny okres, różny dla poszczególnych małżeństw. Pierwsza faza była okresem próby, czasem największej radości i obfitego współżycia seksualnego. Kończy się albo rozpoczęciem kolejnego etapu, albo wzajemnym przesytem i wstrętem, co automatycznie przybliżało do rozwodu. Kolejny okres określony został mianem obojętności. Były to jedynie jej domysły, bo nigdy nie mieli okazji szczerze o tym porozmawiać, ale ona właśnie w tym miejscu sytuowała ich związek. Mieli dziecko. Znali się na wylot, ale byli lekko wyczerpani współżyciem i wzajemne oraz wszechobecne znudzenie starali się zastąpić pracą. Jedynym ogniwem łączącym były w tym przypadku dzieci. Bezdietne pary często w tym okresie zobojętnienia przechodziły w stan separacji.

Wedle artykułu jej męża ostatnim etapem małżeństwa jest „spokojna starość”. Dzieci są już dorosłe. Przywilejem emerytów jest możliwość spędzania ze sobą więcej czasu. Nie bez powodu nazywa się ten okres drugą młodością. Konkluzja „Małżeństwa, czyli staroświeckiego związku dwojga” była prosta — lepiej sprawdzają się pary, których nie połączył ślub. Maria przez długi czas zastanawiała się, czy jej mąż żałuje swojego kroku. Nigdy nie zapytała go o to wprost. Zwyczajnie bała się, że odpowiedź będzie pozytywna.

Marek nie mówił jej, czym zajmował się w ostatnich dniach. Była to sprawa, która pochłonęła go w całości, bo rzadko wracał na noc. Jej mąż był człowiekiem z pasją, co zresztą bardzo ceniła. Co prawda wpływało to na więzi rodzinne, a często ich zanik. Marek udowodnił jednak, że może być świetnym ojcem. Poświęcił się dla nich: ze względu na rodzinę przeprowadził się do Opaki, gdzie zdecydowanie trudniej było znaleźć zatrudnienie w jego branży. Tuż po narodzinach Jasia podjął obowiązki ojca, ale kwestia jego miejsca w rodzinie była wciąż sporna. Był pod tym względem dość staromodny. Chciał być idealnym mężczyzną, który zasadzi drzewo, wybuduje dom i spłodzi syna. W rzeczywistości spełniło się tylko jedno — mieli Jasia. Obiecywali sobie, że kiedyś kupią małą działkę i wybudują własny dom, ale na drodze stały problemy finansowe. Marek miał bardzo trudną sytuację w firmie i Maria zdawała sobie z tego sprawę, choć wciąż unikał tego tematu. Duma nie pozwalała mu zaakceptować tego, że to, co mają, było w dużej części prezentem od jej rodziców.

Kozielska spojrzała na matkę, która teraz tuliła Jasia wyrwijącego się do

komputera stojącego na nocnym stoliku. Kochana mama. Była zawsze, cokolwiek by się zdarzyło, służyła pomocą, doradziła i przytuliła. Maria często spierała się z nią. Już po śmierci taty matka otwarcie sprzeciwiła się jej decyzji o wstąpieniu do akademii policyjnej, choć pewnie się domyślała, że nie będzie miało to większego wpływu na decyzję córki. Kozielska wiedziała, że chce jak najlepiej, ale nie była w stanie zmienić pewnych spraw, a praca w policji przynosiła jej ukojenie. Dzięki niej osobiste problemy stawały się mniejsze: miała pewne zadanie do wykonania i nie było czasu na myślenie o przyszłości.

Jasio stukał w klawiaturę. Maria początkowo obawiała się, że jej kochany synek nie będzie umiejętnie korzystał z komputera, a jedynie zabijał czas, grając w gry pełne krwi i przemocy. Zdziwiła się, była z niego dumna. Jeśli wierzyć opiniom nauczycieli, Jasio przejawiał duże zdolności programistyczne, mówiąc potocznie: znał się na rzeczy. Podczas sprzątania jego pokoju widziała niezliczone gazety dotyczące informatyki. Myślała, że to chwilowa fascynacja i po chwili minie. Nie miała jednak nic przeciwko, aby jego kieszonkowe było przeznaczane właśnie na takie publikacje, a nie słodczyce.

Marek już zasnął. Na jego twarzy widać było udrękę. Chciał usilnie przypomnieć sobie, co właściwie się stało, a miał w głowie tylko pustkę. Maria chciałaby nie pamiętać pewnych rzeczy. Często zastanawiała się, jak by to było wstać pewnego dnia z poczuciem, że w życiu przydarzyły się tylko piękne rzeczy, a o tych złych po prostu nie pamiętać.

Przecież tyle się wydarzyło.

Zamknęła oczy. Nie czuła się wystarczająco silna, aby sprostać nowej sprawie, a miała świadomość, że tego się właśnie od niej oczekuje. Ale przecież od dawna chciała pokazać własne możliwości. Tężyzna fizyczna była jej słabą stroną. W torebce zawsze nosiła mały inhalator, który na szczęście już od dawna nie był używany. Jak była mała, miała problemy astmatyczne i choć z wiekiem dolegliwości przeminęły, pamiętała swoje kłopoty na egzaminach sprawnościowych w akademii policyjnej. Wtedy inhalator był bardzo potrzebny. Jednak Maria była świadoma swoich dobrych stron. Miała pamięć i umiejętność korzystania z niej. Mogło to się wydać prozaiczne, ale prawdziwą zaletą było korzystanie z własnych doświadczeń, bo przecież najlepiej uczy się na swoich błędach.

Spojrzała na swoje notatki i translację zwrotu *contradictio in se* w języku hieroglificznym. Nic jej to niestety nie mówiło. Skoro to mogła być wskazówka,

kim jest poszukiwany lub poszukiwana, to jak ją odczytać?



Contradictio in se.

Z pamiętnika filozofa

Ta pani. Zrobiła sobie przerwę — nie przyszła. I znów siedzę sam. I znów myślę o tobie. I znów wzdycham do chwil szczęścia, które niestety są bardzo ulotne. No i to zmęczenie, cholerne zmęczenie. Tkwisz w jednym miejscu, nie masz powodu do płaczu, a jednak łzy to jedyne, na co cię w tej chwili stać. Myślę o tobie — wolności! Myślę o tobie — spokoju! Zejdź na ziemię! JUŻ! Spokojnie...

Ten pan. Taki ucieszony. Nad wyraz spokojny, bardzo pewny siebie. Mówi, że interes się kręci. Biedak — oszukuje się, że tak będzie zawsze. Niech jednak marzy, choć przyszłość zweryfikuje, czy świat to miejsce dla optymistów. Ale w końcu trzeba w coś wierzyć, bo brak wiary zabija. Powoli.

Choroba. Zwykle dotyka człowieka w najmniej spodziewanym momencie. Ale nic nie poradzisz. Nic nie zdziałasz, ciągle użalając się nad swoją kiepską formą. Czasem tak jest, że nic się nie układa. Na pewne sprawy zwyczajnie nie ma się wpływu, ale zdrowie jest tylko jedno. Choroba niszczy zdrowie. Kreska zużycia baterii się zmniejsza. Ładowarką jest jedynie profilaktyka. A kochana nauczycielka uczyła. P-R-O-F-I-L-A-K-T-Y-K-A — wciąż literowała to skomplikowane słowo.

Ciągle to samo. Myślę o niej. Może to dziwne, ale choć pewne rzeczy są złe, wraca się do nich. Człowiek nie umie współgrać z nastrojem. Dwie odrębne ścieżki, które tylko czasem biegną równolegle. Słońce zachodzi. Nie lubię ciemności. Wtedy jestem taki samotny. Chciałbym czuć ciepło dotyku drugiej osoby, a pozostaje mi jedynie świadomość zimnych czterech ścian, które w koszmarach zbliżają się nieubłaganie, zaciskając się wokół mnie.

Ja chcę oddychać! Mamo, tato, siostró, bracie! Ja chcę latać pod niebiosa, jeść marchewkę, rznąć siekierą spróchniałe prosa. Chcę wolności, przygód — ŻADNYCH barier. Mówię: żegnaj, idę prosto, nie zatrzymuj mnie, nie zatrzymasz, wiem, co mi wolno.

Jestem wstrętem, który śmierdzi... cuchnie, wabi i powabia i co rzadkie — wstrętem kęsa, sama żądza.

No i ty — nikczemna paskuda niczego sobie. Czytasz teraz coś, co tylko dla pijanego może pretendować do rangi książki, i zastanawiasz się, jaki jest cel marnotrawienia tuszu w tym miejscu.

Zastanawiaj się dalej.

Rozdział 12

RYTUAŁ ROZPOCZĘTY. NA RAZIE WSZYSTKO W NAJLEPSZYM PORZĄDKU. Policja — tak jak myślał — daleko w lesie. A on wciąż tak, jak plan wskazywał. Plan był przepustką do samoistnienia — od zawsze. Pozwalał uporządkować jego życie. Zaoszczędził czas, dzięki czemu możliwa była terażniejszość.

Teraz kolejny przystanek. Tym razem będzie trudniej, ale też sobie poradzi. Przecież jest taki silny, taki odważny. Schował się za drzewem, aby nikt go nie zobaczył. Dostrzegł jej powabne kształty. Zdjęła bluzkę. Człowiek jest taki odważny, gdy nikt go nie widzi. Człowiek nie lubi być obserwowany — gdy tylko ma tego świadomość, staje się spięty, chowa uczucia, które okazuje dopiero sam na sam ze sobą.

Stała przed lustrem. Widział dokładnie każdy naprężony mięsień. Jej włosy delikatnie opadły na nagie plecy. Wszyscy tutaj skrywali jakieś tajemnice. Pokazywali swoją maskę. Weronika Stępień. Przecież ona mogła mieć wszystko. Na tej swojej wojnie. Taki paradoks. Choć to brzmi strasznie — tam naprawdę można się dorobić, tam naprawdę można zginąć.

A Weronika Stępień nie jest na wojnie, ale i tak zginie.

Jutro.

Część II

Środa, 13 marca

Odwaga to cnota, którą mierzy się krokami ryzyka.

Rozdział 13

COMMIPHORA ABYSSINICA. MARIA SŁYSZAŁA o tej substancji. Pamiętała ją z lekcji biologii, jednak nie była w stanie przypomnieć sobie jej pochodzenia. Patrzyła na dane z chromatografu cyklicznego. Wynalazek Doroty Maj przyniósł wiele odpowiedzi. Nieduża kartka zawierała przede wszystkim substancje typowe. Chromatograf rozróżnił ślady tuszu i sam papier. Wszystko pasowało do ogólnie przyjętego wzorca. Wszystko oprócz *Commiphora abyssinica*. Spojrzała na skserowane zapiski Doroty. Twierdziła ona, że to substancja stała występująca w drzewach. Właśnie próbowali ustalić, czy również na tych terenach. Mogło to potrwać dłuższą chwilę.

Commiphora abyssinica. W przeszłości, na studiach biologicznych, Maria miała do czynienia z setkami mniej lub bardziej znanych substancji. Gdy po dwóch latach spędzonych na uczelni zrezygnowała i poszła do akademii policyjnej, biologia znikła z jej świata. Chociaż nadal fascynowała się pewnymi jej aspektami, nie miała czasu na rozwijanie zainteresowań.

Kolejny dzień. Tym razem przywitała ją brzydka pogoda. Ponuro. Padał lekki deszczyk, ale wystarczyło, żeby zrobiło się chłodno. Znów było wcześniej. Noc spędziła w szpitalu, rano odwiozła Jasia i położyła go do łóżka. Sama jedynie się przebrała i właśnie jechała z powrotem do komendy.

Przed wejściem stał Czynicki. Wczoraj wieczorem zadzwonił do Marii Paweł Kownacki. Pytał o stan zdrowia jej męża. Powiedział, że doszła kolejna zaszyfrowana wiadomość, możliwe, że od poszukiwanego przestępcy. Nie знаła dokładnej treści. Wszystko wskazywało na to, że napastnik zwyczajnie zaprasza komendanta do gry na jego zasadach. Widząc Czynickiego, Kozielska domyśliła się, że został przydzielony, by czekać przy skrzynce na listy na wypadek, gdyby zabójca chciał przekazać coś jeszcze. Podłe zadanie. Biedny Czynicki. Mrugnęła do niego z uśmiechem. On był w gorszym humorze — zapewne stał tutaj całą noc.

Weszła do środka, kiwnęła na przywitanie kolegom. Udała się prosto do piwnic. Była bardzo ciekawa, co się wydarzy. Usiadła naprzeciw małego monitora i z satysfakcją spostrzegła, że Okulicki jest już na miejscu. Przypomniała sobie słowa Kownackiego z poprzedniego dnia: „Ludzie dzielą się na introwertyków oraz ekstrawertyków”. Okulicki był typem introwertyka. Maria nie miała żadnych wątpliwości. Mecenas zapewne niejednokrotnie uczestniczył w przesłuchaniach

jako obrońca i ta rozmowa na pewno nie będzie równie przyjemna. Czy to Okulicki mógł stać za zabójstwem? Był silnie zbudowany. Podstarzały, ale raczej dbał o zdrowie. Znany był ze społecznej aktywności, miał wiele kontaktów i kolorową przeszłość. Wszyscy jedli mu z ręki i zawsze miał to, czego chciał. A jeśli Teresa faktycznie nie chciała mu odsprzedać domu? Maria uważała się za odważną, ale mogła wyobrazić sobie trud negocjacji z tym emerytowanym adwokatem.

Było jeszcze wcześniej. Okulicki został wyciągnięty z łóżka, a jego mina była dowodem na to, że nie do końca mu się to podoba.

— Alladyn?! — przywitał Pawła Kownackiego, który wszedł do środka. Profesor zerknął na kamerę. Nie świeciła się jeszcze zielona dioda oznaczająca nagrywanie, ale Maria miała możliwość oglądania obrazu.

Zatem Paweł znał się z Okulickim. Podali sobie ręce, wymienili grzecznościami. Kownacki prezentował się tego dnia zabójczo przystojnie. Marii zaczęło bić mocniej serce. **USPOKÓJ SIĘ, KOBIE TO!** Masz kochanego męża i syna. Nic ci więcej nie potrzeba. Wzięło ci się na starość na amory.

No i się zaczęło. Profesor postawił tablicę. Czyżby znowu „biała kartka”? Mecenas wyglądał na niewzruszonego. Maria nie była do końca pewna, czy skoro Kownacki zna się z Okulickim, powinien go przesłuchiwać. Z drugiej strony ona nie była w stanie tego zrobić.

— Jak się pan nazywa? — rozmowa miała swój schemat.

— Władysław Hilary Okulicki.

— Gdzie pan mieszka? — Kownacki znowu się odwrócił w stronę tablicy i zaczął zapisywać słowa na „białej kartce”. Maria była ciekawa, czy to tylko symulacja, czy tym razem faktycznie coś pisze.

— W lesie. Ulica, którą dojeżdżam, nie ma nazwy i żeby zapobiec kolejnemu pytaniu dodam, że dom znajduje się w odległości około pięciu kilometrów na zachód od Dachnowa.

Zwykle nadmiar słów był oznaką stresu, tak przynajmniej mówił Kownacki wczoraj. W tym przypadku Maria doszła do wniosku, że żadna zasada nie ma większego sensu, bo Okulicki wie, co robi, i nie da się łatwo złapać. Siedział pewny siebie, z rękami założonymi na wysokości piersi. Patrzył prosto przed siebie

na plecy Kownackiego i Maria nie była w stanie dostrzec żadnego zakłopotania związanego z niewiedzą, co Paweł pisze na swojej „białej kartce”.

— Od jak dawna pan tutaj mieszka? Mówiąc „tutaj”, mam na myśli tereny podkarpackie.

— Od pięciu lat.

Chwila pauzy.

— A co pana tutaj sprowadziło? — zapytał Kownacki z lekkim dystansem i przekąsem. Maria miała wrażenie, że profesor dobrze zna prawdę.

— Sprawy prywatne — oschłość była chyba drugim imieniem Okulickiego.

— Czym się pan zajmuje na co dzień?

— Jestem na prawniczej emeryturze. Dodatkowo mam udziały w miejscowym tartaku.

— Czy znał pan Teresę Wójcik?

— Tak. W pewnym sensie jest moją sąsiadką — Okulicki splótł ręce. Oznaka stresu?

— Czy widział się pan z Teresą w poniedziałek?

— Tak. Bardzo krótko. Około siódmej — odpowiadał bez wahania.

— W jakiej sprawie? — Kownacki znowu coś zanotował.

— Chcemy poszerzyć zasięg naszego tartaku, a wykup jej domu zdecydowanie by nas do tego przybliżył.

— Jaka była odpowiedź?

— Negatywna — w głosie Okulickiego można było wyczuć obojętność. — Powiedziała, że nie pozwoli na sprzedaż domu. Oznajmiła mi, że Tomasz Domagała stał się współwłaścicielem.

Paweł Kownacki wyciągnął z kieszeni kopię listu, który dostali od zabójcy. Rzucił ją na stół, wciąż nie pozwalając Okulickiemu na zerknięcie na jego „białą kartę”.

— Czy wie pan, co oznacza ten symbol?

Maria ujrzała na twarzy mecenasa zainteresowanie, chyba po raz pierwszy od początku przesłuchania. Zagarnął kartkę i przybliżył ją do siebie. Kozielskiej wydawało się, że specjalnie trochę przedłuży ciszę, ale dobrze wie, co to za znak. Lekko przechylił kartkę w prawą stronę.

— To niewątpliwie znak CIS. Symbol władzy dynastii hyksoskiej w Egipcie. A ten napis... Niech zgadnę. Sprzeczność sama w sobie?

Kownacki lekko się poruszył.

— Skąd taka pewność?

— Należałem do bractwa Franga — Okulicki wzruszył ramionami. — To grupa pasjonatów starożytności. A łacina? Proszę mnie nie obrażać. Jestem prawnikiem starej daty, a kiedyś łacina była przedmiotem podstawowym tej katedry.

— Alibi?

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Codziennie wieczorem siadam przed telewizorem. W okolicy nie ma nikogo, kto mógłby zakłócać mój spokój. Zarazem nie ma osoby, która może to potwierdzić.

— I jeszcze ostatnie pytanie. Pana sąsiedzi. Z moich danych wynika, że funkcjonariusze nie znaleźli nikogo w pozostałych trzech domach.

Okulicki z uśmiechem zerknął na plecy Kownackiego.

— Wszystkie te domy są moje. Kupiłem je i zapewne niedługo to samo stanie się z domem Teresy Wójcik. Niech Bóg ma ją w swojej opiece.

Uśmiech mecenasa wydawał się Marii zupełnie nie na miejscu.

— To chyba tyle. Proszę chwilę poczekać.

Kownacki przeszedł do pokoju, gdzie siedziała Maria, odsłaniając „białą kartkę”. Tym razem coś było napisane. Pojedyncze słowa. Jedno pod drugim.

Pycha.

Egoizm.

Tajemnica.

Interesowność.

Wiedza.

KŁAMSTWO.

HOMINIS EST ERRARE, INSIPIENTIS IN ERRORE PERSEVERARE. Tak właśnie brzmiała wiadomość pozostawiona w skrzynce na listy. Głowala nie miał już złudzeń. Mieli do czynienia z seryjnym zabójcą, który wciąż był w okolicy i już pewnie czyhał na kolejną ofiarę. Zgodnie ze słowami księdza kolejne zabójstwo powinno nastąpić najpóźniej czterdzieści osiem godzin po poprzednim, czyli dzisiejszego wieczoru. Komendant spojrział na zegar — było już po siódmej. Na liście od domniemanego zabójcy nie wykryto żadnych pomocnych śladów. Chromatograf cykliczny po raz kolejny znalazł tajemniczą substancję: *Commiphora abyssinica*. Łacińskie słowa były wydrukowane tym samym tuszem po-pularnej drukarki laserowej. Była to jednak ważna poszlaka, bo każda drukarka zostawia swoisty kod, inny dla każdego sprzętu tego typu. Kiedy zabójca zostanie odnaleziony, jego urządzenie mogło stać się ważnym dowodem.

Czynicki dyżurował przy skrzynce na listy. Wszelka korespondencja zawsze przychodziła wprost do biura komendanta i dostawał ją z rąk listonosza. Skrzynka na listy nie była używana od kilku lat, a jednak Czynicki codziennie sprawdzał zawartość. Nie wiadomo, jak długo koperta się tam znajdowała. Może od rana, może od południa. Przynieść mógł ją każdy, bez obaw, że ktokolwiek go dostrzeże.

Hominis est errare, insipientis in errore perseverare. Komendant nie miał słów, gdy dowiedział się, co to właściwie oznacza. „Rzeczą ludzką jest błądzić,

rzeczą głupców jest trwać w błędzie”. Czy to kpina? Czy poszukiwany faktycznie uważał policjantów za głupców? Głowala nigdy nie przejmował się nauką. Unikał wszelkiej filozofii. Wolał grać silnego szeryfa, który stoi na straży prawa i jest bezwzględny wobec przeciwników. Wszelkie intelektualne i psychologiczne gry — mówiąc łagodnie — nie odpowiadały mu. Wolał posłużyć się swoim pistoletem.

I po sprawie.

Głowala zmartwił się. Już sam list ze znakiem CIS, bliżej nikomu nieznanym, pozostawiony na miejscu zbrodni, nie był dobrą zapowiedzią na przyszłość.

Komendant chciał za wszelką cenę dopaść tego, kto zabił Teresę Wójcik. Obiecał to jej rodzicom. Zamożnym starszkom, którzy nadal nie byli w stanie pogodzić się ze śmiercią swojej jedynej córki. Zapewnił ochronę Tomaszowi Domagale, który mógł zostać kolejną ofiarą. Takie przypuszczenia nie były bezpodstawne. Jeżeli motywem był zakup domu, a raczej brak zgody na takie działanie, to narzeczony Teresy mógł się stać kolejnym celem. Właśnie przesłuchiowano Władysława Okulickiego. Komendant miał wiele nadziei: adwokat miał motyw, nie miał alibi.

Głowala bardzo cenił pracę Pawła Kownackiego oraz Doroty Maj. Bez nich trudno byłoby dotrzeć do informacji, które teraz już mieli. Również grupa kryminalistów pozostała w okolicy na wypadek kolejnej tajemniczej śmierci, bo nikt się już nie oszukiwał, że to był jednorazowy wypadek.

Wybrał numer telefonu. Łapał się brzytwy.

— Szczęść Boże, księżu Janie! Chcielibyśmy poprosić o pomoc. Zrobiliśmy translację hieroglificzną, jednak brakuje nam znaczenia symbolicznego. Czy mógłby nam ksiądz pomóc jeszcze raz?

Rozdział 14

MARIA PO RAZ KOLEJNY BYŁA W SZOKU. Kownacki zagrał idealnie w tę grę. Wielki Okulicki stał się maleńkim kundlem, który prosi o łaskę.

— Jak?! — nadal nie mogła zrozumieć, co się stało. Na szczęście tuż obok niej stał profesor, który był rad odpowiadać jej na wszystkie pytania.

Nie dowiedzieli się niczego, co mogłoby potwierdzić przypuszczenie, że to właśnie Okulicki zabił Teresę Wójcik. Wyszło jednak na jaw wiele spraw, które pokazały mecenasa w innym świetle.

— Człowiek jest książką — zaczął wyjaśniać Kownacki. — Żeby zrozumieć całość, trzeba zacząć od prologu. Tę pierwszą część tworzą najważniejsze dane: imię, nazwisko, miejsce zamieszkania. Tej fazy nie można pominąć, bo pozwala poznać, jakie jest zachowanie w bezstresowej sytuacji, a cała reszta jest już porównaniem reakcji. I tutaj właśnie włączają się didaskalia. Dramat bez informacji dodatkowych nie byłby opowieścią kompletną. Tak samo jest z człowiekiem. Same słowa nie wystarczają do oceny sytuacji. Trzeba zsumować gesty, ton głosu, mimikę twarzy. Dopiero wtedy mamy do czynienia z pełnowartościową książką.

— Ale w jaki sposób udało ci się odczytać tę — postanowiła posłużyć się jego porównaniem — książkę?

Paweł uśmiechnął się.

— Przesłuchanie składa się z czterech części. Każda z nich jest spójna z innym nastrojem przesłuchiwanego. Było to świetnie widać w przypadku Tomasza Domagały. Okulicki jest nietypowym przypadkiem i trudno to dostrzec, bo stosował obronę. Te cztery fazy to złość, depresja, zaprzeczenie i targowanie się.

Maria nie do końca rozumiała słowa przystojnego profesora. Brzmiało to mądrze, ale jak dla niej — za mądrze. Co chwilę delikatnie przyglądała włosy. Żałowała, że rano nie pomyślała o użyciu lokówki. Obok niej stał młody profesor, nienagannie ubrany, z równo przyciętymi włosami i oczami, w których odbijał się błękit nieba.

— Targowanie się — powtórzyła. — Nie widziałam u Domagały żadnego zachowania, które mogłoby świadczyć o targowaniu się.

— Naprawdę? — Kownacki uśmiechnął się jeszcze szerzej. — A jak inaczej wyjaśnić powód, dla którego z wściekłego podejrzanego zmienił się w baranka, który chce zostać w komendzie i brać czynny udział w dochodzeniu?

Wszystko było takie proste.

— A jak złamałeś obojętność Okulickiego? — Już wczoraj przeszli na ty,

bo tak było zwyczajnie łatwiej.

— I tym razem posłużyłem się metodą „białej kartki”. Okulicki to typowy introwertyk. Wypisałem słowa, które wyczytałem z tonacji jego głosu. „Pycha” to była pierwsza rzecz, jaka mi przyszła do głowy, gdy usłyszałem, jak wypowiada swoje nazwisko. Mówił dobitnie, jak król, władca, z nieskrywaną wyższością. Potem „egoizm”. To, co wyznał o swoim przyjeździe tutaj, było powiedziane lekko podwyższonym głosem. Można było odczuć, że przybył tutaj, nie zważając na uczucia innych, dbał tylko o własne sprawy. Jestem przekonany, że to nie kwestie osobiste kryją się za jego historią.

Maria była wstrząśnięta tym, co usłyszała od Okulickiego. Kownacki nie dał mu wyboru, lekko podpuścił, a mecenas dopiero po fakcie uświadomił sobie to, co powiedział. Okazało się, że to nie porachunki z mafią stoją za jego przyjazdem. Opowiedział o Grzegorz Szwenku, chłopaku o wielkich ambicjach, studencie Uniwersytetu Warszawskiego. Był omijany przez ludzi, bo sam ich unikał. Otaczał się grupą „wiernych”. Głosił pewną ideologię i znalazł towarzystwo, które zaczęło ją popierać. Na egzaminach miał najwyższe wyniki, może dlatego nauczyciele bardzo go lubili. Jego znajomych określano jako sektę, co automatycznie wzbudziło zainteresowanie policji. Wśród nich znalazł się szpieg, który nagrał ceremonię przysięgi. Było to „krwiste przywitanie” nowego członka. Podcinano delikatnie przeguby nadgarstków. Rytuał był bezpieczny, jednak obserwowany przez osoby trzecie sprawiał wrażenie ponurego widowiska. Oskarżono Szwenka o namawianie do samobójstwa, ponieważ policja nie była w stanie znaleźć innego haczyka. Student stanął przed sądem, a jego obrońcą został właśnie Władysław Okulicki. Polubili się. Ich linia obrony była bardzo stabilna i podparta dowodami. Sąd jednak nie przyjął argumentów oskarżonego. Adwokat bez zgody Grzegorza doprowadził do ugody. Odbyla się jego rozmowa z psychiatrą, a filozofowanie i nadmierna pasja studenta ułatwiły decyzję lekarza. Szwenk został uznany za niepoczytalnego psychicznie i zamknięty w zakładzie psychiatrycznym.

Szpital jednak nie poprawiał jego stanu. Grzegorz Szwenk napisał dwie książki, które szybko zyskały uznanie krytyków. Wnikliwi dopatryli się wzgardy wobec trzeciej władzy. Szwenk zgromadził wokół siebie niewielką grupę „podwładnych”. Sytuacja była o tyle specyficzna, że chodziło o pacjentów oddziału. Lekarze pracujący w szpitalu donosili o jego rozmowach w cztery oczy z innymi chorymi. Zaczęło dochodzić do buntów, ale nie było dowodów na to, że stoi za nimi właśnie Grzegorz. Student czuł się oszukany przez Władysława Okulickiego. Zaczął wysyłać do niego listy. Psycholodzy dostrzegli w nich niesamowitą wiarę w mecenasa. Szwenk był zakochany w jego mądrości. Z drugiej

strony wyrzucał mu egoizm, działanie zmierzające jedynie do zaspokojenia własnych pragnień. Na pierwszy plan wysuwało się niezrozumienie, w jaki sposób mógł się znaleźć za bramą szpitala psychiatrycznego. Gdy Okulicki pokazał korespondencję policji, wyśmiano go. Nie było żadnych przesłanek do tego, żeby uważać, że mecenasowi grozi jakiekolwiek niebezpieczeństwo. W listach nie było gróźb, jedynie fantazje — jakby to było, gdyby kto inny bronił Szwenka w sądzie, jakby to było, gdyby Okulickiego nie było na tym świecie. To również było niebezpieczne.

Listy zaczęły przychodzić coraz częściej. Poczucie winy nie pozwalało Okulickiemu na kontynuowanie pracy. Po osiągnięciu sześćdziesięciu lat przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Sprawa Grzegorza Szwenka nie była bliżej znana prasie, dzięki czemu adwokat odchodził w blasku chwały. Odłożone pieniądze przeznaczył na podkarpacki tartak i właśnie na tych terenach się osiedlił, zapominając tym samym o przeszłości.

Była to historia człowieka psychicznie chorego, który wzbudził w Okulickim permanentne poczucie strachu, paraliżujące jego pracę i niepozwalające zaznać spokoju.

— Potem kwestia interesowności — kontynuował Kownacki. Maria patrzyła na niego z uwielbieniem. — Należałoby odwiedzić ten tartak, może nawet przeszukać dom Okulickiego, a raczej siedem domów — Paweł wskazał na listę kilku mieszkań, którą otrzymał od mecenasa. — To są wielkie pieniądze. Jeżeli wierzyć jego słowom, kupił je za cenę większą, niż były warte. No i dziewięć kolejnych potencjalnych celów. Wydaje mi się, że trzeba przedzwonić do tych osób. Nie umiem powiedzieć, czy Okulicki byłby w stanie zabić, aby osiągnąć zamierzony cel, bo umie się dobrze kryć. Ale jest to człowiek władzy, może wszystko. I to niekoniecznie on musi zabijać, może zwyczajnie wydawać dyspozycje, do czego trudno będzie nam dojść.

— Ale jednak przezwyciężyłeś jego opór — Kozielska zganiła się w myślach. Powinna zachować profesjonalizm.

Paweł lekko się zaczerwienił. Kozielska dostrzegła, że wyrównuje nienagannie czysty kołnierzyk oraz mankiety. Z uśmiechem kontynuował swój wykład.

— KŁAMSTWO. Każdy się wkurza, kiedy nazywa się go kłamcą. To określenie negatywne. Ludzie często używają niedopowiedzeń. Jak dla mnie jest to

zwyczajna odmiana kłamstwa. Tak właśnie postąpił Okulicki. Mecenas ma naprawdę dużą wiedzę o starożytności, a byłem przekonany, że czegoś mi nie powiedział, że czegoś nie chciał mi powiedzieć.

No i Paweł miał rację. Znowu ta historia. Maria unikała nudy, a właśnie z tym kojarzyła się jej ta nauka. Ostatnie dni oraz dłuższe przebywanie z Robertem uświadamiały jej, że i w niej pewne aspekty mogą być ciekawe, a wiedza może być kluczem do rozwiązania zagadki.

Okulicki rzeczywiście miał rozległą wiedzę, lecz omówił symbol CIS i łaciński zwrot zgoła odmiennie niż ksiądz. Maria domyślała się, że Kownacki umyślnie nie powiedział o analizie wikarego Jana i pozwolił na swobodną burzę mózgów.

Powtórzyła się bajeczka o Hyksosach i drodze faraonów do władzy. Okulicki wspomniał o czterech zdolnościach, jakimi musi się wykazać kandydat. Mecenas podał jednak inną drogę interpretacji łacińskiego zwrotu.

Contradictio in se.

Wedle jego wiedzy odnosiło się to wprost do znaku CIS. Sprzeczność w języku łacińskim oznaczała nie zaprzeczenie, ale odwrotność.

— *Contradictio in se* w dzisiejszym języku prawa jest rozumiane jako sprzeczność sama w sobie. Ma to zastosowanie na sali sądowej — nie bierze się pod uwagę faktów, które ze względu na merytorykę lub sposób przedstawienia są niezasadne — mówił Okulicki podczas przesłuchania. — W starożytności miało to jednak inne znaczenie. *Contradictio* równało się odwrotności.

Zgodnie z tą teorią uznał, że jest to wskazówka. Odwrócony znak CIS miał całkowicie inne znaczenie, może jeszcze bardziej zatrważające. Jego odwrotność była określana nazwą EL. Od tego symbolu pochodziło łacińskie słowo *exitus letalis*, czyli śmierć.

Nie było wiele tropów. Od śmierci minęło już trzydzieści sześć godzin, a nadal nie mieli pojęcia, w jaki sposób można zaleźć zabójcę. Udało się ustalić, że Teresa Wójcik została przywieziona z pracy przez Tomasza Domagałę około osiemnastej. Pomiędzy dwójką zakochanych doszło do sprzeczki. Domagała uderzył ją, co tłumaczyło siniaki znalezione na ciele ofiary, ale zarazem wykluczało użycie przemocy bezpośredniej kilka godzin później, kiedy do żył

Teresy zastała wstrzyknięta śmiertelna mieszanina leków uspokajających.

Tomasz Domagała, wychodząc o dziewiętnastej, minął się w drzwiach z Władysławem Okulickim. Wójcik nie chciała się zgodzić na sprzedaż domu. Specjalnie zabezpieczyła własny dobytek, czyniąc Domagałę współwłaścicielem. Obydwaj przesłuchani mieli motyw. Tomasz posprzeczał się z ofiarą, a ślady pobicia były najlepszym dowodem na to, że był w stanie użyć siły wobec ukochanej. Okulicki natomiast był człowiekiem, który nie znał granic, a opór Teresy mógł się stać powodem jego złości. Ten pierwszy miał jednak alibi. Mieszkał z rodzicami, a jego mama potwierdziła obecność syna — od dwudziestej nie wychodził z domu... Już wydano nakaz przeszukania domu Okulickiego, jednak polska biurokracja uniemożliwiła załatwienie sprawy natychmiast. Dzwoniono do osób, które odsprzedały wcześniej dom mecenasowi, i tych, które są na liście potencjalnych celów.

Alarm wskazywał na to, że instalacja antywłamaniowa była wyłączona pomiędzy osiemnastą a dwudziestą. W tym czasie Teresę odwiedzili Tomasz i Okulicki. Nieznana była nadal osoba, która przyszła do niej o dwudziestej pierwszej. Ofiara musiała ją znać, bo nie było innej możliwości, aby ominąć wszelkie zabezpieczenia chroniące bezpieczeństwo domu. To była właśnie zagadka.

Gdziekolwiek był morderca, Maria wiedziała, że nie ma się on czego bać. Przecież byli tacy bezsilni.

DALSZE BADANIA ZWŁOK WÓJCIK NIE WYKAZAŁY NIC NOWEGO. Po słowach księdza Jana, że na ofierze zwykle pozostawiano znak CIS namalowany krwią, szczegółowo sprawdzono każdy centymetr ciała Teresy, ale nic nie znaleziono. Środek wstrzyknięty do krwi zbadano kilkakrotnie — to właśnie mieszanka leków uspokajających okazała się śmiertelna. Był to ważny trop. Środków tych nie można kupić w aptece, są dostępne jedynie w szpitalach.

Zebrano pyły, jednak była ich tak duża ilość, że trudno było rozróżnić, który może pochodzić od mordercy. Znaleziono wiele odcisków butów, ale większość pasowała do kolekcji Teresy. Ślady butów męskich porównano pozytywnie do pozostawianych przez Okulickiego i Tomasza.

Zmywarkę włączono o w pół do jedenastej. W środku znajdowały się jedynie dwie filiżanki. Ani Okulicki, ani Domagała nie pili z Teresą kawy, co wskazywało na to, że korzystał z nich zabójca. Wszelkie ślady biologiczne, które

mogłyby zawierać kod DNA, zostały zmyte.

Pytanie, kto normalny pije kawę o tak późnej porze.

Jedyną ważną poszlaką była ziemia. Był to mikroślad. W kryminalistyce bardzo ceniony. Trudno go było dostrzec, ale stanowił ważny dowód. Analiza wskazała, że jest to gleba bielkowa, a raczej jej górna strefa, charakterystyczna dla terenów podkarpackich. Zawierała jednak trociny. Nic dziwnego, bo duża ilość lasów sprawia, że można je znaleźć nawet w swoim łóżku, ale ich ilość, bardzo duża ilość, nie była normalna i bardzo zastanawiała. Właśnie to skupiało uwagę policji w tartaku. Na butach Okulickiego nie znaleziono żadnych śladów tej ziemi, jednak to właśnie do niego należał największy tartak w okolicy.

Commiphora abyssynica. Ta substancja w śladowych ilościach znajdowała się na liście pozostawionym na miejscu zabójstwa. Teoria, że występuje ona w bieszczadzkich drzewach, okazała się błędna. *Commiphora abyssynica* stanowiła element składowy żywicy egzotycznych drzew rosnących na wschodnich wybrzeżach Afryki. Skąd się wzięła na liście od zabójcy? Kolejne x — kolejny nieznan punkt tej zbrodni.

Dorota Maj patrzyła teraz na niewielką tablicę, na której powstawał profil psychologiczny zabójcy. Było to dzieło jednego człowieka — Pawła Kownackiego. Znała go już wcześniej. Niejednokrotnie spotykali się na sympozjach naukowych, jednak po raz pierwszy miała możliwość bycia świadkiem jego pracy. Była zdumiona, w jaki sposób dochodzi do wskazówek. Właśnie słuchała jego sprawozdania z przesłuchania mecenas Okulickiego.

Nie przejmowała się jednak tymi domysłami. Miała własną pracę, a jako perfekcjonistka zawsze starała się ją jak najlepiej wykonać. Obok niej leżała w hermetycznie zamkniętej torbie foliowej kolejna wiadomość, która została podrzucona do posterunkowej skrzynki na listy. Zwyczajne słowa, dużo słów. Komendant Głowała wytłumaczył jej, co właściwie znaczyły, zdumiała się. We wcześniejszych dochodzeniach cel był łatwy. Zabójca, który uciekał i trzeba go było złapać. Prawie zawsze towarzyszył temu alkohol. W tym przypadku nawet przy braku specjalistycznej wiedzy psychologicznej można było wysnuć prosty wniosek — zabójca nie ucieka, gra z policją i będzie zabijać.

Tuż obok młodego profesora stała policjantka. Przedstawiono ją wczoraj jako Marię Kozielską. Trzymała się z boku, pozwalając mówić Kownackiemu. Dorota Maj nigdy nie chciała pracować w policji. Zawody dzieliła na płci — męski

albo żeński. Ta należała do rodzaju męskiego. Podziwiała jednak wszystkie kobiety, które miały na tyle odwagi, aby wybrać tę drogę kariery i zaznać samospelnienia.

Kownacki skończył sprawozdanie i podszedł do tablicy. Maj zwróciła uwagę, jak bardzo szybkie oraz precyzyjne wykonuje ruchy. Zwykle profesory, podobnie jak lekarze, nie tracili czasu na cudowną kaligrafię, dlatego przypadek Kownackiego pozytywnie ją zaskoczył. Z tablicy można było wyczytać gruntowną analizę człowieka, z którym musieli się zmierzyć. Tym człowiekiem mógł być ktokolwiek, kto znał Teresę Wójcik. Znajomość była na tyle bliska, że ofiara wpuściła „tego kogoś” o późnej porze do domu. Nie tylko nie bała się, ale również była mu posłuszna. Wstrzyknęła sobie zabójczą dawkę substancji. Możliwe, że przestępca miał związku ze szpitalem.

Poszukiwany był typem introwertyka, który dba o każdy szczegół, zna się na postępowaniu kryminalistycznym i dlatego wie, jakich zachowań powinien unikać. Z drugiej strony jednak nie wyobraża sobie gry bez przeciwnika. Jako rywała obrał sobie policję. Wiadomości od niego mogą być tropem, ale zarazem bronią sprawcy, który kpi z nieudolności śledczych.

— Dobra! Skupmy się! — Głowała stał na środku niewielkiego pokoju. Dorota Maj podziwiała jego zaangażowanie, jednak jego wygląd znacząco się od wczoraj pogorszył. Miał zaczerwienione i podkrążone oczy, na rękach pojawiła się wysypka. — Za kilka godzin może dojść do kolejnego zabójstwa, a my nie wiemy nawet, gdzie to może nastąpić. I właśnie o to mi chodzi — zmierzył Kownackiego od stóp do głów. — Nie zastanawiajmy się, kim on może być, ale jaki będzie jego kolejny krok. Jedyne wiarygodny podejrzany to Władysław Okulicki. Pytajcie w okolicy, co o nim wiedzą, co o nim sądzą. Maria, Paweł — komendant spojrzał w ich stronę. — Pojedziecie do tartaku! Dorota — tym razem jego wzrok zwrócił się w przeciwną stronę. — Może pojedziesz do szpitala?

Dorocie Maj nie trzeba było dwa razy powtarzać. Komendant nie mógł jej rozkazywać i miał tego świadomość, jednak brakowało mu ludzi, a ona była jego ostatnią deską ratunku.

Do pokoju wszedł ksiądz Jan. Polubiła go. Jako mała Dorotka często chodziła do kościoła. Tak nauczyli ją rodzice. Po pewnym czasie to niedzielne wydarzenie stało się swoistą rutyną, bardziej przypominającą nudny obowiązek niż potrzebę serca. Szanowała jednak duchowieństwo i choć wczoraj pierwszy raz widziała tego wikarego, zyskał jej sympatię. Ceniła ludzi z pasją. Ona dostała

powołanie naukowe, podobnie jak wielu innych, ale z drugiej strony trzeba było uszanować tych z powołaniem duchowym.

Ksiądz przywitał się z zebranymi w tym „policyjnym domu” i udał się do biura komendanta. Ich rozmowa nie trwała długo. Chwilę później wyszli, podobnie jak to miało miejsce podczas poprzedniej wizyty księdza, Głowała poprosił go o przedstawienie analizy.

— Komendant przedstawił mi inną analizę znaku CIS. Odczytany odwrotnie przedstawia znak śmierci — zaczął ksiądz Jan. — Zgadzam się z tym, podobnie jak z kilkoma innymi teoriami. Starożytny Egipt oraz jego symbolika są cały czas badane, co za tym idzie — trudno znaleźć jednoznaczne odpowiedzi. Pytanie tylko, jak można wykorzystać wiedzę, którą posiadamy, żeby wytropić mordercę, odgadnąć, jaki będzie jego kolejny krok.

Zapadła cisza. Nikt nic nie mówił — wszyscy patrzyli na księdza, chłonąc każde jego słowo. Zachowywał się nerwowo, jąkał się, gestykulował, tak jakby utrzymanie rąk w jednej pozycji stanowiło dla niego trudność.

— Czy ten znak na pewno jest wskazówką? Nie odpowiem na pytanie, jak ją rozumieć. Prosiłście o analizę, mogę się oczywiście mylić. *Contradictio in se*. Teraz mamy kolejny człon, *Hominis est errare, insipientis in errore perseverare*. Z pozorów te dwa zwroty nie mają ze sobą nic wspólnego. I tutaj właśnie wracamy do hieroglifów.

Ksiądz Jan poprosił o dobranie odpowiedników w języku hieroglificznym.

— Mówi się, że Europejczycy wszystko sobie utrudniają. Łacina przez długi czas była językiem nielicznych. Była skomplikowana i trudno przyswajalna. To pierwotny język hieroglifów był prostszy, usystematyzowany i spopularyzowany. Proszę spojrzeć — wikary wskazał na obraz, który wyświetlił się na ścianie.



— To podstawowe symbole hieroglificzne. Zapewne zdziwiliście się, że tak długi zwrot zmieścił się jedynie w sześciu znakach...

Słowa. Słowa. Słowa. Dorota Maj wołała konkrety. Trafna analiza chemiczna. Znalezienie odpowiedników. Takie dowody są dla sądu jednoznaczne. Ale tym razem jej chromatograf cykliczny nie wystarczył. Potok słów z ust księdza

szczerze ją zdumiał. Patrzyła z niedowierzaniem na kolejno ukazujące się znaki. Trudno było mówić o przypadku. Spojrzała na swój chromatograf. Pomyślała, że w przyszłości będzie musiała go zmodyfikować, tak żeby rozwiązywał i takie zagadki.

Z pamiętnika filozofa

Ta pani. Popłakała się. Żyje w amoku, ale nie wie, gdzie szukać pomocy. Odpoczynku, kobieto! Weź sobie urlop, choć na chwilę zapomnij o codziennych problemach. Praca jest ważna, ale to nie wszystko. Mając pieniądze, możesz wiele, ale nie mając ich, mniej przejmujesz się ich pomnażaniem.

Ten pan. Nic mi nie mówił, bo go nie było. Ale przecież jest wcześniej. Ludzie lubią spać. Ludzie śpią bardzo dużo. Ludzie lubią marnować czas na takie przyjemne przyjemności. Ostatnio siedziałem, szukałem nowych znajomości. Znalazłem radio i okazało się, że może to być naprawdę wierny przyjaciel. Ktoś zadzwonił, mówił o czymś, tak naprawdę słowa bez znaczenia, podobnie jak większość ludzi — nie na temat. Mówił o śnie. Mówił, że kocha spać i że jest to jego największa przyjemność. Och, śmiertelnicy! Wstydzcie się!

Wokół nas jest tyle dziwnych stworzeń. Mówię oczywiście o ludziach. Zapewne nieraz słyszeliście pytanie, czy jesteście zdrowi. Czy można na to odpowiedzieć logicznie? Czy jesteśmy zdrowi na ciele, czy na umyśle? Odpowiedź „tak” zwykle jest błędem — wystarczy przypomnieć sobie, jak zachowujesz się na imprezie.

Miłość — sprawa kontrowersyjna. Miłość szczęśliwa i nieszczęśliwa. Taki podział raczej nie występuje. Każde uczucie, które występuje pomiędzy dwójką zakochanych, jest szczęśliwe. Tyle że czasem bieg wydarzeń sprawia, że ta dwójka nie może być razem. Wpływa to negatywnie na nasze nastroje i dlatego wydaje nam się, że jest to miłość nieszczęśliwa. Nieraz na ulicy widzimy zakochanych. Trzymają się za ręce, czule całują, kiedy wydaje im się, że nikt ich nie widzi (bardzo mi przykro, ale się mylą). Jednak to nie to tworzy piękno i cudowność tego uczucia. Bo WY — ludzie — czegoś nie dostrzegacie. To jest coś niewidocznego, ale zarazem najpiękniejszego — nić łącząca serca zakochanych. W przeciwieństwie do rzeczywistości trudno ją zawiązać, ale jeszcze trudniej odwiązać. Aby udało się połączyć dwa serca, należy podejść odpowiednio blisko. W manewrze codzienności łatwo o złudzenie, że ta linia nie istnieje, co w następstwie często prowadzi do rezygnacji ze związku. Pozostaje jednak trwały ślad, który boli, który nie pozwala

zapomnieć. Możemy ten ból bagatelizować, związać się z inną osobą, ale to już nigdy nie będzie to samo. Wciąż będziemy wracać do cudownych dni z przeszłości i nie będziemy potrafili żyć z przyjemnością.

Pewnie sądzisz, że bredzę. Wypiłem za dużo, naćpałem się. Możesz się ze mną nie zgadzać, możesz mieć inne zdanie, ale nic nie zmieni tego, że miłość jest towarem ekskluzywnym, który swą magią zmienia nasz świat.

ROZEJRZYJ SIĘ! Co widzisz? Okno, które zasłoniłeś roletą, aby skryć się przed światem? Ścianę ze zdjęciami i pamiątkami, które przypominają ci najcudowniejsze dni życia? Drzwi, które zamykasz na klucz, żeby nikt nie był w stanie dostać się do twojego małego rajku, zwanego potocznie pokojem? WSTAŃ! Podejdź do lustra, spójrz prawdzie w oczy — spójrz w swoje oczy. Wejdź w stan hipnozy — wtedy zabawa nabierze innego wymiaru!

Rozdział 15

LATANIE. TAK DŁUGO MARZYŁ O SZKOLE LOTNICZEJ, że zwyczajnie się przemarzył. W szkole średniej w Lubaczowie, gdy pytano, gdzie mieszka, zawsze odpowiadał, że na przedmieściach. Ale to nie była prawda. Mieszkał na wsi — tam, gdzie nic się nie dzieje, tam, gdzie nie ma miejsca na karierę, a całe życie podporządkowane jest gospodarstwu.

Michał mieszkał w Borchowie. Rzadko gościł tam dziewczyny. Wstydził się miejscowych, swojskich zapachów i chlewu tuż obok domu, skąd dochodziły kwiki świń. Miał pecha do miłości — wiecznie głupie laleczki i ograniczone umysłowo cizie. Wszystkie go kochały, pewnie dzięki urodzie. Długo czekał na swoją miłość życia — doczekał się Kamili Trewor. Była taka cudowna. Kochał jej uśmiech. Jej postać była inspiracją do niespodzianek, wiecznie nowych pomysłów, które dawały mu poczucie samospelnienia i pozwalały przestać myśleć o porzuconych ambicjach. Ale to była dziewczyna z klasą, kobieta z wyższych sfer. Może gdyby był pilotem, faktycznie miałby jakieś szanse i nie czułby się teraz jak zabawka w rękach księżniczki.

— Cześć! — Michał Rybak przywitał się ze swoim najlepszym przyjacielem, Jarkiem. Zżerała go zazdrość, bo kumpel miał licencję pilota. W ramach premii za pracę w miejscowym aeroklubie prezes pozwalał mu na chwile samotnej przyjemności, a Michał potrafił wykorzystać tę znajomość.

Wsiedli do awionetki. Był to niewielki samolot, osiągający stosunkowo

małe prędkości, do dwustu kilometrów na godzinę. Michała nie było stać nawet na coś takiego i zapewne nigdy nie będzie, jednak cieszył się z każdej możliwości, gdy mógł spędzić czas w powietrzu, tak jak teraz.

Wzbili się wysoko, jak najwyżej. Zostawili za sobą tylko biedę, wieczne problemy z gospodarstwem, nadające się tylko do remontu domostwa wcześniejszych bogaczy. Rolnictwo stało się dla państwa jedynie ciężarem. Gdyby nie pewne dyspozycje i zobowiązania, stałoby się kolejną kartą historii.

Było jeszcze wcześniej. Michał Rybak zawsze wstawał około szóstej. W czasach, kiedy uczęszczał do szkoły, jeszcze wcześniej. Wszystko przez obowiązki jedyne go syna. Jego ojciec miał trzech braci i dwie siostry, matka — dwóch braci. On miał tylko starszą siostrę, która została zwolniona z obowiązków dbania o gospodarstwo na rzecz Michała. Ród Rybaków miał swoje cudowne lata za sobą. Po pierwszej wojnie światowej i reformie Grabskiego ich posiadłości wzrosły do 500 hektarów. Zyski pozwalały na kupowanie najnowocześniejszych sprzętów rolniczych oraz opłacanie pracowników. Wszystko zmieniło się, kiedy 17 września 1939 roku do Polski wkroczyli radzieccy żołnierze. Niszczyli wszystko, co napotykali na drodze. Jednak prawdziwe nieszczęścia zaczęły się wraz z procesem stalinizacji. Państwo nie pozostawiło im żadnej możliwości. Kolektywizacja to kolektywizacja — dziedzictwo Rybaków nadal obejmowało zbyt rozległe ziemie. Musieli oddać część, nie otrzymując w zamian żadnego z obiecanych odszkodowań.

Teraz ledwo wiązali koniec z końcem. To właśnie Michał codziennie karmił już nieliczne bydło, wyprowadzał owce czy naprawiał zepsute traktory. Ojciec nie miał wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zatrudniać pracowników. Jedyнным pomocnikiem był stary przyjaciel rodziny, Hieronim Grzejda, który po przedwczesnej stracie swojej ukochanej żony zamieszkał razem z Rybakami, w zamian za gościnę pomagając w polu.

Było tak świeżo. Poranna godzina i wysokość pozwalały na widzenie świata z całkiem innej perspektywy. Był naprawdę piękny. Tyle że dziś zanosilo się na deszcz. Już wcześniej, kiedy szedł w stronę lotniska, mżyło, a zapowiadano ulewy, nawet gradobicia. Michał lubił deszcz. Bębniące o okna krople przypominały mu chwile spędzone z Kamilą. Było tak dobrze. Choć był młodszy, co początkowo sprawiało mu problemy, szybko znaleźli wspólny język. Wiek jest przeszkodą, jednak im człowiek starszy, tym różnice coraz bardziej się zacierają. Starość męska jest równa starości żeńskiej.

To właśnie kiedy padało, Kamila trafiała wprost w objęcia Michała. Najmłodszy z rodu Rybaków uwielbiał te chwile intymnego uniesienia. Jak niewiele potrzeba, by serce zaczęło mocniej bić. Tak piękne są momenty, kiedy można przytulić ukochaną osobę, pocałować ją, popieścić. Jeżeli cokolwiek sprawiało przyjemność Michałowi poza lataniem, to właśnie przebywanie z Kamila.

— To jak? Zamieniamy się? — odezwał się Jarek. Rybak właśnie na to liczył.

— Jestem gotowy!

Michałowi delikatnie drżały ręce. W tej chwili był tylko on i lekko zachmurzone niebo. Tylko on i jego marzenia. Delikatnie skręcił w lewo. Przyśpieszył.

Myślał teraz tylko o jednym. Miał tylko jeden cel. Tylko jeden kierunek. Leciał w stronę domu ukochanej Kamili Trewor i nikt nie mógł go powstrzymać.

— CHCESZ POPROWADZIĆ? — PAWEŁ KOWNACKI machnął Marii kluczykami od swojego srebrnego SUV-a.

Pokiwała przecząco głową. Bardzo się ucieszyła, słysząc propozycję komendanta, aby to właśnie z Pawłem pojechała do tartaku Okulickiego. Nie miała pojęcia, co tam zastanie i czego właściwie powinna szukać, o co pytać. Na szczęście miała obok siebie przystojnego profesora.

Jechali prostą drogą, tą samą, która prowadziła do Teresy Wójcik.

— Co zwykle robisz po pracy? — przerwał ciszę Paweł.

— Nic specjalnego — spieszyła się. — Codzienne obowiązki rodzinne: pranie, gotowanie, prace porządkowe.

Kownacki głośno się zaśmiał. Maria po raz pierwszy usłyszała jego śmiech. W tym przypadku była to bardziej kpina, a Kozielska zastanawiała się, co tak rozśmieszyło jej kompana podróży.

— Sprzątanie i prasowanie to twoje obowiązki rodzinne? Nie można wiecznie pracować. Bardziej mi chodziło o metody relaksu, zainteresowania.

Oczywiście to, co powiedziałaś, jest ważne, ale nie można dawać tym czynnościom priorytetu, bo pochłoną każdą naszą wolną chwilę.

Tak mądrze mówił. Mogła go słuchać przez cały czas. Jednak to on oczekiwał odpowiedzi.

— Lubię śpiewać — wyznała z lekkim zakłopotaniem.

Paweł nie czekał długo. Włączył radio. Po chwili oboje śpiewali wraz z wokalistą Perfectu jeden z hitów tego zespołu. Maria dawno się tak nie ubawiła. Na co dzień pozwalała sobie na kilka chwil pełnego relaksu przy dźwiękach ulubionej muzyki, ale nie lubiła śpiewać, kiedy wiedziała, że ktoś jej słucha. Bała się opinii innych. Z rozbawieniem słuchała fałszowania kolegi. Zastanawiała się, czy robi to specjalnie, czy po prostu nie zdaje sobie z tego sprawy. Czowała się świetnie. Choć była na służbie, całkowicie zapomniała o czekającym ją zadaniu.

Commiphora abyssynica. Zdziwiła się, kiedy poznała pochodzenie tej substancji. Nigdy nie słyszała o takiej żywicy. Może to dlatego, że przecież nie skończyła studiów, a takie tematy mogły być przedmiotem zajęć w późniejszych semestrach. Żywica ze specyficznych afrykańskich drzew. Kozielska nie miała pojęcia, skąd mogła się znaleźć na liście od zabójcy.

Dojechali do tartaku. Obejmował bardzo rozległe tereny, setki hektarów. Cały obszar ogrodzony był wysoką na dwa metry siatką. Co pięćset metrów stał ochroniarz, co bardziej przypominało zabezpieczenie jakiejś fortecy. Były tylko dwie bramy wjazdowe — jedna od Fotorów, blisko miejsca zamieszkania mecenasa Okulickiego, druga z przeciwległej strony — Niemcowa. Tartak powstał dwadzieścia lat temu i był promowany jako kapitał społeczeństwa Podkarpacia. Teraźniejsze rozmiary uzyskał dzięki wielu inwestycjom mecenasa. Administracją zajmowali się bracia Dąbek. W okolicach krążyły plotki o ich wzajemnej nienawiści z Okulickim, który posiadał większość udziałów — wszystko było podległe właśnie jemu. Pracowało tutaj bardzo wiele osób. Może dlatego nie było większego odzewu na niszczycielską działalność tego przedsiębiorstwa. Oczywiście przestrzegano odpowiednich procedur, zasadzano nowe drzewka, jednak ogromne połacie lasów znacząco ucierpiały w ostatnich latach. Tartak posiadał monopol — wszystkie małe, rodzinne biznesy zajmujące się wycinką i przeróbką ściętego drzewa zostały skazane na przegraną, ponieważ Okulicki narzucił konkurencyjne ceny.

Kownacki zatrzymał się przed bramą. Była to jednolita stalowa bariera,

zapewne otwierana poprzez przesunięcie w bok. Nad wjazdem widniał neonowy napis koloru zielonego: Tartex. Podszedł do nich ochroniarz.

— Słucham? — mężczyzna przywitał ich oschle, ale doniośle. Zdziwił się, gdy zobaczył mundur Kozielskiej. Machnął ręką, a brama się otworzyła.

Maria dostrzegła, że wszyscy mają broń. Firmy ochroniarskie często dostawały pozwolenie na używanie takiego sprzętu. Najczęściej bywało tak, że w bazie siedziała grupa interwencyjna, która reagowała w sytuacji kryzysowej. W takich przedsiębiorstwach jak to rzadko spotykało się uzbrojonych strażników, tym bardziej w tak licznej grupie.

Znaleźli się w środku. Jechali leśną drogą w dobrym stanie. Po obydwu stronach znajdował się gęsty las. Końca nie było widać. Droga zakręciła. Znów minęli budkę ochroniarską. Zmierzali donikąd.

— A ty? Masz jakieś zainteresowania niezwiązane ściśle z twoją profesją?
— Maria postanowiła kontynuować wcześniejszą konwersację. Jego obecność ją usztywniała, była spięta.

— Komputery.

— Profesor kinetyki? Naukowiec? Specjalista od mowy ciała? Jaki to ma związek z komputerami? — starała się wyluzować.

— Codziennie siedzę nad książkami, czytam nudne przypisy i często nedorzeczne analizy. Tłumaczę i przedstawiam własny punkt widzenia. Kiedy wracam do domu, chcę odpocząć, choć na chwilę zapomnieć o nauce. Komputery były moją pasją od małego. Bardzo chciałem iść po maturze na informatykę, ale rodzice się uparli. Wtedy to był kierunek bez przyszłości. Pokazywały się dopiero pierwsze sprzęty — miały gabaryty hipopotama. Trudno było znaleźć taki fakultet, nie mówiąc już o pracy po studiach. Ale jest to coś, co mnie interesuje.

— Podobnie jest z moim synem. Nie wiem, co on widzi w tych komputerach. Ma osiem lat i nie chcę, aby cały czas siedział przed monitorem, ale on po prostu to lubi.

— Kiedy byłem mały, rodzice wszystko chcieli ułożyć po swojemu. Z perspektywy czasu tamten okres uważam za niewykorzystany. Dzieci mają tyle energii, tyle pomysłów. Kształtują się. Rodzice oczywiście powinni mieć nad nimi

kontrolę, ale przecież można im zezwalać na realizację pasji. Kontrolować, ale nie zabraniać. Obiecałem sobie, że jak będę mieć dzieci, będę im pozwalać na poznawanie świata w ich kategoriach.

— A masz dzieci? — Kozielska była zdziwiona własną bezpośredniością.

Paweł Kownacki przecząco pokręcił głową. Spojrzała na jego profil. Wyglądał bardzo młodo.

— Moja żona umarła trzy lata temu — w jego głosie można było usłyszeć głęboki żal.

— Przykro mi — Maria była wstrząśnięta. Nie spodziewała się, że dojdzie do takich zwierzeń.

— Zwykle o tym nie mówię. Dziwne. W sumie nigdy o tym nie mówiłem. Długo nie umiałem się otrząsnąć po śmierci Julii. Gdyby nie praca...

— Rozumiem cię. Przeżyłam śmierć taty — też z zasady o tym nie mówiła, ale teraz przyszło jej to łatwiej.

— Był policjantem, prawda?

— Tak. Skąd wiesz?

— Na twoim biurku jest jego zdjęcie. Musi ci go bardzo brakować...

— Bardzo go kochałam, był wspaniałym ojcem. Codziennie budzę się ze świadomością, że już nigdy nie przywita mnie jego uśmiech, że już nigdy nie zejdem do kuchni i nie poczuje smaku jego pysznych racuchów — jej głos lekko się załamał.

Paweł Kownacki poklepał ją po ramieniu. Maria poczuła ciepło. Był to przyjacielski, bardzo wiele dla niej znaczący gest.

Dojechali na miejsce. Ochroniarze musieli zawiadomić centralę, ponieważ bracia Dąbek już na nich czekali. Maria podziwiała bogate wyposażenie tartaku. Po obu stronach dostrzegła wielkie maszyny służące do ścinania i obróbki drzew. W oddali widoczny był zarys dwóch wielkich hangarów. Był to pomysł Okulickiego, szeroko wychwalany na łamach miejscowych gazet. Maria dobrze pamiętała

sceptycyzm Marka co do tego przedsięwzięcia. Chodziło o dwie hale produkcyjne. Obrobione drzewo trafiało właśnie tam i następowała faza produkcji. Hangary pozwalały na pracę bez względu na pogodę, a końcowy zysk w porównaniu z kosztami był satysfakcjonujący.

Bracia Dąbek. Mieli na sobie czarne marynarki, spod których wystawały niechlujne koszule flanelowe. Pełnili kierownicze stanowiska, ale byli znani z tego, że wszystkiego woleli dopilnować osobiście. Marynarki zapewne zostały zarzucone na przywitanie gości. Na głowach mieli kaski. Bogdan i Zygmunt Dąbek byli do siebie bardzo podobni, choć ten pierwszy był dwa lata starszy. Identyczne ubranie utrudniało ich rozróżnienie.

Maria zostawiła Pawła sam na sam z braćmi. Tak właśnie uzgodnili. Ona miała się przejść po tartaku i pobrać próbki ziemi, aby można było zrobić analizę porównawczą z mikrośladem pozostawionym na miejscu zbrodni.

Pokiwała z daleka Kownackiemu, który właśnie witał się z Dąbkami. Bardzo go polubiła. Jako nastolatka nie interesowała się mężczyznami. Była typem kujona i na pierwszym miejscu zawsze stawiała naukę. Wszystko się zmieniło, kiedy poszła na studia do Krakowa. Na wsi każdego znała od małego, a taka znajomość może sprzyjać przyjaźni, na pewno nie miłości. W Krakowie, wielkim mieście, było inaczej. Koleżanki z roku zapraszały ją na imprezy. Wszystkie miały partnerów, a ona była sama. Przeżyła dwa przelotne związki, których zakończenia nie żałowała. Potem pojawił się w jej życiu Marek i tak już zostało. W Pawle było jednak coś bardzo pozytywnego. Znała go raptem jeden dzień, ale miała wrażenie, jakby o wiele dłużej. To, co mówił, było bardzo ciekawe. To, jak mówił, wywoływało zimne dreszcze przechodzące przez jej ciało. Elegancja i inteligencja w jednym.

Maria nigdy tu nie była. Właśnie przechodziła obok bliżej nieokreślonego przyrządu do obróbki drzewa. Wolała nie zgadywać, do czego może służyć. Obok leżało mnóstwo trocin — Kozielska schyliła się i niewielką pałeczką, którą wykradła z zestawu kryminalistyków, wzięła próbkę i szczelnie zamknęła w przygotowanej wcześniej torebce foliowej. Dostrzegła przy płocie strażnika. Czy oni byli wszędzie?! Patrzył w jej stronę, ale nie reagował. Było niepokojąco pusto. Zerknęła na zegarek. Czas przerwy. Może i lepiej. Maria przeszła kilka metrów dalej. Czerwony ślad. Czyżby krew? W takich miejscach często dochodziło do wypadków. Drewno było niebezpieczne, a osoby, które nie miały doświadczenia w obchodzeniu się z nim, często dopuszczaly się błędów w pracy, co prowadziło do skaleczeń. Kozielska mimo to wzięła kolejną próbkę.

Obok rysowała się ściana wysokich drzew. W środku panowała ciemność. Poczowała kroplę wody na szyi. Nie minęła minuta, a z nieba zaczął padać deszcz. Zarzuciła kaptur swojej służbowej kurtki.

Podeszła do ochroniarza. Biedny. Jako funkcjonariuszka policji często szydziła z ochroniarzy i stróżów. Ich praca zwykle polegała na staniu i robieniu dobrej miny do złej gry. Czasem jednak sytuacja materialna nie dawała wyboru i trzeba było brać to, co proponowali. W przypadku tego tartaku nie widziała sensu zatrudniania tak dużej liczby pracowników ochrony. Teren był rozległy, jednak chyba tylko głupi miałby odwagę napadać na królestwo Okulickiego.

Kurtka była już cała mokra. Jej czarne służbowe buty grzęzły w bagnistej glebie, która zdążyła już namoknąć.

— Dzień dobry! Nazywam się Maria Kozielska. Jestem policjantką i mam kilka pytań. — Ochroniarz nerwowo się poruszył. Unikał kontaktu wzrokowego. — Pana godność?

— Sebastian Bednarz — odpowiedział po chwili.

Maria wyciągnęła notatnik, żeby wyglądać bardziej profesjonalnie, jednak deszcz szybko zmoczył kartki i nie miało to już sensu.

— Czego właściwie tutaj strzeżecie? — za późno ugryzła się w język. Wyszła na naiwną.

— Tartaku. Ta własność Władysława Okulickiego jest wiele warta, ale... — zawahał się.

— Ale?

— Nadal nie rozumiem, jak mogło dojść do tego włamania.

Coś tutaj nie pasowało. Jakie włamanie? O niczym takim nie słyszała. Sebastian Bednarz wyglądał jak nastolatek, który dorabia sobie do studiów. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Maria domyślała się, jakie może mieć hobby. Miał siny prawy policzek i otartą pięść. Zapewne urządzał sobie sparingi bokserskie z kolegami.

— Jakiego włamania?

— Jak to jakiego włamania? Myślałem, że właśnie w tej sprawie państwo tutaj przyszli — chłopak podrapał się po głowie. — To się stało w poniedziałek, około dziewiętnastej. Nie mam pojęcia, w jaki sposób włamywacz się tu dostał, tym bardziej że od osiemnastej płot jest pod napięciem elektrycznym — wskazał na wysokie ogrodzenie.

— Czy cokolwiek skradziono? — Maria była zaintrygowana.

— Z tego, co słyszałem, to był jakiś wścibski dziennikarz, który szukał sensacji. Nie wiem dokładnie — słowa ochroniarza brzmiały szczerze.

— Jak ten człowiek dostał się do środka? — Nie wyobrażała sobie możliwości pokonania wysokiego płotu, a dwie główne bramy były pilnie strzeżone. — Czy jest jeszcze jakieś inne, boczne wejście na teren tartaku?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Pracuję tutaj dopiero od dwóch dni, bo ochrona przez to zdarzenie została podwojona. O dziewiętnastej zawsze jest zmiana pracowników i ochroniarzy. Podobno ten dziennikarz wszedł niezauważony w chwili zamieszania.

— Kto go znalazł?

— Słyszałem od kolegi, że popełnił błąd i użył flesza. Dostrzegli go pracownicy.

— Dziękuję bardzo — była bardzo wdzięczna za wszystkie informacje. — W razie gdyby pan sobie o czymś przypomniał, proszę o kontakt — podała mu kartkę z odręcznie napisanym numerem jej telefonu komórkowego. — I jeszcze jedno. Czy Władysław Okulicki przyjechał tutaj od razu po włamaniu?

— To nie jest chyba pytanie do mnie — ochroniarz delikatnie odchrząknął i opuścił wzrok. Maria odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z mecenasem. Był wzburzony i czekał na wyjaśnienia. Kozielska marzyła w tej chwili tylko o jednym — by zapaść się pod ziemię i stamtąd nie wychodzić.

Rozdział 16

KAMIŁA TREWOR WSTAŁA TEGO RANKA DOŚĆ PÓŹNO. Za

oknem było pochmurno, co sprzyjało dłuższemu leniuchowaniu. Niedbale zaścieliła łóżko i poszła do łazienki. Pamiętała swoje lęki i obawy, kiedy miała tutaj zamieszkać. Była sama, a wokół ciemny las, w którym roiło się od wszelkiego rodzaju zwierząt. Początki faktycznie były trudne. Nie umiała zasnąć przy głuchym pohukiwaniu ptactwa, syczeniu leśnych żmij i wyciu wilczych sfor. Minęło jednak kilka lat i doszła do wniosku, że to, czego się tak bała, jest zarazem ochroną przed niepowołanymi wizytami. Las i jego mieszkańcy stali się jej osobistą eskortą.

Włożyła bryczesy i czapsy należące do obowiązkowego ekwipunku każdego jeźdźcy. Konie były jej prawdziwą pasją. Swobodna przejażdżka napełniała ją energią na dalsze dni. Kochała tętent końskich kopyt przy jednoczesnych podmuchach wiatru, który rozrzucał jej włosy. Był to sport niebezpieczny i wymagający wiele wytrwałości. Może właśnie dlatego było tak niewielu profesjonalistów. Kamila próbowała swoich sił na konkursach z parkouru. Jej koń należał do najlepszych. Skoczność pozwalała mu na walkę o pierwsze miejsca. Na treningu doznała jednak kontuzji kolana. Diagnoza była jednoznaczna — koniec ze sportem wyczynowym. I tak kończyły się kariery większości pasjonatów końskich dyscyplin. Podobnie jak gdzie indziej, tak i tutaj bez sponsora nie można było myśleć o sukcesie. Indywidualne umiejętności były dostrzegane dopiero przy wyrównanych szansach.

Kamili jednak nie przeszła miłość do koni. Właśnie wybierała się do stadniny. Miała dzisiaj kilka zadań do wykonania. Najpierw wypas, bo konie powinny mieć możliwość ruchu. Stadnina, która była jej współwłasnością, miała pod swoją opieką trzynaście rosłych koni oraz cztery źrebaki. Niczego im nie brakowało, a Kamila sama kontrolowała, czy wszystko jest w porządku z ich zdrowiem.

W swoim kajeciku miała też zapisaną lekcję instruktorską z pewną młodą damą. Agnieszka Surma miała czternaście lat. Nigdy nie rozmawiała z jej rodzicami o przeszłości, jednak z innych źródeł dowiedziała się o traumatycznych przeżyciach dziewczyny. Agnieszka wśród koni odnalazła poszukiwany spokój. Niewiele mówiła i początkowo Kamila widziała opór w oczach młodej podopiecznej. Aga szybko przekonała się jednak do zwierząt oraz do samej instruktorki, co bardzo Kamilę cieszyło.

Po południu czekały na Trewor mniej lubiane przez nią atrakcje. Grupa biznesmenów poprosiła o udostępnienie dziesięciu koni. Zdarzało się wcześniej, że konie nie miały odpowiedniej opieki i wracały zranione. Od pewnego czasu Kamila brała więc udział w każdej takiej eskapadzie. Towarzyszyły temu zawsze sprośne

żarty starszych panów, dla których była zapewne wymarzoną kochanką. Piękna, wysoka... boska. Trudno było jej rezygnować z takich klientów, bo bez ich pieniędzy stadnina już dawno przestałaby istnieć.

Już dotykała klamki, gdy zadzwonił telefon.

— Słucham?

Po drugiej stronie odezwał się przyjemny żeński głos.

— Dzień dobry! Nazywam się Joanna Wrona, dzwonię z policji. Czy mam przyjemność rozmawiać z Kamilą Trewor?

— Tak. Słucham uważnie. W czym mogę pomóc? — wychodziła z założenia, że kontakt z policją nigdy nie wróży nic dobrego, ale przecież nie miała nic na sumieniu. Kamila zawsze starała się szanować służby mundurowe. Podziwiała nie tylko policjantów, ale również strażaków czy lekarzy za oddanie oraz poświęcenie, jakie wiążą się z tymi zawodami.

— Mamy pytanie dotyczące Władysława Okulickiego. Czy poznała go pani?

— Jeżeli dobrze pamiętam, dzwonił do mnie raz, niecały miesiąc temu. A o co chodzi?

— Czy pytał o pani dom? Czy miał chęć na jego zakup?

— Tak, ale nie rozumiem, do czego pani zmierza.

— Prowadzimy sprawę i musimy sprawdzić każdy trop. Czy zgodziła się pani odsprzedać mu swój dom?

— Powiedziałam mu jasno i dobitnie, że nie mam takich zamiarów, i od tego czas nie miałam więcej telefonów — tamtą propozycję wyśmiała, sądząc, że to głupi żart.

Jej dom był wszystkim, czego potrzebowała do szczęścia. Nie miała zamiaru go sprzedawać ani teraz, ani w przyszłości.

— Czy mecenas stosował jakieś formy nacisku? Groźby? Zastraszanie?

— Nie przypominam sobie — spojrzała na zegarek, była już spóźniona. — Przepraszam bardzo, ale muszę już kończyć. Gdybym mogła jakoś pomóc, jestem do dyspozycji w godzinach popołudniowych.

Odłożyła słuchawkę. Gdyby w głosie Okulickiego pojawił się jakikolwiek cień groźby, miałby z nią do czynienia. Może i była kobietą, ale nie pozwalała nikomu na naruszanie jej spokoju.

Usłyszała ryk silnika. Czyżby samolot? Wyszła na ganek — w oddali zobaczyła niewielką awionetkę. Trudno jej było patrzeć w górę, ponieważ chmury tworzyły oślepiająco jasną powłokę. Może jej się wydawało, ale ten samolot leciał chyba w jej kierunku... Dostrzegła machającą rękę. Co tu się działo? Michał? Nieraz opowiadał jej o swoich podniebnych fantazjach — chciał latać jak ptak, wzbić się w powietrze i bez żadnego balastu codzienności zapomnieć się we własnych marzeniach.

Samolot nabierał prędkości. Teraz Kamila nie miała już żadnych złudzeń. Leciał prosto na jej dom. Może jakaś awaria? Może Michał chciał ją po prostu nastraszyć? Jeżeli tak, udało mu się. Miała wczorajszego wieczoru wyrzuty sumienia z jego powodu, ale przecież nie stało się nic wielkiego — trzeba zakończyć coś, co nie miało przyszłości.

Hałas silnika był ogłuszający. Kamila nie wiedziała, co robić. Uciekać? Wezwać policję? Za późno. Dostrzegła twarz Michała. Wyraźnie widziała jego uśmiech. To on trzymał stery! W ostatniej chwili, trzydzieści metrów nad ziemią, poderwał maszynę i wyprostował lot. Z tyłu załopotąła wielka płachta, która zwykle była używana do reklam. Kamila oddychała już spokojnie. Tuż za samolotem powiewał wielki napis: KOCHAM CIĘ!

— CZY MAJĄ PAŃSTWO PODSTAWY, ABY NACHODZIĆ moją firmę oraz jej pracowników? — Maria wraz z Pawłem siedzieli na drewnianych krzesłach naprzeciw biurka, za którym ulokował się Władysław Okulicki. Kozielska czuła się jak małe dziecko, które wezwano na dywanik do dyrektora szkoły.

— Chcieliśmy sprawdzić kilka poszlak — powiedziała nieśmiało.

— Rozumiem — Okulicki gwałtownie wstał. Maria czuła się jak w potrzasku. — Czy nie przyszło wam do głowy, że w takich sytuacjach najpierw informuje się właściciela?!

Twarz mecenasa była czerwona ze złości. Kozielska nie miała odwagi się odezwać, a po minie Pawła widziała, że i jemu zabrakło zdolności werbalnych.

Chwilę później odjechali z kwitkiem. Okulicki zapewnił, że zadba, aby winni porannego wtargnięcia na teren tartaku zostali ukarani.

Polecą głowy...

Maria patrzyła pytająco na Kownackiego. Była bardzo ciekawa, czy dowiedział się czegokolwiek od braci Dąbek. Sama żałowała, że nie miała możliwości dłuższej rozmowy z ochroniarzem. Minęli bramę. Paweł nic nie mówił, patrzył tylko przed siebie.

— Dowiedziałeś się czegoś od...

— Cicho — odwrócił się szybko w stronę Marii z palcem na ustach.

Zatrzymał się na poboczu. Wsiadł z samochodu. Zniknął z pola widzenia Marii. Po chwili wrócił, trzymając w rękach mały kwadrat. Na oczach Kozielskiej zniszczył to coś poprzez silne nadeptanie.

— Pluskwa — powiedział z obojętnością Kownacki, jakby przydarzyło mu się to nie po raz pierwszy. — Gdy rozmawiałem z braćmi Dąbek, widziałem kątem oka, że ktoś majstruje przy moim samochodzie.

Maria była szczerze zdziwiona. Po co Okulickiemu jakikolwiek podsłuch? Tym bardziej stosowany przeciwko policji. Kownacki opowiedział pokrótce, czego dowiedział się od kierowników tartaku. Według niego bracia Dąbek nie lubili Okulickiego, ale odnosili się do niego z należyтым szacunkiem. Mecenasa rzadko bywał w swoim przedsiębiorstwie. Dopóki firma przynosiła odpowiednie zyski, wszystko było w porządku.

Bracia Dąbek zostali przedstawieni jako zaradni i pomocni pracoholicy, z dużą wiedzą, która pozwalała im nienagannie wykonywać zleczone obowiązki.

Później nastąpiła kolej Marii. Zaskoczyła Pawła, gdy powiedziała o włamaniu w ostatni poniedziałek. Nie chciała dopuścić do siebie myśli, że była to sprawa Marka. Wiedziała, że niejednokrotnie w swojej pracy łamał przepisy, wszystko, by odkryć prawdę. Jej męża nie było w domu całą noc z poniedziałku na

wtorek, co było kolejnym argumentem przemawiającym za tym przypuszczeniem. Informacja o włamaniu zdziwiła Kownackiego, bo bracia Dąbek nie wspomnieli o tym zdarzeniu — możliwe, że umyślnie.

Wrócili do komendy. Ich oczom ukazał się tłum dziennikarzy. Niektórzy trzymali w rękach dyktafony, część kamery i mikrofony. Skąd się dowiedzieli o całej sprawie?! Maria pomyślała, że może za tym stać Okulicki. Po nim można się było spodziewać wszystkiego. Wskazała Kownackiemu drogę do tylnego wyjścia. „Biedny Czynicki” — pomyślała. Stał przed głównym wejściem i zagradzał drogę natarczywym dziennikarzom.

Na posterunku panował harmider. Wszyscy byli zajęci. Wpatrywała się z niedowierzaniem w analizę księdza Jana. Tajniki wiedzy starożytnego Egiptu zadziwiały ją. Pomimo że dwa zwroty: *Contradictio in se* oraz *Hominis est errare, insipientis in errore perseverare*, były na wskroś inne, transkrypcja hieroglificzna dawała obrazy niebywale do siebie podobne.



Choć było to trudne do wyobrażenia, drugi list od zabójcy był swoistym uzupełnieniem pierwszej wiadomości. Jeżeli analiza księdza Jana była faktycznie słuszna i to właśnie hieroglify miały dać wskazówkę, jak zapobiec kolejnej zbrodni, mieli przed sobą zagadkę, którą należało jak najszybciej rozwiązać.

Zza drzwi wyjściowych dobiegał zgiełk dziennikarzy, którzy starali się minąć Czynickiego i wejść do środka.

Niedoczekanie.

Maria wróciła do tego, co ustalił ksiądz Jan. Każdy obrazek hieroglificzny miał własne znaczenie. W pierwszym przypadku były to kolejno: wschód słońca, ramię trzymające cep, sęp, ryba, zbocze wzgórza oraz pęta dla bydła. W połączeniu nie dawało to nic konkretnego, pozostawały jakieś domysły. Drugi list uzupełnił tę wiadomość o elementy, które sprawiły, że przekaz nabrał sensu. Pytanie tylko, czy było to celowe działanie przestępcy, czy raczej przypadek, który mógł skutkować błędnymi hipotezami.

Tym razem ciąg symboli przedstawiał się następująco: trzciniowa ochronka, wschód słońca, ramię trzymające cep, kobra, sęp, harpun, ryba, zbocze wzgórza, kiel słońca, grot strzały, pęta dla bydła, włóknista szmata.

Kozielska spojrzała na akta, które wciąż leżały na jej biurku. Myśl o biednych dzieciach nie dawała spokoju. Sprawa psychopatycznego zabójcy, który bezczelnie bawił się z policją, pochłonęła wszystkie ostatnie godziny pracy — zwyczajnie nie miała czasu myśleć o równie tajemniczym pedofilu.

Paweł Kownacki stał przy tablicy. Dopisywał coś do profilu poszukiwanego, uzupełniał własne notatki w dzienniczku. Maria otrząsnęła się po chwili patrzenia na niego jak zahipnotyzowana. W pokoju funkcjonariuszy było niewiele osób. Zapewne każdy wykonywał wcześniej zlecone zadania. Nie było również Roberta, którego właśnie potrzebowała. Chciała zweryfikować jego wiedzę z tym, co powiedział wikary.

Do sali wszedł komendant. Był zły i krótkie spojrzenie wystarczyło, aby dojść do wniosku, że coś jest nie tak. Głowala stanął przy tablicy.

— Joasia dzwoniła do wszystkich potencjalnych klientów Okulickiego. Co ciekawe, ośmioro z nich to kobiety. Tylko jeden mężczyzna. Wszystkie domy są dość odległe od siebie. Do dwóch osób dzwonił w ostatnim tygodniu. Jest to Grażyna Cisek oraz Basia Górecka. Nie mamy tylu ludzi, aby zapewnić stałą ochronę każdej z tych osób, tym bardziej że są jedynie potencjalnymi ofiarami, a w rzeczywistości nie wiemy, ani kto jest zabójcą, ani kiedy i gdzie zabije. Mamy problem z nakazem przeszukania domu Okulickiego — mówiąc to, Głowala zwrócił się w stronę Marii i Pawła. — Ta cała sprawa z tartakiem strasznie wzburzyła naszego kochanego mecenasa — sarkazm był czymś naturalnym dla komendanta. — Interweniując, dowiedział się, że wpłynęła prośba o przeszukanie jego prywatnego mieszkania. Wszystko zablokował. Nie mam pojęcia jak — Głowala podniósł ręce w geście kapitulacji. — Teraz i tak za późno. Nawet jeśli coś było w jego domu, już tam tego nie ma.

Maria patrzyła wprost na przełożonego. On zdecydowanie unikał jej wzroku. Czyżby coś się stało? Komendant skończył mówić. Każdy wrócił do własnych zajęć. Ku przerażeniu Kozielskiej Głowala skierował się w jej stronę, minę miał zafrasowaną.

— Funkcjonariuszko Kozielska, proszę oddać broń i odznakę. Jest pani zawieszona do czasu zakończenia postępowania dyscyplinarnego.

Rozdział 17

W OKOLICY BYŁO NIEWIELE SZPITALI. GŁÓWNY miejski znajdował się w centrum Lubaczowa. Mieściły się tam trzy oddziały. Od kilku lat placówka borykała się ze spłatą długu i wszelkiego typu operacje były przeprowadzane tylko w nagłych przypadkach zagrożenia życia. Niedaleko znajdowały się również niewielkie przychodnie w Szczutkowie, Miodowie, Oleszycach oraz Załużu.

Dorota Maj stanęła przed głównym wejściem szpitala w Lubaczowie. Nigdy nie chorowała, nigdy nie miała operacji, nigdy nie dawała lekarzom powodu, aby musieli interweniować w związku ze stanem jej zdrowia.

Był to wysoki budynek, zapewne pochodzący jeszcze z czasów wojny, kilkakrotnie odnawiany, mimo to na ścianach zewnętrznych widać było brak odpowiedniego dofinansowania. W głównym holu znajdowała się rejestracja pacjentów, dalej był oddział urazówki, gdzie przyjmowani byli ranni wymagający natychmiastowej pomocy. Sale operacyjne mieściły się w podziemiach. Również tam usytuowane było niewielkie pomieszczenie, w którym lekarz medycyny sądowej przeprowadził sekcję zwłok Teresy Wójcik.

Obok szpitala od kilkunastu lat stał budynek oddziału psychiatrycznego. Był stosunkowo nowy. Placówka budziła wiele kontrowersji, ponieważ mieszkańcy nie chcieli mieć „wariatów” w pobliżu swoich domów. Władze jednak, myśląc o pieniądzach, jakie płynęły wraz z tą inwestycją, zgodziły się na nią. Budynek stanowił oddzielną jednostkę, jednak istniało przejście dla personelu pomiędzy dwoma częściami. Z tyłu szpitala mieścił się niewielki ogród. Pacjenci mogli spędzać tam czas i z dala od zgiełku oraz szumu codzienności dochodzić do zdrowia. Dzisiaj pogoda nie dopisała. Co chwilę padało i było stosunkowo chłodno, dlatego Dorota Maj nie zdziwiła się, kiedy szpitalny park okazał się pusty.

— Dzień dobry! Mam kilka pytań — podeszła do okienka rejestracji. Z doświadczenia wiedziała, że pierwsze wrażenie powinno być pozytywne. Przyjazne uosobienie pozwalało na załatwienie spraw.

— Czym mogę służyć? — zapytała znudzonym głosem pani w rejestracji. Zerknęła na zegarek. Popatrzyła na Dorotę tak, jakby ta naruszała jej przestrzeń życiową.

Maj spojrzała na wywieszoną kartkę — właśnie trwała przerwa, ale ona nie miała czasu.

— Jestem z policji — nie miała odznaki, nie mogła z triumfem machnąć nią przed oczami recepcjonistki, więc zdała się na siłę własnych słów. — Potrzebuję wykazu lekarstw ze szpitalnego magazynu.

Pani z okienka spojrzała na nią, jakby była z innego świata. Fakt, że Dorota była z policji, widocznie ją zaniepokoił.

— To trochę potrwa — powiedziała po chwili Halina Jastrząb. Takie imię Maj dostrzegła na plakietce przypiętej na jej piersi. — Czy interesuje panią dokładnie jakiś lek?

— Alprazolam i Tranxene.

Recepcjonistka nie kryła zdziwienia.

— Czy ma pani nakaz?

Niech to szlag! Oczywiście, że nie miała nakazu. Dorota się zakłopotowała. Nie wiedziała, jak ugryźć temat i ominąć formalności.

Halina Jastrząb chyba jednak miała serce, bo wyciągnęła z dolnej półki dwa wielkie segregatory. Wskazała Dorocie służbowe przejście.

Maj była pozytywnie zdziwiona przyjaznym stosunkiem recepcjonistki. Gdy weszła do szpitala i spostrzegła, z kim ma do czynienia, pomyślała, że wróci z pustymi rękami. Wygląd mógł być jednak bardzo złudny.

— Nie znam się dokładnie na zastosowaniu leków, ale z tego, co wiem, Alprazolam i Tranxene to dwa bardzo silne środki, które są używane dość rzadko — zaczęła pani Halina. — Prowadzimy ewidencję każdego leku, który jest zabierany z magazynu. Dostęp mają jedynie pielęgniarki i lekarze. Każde pobranie, nawet najmniejszej ilości, wymaga potwierdzenia podpisem. Jaki okres panią interesuje?

Dorota zastanowiła się. Nie wiedziała, jak długo zabójca przygotowywał się do całej akcji. Jeżeli lek pochodził z tego szpitala, mógł zrobić to kilka godzin przed zabójstwem, ale równie dobrze miesiąc wcześniej.

— Do roku wstecz — odpowiedziała bez przekonania.

Pani Halina spojrzała na nią z przerażeniem.

— Niestety nie prowadzimy elektronicznego zapisu — zaczęła wyciągać kolejne segregatory. Dłonią wskazała Dorocie na wolno stojący stolik. Postawiła przed nią dwanaście przepelnionych kartkami teczek. — Jeden segregator to poszczególny miesiąc. Powinno być chronologicznie, ale w natłoku pracy mógł się wdrzeć jakiś błąd. Życzę powodzenia — powiedziała pani Halina i z uśmiechem wróciła do własnej pracy, pozostawiając Maj sam na sam ze szpitalną dokumentacją.

SIEDZIAŁ I SIĘ GAPIŁ. INNI KONTEMPLowali swoje kolekcje znaczków, święte obrazy, upolowaną zwierzynę. On swój ideał znalazł w obrazie Antonia Manciniego. Mógł patrzeć w oczy tego dziecka wiecznie. Ale ten dzień trzeba było w końcu zacząć. Zrobiło się późno, a on marnotrawił czas na siedzenie przed *Le pauvre écolier*.

Był zadowolony z siebie. Policja ginęła w domysłach, kim może być — nie mieli żadnych tropów i bładzili. Łyknęli haczyk, w tej chwili dzielił go tylko krok od zapanowania nad światem. Należało przygotować kolejny list, może wystosować odpowiednie zaproszenie, aby ci leniwi funkcjonariusze w końcu zaczęli myśleć.

Ale przecież on był geniuszem. Zegar odmierzał sekundy do kolejnej zbrodni. Należałoby użyć tej samej formy, żeby ci niedorozwinięci mundurowi wiedzieli, że mają do czynienia z kolejnym zabójstwem tego samego przestępcy. Może dodać jakieś pikantne elementy? Gwałt? Nie chciał przesadzać, wciąż nie czuł się zbyt pewnie. Przecież miał swoją dumę. Wiedział, że tak nie można.

Popatrzył jeszcze raz na swój ukochany obraz. To była kopia słynnego dzieła, którego oryginał wisiał niedoceniany w Museum d'Orsay. Może kiedyś będzie go stać na kupienie tego cuda. Ewentualnie ukradnie je. W przyszłości wszystko będzie zależeć tylko od jego woli.

TO NIE MOGŁA BYĆ PRAWDA. KOZIELSKA BYŁA PRZEKONANA, że gdyby to rzeczywiście zależało od komendanta, nie odbierałby jej broni i odznaki, nie byłoby żadnej sprawy. Została zawieszona. To ją oskarżono o poinformowanie prasy. Dobrze pamiętała rozmowę z Głowąką we wtorkowy poranek. Priorytetem było niewydostanie się informacji na zewnątrz. Teraz posterunek był otoczony przez wozy transmisyjne oraz dziennikarzy z całego kraju. Ale to przecież było nieuniknione.

— Mario! — Kozielska siedziała w biurze komendanta. — Wiem, że nigdy byś tego nie zrobiła. Zostałem zmuszony przez centralę. Kazali mi zająć się sprawą prasy i ukarać winnych całej tej nagonki. Chcą mi odebrać sprawę — Maria usłyszała w głosie komendanta nie tyle smutek, co żal. — Mówią, że wszystko, co się tutaj dzieje, zwyczajnie mnie przerasta.

— Dlaczego ja? — była aż czerwona ze złości. Chciała dopaść mordercę, a komendant pozbywał się jednego ze swoich nielicznych podwładnych, jakby żadne zabójstwo nie miało miejsca.

— Pierwszym dziennikarzem, który się tutaj zjawił, był Darek Jankowiak. To pracownik gazety prowadzonej przez twojego męża. Komenda Główna przeglądała wasze CV. Automatycznym wnioskiem było, że właśnie ty poinformowałaś o sprawie Marka, który mając świadomość, że może to być dobry temat, odsprzedał informacje dalej.

— Przecież wiesz, że nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła!

— Wiem. Przeczekajmy do końca sprawy, wtedy wszystko się wyjaśni...

— A jeśli nie złapiemy mordercy?! Jeśli nie uda nam się odkryć prawdy?! Ta praca to moje życie! — Maria uderzyła pięścią w stół. Komendant aż się wzdrygnął. Miał zafrasowaną minę.

Kozielska gwałtownie wstała i wzburzona skierowała się w stronę drzwi.

— Mario! Uważaj na siebie! — Funkcjonariuszka odwróciła się i spojrzała pytająco na przełożonego. — Podejrzewam, ale mam nadzieję, że się mylę, że to kolejna sztuczka mordercy. On o nas wie więcej, niż nam się wydaje. Pytanie tylko skąd. Najpierw rozpoczyna intelektualną grę ze mną, człowiekiem, który się na tym w ogóle nie zna. Robi to na terenie, na którym bezpieczeństwo jest wyjątkowo cenione. Teraz prasa. Skorzystał z tego, że Marek jest dziennikarzem, bo inaczej wysłałby list do innej gazety, bardziej popularnej. Może nas śledzi, może czyha na kolejny nasz błąd i chce nas skompromitować, a może jest jednym z nas — Kozielska zdziwiła się, że komendant dopuszcza również taki scenariusz. — Wiem, że nie chcesz się poddawać. Moja decyzja o zawieszeniu nie podlega negocjacom, ale jeśli chcesz pomóc, znajdź odpowiedź. Dowiedz się, w jaki sposób tyle się o nas dowiedział. To może być każdy: policjant na emeryturze, przestępca, który został przez nas aresztowany i chce się odegrać... Potrzebujemy więcej odpowiedzi.

Zajmiesz się tym?

Maria nie odpowiedziała. W jej żyłach nadal gotowała się krew. Była zła na komendanta, była zła na cały otaczający ją świat. Wyszła z pokoju, zamknęła drzwi z większym hukiem, niż zakładała. Ale w tej chwili nic ją to nie obchodziło. Chciała jak najszybciej wydostać się z komendy, aby móc znów normalnie oddychać. Dusila się, nie potrafiła zapanować nad emocjami.

Wybiegła i wsiadła do samochodu. Naprawdę miała problem z oddychaniem. Wyciągnęła swój mały inhalator.

Ulga.

Jechała szybko, jak najszybciej, jak najdalej.

DOROTA MAJ WYSZŁA ZE SZPITALA. BYŁA Z SIEBIE bardzo zadowolona, bo choć nie otrzymała jednoznacznej odpowiedzi, czegoś się dowiedziała.

— Co tam u ciebie? — postanowiła zadzwonić do męża.

— Jeszcze żyję! — Czarny humor Franka zawsze poprawiał jej humor. — Nikczemny zabójca poskromiony?

— Pracujemy nad tym.

Kiedy Dorota wróciła wczoraj późnym wieczorem do swojego domu, mąż od razu rozpoznał, że miała trudny i męczący dzień. Mieszkała daleko od jakiegokolwiek cywilizacji, w samym środku lasu. Dom był skromnie urządzone miejsce kontemplacji — co było nieodzowne dla jej męża, który zajmował się na co dzień pisanem książek. Nie zyskał jeszcze renomy, jego książki nie były bestsellerami, ale to, co robił, sprawiało mu wielką przyjemność. Można to było albo zaakceptować, albo wyśmiać. Ona wybrała pierwszą opcję, choć czasem faktycznie musieli się nagłowić, aby znaleźć pieniądze na opłacenie wszystkich rachunków.

— Jak tam książka? — Dorota dobrze wiedziała, że jej mąż ma właśnie swoje dobre dni, że pisanie idzie mu bardzo sprawnie, ale lubiła słuchać jego głosu i gdyby to od niej zależało, ta rozmowa trwałaby całe wieki. Cieszyła się, że pomimo coraz dłuższego stażu ich małżeństwa w tej materii nic się nie zmienia.

— A dziękuję, już kończę — po drugiej stronie telefonu można było usłyszeć radosny śmiech.

Dorota nie wiedziała, czym jego kolejna książka właściwie ma być. Poprzednie dwie były romansami, które stały się ulubionymi lekturami pań po sześćdziesiątce. Tym razem zapowiadała się powieść dla szerszego grona odbiorców: kontrowersyjna i wulgarna, czyli inaczej mówiąc — zauważalna. Miała się znaleźć w bibliotekach młodych ludzi. Można by uznać, że Franek się sprzedał, bo to nie był do końca jego styl, ale Dorota nie zamierzała mu tego wypominać.

Pożegnali się serdecznie. Bardzo kochała swojego męża. Nie wyobrażała sobie życia bez niego. Byli małżeństwem od siedemnastu lat. Pobraли się bardzo wcześnie i choć początki były trudne, bo Dorota wyjechała do Stanów Zjednoczonych, przetrwali tę rozłąkę i teraz cieszyli się każdą wspólnie spędzoną chwilą. Ze względu na czynniki biologiczne nie mogli mieć dzieci, jednak zdecydowali się na adopcję. Debatowali nad tą kwestią przez długi czas. Mateusz miał w tej chwili dziesięć lat. Był dzieckiem spokojnym, niesprawiającym problemów wychowawczych. Nie miał w szkole żadnych trudności, szybko zaprzyjaźniał się z rówieśnikami.

Dorota i Franek poświęcali mu wiele czasu, ponieważ obawiali się, że jako dziecko z domu dziecka, żyjąc w „innym świecie”, zamknie się, odseparuje od rzeczywistości i, co najgorsze, nie zaakceptuje nowego środowiska. Ale jak dotąd wszystko przebiegało idealnie, a dziecko jeszcze bardziej ich zbliżyło.

Zaczęło się rozpogadzać. I dobrze. Dorota uparcie wierzyła, że jej humor oraz nastrój są bardzo związane z aurą, która ją otacza. Słońce ocieplało wszelkie komórki, krew szybciej przepływała, częściej się uśmiechała.

Komendant ostrzegł ją, że komenda została otoczona przez dziennikarzy. Dorota Maj ceniła wolność mediów, jednak uważała, że to prawo jest przez wielu pismaków nadużywane, tym bardziej że ich praca przeszkadzała w obowiązkach innym, często uniemożliwiając normalne funkcjonowanie.

Zatrzymała samochód kilka metrów dalej. Nie miała munduru, dzięki czemu nikt nie zwrócił na nią uwagi. Wtopiła się w tłum rozwydrzonych ludzi, którzy napierali z całą siłą na drzwi, przy których stał Czynicki. Policjant zauważył ją. Szybko przemknęła, zanim którykolwiek z dziennikarzy uświadomił sobie, co się właściwie dzieje.

— Alprazolam, jak również Tranxene to rzadko używane leki. Ewidencja wykazała, że w ostatnim czasie zabierała je z magazynu jedynie Sylwia Słaboń. Miało to miejsce tydzień temu — Dorota Maj siedziała naprzeciwko Głowali i przedstawiała to, co udało się jej ustalić. — Ogółem dwieście mililitrów Tranxeny oraz sto Alprazolamu. To jedyny taki przypadek w trakcie ostatniego miesiąca.

— Sylwia Słaboń?

Dorota zerknęła po raz kolejny do własnych notatek.

— Według informacji podanych mi w szpitalu jako pielęgniarka ma uprawnienia do brania takich leków. W informacji nie byli mi w stanie podać, komu lek został podany i z jakiego powodu. Taka ewidencja jest prowadzona tylko na indywidualnych kartach pacjentów.

— A kwestia kradzieży? Może ktoś zwyczajnie ukradł pewną ilość leku?

— Też o tym pomyślałam. Zostanę poinformowana od razu, jeśli jakieś niezgodności zostaną wykryte.

— Co z tą Słaboń?

— I właśnie to jest ciekawe. Kobieta z recepcji nie była mi w stanie podać żadnych danych na jej temat. Była zdziwiona, kiedy zobaczyła nieznane nazwisko, tym bardziej że nie pracuje tam aż tak wiele osób.

Głowala przytaknął, jakby otrzymane informacje odpowiadały jego oczekiwaniom.

— Sprawdziła pani mniejsze przychodnie?

— Główny magazyn leków mieści się tutaj, w Lubaczowie. Każda mała przychodnia bierze potrzebne środki właśnie stąd, co również jest ewidencjonowane.

Dorota Maj była z siebie dumna. Komendant serdecznie jej podziękował.

Weszła do pokoju funkcjonariuszy. Sprawdziła, czy jej chromatograf znajduje się w nienaruszonym stanie. Tuż obok stały pudełka z dowodami.

Zerknęła na dwa listy.

Contradictio in se.

Hominis est errare, insipientis in errore perseverare.

Podeszła do Pawła Kownackiego, który przeglądał wiadomości na swoim laptopie. Usiadła na krześle obok. Wyczuła intensywny zapach wody po goleniu.

Kobieta nie powinna się narzucać, bo to automatycznie stawia ją na przegranej pozycji. Czytała o tym w pewnym artykule i uświadomiła sobie, że faktycznie tak jest. Dopóki jest się niedostępnym, okrywa nas aura tajemniczości i jesteśmy potencjalną ofiarą bliższej znajomości męsko-damskiej.

Paweł Kownacki oglądał nagrania z przesłuchań. Jego oczy śledziły każdy ruch przesłuchiwanego. Kiedyś proponowano Dorocie udział w seminarium naukowym dotyczącym modeli przesłuchania oraz metod zadawania pytań. Ostatecznie zrezygnowała z zaproszenia. Wolała używać sprawdzonych metod naukowych, niż polegać na domysłach, często nietrafnych.

Minęło czterdzieści minut. Siedziała bez ruchu, wpatrując się w Okulickiego. Gwałtownie wstała, czym chyba przestraszyła Kownackiego. Chwilę później siedziała przy swoim przenośnym laboratorium. To była ostatnia deska ratunku. Zabrała się do pracy.

Rozdział 18

AGNIESZKA SURMA BYŁA CUDOWNYM DZIECKIEM. Bogaci rodzice dbali o jej prawidłowy rozwój, ale nie rozpieszczali, ucząc, że na wszystko w życiu trzeba sobie zasłużyć. Jednak zdarzył się wypadek, który wstrząsnął opinią publiczną w całej Polsce. Dziewczynka stała się ofiarą pedofila. Był to przypadek jeden z wielu. Teraz była już starsza, tydzień temu obchodziła dwunaste urodziny.

Podobnie jak inne dzieci znaleziono ją siedzącą w szczerym polu. Psycholog próbował dowiedzieć się czegoś więcej, ale żadna z ofiar nigdy nie powiedziała nawet słowa związanego z tym zdarzeniem. Specjaliści wąpili, by ich życie kiedykolwiek wróciło do normalności. Pedofil pozostawił trwałe ślady.

Kamila Trewor ucieszyła się, widząc, jak wiele radości sprawia Agnieszce jazda konna. Terapeutyczne działanie zwierząt na człowieka było już

niejednokrotnie potwierdzone. Każdy uśmiech dziewczynki był szczęściem jej rodziców, ale również Kamili.

Pomysł Michała zdecydowanie poprawiła jej samopoczucie. Kochała niespodzianki, a Michał Rybak był w nich mistrzem. Tylko czy to coś zmieniało? Czy może go pokochać tylko za to, że jest w stanie polepszyć jej humor? Czy istnieje jakakolwiek szansa, aby mogła się w nim naprawdę zakochać?

Kamila lubiła podejmować decyzje pod wpływem chwili, rzadko zastanawiała się nad konsekwencjami. To nie było w jej stylu. Jakim szczęściem jest być kochanym? Gorzej było być kochanym bez wzajemności.

— Pięknie, Agnieszko, pięknie! — krzyknęła do swojej uczennicy.

Dziewczyna uśmiechnęła się skromnie.

Kamila podeszła do swojego wierzchowca. Chciała dogonić Agnieszkę i popędzić w stronę lasu. Nagle usłyszała policyjny sygnał. W stronę stadniny jechały dwa radiowozy. Drzwi się otworzyły.

Zobaczyła lufę pistoletu wymierzoną w swoją stronę.

— Stać, nie ruszać się! Proszę zejść z konia i podnieść ręce!

Serce biło ze zdwojoną siłą. Co się dzieje?

— MARIE, MARIE! — TATA STAŁ PRZY BRZOZIE, czekając, aż jego mała córeczka do niego podejdzie. Marysia przybiegła w podskokach, zostawiając niedbale rowerek, i spojrzała z zaciekawieniem na zwierzątko, które pokazywał jej palcem. Był to mały jeż. Na swoich ostrych kolcach miał zeschnięte liście. Szedł powoli w stronę lasu, z zaciekawieniem przyglądając się obserwatorom.

Potem Marysia wyblagała policyjną opowieść. Usiadła na kolanach ojca i z niecierpliwością czekała na początek.

— Kiedy byłem młody i piękny — tatuś zawsze rozpoczynał swoje historie od tych słów — prowadziłem bardzo trudną akcję policyjną. Było to dla mnie duże wyzwanie. Dostałem broń i szczegółowe dyspozycje. Bałem się.

Marysia uśmiechnęła się. Jej tata nigdy się nie bał. Dobrze o tym wiedziała.

Nic jednak nie powiedziała, żeby mu nie przerywać.

— Ta misja zakończyła się powodzeniem, ale musiałem działać samotnie. Nikt nie mógł mnie zobaczyć, bo mogłoby się to zakończyć bardzo źle — tata chciał wzbudzić większe zainteresowanie, dodał element grozy i tajemniczości. — Bo widzisz, w pracy policjanta trzeba się liczyć z wieloma czynnikami, których nie da się logicznie przewidzieć. Tak było w tym przypadku. Musiałem iść po zakupy. Moją bronią były pieniądze, dyspozycje wydała twoja mamusia, raportem był rachunek. Musiałem naprawdę bardzo uważać. Niejednokrotnie zarzekałem się, że nigdy, ale to nigdy nie będę chodzić na zakupy. Gdyby zobaczyli mnie koledzy, nie potrafiłbym się wytłumaczyć. Twoja mamusia nie dała mi wyboru — słowa te zostały wypowiedziane z wielkim smutkiem i żalem, co jeszcze bardziej rozbawiło Marysię. — Ale udało mi się!

Mocno przytuliła się do swojego taty. Spędzali ze sobą każdą wolną chwilę, jednak mimo to było ich tak niewiele. Po opowieści jak zawsze był czas na morał.

— Cokolwiek będziesz robić, kochana Marysiu, zawsze pamiętaj, że życie jest nieprzewidywalne, nie można zakładać prostych rozwiązań, trzeba być przygotowanym na komplikacje. Człowiek ma zdolność radzenia sobie z problemami. Czasem wystarczy zwykły upór, ale niejednokrotnie trzeba użyć własnych zdolności. Pamiętaj o tym! Kimkolwiek będziesz, biologiem, lekarzem czy historykiem, każda sytuacja ma swoją drugą stronę, którą warto poznać.

Maria Kozielska stała przed drzwiami wejściowymi do szpitala. Zza ciemnych chmur przebijało się słońce, więc postanowiła spędzić chwilę ze swoim mężem w przyszpitalnym parku. W głowie wciąż krążyły jej słowa ojca.

Życie jest nieprzewidywalne.

Kim on mógł być? Czy to kobieta, czy mężczyzna? Kto będzie kolejną ofiarą? Maria była przekonana, że ze sprawą związany jest Władysław Okulicki, ale szczerze wątpiła, aby zrobił to sam. Nie było szans na szybkie przeszukanie jego domu, bo mecenas zablokował nakaz.

No i kwestia listów. Czy można je nazwać wskazówkami? Co właściwie miały jej powiedzieć o mordercy? Że jest rąbnętym wariatem, który pastwi się nad niskim IQ policjantów? Przecież Kozielska miała same piątki w szkole.

Obok niej stanął Marek. Wyglądał już lepiej niż wczoraj. Na głowie nadal

miał opatrunek. To był ich pierwszy wspólny spacer od stuleci. A przecież właśnie tak się poznali. Był maj. Ciepło. A Marek sprawił, że zrobiło się jej jeszcze cieplej. Rozmowa przerodziła się w gesty. Mały pocałunek, delikatne muśnięcie ust, a poczuła w brzuchu latające motyle. Świat zmienił się z dnia na dzień. Do wszystkich się uśmiechała, a i przyszłość ukazywała się w jaśniejszych barwach. Zakochali się. Ona i on. Maria i Marek. Tylko kiedy to było? Tak dawno.

— Przeglądałem swoje notatki — Marek złamał zasadę numer jeden, zaczął mówić o pracy. Ale dzisiaj Marii było wszystko jedno. — Mam zapisany jedynie numer telefonu. Staralem się tam dodzwonić, ale nikt nie odbiera. Nadal nie umiem odpowiedzieć na pytanie, co ja robiłem w tym lesie.

— Dobra! Mów! — Maria widziała, że Marek chce jej powiedzieć o swojej sprawie.

— Ale przecież twoja praca...

— Zostałam zawieszona. Nie masz się o co obawiać — jeszcze się z tym nie pogodziła. Potrzebowała czasu.

— Co się stało?!

Maria opowiedziała mu o rozmowie z komendantem Głowąłą. Marek był wzburzony. Obiecał, że wykona telefon do swojej redakcji i dopyta się, kto zadzwonił z informacją.

Kozielska ponowiła pytanie o sprawę męża.

— Pamiętasz akcję „Chrabąszcz”?

— Masz na myśli tę akcję CBA sprzed dwóch lat?

— Tak. Aresztowano wtedy prezesa tej komercyjnej telewizji. Dawał w łapę Krajowej Radzie w zamian za przyznanie koncesji.

— W czym rzecz? — Maria nie rozumiała, do czego zmierza Marek. — Prezesa aresztowano i teraz czeka na rozprawę. Wobec ówczesnych członków Rady nadal trwa postępowanie.

— Masz rację. Prezes czeka na rozprawę, jednak media nigdy nie

wspomniały o tym, że jest on w szpitalu, w śpiączce. Sądzone, że po prostu unika rozgłosu. — Maria była wstrząśnięta tymi wieściami. — Funkcjonariusze CBA chyba mieli tego dnia za dużo siły — wytłumaczył Marek. — Kiedy wpadli późną nocą do jego mieszkania, przypadkiem go popchnęli, uderzyli w twarz, a teraz są właśnie takie efekty.

— Ale dlaczego media nic o tym nie mówiły?

— I tutaj pojawia się kwestia łapówkarstwa. Albo CBA ich opłaciło, za bardzo duże sumy, albo zainterweniowano wystarczająco wcześnie, aby takie informacje nie przedostały się poza towarzystwo wzajemnej adoracji.

— CBA jest zamieszane w korupcję?! Przecież to brzmi jak absurd! Nikt ci nie uwierzy!

— Dlatego właśnie potrzebuję dowodów. Miałem się z kimś wczoraj spotkać. Z informatorem. Od kilku miesięcy dostawałem anonimy. Mam współnika, któremu tak samo jak mnie zależy na odkryciu prawdy. Dotarłem do kilkunastu podobnych przypadków. To naprawdę wygląda poważnie. Płacili kilkudziesięciu osobom za milczenie. Chcę ich dopaść, porozmawiać, dowiedzieć się więcej i rozpocząć własną ofensywę.

— Czy włamałeś się w poniedziałek do tartaku Okulickiego? — Maria w końcu zadała pytanie, które tak bardzo ją nurtowało. Odpowiedź Marka była negatywna. Wierzyła mu. — Będę cię wspierać — Kozielska zdawała sobie sprawę, że jeśli to wszystko wyjdzie na jaw, rozpocznie się wojna. Przytulili się. — Wieczorem przygotuję kolację, zaproszę mamę!

Marek miał wyjść ze szpitala za kilka godzin. Pożegnali się. Postanowiła, że spróbuje się czegoś więcej dowiedzieć o poszukiwanym zabójcy. To był chyba jedyny sposób, aby oczyścić się z podejrzeń. Nie wiedziała, od czego zacząć. Może obejrzy po raz kolejny nagrania z przesłuchań? Włamanie się do domu Okulickiego nie wchodziło w grę. Wtedy już na pewno pożegnałaby się z karierą w policji.

— Szczęść Boże! — to ksiądz Jan przeszedł obok Marii.

— Szczęść Boże! — zdziwiła ją jego obecność. — Cóż wikarego sprowadza do szpitala?

— Odwiedzam chorych — ksiądz nerwowo zacisnął ręce i pogładził się po

szy. — Szpital nie zatrudnia psychologa, a pacjenci potrzebują rozmowy, otuchy. Czasem muszę udzielić ostatniego namaszczenia — ich wzrok się spotkał. — Proszę się uśmiechnąć! Zapowiadają na jutro lepszą pogodę!

Maria nie miała nastroju na uśmiech, jednak wysiliła się na mały grymas. Pożegnała się i popędziła w stronę szkoły, żeby odebrać Jasia.

Przynajmniej księdza mogła wyrzucić z kręgu podejrzeń. Zgadzała się z Pawłem Kownackim, że taki nerwus jak on nie miałby szans zabić bez śladu. W rzeczywistości jednak zabójcą mógł być każdy. Pani w kiosku, która powiedziała jej „dzień dobry”, gdy przechodziła obok. Złota rączka Stefan, który pokiwał jej z rusztowania na trzecim piętrze. Nawet nastolatek czekający na przystanku na przyjazd autobusu. Zastanawiała się, czy ochroniarz z tartaku kiedyś się do niej odezwie. On wiedział więcej — nawet jako funkcjonariuszka posiadająca jedynie podstawową wiedzę z kinetyki była tego pewna. Do tartaku nie było sensu wracać. Nie wpuściliby jej, tym bardziej że nie miała odznaki.

Zadzwonił jej telefon.

— Marysiu! — zdziwiła się, gdy usłyszała głos męża. — Zapomniałem ci powiedzieć... Może to nie jest ważne, ale... uważaj!

Miała tego dość. Już druga osoba w trakcie dzisiejszego dnia kazała jej na siebie uważać: najpierw Głowala, teraz jej mąż. O co im chodzi? Przecież nie jest małą dziewczynką.

— Pod tym numerem w moim notatniku mam zapisane pewne nazwisko. Nie mam pojęcia, dlaczego tam jest, staram się sobie przypomnieć, cokolwiek...

— Kto?! — zaniepokoiła się.

— Komendant Głowala.

Z pamiętnika filozofa

Choć jest ta pani, dzisiaj jej biel przykryta jest szarością. Choć jest ten pan, który stara się przekazać własną radość innym, ja czuję się samotny. Jestem sam.

Człowiek codziennie dokonuje wyborów. Tylko jak sprawić, by nie miały

one negatywnego wpływu na naszych bliskich, naszych przyjaciół? Żeby ostateczny efekt był taki, jak chcieliśmy?

Jak trudno się zdecydować. A przecież zwykle wystarczy jedno słowo. „Tak” lub „nie”. Decyzja należy do ciebie.

Ja podjąłem decyzję, ale teraz jestem sam. Może to i lepiej. Biegnę po pięciolinii, nie mijając żadnych nut. Ścigam się na bieżni z własnym cieniem. Z jakiegoś powodu zawsze przegrywam. Choć na początku wszystko wygląda pięknie, aż chce się żyć, potem dostrzegamy, że brakuje kogoś, kto popchnąłby nas do mety. Brakuje przyjaciela. Jestem samotny i wstydzę się tego.

Dajcie mi dziewczynę. Niech mnie pocałuje, utuli do snu. Zgodzę się nawet na dobranockę, zniosę ten niczym nieokiełznany fałsz.

Dajcie mi siostrę. Niech się ze mną użera, pokazuje, że jest lepsza i lepsza, niech pożyczy pieniądze, które ledwo co wystarczą na lizaka, a następnie domaga się o zwrot z odsetkami rosnącymi każdego dnia.

Dajcie mi kata, który dynamicznie i rytmicznie będzie chodził wokół mojego cielska zgodnie ze wskazówkami zegara, odmierzając sekundy do śmierci.

Dajcie mi wreszcie syna, abym umierał ze świadomością, że jednak byłem coś wart, że jednak coś po sobie pozostawiłem, że taki cham, dziwolak i destruktor ma następcę.

Przydałoby się jeszcze słońce, aby oświetlało drogę jasną smugą światła, żeby prowadziło mnie w miejsca jasne, pełne nadziei i dobra, pełne owoców i wina.

Ktokolwiek. Cokolwiek. Jakkolwiek. Byle nie samotność. Bo to czynnik zabijający.

A gdyby to, co się wokół nas dzieje, to, co widzimy, słyszymy, wachamy, okazało się jedynie snem? Snem, z którego nie potrafimy się wydostać, a rozbudzenie pozostaje jedynie abstrakcją? Czyż to nie zabawne podejście do naszej rzeczywistości? W takim rozrachunku to, co tutaj piszę, jest jedynie imaginacją, którą w przyszłości przeczytają wyłącznie wyimaginowane przeze mnie ludzkie stwory. Ale nie ma innych. Jestem tylko ja i mój sen. Czy to pesymizm? Raczej optymizm. Podejście do świata, jakiego jeszcze nie było. Podejście do stanu rzeczy, które nigdy nie śniło się człowiekowi, ale właśnie mi się śni. Ten głupi wyścig

szcurów, ubieganie się o pracę, o naukę, podrywanie dziewczyny, naprawianie błędów, szukanie rozrywki, wypadki, niepowodzenia. To jedynie nic nieznacząca imaginacja, która w każdej chwili może zostać zmieniona. Przecież zaraz ci się przyśni, że idziesz spać, ale potem znów się obudzisz i znów będzie to samo. Możesz zmienić swój świat! Przecież to ty jesteś kreatorem swojego życia. Stwórz własny model. Tego lubisz, tego nienawidzisz, tego kochasz, a ten ci jest obojętny. A teraz podstawiasz. Henryk, Basia, Dominika, Cyprian. I zaczynamy od zera.

Mądrość można kupić — wystarczy znaleźć dobry sklep. Nie nauczysz się jednak rozróżniać fikcji propagowanej przez otaczający nas świat od prawdy, która zastygła pod polewą codziennych kłamstw. To fikcja. Promocje, słowa, litery i gesty. Wszystko można zmyślić. Wada tego świata z drugiej strony jest zaletą. Mamy szansę brać udział w tym widowisku fałszu. Możemy stać się aktorami, nie kończąc żadnej elitarnej szkoły aktorskiej. „Tak, Kocham cię!” — możesz to powiedzieć bez mrugnięcia okiem, po chwili obrócić się i powiedzieć to trzem innym osobom, rozbudzając ich uczucia i licząc na naiwność. Możesz, ale nie musisz. Możesz tak jak ja schować się pod kapeluszem ciekawości. Spoglądać-oceniać — próbować coś zmienić. Nie mówić, bo źle zaakcentowane słowo może się stać początkiem konwersacji, która w następstwie jest źródłem fałszu.

Odkryj prawdę. Czasem wystarczy otworzyć oczy.

Rozdział 19

ONA BYŁA PIĘKNA. PAWEŁ KOWNACKI UBOLEWAŁ nad śmiercią swojej żony. Wyrzuty sumienia nie przeszkadzały mu jednak obserwować kątem oka biustu Kamili Trewor, uwydatnionego obcisłym seledynowym topem. No bo przecież po co ubierała taką bluzkę, po co malowała twarz, robiła cienie pod oczami, czesała włosy? Wszystko musiało mieć inny powód niż własna satysfakcja lub rutyna.

Nie, ona nie mogła być zamieszana w tę sprawę. Kownacki był o tym przekonany.

— Czy ma pani jakiegokolwiek przypuszczenia, jak ta papeteria mogła się znaleźć w rękach zabójcy? — zapytał.

— Ależ panie profesorze! — Paweł Kownacki lubił, gdy zwracano się do niego w ten sposób. — Naprawdę nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

Wszystko to było możliwe dzięki Dorocie Maj. Jej pomysł był znakomity. Po obejrzeniu filmu z przesłuchań dostrzegła pewne uchybienie w swoich badaniach. Słowa Okulickiego, że *contradictio* w języku łacińskim faktycznie oznacza odwrotność, podsunęły jej pomysł, że należałoby zbadać rewers kartek. Dzięki sprzężonemu cyjankowi wodoru w skroplonej postaci na obu listach ukazała się podobizna konia. Żeby to odkryć, wystarczyło spojrzeć na kartkę pod światło. Było to zwykłe zgrubienie, częste na firmowej papeterii, zwykle produkowanej na specjalne zamówienie. Internet przyniósł natychmiastowy rezultat. Emblem konia, który uwidocznił się po badaniu przeprowadzonym przez Dorotę Maj, był logo stadniny koni, której współwłaścicielką była Trewor.

Kamila siedziała w pokoju funkcjonariuszy. Wokół niej zgromadziła się większa grupa policjantów.

— Kto ma dostęp do tej papeterii? — wtrącił się do rozmowy komendant.

— Wszyscy. Wypisujemy na niej krótkie notatki, drukujemy faktury, dyplomy, ogłoszenia i ulotki.

Paweł nie miał pojęcia, co się właściwie dzieje. Sprawa komplikowała się coraz bardziej.

Contradictio in se. Poszlaka związana ze stadniną była kolejną tajemnicą. Wyglądało na to, że Kamila Trewor jest po prostu piękną kobietą, która przypadkiem została wmieszana w bardzo zawiłą sprawę.

— Jest pani na liście potencjalnych klientów mecenasa Władysława Okulickiego. Dzwoniliśmy do pani dzisiaj rano.

— Zdziwiłam się, słysząc to pytanie. Ten Okulicki, czy jak mu tam właściwie jest, zadzwonił do mnie jakiś miesiąc temu. To była krótka rozmowa. Odpowiedziałam, że nie jestem zainteresowana, później już się nie kontaktował.

— Czy w ostatnich dniach zdarzały się pani jakieś dziwne przypadki? Może jakieś groźby? — Paweł Kownacki miał świadomość, że jego pytanie zmierza donikąd. Każdego dnia człowiekowi przydarza się tysiące dziwnych historii, których często nie można wyjaśnić logicznie, choć odpowiedź zawsze brzmi tak samo.

— Nie, panie profesorze.

Przeprosili za pomyłkę. Paweł pamiętał przypadki, kiedy policja była zmuszona prawomocnym wyrokiem sądu wypłacić wysokie odszkodowania za wysunięcie podejrzeń, które okazały się błędne.

Gdzie jesteś, Mario? Bardzo ją polubił i szczerze się zmartwił, gdy dowiedział się, co się właściwie stało. Była dobrą towarzyszką, bardzo spostrzegawczą. Próbował do niej dzwonić, ale do tej pory bez powodzenia.

Otworzył swojego laptopa. Jak zawsze to samo. Niezliczone zaproszenia na bardziej lub mniej nudne sympozja, w których udziału „ze szczerą przykrością” będzie musiał odmówić. Nie lubił robić dwóch rzeczy naraz. Wedle jego koncepcji organizm człowieka najlepiej działał, kiedy miał do wykonania tylko jedno zadanie. Kolejne sprawiało, że człowiek się rozpraszał, a niespójność nie sprzyjała korzystnemu efektowi.

Spojrzał jeszcze raz na nagrania z przesłuchań. Uzupełnił swoje notatki. Było tam wszystko. Z pozoru słowa, które nie miały większego sensu, pierwsza myśl, z biegiem czasu weryfikowana. Ocena w pigułce.

No i profil przestępcy. Właśnie dlatego został tutaj sprowadzony, a do tej pory nie miał czasu się tym zająć. Nie miał nic przeciwko prowadzeniu przesłuchań. Mógł zmierzyć się oko w oko z potencjalnym przestępcą, wykorzystać swoją wiedzę kinetyczną. Patrząc na twarze ludzi zgromadzonych w pokoju, uświadamiał sobie, że człowiek faktycznie jest otwartą księgą. Komendant był zdenerwowany, zafrasowany, pełen lęku, obaw i swoistego protekcjonalizmu, jak na komendanta nie przystało. Ach, no i to zmęczenie, czerwone oczy, nieuczesane włosy. Brakowało mu kobiety.

Dorota Maj. Była trochę zaniepokojona. A przecież wykonała perfekcyjnie swoją pracę. Znalazła coś, co mogło przyczynić się do rozwiązania zagadki zabójstwa. Doprowadziła jednak do dopisania kolejnego podpunktu do listy oznaczonej hasłem: „poszlaki, które powodują, że policja nadal nie ma pojęcia, z kim ma do czynienia”.

Do pokoju wszedł Franciszek Aleszkiewicz. W ręku trzymał neseser. Musiał tam nieść coś bardzo ciężkiego, ponieważ jego sylwetka była przechylona. Kownacki trzymał dystans do wszelkich szefów, kierowników, samozwańczych władz. Aleszkiewicz był typem człowieka bardzo pewnego siebie, który traktował

samego siebie jak boga, uważał, że tylko jego słowo się liczy. Sytuacja go chyba przerastała. Komendant nie pozwolił na pełne przekazanie sprawy specjalistom z Warszawy, co widocznie ich rozzłościło. Trudna sytuacja odsuwała na bok wszelkie zmiany personalne, więc pozycja Głowali była na razie niezagrożona — do czasu zakończenia dochodzenia.

Kolejny raz zadzwonił do Marii. Brak odpowiedzi. Gdzie ona się podziewała?!

Miło się z nią rozmawiało. Po raz pierwszy miał odwagę powiedzieć komuś o swojej zmarłej żonie. Rozmawiając z Kozielską, czuł, jakby znali się co najmniej od kilku lat. Nawet jeśli sprawa dobiegnie końca, nie chciałby tracić z nią kontaktu.

Kownacki widział w jej oczach wielką miłość do męża i syna. Nie miałby nic przeciwko, żeby takie uczucie żywił ktoś do niego. Każda chwila spędzona z jego Julią była wielkim szczęściem, którego nie dało się oddać w fotografii czy pamiętniku. Te chwile były wyłącznie ulotnym wspomnieniem, które leżało gdzieś na dnie serca i czekało na rozbudzenie.

Czas rozpocząć plan B.

JESZCZE WCZEŚNIE. ZA WCZEŚNIE. ALE ON chciałby mieć wszystko za sobą. Czy da radę? Przecież był w tym naprawdę dobry. Początkujący, ale szybko się uczył. A przynajmniej tak mu się wydawało. Każdy szczegół miał dopracowany. Nic nie mogło go zaskoczyć.

Zmieszał Alprazolam i Tranxene. Pod światłem dokładnie zobaczył, jak dwie substancje się przenikają. Czysta chemia. Spojrzał na swoje zbiory. Tyle tu pamiątek, zdjęć, obrazów. Wolał nawet nie zerkać na swojego kochanego chłopczyka, bo znów nie mógłby oderwać od niego wzroku.

Podszedł do lustra. Czas zmienia człowieka. Był ciekaw, czy zostanie rozpoznany, czy ona do niego jeszcze coś czuje. Ale musiał być cierpliwy. Miał czas.

Wyszedł. Kłaniał się przechodniom, a oni odwzajemniali uśmiechy. Mogli się tylko domyślać jego historii.

W stronę Weroniki Cezar. W stronę kolejnej ofiary. Spostrzegł radiowóz. Zdziwienie. Ale wszystko zgodnie z planem. To nie była żadna przeszkoda. Nie

wiedzieli, gdzie zaatakuje, a potencjalnych ofiar było zbyt dużo. To nie zmieniało faktu, że musiał uważać. Przecież był tylko częściowo niewidzialny.

Pusto. Próżno szukać żywej duszy. Miał nadzieję, że wieczorem będzie równie spokojnie. Zastanawiał się, czy Weronika będzie krzyczeć. Nigdy nie wiadomo, gdy człowiek stawał w obliczu śmierci.

Rozdział 20

JASIO NIE LUBIŁ, GDY JEGO MAMA BYŁA SMUTNA. Może był niegrzeczny, może powiedział coś nie tak, może za dużo siedział przy komputerze, a może wychowawczyni w szkole na niego naskarżyła? Ale przecież przez ostatni tydzień nie dostał żadnej nagany. A może coś nie w porządku z tatą? Podobno się przewrócił. Dzisiaj miał wrócić do domu, ale nigdy nie wiadomo, jak to z tymi dorosłymi. Jasio nie chciał być dorosły. Dzieciństwo miało własne przywileje i chciał z nich korzystać, cokolwiek to oznaczało. Rówieśnicy niejednokrotnie przebierali się w ciuchy swoich rodziców, palili paluszkowe papierosy. Byłe wyglądać jak dorośli.

Popatrzył na mamusię. Rzadko przyjeżdżała odebrać go ze szkoły i zwykle tę drogę pokonywał pieszo. Biegiem, żeby jak najszybciej włączyć komputer. Widząc, jak wskazówka szybkościomierza sięga setki, zdziwił się. Kto jak kto, ale jego mama zawsze starała się jechać przepisowo, co rozśmieszało jego tatę: „Przecież masz kolegów w drogówce!”.

— Mamo! Ostatnio wydarzyło się coś dziwnego — Jasio miał kłopot. Chciał porozmawiać o tym wczoraj, ale ze względu na wypadek taty przełożył to na dzisiaj.

— Uważaj na siebie w domu. Zaraz przyjdzie babcia i zrobi ci obiad. A wieczorem uroczysta kolacja!

Mama wysadziła go przed wejściem do domu, nie zważając na jego słowa. Odprowadził wzrokiem samochód, który nabierał coraz większej prędkości.

— WSIADAJ I NIC NIE MÓW! — MARIA SPOJRZAŁA na zdeorientowanego Roberta.

Ruszyli przed siebie. Kozielska porwała kolegę ze służby. Robert wykonywał pewne czynności na polecenie komendanta. „Wykonywał pewne

czynności” było łagodnym określeniem pracy kuriera — przewoził dowody w odpowiednie miejsca, odbierał dokumenty. Maria potrzebowała go w tej chwili bardziej.

Doszła do wniosku, że znalezienie zabójcy jest szukaniem igły w stogu siana i lepiej będzie zająć się rzeczami, które mogą przynieść jakiś wymierny efekt. Potrzebowała osoby z odznaką i bronią, dlatego pomyślała o Robercie. Chciała wrócić na miejsce pobicia Marka. Może udałoby się jej znaleźć jakiś zaginiony dowód. W notatkach sporządzonych przez policjantów, którzy byli tam wczoraj, były tylko dane dotyczące szerokości i długości geograficznej. Ze względu na rozległe tereny, położenie geograficzne było najbardziej szczegółowe i jednoznaczne. Marka pobito w lesie, nie było w okolicy żadnej ulicy, a teren nie należał oficjalnie do żadnej miejscowości.

Jako policjanci mieli zarówno prawo, jak i obowiązek zbadać miejsce przestępstwa. Robert był jej potrzebny również dla zapewnienia bezpieczeństwa. Maria nie miała pojęcia, co może ich spotkać w ciemnym lesie.

— Jak właściwie wygląda sytuacja z tym morderstwem? — kolega przerwał ciszę. — Słyszałem o jakimś liście od zabójcy. To prawda? Nie mam nic przeciwko temu, że mnie porwałaś, ale chciałbym w zamian trochę informacji.

Maria opowiedziała mu o wydarzeniach ostatniego dnia. Streściła przesłuchania oraz opinię księdza Jana.

— Znam go. Jest wikarym w Lubaczowie. — Maria pokiwała, słysząc słowa Roberta. — Mało wiem na temat starożytności, a tym bardziej o Egipcie w okresie Hyksosów. Mogę poczytać w wolnym czasie.

— Historia, historia... Może my się skupiamy nie na tym, co najważniejsze? — spytała Kozielska z pewnym zażenowaniem.

— Co masz na myśli? Chodzi ci o to, że zastanawiamy się nad tym, co morderca miał na myśli, wysyłając list, a to tylko zasłona dla jego rzeczywistych celów?

Dokładnie tak było. Ludzie wokół niej cały czas stawiali znaki zapytania. Brakowało konkretów, które mogły doprowadzić do zabójcy. Liczyła na to, że Robert spojrzy na sprawę z innej strony.

— Wziąwszy pod uwagę słowa księdza Jana, kolejny cel będzie sprawdzianem jego siły. — Kozielska spojrzała na niego, unosząc wysoko brwi. — Skoro zakładamy, że morderca nawiązuje do starych tradycji egipskich, będzie chciał pokazać swoją odwagę, siłę, spryt i zdecydowanie — wyjaśnił Robert. — Można by popatrzeć na to właśnie w takich kategoriach.

— Co masz na myśli?

— To, że morderca będzie dobierać ofiary w kategoriach samosprawdzenia się i ukazania odpowiednio swojej odwagi, siły, sprytu i zdecydowania. Na przykład, żeby pokazać własną siłę, wybierze mężczyznę, który jest atletą. Pokonanie go udowodni jego wielką moc.

Może to faktycznie był jakiś trop? Dobry tak samo jak wszystkie pozostałe.

— Kojarzysz z lekcji historii kardynała Richelieu?

Znowu ta historia. Nie, Kozielska nie pamiętała nikogo takiego. Nazwisko obilo się jej o uszy, ale nie wiedziała nawet, do jakiego okresu go przypisać. Droga była daleka, więc kiwnęła głową na znak, żeby kontynuował.

— Cieszył się on wielkim prestiżem. Sprawował regencję w czasach małoletności Ludwika XIII, a następnie doradzał mu we wszelkich sprawach. Wnikliwi historycy twierdzą, że to on w rzeczywistości władał monarchią absolutną we Francji na początku XVII wieku. Ludwik XIII zabawiał się w nowo wybudowanych dworach na licznych balach, zdradzając swoją żonę z coraz to nowymi kochankami. Wspominam o Richelieu, bo wydaje mi się, że nasz morderca postępuje podobnie. Wszyscy odnosili się do prawej ręki władcy z wielkim respektem, nie tylko ze względu na jego stanowisko w hierarchii kościelnej, ale również jego zachowanie. Ponieważ od niego zależało prawie wszystko, układał plan, tak żeby pokazać swoje najlepsze strony. Trudno znaleźć w książkach cokolwiek o wadach kardynała. Można przypuszczać, że był człowiekiem bez skazy. Krążyły plotki, że miał problemy reumatyczne. Już po czterdziestce, żeby chodzić, potrzebował laski. To kardynał Richelieu inaugurował wszelkie zawody i spotkania, a zawsze chciał pokazać się z jak najlepszej strony. Był znakomitym strzelcem. Na próżno szukać w literaturze historycznej wzmianek, aby w tym okresie odbywały się jakiegokolwiek turnieje sportowe. Jednak polowania i zawody strzeleckie były na porządku dziennym. Plotka głosi, że kiedyś na polecenie Ludwika XIII kardynał zaprosił rosyjską filharmonię. Orkiestrze towarzyszył chór. Poproszono go, aby coś zaśpiewał. Z jego gardła wydobyły się

tak straszliwe fałsze, że cała sala wybuchła śmiechem. Od tego czasu nie miało miejsca żadne podobne wydarzenie. Balom dworskim towarzyszyły jedynie teatry pełne nudnych monologów i przypowieści.

Robert zaczerpnął powietrza. Maria miała świadomość, że ten chłopak mógł tak wiecznie, bez przerwy, byle miał komu. Nie miała już na to siły, to była niekończąca się historia.

— Wydaje mi się, że podobnie jest z naszym przestępcą — chłopak chyba nie zauważył jej ziewnięcia. — Nie zrobi nic, co mogłoby ukazać jego wady. To on gra swoją sztukę, w której jest mistrzem. Takie podejście do sprawy daje nam dużo wskazówek. Użył strzykawki, którą ze względu na powszechność dostępu łatwo mu było zdobyć. Sam nie zrobił zastrzyku, zrobiła to jego ofiara. Wygląda na to, że znał Wójcik, dzięki czemu nie miał problemu z wejściem do jej domu. Jeśli chodzi o motyw, jest wiele opcji. Może to być zazdrość, gniew, chęć zemsty. Gorzej, jeśli chodzi tu o samo sprawdzenie się i udowodnienie sobie czegoś.

— Robert — Maria zamyśliła się nad słowami swojego młodszego kolegi — jak zginął Richelieu? Przecież na pewno miał wrogów, na pewno próbowano pozbawić go władzy. Gdzie mamy szukać wad naszego mordercy? Jak możemy się go pozbyć?

— Kardynał Richelieu umarł ze starości. Oczywiście były próby zamachu na jego życie, ale wszystkich ubiegł, wszystkich przechytrzył. Później jego rolę przejął kardynał Mazzarini. Musimy znaleźć jakieś wady naszego zabójcy. Na pewno popełnił jakiś błąd. Jest świadomy swoich zalet i wykorzystuje je, musimy na wszystko spojrzeć z innej strony.

Znajdowali się na wąskiej leśnej drodze, podobnej do tej, jaka prowadziła do tartaku. Opony zagłębiały się w podmokłą glebę. Maria bała się, że jej niewielki samochód wkrótce się zakopie. Pomyślała o dużym wozie terenowym Pawła. Chyba wołała intymnie rozmowy z nim niż historyczne opowieści Roberta, które — choć ciekawe — były nadal jedynie gdybaniem, a nie podpartą argumentami teorią. Zatrzymała wóz.

— Dalej idziemy pieszo — mówiąc to, rzuciła Robertowi halogenową latarkę.

„Byle baterie wytrzymały” — pomyślała w duchu. Wzięła GPS. Współczyła Robertowi, który nie miał na sobie nieprzemakalnej kurtki. Maria

zabezpieczyła się na taki wypadek. W jej przypadku gorzej było z adidasami, które już na wylot przemokły, choć zrobiła dopiero kilka kroków.

Panował półmrok, pomimo że było dopiero wczesne popołudnie. Maria miała nadzieję, że uda im się wrócić, bo już dawno straciła z oczu swój samochód.

Komendant Głowala. Czy mógł być zamieszany w aferę korupcyjną? Na jaki właściwie trop wpadł jej mąż? Pracowała z komendantem od kilku lat i kiedy stanął na czele posterunku w Lubaczowie, cieszyła się szczerze z jego awansu. Był to człowiek z klasą oraz historią, sporo przeżył. Kozielska niewiele wiedziała o jego przeszłości. Słyszała tylko plotki, na których wołała się nie opierać przy wydawaniu własnych opinii o ludziach. Jeżeli faktycznie był zamieszany w gry na szczeblach politycznych, czy dzisiejsze zawieszenie było przypadkowe? Komu mogła zaufać? Pawłowi Kownackiemu? Ledwo go znała. Bardziej był materiałem na przyjaciela niż człowiekiem, który może jej pomóc w rozwikłaniu zagadki.

GPS wskazywał, że znaleźli się na miejscu. Na bluszczu dostrzegła blask. To lampa halogenowa, którą trzymał Robert, odbijała się od jakiejś substancji. Podeszła bliżej.

Krew. Bardzo możliwe, że jej męża. Jeszcze nie do końca zakrzepła, co było dość dziwne. Może bluszcz wydzielal jakieś substancje — warto sprawdzić. Maria kiwnęła Robertowi, aby poświecił po ziemi. Odciski butów. Policjanci zapewne nie zabezpieczyli odpowiednio terenu. Najpierw przybiegli sanitariusze, a dopiero później zrobiono pobieżne oględziny. A w tak rozmokłej glebie dobrze widać każdy odcisk. Kozielska spojrzała w głąb. Ciekawe, z której strony przyszedł tu jej mąż. Ciekawe, z której strony przyszedł napastnik.

Poszła kilka metrów dalej. Usłyszała trzask łamanej gałęzi. Szybko się odwróciła. To Robert nadepnął na gałąź. Przeprosił, unosząc prawą rękę. Z ust Marii wydostawała się para. Było chłodno, a nad ziemią tworzyła się warstwa mgły. Korony drzew nie przepuszczały deszczu, tylko co jakiś czas spadały większe krople. Nie chciałaby być tutaj sama. Dobrze, że miała Roberta. Schyliła się. Coś zobaczyła. Kawałek materiału. Zabrudzony. Mógł leżeć tutaj od wielu lat, ale równie dobrze stanowić część ubioru napastnika. Maria nie widziała dokładnie koloru, ale wydawało jej się, że to granat. Wsunęła go do kieszeni.

Poczuła oddech na szyi. Odwróciła się. To Robert był tuż za nią.

— Nie strasz mnie tak! — cała drżała.

— A co, gdybym to ja był mordercą? — Robert delikatnie obniżył ton głosu.

Maria wyśmiała go. Wiedziała, że kolega ma specyficzne poczucie humoru, ale to nawet nie było śmieszne.

— Doprawdy?! — rzucił Robert w odpowiedzi na jej śmiech. — Bo jestem za młody? Mogę być w tym wieku jedynie chłopcem na posyłki? — Kozielska nie rozpoznawała jego głosu. Nie wiedziała, co się właściwie dzieje.

Zrobił krok w jej stronę. Jego oczy lśniły.

— Wszyscy jesteście popierdoleni. Wciąż tylko: Robert zrób to, idź tam. Nie dostrzegacie żadnych moich zalet. Chciałem pokazać, że coś potrafię, że można na mnie liczyć. Przecież była wam potrzebna każda możliwa pomoc. Wysłaliście mnie, żebym woził dowody! No rzesz kurwa!

— Ale Robert! O czym ty w ogóle mówisz?! — nie poznawała jego języka.

— Mówię, że to ja jestem mordercą, poszukiwanym przestępcą. Ale przecież Teresa sama chciała tego zastrzyku. Suka. Ja nic złego nie zrobiłem, a ty jesteś moją kolejną ofiarą!

Kozielska nie wiedziała, co robić. Wszystko mąciło się jej w głowie. Co się tutaj właściwie działo?! W najśmielszych domysłach by nie przypuszczała, że to Robert może być zabójcą. Nie miała gdzie uciec, swoją broń musiała oddać. Mogła biec, ale jej kondycja nie dawała szans na wygraną z tężyzną Roberta. Wołanie nie przyniosłoby żadnego skutku, a mogłoby jeszcze bardziej go rozwścieczyć. Obok niej stał w tej chwili zupełnie obcy mężczyzna. Nie rozpoznawała w nim swojego młodszego towarzysza służby. Postanowiła przedłużyć rozmowę.

— Zatem chcesz mnie zabić, tak? Jak? — jej błąd. Gdyby nie dramatyczna sytuacja, w jakiej się znalazła, zapewne wylaby się na ziemi ze śmiechu.

— Naprawdę chcesz wiedzieć, kurwo?! — Robert zaczął krążyć wokół Marii niczym wilk osaczający owieczkę. Zatkalo ją. — Długo się nad tym zastanawiałem. Wiecznie byłaś taka oddana służbie. To zawsze twoje zdanie miało priorytet, nigdy nie dałaś mi decydować. Zawsze tak, kurwa, spokojnie, co nie? Chciałem pokazać, na co mnie stać. Pieprzone konkursy strzeleckie i sportowe

zawody miałem głęboko gdzieś, tym bardziej że nie przynosiły mi żadnych korzyści. Teresa Wójcik była nikim, tak samo jak ja. Taka sama suka jak ty! Przynajmniej po śmierci doczekała się chwili uwagi. Nasze życie właśnie takie jest, droga Mario. Nieprzewidywalne, kurwa.

Straszne.

— Kiepski motyw na zabójstwo — też chciała przeklinać, poprawność polityczna przestała mieć teraz znaczenie.

— Ależ Mario, droga Mario! Kurwo! — podszedł i złapał ją za szyję. Stała nieruchomo. — Pewnie myślisz, że jestem taki głupi. Wszystko już wymyśliłem. Zabójca cię zaatakował. Jako pierwszy zjawiłem się na miejscu przestępstwa. Zabezpieczyłem ślady i miejsce.

Maria żałowała, że nie ma przy sobie dyktafonu. Słowa Roberta dochodziły do niej zniekształcone. Miała mętlik w głowie. Skupiała się na oddychaniu.

— Jutro aresztuję przestępcę. Będzie to ktoś przypadkowy, ktoś, kto popełni samobójstwo — szyderczy śmiech odbił się echem po głuchej puszczy. — Będzie przy nim list wydrukowany na tym samym papierze, tym samym tuszem, z tym samym znakiem CIS. Ludzie będą mi gratulować, na pewno mnie awansują i odznaczą — mówił z patosem.

— Tego właśnie chcesz?! Sławy? Awansu? — prychnęła Maria. Zaczęła się rozglądać za jakąś ostrą gałęzią, która mogłaby jej posłużyć jako broń.

— Niech zobaczą nieudolność komendanta. Dopóki był tutaj spokój, radził sobie, ale w obliczu zbrodni nie daje rady. Przecież zginął funkcjonariusz policji. — Maria nie mogła uwierzyć, że mówi się o niej w czasie przeszłym. — Starszy pan musi iść, kurwa, na emeryturę, zastąpi go świeża krew.

Schyliła się, ugięła kolana.

— Hej! Wstań, kurwa! Nie kombinuj! — Robert był wściekły.

Ale to małe kucnięcie wystarczyło Kozielskiej. W momencie gdy mężczyzna skoczył na nią, rzuciła w jego kierunku garść kory, którą zebrała, schylając się.

Zaczęła biec. Usłyszała kolejne przekleństwa. Nie zatrzymywała się. Już dawno straciła orientację. Za plecami usłyszała kpiący śmiech Roberta. Chyba się z nią bawił. Krople deszczu spadały na jej głowę, ostre krzaki rozdarły jej kurtkę. Zaczęła się dusić. Inhalator zostawiła w samochodzie. Nie miała szans do niego dobiec, tym bardziej że nie miała pojęcia, gdzie się teraz znajduje. Łzy napłynęły jej do oczu. Uderzyła ramieniem o konar drzewa, którego nie zauważyła. Niewiele brakowało, a przewróciłaby się. W głowie miała pustkę. Nie wiedziała, gdzie jest Robert. Może ją wyprzedził i czeka, aż wpadnie w jego ręce? Czemu nie użył broni? Pewnie wymyślił dla niej inny sposób śmierci. Dlaczego chciał ją zabić? Przecież zawsze starała się być dla niego dobra.

Zastrzyk energii. Oddech stawał się coraz szybszy i płytszy. Maria poczuła, że serce wyrywa jej się z piersi. Mięśnie przestawały reagować na impulsy wysyłane przez mózg. Prędej! Szybciej! Nie wiedziała, jak długo będzie biec. Może minutę, może dziesięć. Nagle poczuła, jak tysiące igieł wbija się w jej ciało. Upadła z łoskotem na mokrą ziemię. Dusila się.

Przed oczami miała tylko ciemność.

Rozdział 21

STRASZNE. NAPRAWDĘ STRASZNE. DOROTA NIE mogła uwierzyć, że takie rzeczy się zdarzają. To był ciężki dzień. Teraz wracała do domu. To niebywałe, ale wydawało jej się, że komendant zwyczajnie się poddał. Pozwolił jej wracać do rodziny. Wstrząsnęły nim wiadomości z ostatnich godzin. Powiedział, że będzie dzwonił wieczorem, gdyby doszło do kolejnego zabójstwa. Dorota nie potrafiła dopuścić do siebie myśli, że teraz będą jedynie czekać na kolejny krok zabójcy.

Oszukiwała się, że może nic się nie wydarzy, że może to jedynie paranoja chwili. Przecież to wszystko nie miało sensu. Przecież takie rzeczy się tutaj nie dzieją.

Biedna Kozielska. Biedny jej mąż. Miała nadzieję, że wszystko będzie już w porządku. Na szczęście Maria przeżyła. Może gdyby Robert złapał ją kilka minut wcześniej, już by jej nie było. Zdziałała chemia. Dorota Maj niejednokrotnie słyszała o psylobicynie. Był to lek stosowany przeciwko nowotworom, o silnym działaniu halucynogennym. Lekarze doszli do wniosku, że właśnie go podano Robertowi. Można tylko domniemywać, że była to sprawka poszukiwanego mordercy. Przesłane podał ten lek dożylnie. Następnie przekazał dyspozycje.

Będąc pod działaniem silnych leków psychotropowych, Robert przyjmował je jako oczywistość. Powiedziano mu, co ma zrobić, jak i kiedy.

Gdyby nie reakcja zdrowego organizmu na te silne leki, młody funkcjonariusz faktycznie dopadłby Marię i zabił, nie mając o tym pojęcia. Reakcja odrzucenia występowała bardzo często i w różny sposób. Robert dostał ataku epilepsji. Upadł na ziemię w drgawkach. Policjanci próbowali ustalić, gdzie i w jakich okolicznościach morderca mógł wstrzyknąć mu ten środek. Przez cały dzień ich kolega jeździł od miejsca do miejsca.

Niewiele brakowało, a Maria umarłaby nie z powodu zadanych jej ran, ale problemów astmatycznych. Funkcjonariusze przyjechali w ostatniej chwili, medycy podali jej tlen. Czynicki zlecał Robertowi kolejne zadania. Gdy Maria zabrała go do samochodu i wyjechała poza obrzeża Lubaczowa, przestali mieć zasięg. Czynicki nie był w stanie się do niego dodzwonić, poprosił Tadka i Joasię, żeby pojechali go szukać. Ustalenie położenia było możliwe dzięki radionadajnikowi w służbowym telefonie Wysockiego.

Policjanci dojechali do lasu w ostatniej chwili. Teraz zarówno Maria jak i Robert leżeli w szpitalu. Reporterzy jakimś cudem dowiedzieli się o zajściu i utrudniali pracę całego szpitala. Robert miał złamaną rękę i lekko nadgryziony język. Był to zapewne efekt niefortunnego upadku oraz ataku padaczki. Przeszedł już czyszczenie żołądka. Możliwe, że będzie konieczna transfuzja krwi, aby całkowicie pozbyć się psychotropów. Gdy tylko jego stan się poprawi, miał zostać przesłuchany.

Maria była pod stałą opieką lekarzy, leżała podpięta do aparatu tlenowego. Jej płuca bardzo nabrzmiały. Desperacka ucieczka była zdaniem lekarzy możliwa tylko dzięki wysokiej adrenalinie. Kozielska nie miała poważnych urazów. Jej ciało było co prawda bardzo posiniaczone i podrapane, jednak lekarze nie wykryli żadnych ran i krwotoków wewnętrznych, co było dobrą prognozą. Dorota podpisała się na kartce, którą jej koledzy z pracy dołączyli do wielkiego kosza wczesnowiosennych kwiatów, z pozdrowieniami oraz życzeniami jak najszybszego powrotu do zdrowia.

Dorota Maj nie była do końca wtajemniczona w to, co się stało w lesie. Z tego, co słyszała, Robert nazywał siebie mordercą i przyznał się do zabójstwa Teresy Wójcik.

Jako naukowiec nigdy nie miała możliwości stanąć oko w oko z przestępcą.

Nie wiedziałyby, jak się zachować na miejscu Marii. W obliczu śmierci może rzuciłyby się na zabójcę, robiąc mu tyle krzywdy, ile byłyby w stanie. To było tylko gdybanie.

Weszła do domu. Dzisiaj nawet ciepło rodzinnej atmosfery nie pozwalało na wyzbycie się drżenia ręki. Jej dom również był otoczony wysokim lasem bukowym. Nigdy wcześniej nie zastanawiała się, czy za jakimś drzewem ktoś się nie kryje, nie czyha na jej życie.

Pocałowała w czoło męża, który jak zawsze siedział przy komputerze. Nacisnęła kropkę na klawiaturze i spojrzał na Dorotę.

— Ciężki dzień? — Franek odgadł jej nastrój. — Usiądź, zrobię ci dobrej herbaty z rumem.

Kiwnęła przecząco głową, ale mimowolnie opadła na miękki fotel.

— Chyba jeszcze będę musiała wracać — powiedziała zasmucona. — Trudna sprawa, wszystko bardzo kiepsko wygląda. Lepiej pisz tę swoją książkę — uśmiechnęła się blado.

— Chyba trochę przesadziłem. Jak redaktor to zobaczy, nie będzie zadowolony.

— Aż tak demoralizuje?! — Dorota uważała, że jej mąż jak zwykle przesadza.

Nigdy nie miała pozwolenia na czytanie jego twórczości przed finałem, lecz jako niecierpliwa żona czasem podglądała kilka zdań. Styl jej męża był trudny i wymagał nieustannej koncentracji. Tym razem miało to być zupełnie co innego, nowa jakość. Nie mogła się doczekać, by przeczytać jego nowe dzieło.

— Ale kawy bym się napiła! — powiedziała do męża, uśmiechając się na widok wchodzącego do pokoju Mateusza.

— Dzień dobry, mamo!

Jakkolwiek zły miała nastrój, gdy słyszała „mama”, zawsze robiło się jej lepiej. Mateusz po adopcji przez długi czas zwracał się do Franka i Doroty, używając zwrotów „pan” i „pani”. Kiedy po raz pierwszy powiedział do nich

„mamo” i „tato”, dało im to wiele radości.

Umyła ręce i ukroiła kawałek jabłecznika, który jak skarb przechowywany był w najciemniejszym miejscu, gdzie ani Franek, ani Mateusz nie byli w stanie go znaleźć. Dwójka panów uśmiechnęła się na widok ciasta, które było specjałem Doroty. W rzeczywistości była kiepską kucharką, mogła upiec tylko jabłecznik — a i tak z różnym rezultatem.

— Może cię to zaciekawi — Franek wskazał na wydanie gazety leżącej na kuchennym blacie.

Było to specjalne wydanie lokalnego dziennika. Dorota zaczęła przebiegać wzrokiem kolejne artykuły. Jej uwagę zwrócił obszerny tekst, w którym opisano dokładnie wszystkie znalezione dowody. Skąd prasa miała takie wiadomości?! Oczywiście nie napisano nic o wypadku Marii, bo wydarzenia te miały miejsce niespełna dwie godziny temu.

Usiadła na fotelu. Usłyszała dzwonek do drzwi. Kto to mógł być? Ani chwili spokoju.

Zrozumiałaby, gdyby to był listonosz. Zrozumiałaby, gdyby to była opieka społeczna, aby sprawdzić, czy Mateusz ma wszystko to, czego potrzeba. Zrozumiałaby, gdyby to był agent jej męża, który w rzeczywistości był jego kuzynem i bardzo często odwiedzał ich dom. Zrozumiałaby nawet, gdyby to była pani, która bada stan zużycia wody. Ale nie mogła zrozumieć, dlaczego nawiedziła ich osoba, którą zobaczyła w judaszu. Dlaczego dzisiaj? Przecież była taka zmęczona. Dlaczego w tym tygodniu? Przecież jest taka piękna pogoda. Dlaczego w tym miesiącu? Przecież w marcu nie ma żadnych świąt.

Po drugiej stronie drzwi stała teściowa. Jako kochana synowa zawsze podczas wspólnych spotkań starała się zachowywać miło i uprzejmie względem starszej osoby, jaką była matka Franka. Starała się z różnym skutkiem. Kiedy pomyślała o morderstwie, o tym, że za chwilę może zginąć kolejna osoba, kiedy pomyślała o swoim zmęczeniu, do głowy przeszło jej tylko jedno. Nie wpuścić teściowej! W domu nikogo nie ma! Franek pracuje w swoim biurze odseparowany od rzeczywistości. Mateusz dłużej został w szkole. A Dorota? W akcie desperacji mogłaby być na kursie gotowania. Kiedy już się odwracała, usłyszała niski głos, który sprawił, że włoski na jej ciele stanęły dęba.

— Wiem, że tam jesteś, Doroto!

— Dzień dobry, mamusi! Jak mama pięknie dziś wygląda! — Dorota nie miała innego wyjścia i otworzyła drzwi. Na jej twarzy widniał wymuszony i wyjątkowo nieszczerze wyglądający uśmiech. — Co mamę sprowadza do nas w taki piękny dzień? — W tym momencie akurat musiało zagrzmieć.

Starsza pani nie zważała na słowa synowej. Poszła prosto do kuchni, do swojego Franusia. Pokiwała sceptycznie głową, widząc, jak robi kawę dla żony. Franek był jej ukochanym synem, a Dorota Maj miała tego świadomość. Jako jedynakowi niczego mu nie brakowało. To właśnie matka od najmłodszych lat zaszczebiała w nim artystyczne zamiłowania. Młoda pani naukowiec zastanawiała się, jak teściowa zareaguje na jego nową powieść. Wyśmiej go, może nawet się wyprze.

Od pierwszego spotkania, kiedy Franek przedstawił jej swoją mamę, iskrzyło. Teściowa nie potrafiła zrozumieć, jak można się poświęcić nauce. Dorota często wyjeżdżała w delegacje, nie potrafiła gotować, potem okazało się, że nie mogą mieć dzieci. Mówiąc bardzo delikatnie — Dorota Maj nie była typem idealnej małżonki. Gdyby nie upór kochanków, do ślubu zapewne nigdy by nie doszło.

Była to tęga kobieta po sześćdziesiątce. Rok temu przeszła na „bardzo zasłużoną” emeryturę i — ku przerażeniu Doroty — postanowiła więcej czasu spędzać właśnie z nimi. W tej chwili z satysfakcją patrzyła, jak teściowa celebrytuje degustację jej jabłeczniaka. Co jak co, ale tym razem ciasto Dorocie się udało. Obserwowała, jak szczęka teściowej mieli jej kulinarne cudo. Potem zauważyła zmieszanie, a ciekawa, do czego tym razem doczepi się starsza pani, zapytała:

— I jak mamusi smakuje? Może jeszcze?

— Oj, dziękuję, dziękuję, kochane dziecko! — teściowa wypowiedziała te słowa w sposób, który świadczył, że przeszły przez jej gardło z największym trudem.

Dorota triumfowała. Ale nie mogło być tak pięknie. Teściowa już wstawała, aby zbadać stan czystości ich domu, już przygotowywała notatnik, aby spisać wszelkie ubytki w nienaganności porządku. Dorota tylko czekała na tę chwilę, kiedy jej słowa wpadną jednym uchem i umkną drugim.

— Ten jabłeczniak... — teściowa zamyśliła się na chwilę — mógł być

lepszy!

TO WSZYSTKO GO PRZERASTAŁO. NALAŁ KOLEJNĄ szklanę koniaku i jednym haustem opróżnił jej zawartość. Zabójca bawił się z nim. Tyle że on nie miał ani sił, ani możliwości, aby odebrać mu piłkę. Może należałoby znaleźć jakiś podstęp? Może trzeba przestać działać zgodnie z regulaminami i zdobyć się na odwagę, aby zwyczajnie wypowiedzieć przestępcy wojnę?

Komendant Głowala miał jeszcze inne problemy. Stracił szansę łatwego rozwikłania innej sprawy. Wszystko przez własną głupotę. Nie powinien na to pozwolić. Tym bardziej że był podejrzanym. No i ta prasa. Przecież musiał rozpocząć dyscyplinarkę przeciwko Marii Kozielskiej. Wiedział, że to na pewno nie ona powiedziała o sprawie, jednak na posterunku znajdował się ktoś, kto niezaprzeczalnie pomagał czwartej władzy. Możliwe, że czerpał korzyści materialne w zamian. Ale on nie miał sił, on już dłużej nie potrafił.

Spojrzał na szufladę, gdzie trzymał swoją służbową broń. Nie mógł ponieść kolejnej porażki. Nie on. Przecież jeszcze nie przegrał tej bitwy. Walka nadal trwała.

Samobójstwo nie było wyjściem. Nic w ten sposób by nie zakończył poza własnym życiem. Zabójca nadal będzie zabijał. Głowala uważał, że lepiej zginąć od postrzału, niż samemu zadać sobie śmiertelną ranę. Czy byłby w stanie wymierzyć pistolet we własną skroń i nacisnąć spust? Zapewne nie. Ale ludzie wokół niego właśnie tego by chcieli. Na przykład ten Franciszek Aleszkiewicz. Skąd on w ogóle się wziął? Wolałby pewnie prowadzić tę sprawę na własną rękę, a nie jako obserwator zewnętrzny, który może tylko doradzać. Głowala widział gniew w jego oczach i niezadowolenie z jego decyzji.

Biedna Maria. Biedny Robert. Komendant szczerze współczuł dwójce swoich funkcjonariuszy, ale był to tylko kolejny dowód na niezwykłą chytrąść zabójcy.

— Dzień dobry! — odebrał telefon. Drugą ręką sięgnął do szuflady. Zapalił papierosa. Pierwszego od ponad dziesięciu lat. — Nazywam się Halina Jastrząb, pracuję w szpitalu. Dzisiaj pytali państwo o ewidencję leków.

Dorota Maj uprzedziła go, że ktoś może zadzwonić.

— Sprawdziłam wszystkie magazyny. Nic nie zginęło. Wszystko jest

zgodne z ewidencją i jestem przekonana, że żaden lek nie został stamtąd skradziony. Alprazolam i Tranxene były brane dwukrotnie przez naszą pielęgniarkę Sylwię Słaboń. Okazuje się, że pracuje ona na oddziale psychiatrycznym.

— Komu ten lek został podany?

— Nasz magazyn leków jest połączony z oddziałem psychiatrycznym. Wszelkie leki, które są podawane pacjentom z urazami psychicznymi, nie są w taki sposób ewidencjonowane.

— Gdzie można znaleźć panią Sylwię?

— Pracuje codziennie. Czasem na dziennej, czasem na nocnej zmianie.

— Dziękuję bardzo za informacje. Czy pani Dorota Maj, która była w szpitalu do południa, dzwoniła z zapytaniem o psylobicynę?

— Tak, ale muszę z przykrością stwierdzić, że w tym przypadku raczej nie znajdę. Jest to lek używany na oddziałach onkologicznych, a takiego nasz szpital nie posiada. Poszukam jeszcze, ale muszę się przyznać, że po raz pierwszy mam do czynienia z takim środkiem.

— Dziękuję bardzo — Głowala zakończył rozmowę.

Komendant wyciągnął z szuflady swój pistolet. Musiał oczyścić się z wszelkich podejrzeń. Musiał zakończyć ten kompromitujący proceder. Zawalił sprawę, dobrze o tym wiedział. Sprawdził, czy magazynek jest pełny. Przeładował i wsadził do swojej policyjnej kabury. Skierował się w stronę drzwi wyjściowych i stanął oko w oko z niewielką już grupą reporterów. Uśmiechnął się, zastanawiając się, jaki rodzaj tortur zastosować względem jakiegoś natręta, który strzelił mu fleszem prosto w oczy.

— Sytuacja jest pod kontrolą. Mamy trop. Nie ma się czego obawiać. Morderca w najbliższym czasie zostanie złapany.

Nie zważając na kolejne pytania, poszedł w stronę samochodu i odjechał ze świadomością, że sam w te słowa nie wierzy.

Rozdział 22

KTO MOŻE BYĆ KOLEJNĄ OFIARĄ?

Za oknem zrobiło się ciemno. O szyby znów zaczął bębnić deszcz. Co jakiś czas nad posterunkiem rozbrzmiewały groźne pomruki burzy.

Ale Kownacki cały czas myślał o Marii. Przecież to on mógł z nią jechać i pomóc przeczesywać las. Gdyby tylko wiedział. Uczestniczył w wielu sprawach kryminalnych, ale ta była inna, dziwna, dojrzała i wymagająca pełnej koncentracji oraz świadomości, że morderca nie pozwoli o sobie zapomnieć. W głębi ducha Paweł bał się, że to wszystko go przerasta. Wszystko, co robił, było starannie przygotowane i zmierzało do zwycięstwa. Po stracie żony praca stała się jedynym źródłem szczęścia, ale zarazem antidotum na depresję.

Skoncentrował się na profilu przestępcy. Kiedy rozmawiał z Marią, a ona powiedziała mu o słowach Roberta, dokonało się w nim pewne rozdarcie. Przeczytał w internecie o działaniu takich psychotropów jak psylobicyna. Człowiek był sterowany jak lalka, wykonywał to, co mu powiedziano. Jednak były również didaskalia: pewne słowa mogły wyjść same z siebie i być własną opinią manipulowanej osoby. Maria Kozielska, będąc jeszcze w szoku, podała informacje niepełne, jakby trochę zniekształcone. Paweł żałował, że rozmowa nie była nagrywana. Cała sytuacja stała się jednak źródłem wielu pożytecznych informacji, a przynajmniej tak sądził.

Poszukiwany morderca był typem człowieka uporządkowanego. Unikał celów niejednoznacznych, robił to, co było w zasięgu jego możliwości. Jego ofiarą była Teresa Wójcik. Znali się, bo wpuściła go o późnej porze do swojego domu. Drogą manipulacji lub perswazji zabójca przekonał ją do wstrzyknięcia leku, który zdobył zapewne za sprawą Sylwii Słaboń ze szpitala. Nie używał siły. Na miejscu zbrodni pozostawił list. Jego wartość merytoryczna była metaforyczna, zmusiła policję do myślenia. Przekazana wiadomość mogła być kpina, ale również wskazówką, podpisem oraz przypadkowo dobranym symbolem, który miał odwieść policję od właściwego tropu i rozwiązać wszelkie inne podejrzenia. Morderca nie zostawił innych śladów. Był cieniem. Próbką ziemi pobrana przez Marię z tartaku wykazała, że jest to ta sama ziemia, którą znaleziono na miejscu zbrodni. Kolejna próbka Marii — krwi — niestety nie została zidentyfikowana. Dopiero gdy winny zostanie schwytany, będzie można porównać grupy krwi i w przypadku zgodności zarzucić mu wtargnięcie na teren tartaku.

List dostarczył zapewne sam morderca, co świadczyło o tym, że czuł się pewnie. Odpowiadała mu naiwność policji, chciał kontynuować grę w kotka i

myszkę. Analiza papeterii naprowadziła na trop stadniny. Trudno określić, w jaki sposób kartki dostały się w ręce mordercy. Znak CIS pozostawiony na liście i łacińskie zwroty mogły być przypadkiem, z drugiej strony świadczyły o dużej inteligencji i znajomości przez mordercę starożytnych mitów i łaciny. Translacja hieroglificzna dawała zagadkowy obraz, jednak jego symboliczny odczyt nie wskazywał jednoznacznie na kolejną ofiarę. Chromatograf cykliczny wykrył substancję afrykańskiego pochodzenia: *Commiphora abbysynica*.

Przesłuchani — Tomasz Domagała i Władysław Okulicki — mogli być potencjalnymi zabójcami. Obaj byli gośćmi Teresy w dniu jej śmierci, obaj się z nią pokłócili. Tomasz Domagała użył przeciwko niej siły. Motyw miał również Okulicki. Chciał kupić jej dom, a napotkał na sprzeciw. Mecenas znał łacinę oraz orientował się w symbolice egipskiej ze względu na przynależność do bractwa Franga.

Paweł Kownacki rozważał nakreślony na tablicy profil przestępcy. Mógł kontynuować ten wywód pełen przypuszczeń, których nie mógł poprzeć dowodami.

Zamknął oczy. Był na posterunku sam. Komendant gdzieś wyszedł, Dorota Maj pojechała do rodziny, reszta funkcjonariuszy była albo w szpitalu, obok Marii i Roberta, albo patrolowała okolice domów potencjalnych ofiar. Paweł miał świadomość, że morderca wykonał bardzo sprytny ruch. Zmanipulowanie Roberta wyłączyło z gry dwoje policjantów, a oddziały policji w Lubaczowie były i tak niewielkie.

Usłyszał dźwięk łamiącego się drewna. Energicznie odwrócił się gotowy do ataku. To tylko krzesło spadło, a jedna z nóg się złamała. Przypadek. Paweł obszedł cały posterunek. Było ciemno. Wydawało mu się, że błądzi po labiryncie. Za każdym rogiem mógł stać morderca. Serce biło mocniej niż zwykle. Czy ktoś zrzucił krzesło specjalnie? Może ktoś mu robił psikusa i chciał go nastraszyć? Tylko spokojnie!

To było właśnie najgorsze. Niewiedza. Morderca mógł być wszędzie, a policja nie miała wpływu na jego działania. Usiadł przy biurku i włączył komputer. Zerknął na chromatograf cykliczny. W środku znajdował się mały fragment tkaniny, znaleziony w lesie przez Marię. Urządzenie Doroty Maj pracowało cicho, powoli łączyło różne gazy.

A co, gdyby to on był mordercą? Zamknął oczy. Takie ćwiczenia były

nieraz przeprowadzane w szkole. Znalezienie się w umyśle zabójcy jest porównywane do chodzenia po cienkiej linii. Łatwo przesadzić, dojść do błędnych wniosków. Trzeba mieć wiedzę o poszukiwanym, aby znać styl jego działania. Sposób wchodzenia w umysł zabójcy sprawdził się już niejednokrotnie, pozwalając złapać poszukiwanego.

Paweł poczuł, że jego oczy robią się ciężkie.

Działam sam. Jestem za dobry, żeby pozwolić sobie na współnika. Nikt mnie nie widzi, a wszyscy mnie znają. Poruszam się jak cień, chodząc po znanych mi ścieżkach. Kolejna ofiara na pewno wpuści mnie do domu. Pierwszy etap pójdzie mi tak łatwo jak poprzednio. To będzie gdzieś dalej, żeby zmylić policję. Będzie to łatwy cel, żeby jeszcze bardziej ich skompromitować. Użyję tego samego sposobu, aby ci głupcy wiedzieli, że to moja sprawa. Na pewno mnie nie dostaną. Czuję się pewnie. Mam wszystko, czego mi potrzeba. Mam wszystko zaplanowane.

Paweł Kownacki otworzył oczy. Niebo przecięła długa błyskawica i uderzyła w pobliski transformator. Ciemność. Światło zgasło nie tylko w komendzie, ale również w całej okolicy. Laptop przeszedł w energooszczędny tryb pracy. Kownacki z zadowoleniem zerknął, że chromatograf nie przestał działać. Zapewne miał dodatkowe zasilanie awaryjne, aby w takich przypadkach nie przerywać pracy.

Spojrzał na listę potencjalnych ofiar. Były na niej osoby, od których Okulicki chciał odkupić domy. Paweł zdawał sobie sprawę, że może to być kolejna gra przestępcy. Może chciał, żeby policja zwróciła uwagę na Okulickiego, skupiła się na ludziach, którzy w rzeczywistości mieli jedynie odwrócić uwagę. Jednak Kownacki wolał ich sprawdzić, bo nie miał innej możliwości. Nawet jeśli to wszystko jest sfabrykowane, lepiej było dmuchać na zimne.

Włączył internet. Uśmiechnął się pod nosem. Nie było prądu, więc sieci również. Pozostało tylko czekać na zgłoszenie o kolejnym zabójstwie. Paweł siedział i patrzył, jak kolejne błyskawice przecinają niebo. Zastanawiał się, czy pogoda pokrzyżuje plany także mordercy.

CHOLERNY DESZCZ. CHOLERNE BŁYSKAWICE. On się bał burzy. Wiedział, że to dobrze, że jest ciemno, bo go nie widać. Ale bał się ciemności. Przecież nie był tchórzem. Da radę. On przecież jest wielki, on jest geniuszem.

Szedł szybko. Miał nadzieję, że piorun go nie dosięgnie. Wyruszył

wcześniej, bo przed nim była daleka droga. Wszedł i spojrzął, czy wszystko gra. Zobaczył obok niej wielki kosz kwiatów. Nikt go nie dostrzegł. Dobrze. Bardzo dobrze. Nie pamiętał jej imienia. Chyba Maria. Maria Kozielska. Przykro mu z jej powodu. Przecież gra dalej trwała. Nie mógł być sentymentalny. Zmierzał dalej. Odwrót. Policjant! Pilnują go, żeby już nic więcej mu się nie stało, żeby żaden opętany morderca już go nie zmanipulował. Biedny Robert. Drzemał w nim potencjał, który mógł jeszcze kiedyś zostać wykorzystany. Początkowo się wkurzył, ale przecież ta cała sytuacja mu pomogła.

Wyszedł. Jak zwykle niezauważony. Jeszcze jedna wizyta. Jeszcze jeden cel, a potem prosto do Weroniki. Prosto do Weroniki Stępień. Było ciemno. Pytanie, czy Weronika mu otworzy. Przecież jest tak ponuro. A ona sama. Ona ma swoje tajemnice. Miała się bać. To musiało się udać!

Szedł powoli. Nie mógł zdradzać jakichkolwiek oznak zdenerwowania. Rozmawiał. Analizował. Planował. Wszystko musiało się udać. Obmył twarz. Było zimno, ale on się pocił. Robił się za stary na takie numery. Chciał usiąść naprzeciwko obrazu, gapić się bezbarwnymi oczami w szarą przestrzeń przed sobą, ale teraz nie miał czasu na takie przyjemności. Był tylko on i misja. Był tylko on i Weronika Stępień.

Z pamiętnika filozofa

Ta pani. Zniknęła. Może to kwestia pory, może pogody, może nastroju. Zniknęła tak jak ludzie znikają. Pewnego dnia po prostu pozostaje tylko świadomość ich braku, ale nie mamy wpływu na ich zachowania. Tylko od nas zależy, czy będziemy mieli chęć to zmienić, bo trudno przez całe życie liczyć na innych.

Ten pan. Wierzę, że kiedyś przyjdzie czas, gdy zobaczę jego uśmiech. Bo on jest jak wszyscy. Obok mnie jest wolne miejsce. Siedzę na ławce i pragnę towarzystwa. On czasem przystanie, ale też w biegu. Jak wszyscy. Nikt nawet na mnie nie spojrzy. Nikt nie zapyta, czy wszystko w porządku. Jestem po prostu kolejnym menelem, który marnotrawi czas. A ja tylko siedzę i obserwuję. Uśmiecham się do ludzi, aby spojrzeli na świat z innej strony, na świat w lepszych barwach. Ale mój uśmiech jest niedostrzegany.

Ludzie mają prawo do decyzji, a każdy powinien to uszanować, czy się to mu podoba, czy nie. Tak już jest w dzisiejszym świecie, że trudno znaleźć miejsce,

środowiska, w którym by nam wszystko pasowało. Chcesz pospać, budzi cię kosiarka sąsiada. Chcesz napić się wina na werandzie, jedzą cię komary. Szukasz spokoju, ciągle słyszysz syreny pogotowia.

Ja już znalazłem swoje miejsce. Ławkę. Jest ona długa, tak że znajdzie się miejsce dla osób pozytywnie do mnie nastawionych. Na ławce możemy porozmawiać, wymienić się spostrzeżeniami. Nie ma kąśliwych uwag, nie ma głupich plotek i niedopowiedzeń. Jesteśmy tylko my. Okryci prawdą i chęcią współzycia. Niekoniecznie intymnego, choć na miłość zawsze znajdzie się miejsce. Króluje jednak przyjaźń, możliwe, że najbardziej esencjonalne uczucie.

Czy przysiądziesz, gościu, na chwilę? Czy odpoczniesz od problemów codzienności? Czy masz czas na moją utopię? Czy nie takiej arkadii właśnie szukałeś? Śmiejesz się? I dobrze! Śmiech to zdrowie! Cukiereczka? Słodki uśmiech przypomni ci dobre dzieciństwo.

Lećmy. Leć za mną, ja poprowadzę. Jestem przecież taki odrealniony. Jestem przecież twoim snem. Czemu o mnie marzysz? Czemu o mnie śniesz? Obudź się! Ale wtedy zniknę, więc dobrze się zastanów. Bo mogą przyjść dni gorsze, będziesz pragnąć uśmiechu. Tak właśnie będzie. Tak właśnie jest.

Nie potrafię dłużej kłamać. Nie potrafię dłużej siedzieć beczynnie z rękami splecionymi na mojej umięśnionej klatce piersiowej. Wypuszczam powietrze. Nadmierne ilości chemikaliów i toksyn, które znajdują się w atmosferze i którymi oddychamy, wylatują w przestrzeń. Daleko. Naprężam mięśnie. Może w ten sposób ktoś mnie dostrzeże. Czy naprawdę jestem taki niewidoczny? Przechodzisz przede mną jak przez ducha, nie mając wyobraźni. I podobnie setki innych ludzi. Rozglądnij się! Widzisz tylko stopnie, kolejny krawężnik, słup latarni pośrodku. Ale pod tą latarnią może stać pani. Może szuka twego ciepła i niekoniecznie musi być prostytutką. Głupie przesady. Może pod tym mostem, którym ostatnio przechodziłeś, leży jakiś człowiek, który szuka sensu życia. Daj mu swoją wiedzę. Niekoniecznie pieniądze na kolejne piwo. Czasem wystarczy rozmowa.

Przecież ten człowiek też ma historię. Był dzieckiem szczęścia. Wybitnym uczniem, który nie dostał się na wymarzoną uczelnię. Załamał się. Rodzice nalegali, żeby znalazł żonę. No i znalazł. Pobrali się. Potem niepotrzebne kredyty. Rozwód. Bankructwo. No i znalazł się pod mostem. Pewnego dnia i ty tam możesz wylądować. Podobnie jak w jego przypadku nikt się nad tobą nie zlituje. Możesz się oszukiwać, że taka jest rzeczywistość, że jedno twoje słowo nic nie zmieni. Ale to ty jesteś kreatorem swojego środowiska i przestrzeni życiowej. Ty możesz codziennie

swoim postępowaniem zmienić dzień na lepszy.

Podnieś głowę i idź. Ktokolwiek dzisiaj zginie, ktokolwiek zginie jutro, ty idź, bo pojutrze może przyjść kolej na ciebie i będzie za późno na zmianę czegokolwiek.

Rozdział 23

CUDOWNA RODZINKA. MARIA LEDWO CHODZIŁA. Miała obandażowany nadgarstek, prawa część twarzy opuchła z nieznanych przyczyn, oddychała tylko dzięki masce tlenowej. Marek wciąż cierpiał na amnezję, wciąż nie wiedział, co się właściwie stało. Na głowie miał świeży opatrunek. Na szczęście nie powstał żaden krwiał. Jasio siedział przy stole, grzebiąc widelcem w niedopieczonej zapiekance warzywnej, którą przygotowała na szybko Kozielska.

Ale przynajmniej wszyscy byli razem. Choć nastroje były złe, nie mówili o wypadkach z ostatnich godzin. Siedzieli w czwórkę — Marek, Jaś, Maria i jej matka — i zachowywali pozory, że rodzina Kozielskich jest normalna.

Maria widziała sceptycyzm w oczach matki, która bała się, żeby na tym wszystkim nie ucierpiał Jaś, jej ukochany wnuk. Kozielska miała świadomość, że zaniedbuje syna. Miała jednak nadzieję, że w najbliższym czasie mu to wynagrodzi — weźmie urlop, wyjadą nad morze.

— W wieczornych wiadomościach mówili, że taka pogoda ma się utrzymać do poniedziałku — jej matka przerwała ciszę. Za oknem padał rzęsisty deszcz.

I jak tu zareagować na takie stwierdzenie? „Fajnie. Dobrze wiedzieć. Dziękuję ci, mamo, ale najpierw muszę złapać tego mordercę, bo może się okazać, że jeszcze raz będzie chciał mnie zabić, a wtedy ładna pogoda w poniedziałek już mnie nie będzie dotyczyć” — Maria odpowiedziała w myślach.

— Halo! Z tej strony Dorota Maj! — odebrała telefon. Wyczuła w głosie koleżanki zdenerwowanie. — Jak się czujesz, Marysiu?

Dziwne. Nie miały okazji bliżej się poznać.

— Dziękuję, dobrze — Kozielska nic nie mogła poradzić na to, że kłamie. Przecież nie mogła wyznać, że chce się jej wymiotować, co było zapewne skutkiem osłabienia.

— Dzwonię w sprawie tego materiału, który znalazłaś. Mniejsza o zanieczyszczenia. To bawełna wysokiej jakości, barwnik granatowy. Standard.

— Czy może naprowadzić na jakiś trop?

— Myślę, że tak — Maria słuchała z ciekawością, a słowa Doroty sprawiły, że wydała z siebie zduszony okrzyk. Rozwiązała się kolejna zagadka. — Dokładnie z takiego samego materiału uszyte są wszystkie mundury policyjne.

CZY NIE JEST ZA WCZEŚNIE? CZTERDZIEŚCI OSIEM GODZIN jeszcze nie minęło. Energia elektryczna nie została przywrócona. Zatem nie tylko w Lubaczowie brakowało prądu. Na takim zadupiu ludzie często nie mieli cywilizowanych warunków. Ukrył się za drzewem. Dostrzegł policjanta, który podjechał pod dom, zapukał do drzwi Weroniki, zapytał, czy wszystko w porządku. Ależ oczywiście. Jak by mogło być inaczej. To taka spokojna dzielnica. Weronice też się nie da zrobić krzywdy. Przecież to wojskowy. Ona jest naprawdę silna, niejednokrotnie zabiła człowieka.

Dobrze znał jej historię. Skrywała w sobie wiele tajemnic. Ciężły jej wyrzuty sumienia. Wiedział, czego jej brakuje. Przecież nic się nie stało. To nie była twoja wina, Weroniko. A jednak to była jej wina i żadne słowa tego nie zmieniały. To ona zabiła niewinne dusze. Zabiła nieumyślnie, ale zrobiła to. Wojna wybaczała wszelkie grzechy. Ale sumienie znało to brzemię — nie potrafiła zaznać spokoju.

Śpisz, a krew zalewa ci oczy. Widząc dziecko, widzisz... no właśnie. Co widzisz, Weroniko? Śmierć?

Przecież nie trzeba się w tej chwili bać. Wszystko musi być w porządku. Jeszcze chwila, aż ten naiwny gliniarz pojedzie dalej. Zastanawiał się, co może teraz robić komendant. Może już się poddał i z załamanymi rękami siedział, czekając na wieści o morderstwie. Ta tragedia wstrząśnie jutrzejszym dniem. Miał już przygotowany list do miejscowej redakcji. Żaden funkcjonariusz tutejszej policji nie był dla niego przeciwnikiem, a każdy kolejny dzień sprawiał, że komendant Głowala znajdował się w coraz bardziej dramatycznej sytuacji. Biedaczek.

Pomyślał o Weronice. Nadchodził. Jego buty zagłębiły się w przemokniętej glebie. Cholerna pogoda. Będzie musiał uważać na naniesioną ziemię. Nie może

popęłnić żadnego błędu. To nie był dobry moment na jakiegokolwiek pomyłki. Miał zadanie, które musiał wykonać. Nie mógł tego spieprzyć.

Zadzwoił domofonem. Ach! Przecież nie było prądu. Tak się obawiał, że pogoda pokrzyżuje jego plany, a teraz się okazało, że był to jego kolejny sprzymierzeniec. Uśmiech zawitał na jego twarzy.

Podszedł do drzwi i zapukał. Był niewidoczny. Weronika otworzyła po krótkiej chwili. W świetle świeczki, którą trzymała, dostrzegł delikatne zakłopotanie, ale zarazem uśmiech. On go odwzajemnił i wszedł do środka.

Rozdział 24

PRACOWALI JAKO TAJNIACY. NIKT NIE ZNAŁ ICH IMION, nikt nie wiedział, gdzie właściwie są i jaki jest cel ich misji. Często opierali się na domysłach i przeciwstawiali prawu, choć byli po to, aby je chronić. Centralne Biuro Antykorupcyjne. Opinia publiczna postrzegala ten organ jako miejsce rozgrywek politycznych i choć ta służba powinna być apolityczna, bezstronna, nieczuła na ingerencję władz — było wręcz odwrotnie.

Jeśli działo się coś złego albo władze chciały utaić lub uciszyć jakąś sprawę, włączało się CBA. Media bardzo łatwo chwytaly wszelkie tematy związane z jego działaniem, zapominając o innych zagadnieniach. Może to wynikało z tajemnicy. Ludzie bali się czegoś, o czym nie mieli pojęcia. Z drugiej strony to było bardzo pociągające. Dążenie do odkrycia tajemnicy. CBA nią było. Agenci krążyli wokół nas. Może ten człowiek, który spojrzal na ciebie wczoraj, śledził cię? Może dostali jakiś cynk? Ani się obejrzysz, a już będziesz siedział w pudle.

Marek Kozielski ucałował mocno swoją żonę, pożegnał się z teściową i utulił Jasia do snu. Sam usiadł przy swoim laptopie, aby przejrzeć wiadomości, które udało mu się zdobyć. Najgorsza była tajemnica, również dla niego, ale on jako dziennikarz czuł się w obowiązku, żeby to zmienić. Maria pojechała na posterunek. Marek lubił jej zadziorność i przeciwstawianie się przeciwnościom.

Czy komendant Głowala mógł być związany z tą sprawą? Może to on brał łapówki za milczenie? Marek po raz kolejny wybrał numer, który miał w swoim notatniku.

— Abonent czasowo niedostępny. Prosimy spróbować później.

Wprowadził w internetową wyszukiwarkę nazwisko komendanta. Na szczęście burza nie dosięgła Opaki i jej mieszkańcy mogli funkcjonować normalnie. Wyświetliła mu się długa lista artykułów. Kozielski zaczął je powoli przeglądać. Większość z nich była jeszcze sprzed dwunastu lat, zanim komendant przyjechał do Lubaczowa. Opisywały jego wielkie zwycięstwa, akcje kończące się sukcesami. Potem napotkał relacje z niefortunnej interwencji w klubie nocnym, która stała się powodem końca kariery Głowali.

Później długo, długo nic. Dopiero wzmianka o konferencji, której tematem była możliwość korzystania z techniki w tropieniu przestępców. To sympozjum było zorganizowane dwa lata temu w Lubaczowie, a Głowala jako miejscowy komendant był gospodarzem. Marek włączył szukanie zaawansowane. Do wcześniejszego hasła dopisał „CBA” i „korupcja”. Serce zaczęło mu bić mocniej, gdy dostrzegł artykuł „Głowala bierze w łapę”. Było to forum plotkarskie, na którym umieszczano artykuły, często jedynie wymyślone, które nie znalazły miejsca na kartach gazet codziennych ze względu na bardzo kontrowersyjny charakter. Nad tekstem głównym znajdowała się niewielka notatka od autora, głosząca, że wszystkie informacje zostały zdobyte na własną rękę. Artykuł nie został opublikowany na szerszą skalę ze względu na presję polityczną i brak wielkich nazwisk. Tłumaczono, że komendant Głowala nie jest powszechnie znany, a korupcja w policji nikogo już nie dziwi. Marek zagłębił się w tekst. Był napisany słabym stylem. Czytało się go trudno, brakowało płynności. Autor używał zbyt wielu słów, przez co zakłócał jasność przekazu.

Drzwi się otworzyły. Do sypialni rodziców wszedł Jaś. Przytulił się bez słowa.

— Boję się!

Marek mało czasu poświęcał swojemu synowi, oddawał się pracy. Często głupie wymówki oraz nadmiar pracy sprawiły, że oddalił się od niego i stracił z nim bliski kontakt. Co jakiś czas docierały do niego pomruki burzy. Domyślił się, że właśnie jej boi się syn. Przytulił go do piersi. Nie odłożył jednak laptopa. Artykuł podawał wiele wiadomości, które były dla niego nowością.

Autor twierdził, że Głowala niejednokrotnie czerpał korzyści materialne. Policja wchodziła w układy z wieloma wielkimi korporacjami. Wysoko postawieni funkcjonariusze, od których wiele zależało, a Głowala właśnie do nich należał, brali łapówki w zamian za przymykanie oka na pewne nieścistości prawne, których

dopuszczali się pracodawcy. Zwykle to były błahe sprawy, które z biegiem czasu przybrały na znaczeniu. Marek nie wiedział, czy wierzyć tym informacjom. Nawet jeśli były prawdziwe, miały miejsce dawno temu, a od tego czasu wiele się zmieniło. Główna nie miał już wielkiej władzy, a Lubaczów był miejscem spokojnym, gdzie zwyczajnie nie opłacało się przeciwstawiać prawu.

Komendant nie brał udziału w tworzeniu CBA, był daleko od tych działań. Nie był w jego szeregach i brakowało przesłanek, żeby uważać, że jest tajnym agentem — policjanci musieli dostać specjalne upoważnienie do przejścia do CBA, co automatycznie wykluczało ich z szeregów policji.

Marek spostrzegł, że po policzku Jasia spływa łza. Byli do siebie podobni. Mówił to każdy, kto ich kiedykolwiek razem widział. Przytulił syna jeszcze mocniej. Po chwili Jaś zasnął. Położył go na swoim łóżku i przykrył kołdrą. Kozielski odłożył na bok komputer, jakby miało to oznaczać pozbycie się problemów.

Gdy się schylił, zaboląła go głowa. Spojrzał na mapę. Gdzie właściwie się znajdował, kiedy go zaatakowano? Jakies dwa kilometry na wschód od Nowego Sioła. Na mapie były zaznaczone ogromne połacie pobliskich lasów, które stanowiły zwieńczenie Bieszczad. Kilkaset metrów dalej rozciągał się teren tartaku Władysława Okulickiego.

Początkowo Marek starał się wyszukiwać potencjalnych biorców łapówek pod kątem tego, kto miał taką możliwość. Władysław Okulicki znalazł się na tej liście. Wyjechał z Warszawy, miał pokaźny majątek, ale tłumaczył to fakt, że jego tartak świetnie prosperował. Do tego dochodziła jeszcze jedna poszlaka: Okulicki niejednokrotnie był adwokatem ważnych ludzi, którzy mogli się stać potencjalnymi ofiarami oficerów CBA. Dochodzenie Marka nie przyniosło jednak żadnych dowodów, które mogłyby wskazać jednoznacznie na mecenasa.

I tak właśnie wyglądało życie Marka. Było oparte na domysłach, nikłych poszlakach. Każdy błąd kosztował zbyt wiele, a on miał tego świadomość, dlatego unikał jakichkolwiek niepewnych stwierdzeń.

Włożył płaszcz, wziął do ręki parasol i wkroczył w ciemność — szukać prawdy.

BYŁO BARDZO MIŁO. DOŚWIADCZAŁA TEGO UCZUCIA, z kimkolwiek była. Czy był to Nowak, czy był to ten stary prezes Demarczyk, czy

tak jak teraz Michał Rybak. To była fala przyjemnego pulsującego ciepła. Miała świadomość, że mężczyźni, którzy z nią obcuja, chcą czegoś więcej niż dziecinnego przytulania, ale ona miała swoje zasady — nigdy na pierwszej randce. Niejednokrotnie drwiła z „łatwych dziewczyn”. Kamila uległa tylko raz. To była chwila, wtedy nie myślało się o konsekwencjach.

Trewor nie mogła dojść do siebie po wielu dziwnych sytuacjach, które przytrafiły się jej tego dnia. Najpierw ta mroząca krew w żyłach niespodzianka Michała, potem przyjazd policji i przesłuchanie w komendzie. Na szczęście nie miało to wpływu na Agnieszkę Surmę, czego Kamila tak bardzo się obawiała. Tego by sobie nie wybaczyła. Czy chciałyby mieć dzieci? Myślała o tym, ale choć miała już prawie trzydzieści lat, nie czuła się wystarczająco przygotowana wewnętrznie i bałaby się takiej odpowiedzialności. Poza tym byłby jej potrzebny mąż, bo nie wyobrażała sobie mieć sama dziecka.

Czuła, jak ręka Michała delikatnie schodzi w dół jej talii. Zaczął ją namiętnie całować. Zareagowała tak samo. Co właściwie robiła?! Jeszcze wczoraj z nim zerwała, bez jakichkolwiek wyrzutów sumienia wyrzuciła go z życia. Czy naprawdę była taka łatwa? Wystarczyła jedna mała niespodzianka.

Stop! Delikatnie odsunęła rękę Michała. Pocałowała go w czoło.

— Dlaczego mnie kochasz? Czy tylko za piękno, urodę, styl?

Michał nie odpowiedział. Pocałował ją w usta. Tym razem nie odwdzieczyła pocałunku. Wyprostował się. Usiadł na miękkim dywanie, wpatrując się w blask ognia w kominku.

— Jesteś moim... marzeniem — powiedział powoli. — Spotkaliśmy się przypadkiem. Zaczęliśmy rozmawiać. Pamiętasz tamten spacer po lesie? — Kamila przytaknęła. — Byliśmy wtedy po raz pierwszy sami, bez naszych znajomych. Tamte rozmowy, z pozoru błahe, nic nieznaczące, z perspektywy czasu wydają mi się najbardziej esencjonalną lekcją życia. Potem wyjechałaś. Na krótko, nie było cię przez dwa tygodnie. Ale to wystarczyło. Poczulem pustkę. Codziennosc bez ciebie nie była już taka sama. Nie umiałem dla siebie znaleźć miejsca. Nie wiedziałem wtedy, czy wrócisz, i ogarnęło mnie uczucie, że straciłem coś bardzo ważnego. Ciebie. Obiecałem sobie, że jeśli cię znowu zobaczę, już nie pozwolę odejść. Zdałem sobie sprawę, że właśnie tego pragnę, że właśnie to mi jest potrzebne do szczęścia, a radość z życia jest chyba najważniejsza.

Kamila popatrzyła prosto w jego oczy. Nawet nie mrugał, słowa wydobywały się prosto z jego serca. Miała takie niebywałe szczęście, że go poznała. Nadal nasuwały się jednak wątpliwości.

— Jesteś piękna, nie można zaprzeczyć — kontynuował Michał. — Byłem na początku zaślepiiony, przyznaję się. Kiedy cię poznałem, doszedłem do wniosku, że jesteś dla mnie zbyt piękna, należysz do innej kategorii. Może dlatego tak dobrze nam się rozmawiało, że nie aspirowałem do zdobycia twojego serca. Ale dzięki temu poznałem cię, naprawdę się w tobie zakochałem, nie w twoich pięknych oczach, krągłych kształtach, które wabią niejednego. Zakochałem się w tobie, Kamilo. Gdybym wtedy nie spróbował, żałowałbym do końca życia.

— Wiesz, że nie mogę dać ci całej siebie...

— Od początku wiedziałem, że twoje przyzwyczajenia kryją pewne ważne wartości, schowane gdzieś tam wewnątrz. Liczyłem się z tym, że będę twoją zabawką, przygodą, rozrywką — jego głos załamał się — ale każda chwila z tobą była dla mnie kroplą ambrozji, która dawała mi siłę, aby żyć. Masz wszystko, ja mam tylko ciebie. Nie będę cię trzymał na siłę. Zbyt cię kocham, aby niszczyć ci życie. Chcę, żebyś była szczęśliwa. Choć kiedy cię zabraknie, życie pewnie straci swój smak i kolory. Mimo wszystko liczysz się tylko ty! Zrobię dla ciebie wszystko, nawet jeśli miałyby to oznaczać wyjście z tego pokoju i pożegnanie na zawsze.

— Michał! Nikogo nie chcę traktować jak zabawkę. W rzeczywistości wypadałoby powtórzyć ci twoje słowa. Po prostu czasem zapominam, że ludzie mają uczucia — Kamila nałożyła na siebie ręcznik. — Przepraszam. Nie chcę, żebyś wychodził, ale tak chyba będzie lepiej.

Wstał. Kamila nie widziała w nim złości, która była wczoraj, nie dostrzegła żadnych oznak gniewu. Po prostu stał. Nie uśmiechał się, ale też nie płakał.

— Dziękuję ci! Naprawdę ci dziękuję za to, że miałem okazję cię poznać. Mam nadzieję, że twoja droga życiowa będzie szczęśliwa, bo na to właśnie zasługujesz. Przepraszam, że rano cię nastraszyłem, ale to była moja ostatnia szansa, aby zmienić twoją wczorajszą decyzję.

Michał poszedł w stronę drzwi. Już trzymając klamkę, odwrócił się.

— Nie zapomnę cię! Cokolwiek by się działo, zawsze możesz zadzwonić.

Zawsze będę gotowy ci pomóc.

Drzwi zamknęły się w całkowitej ciszy. Kamila wpatrywała się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał Michał, gdzie jeszcze przed chwilą stał człowiek, który ją kochał. Płakała. Łzy płynęły nieustannie po jej policzkach. Ogarnęło ją przeczucie, że ten dzień coś zakończył. Coś, co było dla niej ważne. Straciła to, czego tak bardzo pragnęła.

Rozdział 25

PRĄD JUŻ ZOSTAŁ PRZYWRÓCONY. CIEMNE ULICE wypełniły się światłem latarni. I dobrze. Miał lepsze światło. Widział dokładnie, jak jej twarz sinieje. Napawał się szczęściem, patrząc, jak kolejny cel odchodzi w zapomnienie. Nie opierała się. Wiedziała, że to konieczne. Wiedziała, że i tak to musi nastąpić. Popatrzył na gablotę pełną odznaczeń, wyróżnień i dyplomów. Już pokazał, jaka siła w nim drzemie. Siła perswazji. Zamknął oczy. Wtedy lepiej działały inne zmysły. Słuch. Węch. Poczul, że w pokoju unosi się dusza Weroniki.

Jej ciało leżało bezwładnie na potężnej skórzanej sofie. Powoli podszedł do okna, aby zobaczyć, czy nie stoi tam przypadkiem jakiś radiowóz. Uważał, żeby nic nie potrącić, nie zostawić żadnego śladu. Tak niewiele było potrzeba. Jeden zły ruch, a zasada Locarda by się spełniła. Ale on dobrze wiedział, jak uchronić się przed wykryciem. Włosy pod peruką, buty kilka rozmiarów większe, rękawiczki skórzane, bo bawełniane spalił po ostatniej misji.

Spojrzał w stronę stołu. Tak samo jak wcześniej. Pusta strzykawka, list. Uśmiechnął się na myśl o minach policjantów, kiedy zobaczą, co tym razem do nich napisał. Może się kiedyś wybierze do komendy. Znów go nikt nie zobaczy. Przecież oni są tacy zapracowani, że nie dostrzegają nawet mordercy.

Kto będzie za tobą płakać, Weroniko? No kto? Powiedz! Och, przecież ty nie żyjesz. Uśmiechnął się. Wtedy usłyszał syreny policyjne, dużo syren, bardzo dużo. Czy to przypadek? Jakby się zbliżały. W jego stronę. Ale jak to możliwe? Szybciej! Gdzie uciekać? Gdzie się skryć? Gdzie?! To wszystko przez ciebie, Weroniko, to wszystko przez tę twoją przekłętą wojenkę. Walczyć ci się zachciało!

Spokój! Gdzie jest wyjście? Szedł szybko, ale uważał. Nie mógł zostawić śladu. Jednak trzeba było się ulotnić, jak najszybciej.

Poczul, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Cały dom był otoczony przez

tych nieudaczników, przez tych naiwnych policjancików. Jak oni się tutaj znaleźli? Usłyszał łomot do drzwi. Naraz do środka wpadło kilku policjantów. Celowali do pustych ścian.

Bo jego już nie było.

— ALE JEGO JUŻ NIE BYŁO — FUNKCJONARIUSZ Renes raportował całą akcję. Maria współczuła Tatkowi. Był dobrym gliną, oddanym służbie. To właśnie on już drugi raz wchodził jako pierwszy do domu ofiary. Tym razem był bardziej ostrożny, nie chciał zatrzeć dowodów. Nie można było mieć do niego pretensji. Kryminalistycy i tak mieli niewiele pracy. Morderca zadbał o to, żeby nie pozostawić po sobie śladu. Nie było wątpliwości, że to sprawka tego samego przestępcy. Mieli do czynienia z bardzo niebezpiecznym seryjnym zabójcą.

A było już tak blisko, tak niewiele brakowało. W pokoju funkcjonariuszy byli obecni prawie wszyscy. Bez względu na pogodę policjanci stawili się na prośbę komendanta. Każdy miał świadomość, że uczestniczy w czymś większym, co można powstrzymać tylko wspólną pracą. Gdyby nie Paweł Kownacki, możliwe, że jeszcze teraz nie wiedzieliby o ofierze. Gdyby prąd został włączony kilka minut wcześniej, uratowaliby tę kobietę, a przynajmniej złapali mordercę. Człowiek był uzależniony od prądu. Gdy tylko internet został uaktywniony, Paweł zaczął przeglądać sieć w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby naprowadzić na plan działania mordercy. Nie mieli nic do stracenia i oparli się na liście potencjalnych sprzedawców Okulickiego.

Tylko jedna osoba pasowała. Weronika Stępień. Mieszkała zupełnie sama w środku lasu. Tam, gdzie trudno spotkać żywą duszę. Miała swoje tajemnice, w dodatku sprzeciwiała się sprzedaży domu. To, co zwróciło uwagę Kownackiego, to jej zawód. Była żołnierzem, służyła w armii na misjach zagranicznych. Był to faktycznie cel sprawdzający wszelkie cechy mordercy: odwagę, siłę, spryt, zdecydowanie. Jej dom przez wiele dni w roku był opuszczony; przyjeżdżała tylko wtedy, kiedy chciała odseparować się od świata i odpocząć po trudnej misji.

Żandarmeria wojskowa przysłała jej akta. Miesiąc temu wróciła z Afganistanu. Początkowo pracowała w dziale logistyki — przełożeni bali się wysyłać ją na akcje w terenie, więc zajmowała się sprawami zapotrzebowania żywności, wody i amunicji. Potem jednak, ze względu na problemy zdrowotne żołnierzy, brakowało pilotów śmigłowców. Weronika miała odpowiednie papiery i wyszkolenie potrzebne do misji zwiadowczych. Latała przez ponad miesiąc. Były to zwykłe patrole, które robiły wywiad w terenie. Pewnego dnia śmigłowiec, który

pilotowała, został zaatakowany przez talibów. Nie było jej zadaniem walczyć z nimi. Nikomu nic się nie stało, mogła zawiadomić odpowiednie służby, a sama odlecieć. Jednak nie wróciła. Stawiła opór. W śmigłowcu byli jeszcze drugi pilot oraz dwóch żołnierzy szturmowych z karabinami maszynowymi. Zaczęła się strzelanina. Na jej oczach ludzie padali w okropnym bólu i cierpieniu. Ale nie to było najgorsze. Strzelali w gniazdo, nie mając pojęcia, że mogą być tam cywile. Gdy podleciała bliżej, zobaczyła dziecko. Było nagie, wygłodzone.

Do akt została podpięta opinia psychologa. To nie ona chciała atakować, to nie ona otworzyła ogień. Była to decyzja reszty żołnierzy w śmigłowcu. Tylko że piętno wypaliło się właśnie na niej. Podobno nocami śniły się jej zwłoki bezbronych ludzi, którzy znaleźli się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Nie poddała się jednak. Została do końca misji. Po powrocie nie odzywała się do nikogo, z nikim się nie spotykała. Pojechała do swojego domu w Tyńcach. Kolejnej niewielkiej przygranicznej wsi.

Morderca był tam jeszcze chwilę przed wtargnięciem policji. Ale potem zniknął. Ludzie znajdujący się w trudnej sytuacji często w panice uciekali, zapominając o zacieraniu śladów. Technicy jednak znów nie znaleźli nic, co mogłoby stanowić jakikolwiek trop.

— Co z tym listem? — Głowała był wściekły. Pot spływał po jego czole.

Contra facta non valent argumenta. „Wobec faktów argumenty muszą ustąpić”. Maria miała poczucie braku jakiegoś ogniwa. Coś pomijała, nie łączyła w prawidłowy sposób faktów, które знаła. Lek przeciwbólowy chyba przestawał działać, bo czuła świdrujący ból w lewym ramieniu. Robert został w szpitalu, jego hospitalizacja miała potrwać dłużej. I dobrze. Maria nie była pewna, czy ma odwagę spojrzeć mu w oczy. Tamte doświadczenia były straszne i nie zapomni ich do końca życia. Widziała śmierć przed oczami, a jeszcze tak niewiele zrobiła, a tak wiele chciała.

Przynajmniej kwestia listów się wyjaśniła. Szybkie badanie Doroty Maj udowodniło, że ostatni wydrukowany jest na tej samej papeterii pochodzącej ze stadniny. Po raz kolejny pojawiły się śladowe ilości tajemniczego środka *Commiphora abyssynica*. Mniej niż ostatnim razem, ale jednak.

Na liście wydrukowany był znak CIS lub cokolwiek innego, co wyglądało jak znak CIS. Translacja hieroglificzna łacińskiego zwrotu tym razem nie dała żadnych zaskakujących efektów. Wniosek był taki, że poprzednia teoria była albo

jedynie fałszywym tropem, który pochłonął wiele godzin pracy policji, albo głupim dowcipem zabójcy.

— Wobec faktów argumenty muszą ustąpić — Paweł Kownacki wstał. Przez chwilę przelotnie spojrzął na Marię. — Ludzie! Zacznijmy myśleć! — w jego głosie można było usłyszeć zażenowanie całą sytuacją, widocznie nasilone po ostatnim zabójstwie. — Mamy pewne stwierdzenia. Nie patrzmy na metafory, które są tylko domysłami. Skupmy się na tym, co mamy! Możemy się zastanawiać, jak to stwierdzenie było odbierane w przeszłości, starać się powiązać z Egiptem, ale może mordercy o to właśnie chodzi. Chce nas zmylić. Daje nam list, żebyśmy się skupiali na jakimś świstku papieru. Zakłada nam na oczy ciemne okulary, bo wie, że dzięki temu nie wyciągniemy najprostszyc wnosków. Morderca popełnił już drugą zbrodnię. Prawie udało się temu zapobiec. Prawie... Musimy go powstrzymać, zanim wydarzy się kolejne nieszczęście.

Gdyby znajdowali się w innej sytuacji, Maria zapewne by wstała i zaczęła wiwatować po takim pięknym wykładzie.

— Do rzeczy, Kownacki — komendant widocznie nie miał już siły na takie wstępy. — Do rzeczy!

— Pierwszy list. Sprzeczność sama w sobie. Odzwierciedlił rzeczywistość. Morderca zrobił coś, co nie jest pod żadnym względem logiczne. Był na miejscu zbrodni. Ale to nie on zabił ofiarę. W rzeczywistości nie możemy mu nic zarzucić. To nie on zabił! Jedyne zarzuty, jakie możemy w tym przypadku postawić, to brak pomocy osobie umierającej i nakłanianie do samobójstwa. Każdy dobry adwokat na pewno je obali. Zostawił list z tajemniczym znakiem, który nic nam nie mówi. Możemy opierać się na domysłach i właśnie to robiliśmy przez ostatnie dwa dni. To właśnie była sprzeczność sama w sobie. Mieliśmy czterdzieści osiem godzin na schwytanie zabójcy, a siedzieliśmy nad jednym dowodem. On był do tego stopnia pewny siebie, że nie dość, że przysłał nam kolejny list, nazywając nas rzeczowo i w pewnym sensie odpowiednio głupcami, to jeszcze zaatakował policjanta, co prawie doprowadziło do jego śmierci i nie tylko — spojrzął na Marię. — Teraz straciliśmy kolejną osobę. Kolejną kobietę. Nasuwa się myśl, że następną ofiarą będzie też kobieta. Ale może właśnie o to mu chodzi? Chce, żebyśmy byli czegoś pewni, a wtedy pokaże nam, jak bardzo się myliliśmy. Wobec faktów argumenty muszą ustąpić.

Kownacki starł niepotrzebne zapisy z tablicy. Podzielił ją na pół, tworząc dwie kolumny: *fakty* oraz *argumenty*. Zaczął je po kolei wypełniać. Gdy skończył,

przekreślił część z argumentami.

— Teraz mamy tylko fakty. Trzymajmy się ich, a może doprowadzą nas wprost do jego kryjówki. Weronika umarła w ten sam sposób co Teresa. Sama wstrzyknęła sobie Alprazolam, na strzykawce są jej odciski palców. Znała go, wpuściła do domu, chociaż było ciemno, a wątpię, aby jakakolwiek kobieta, która mieszka sama, wpuściła do środka nieznanego mężczyznę. Nie wiemy, jak długo u niej był. Po ósmej był tam Tadek — wskazał na funkcjonariusza Renesa. — Wszystko było jeszcze w porządku.

Maria obserwowała, jak rośnie w ich gronie przywódca. Paweł pewnym krokiem stąpał dookoła, co jakiś czas gestykulując rękami. Jego głos rozchodził się po wyblakłych ścianach. Komendant Głowala bezwładnie opadł na krzesło, wpatrując się w profesora bez wyrazu. Kozielska nie była pewna, czy dochodzi do niego jakiegokolwiek słowa.

— Zatem mamy fakt. I Teresa, i Weronika znały go. Wybiera tylko osoby dobrze mu znane, które mają do niego na tyle zaufania, że nie boją się wstrzyknąć sobie substancji, którą im oferuje. Sądzę, że nimi w jakiś sposób manipuluje, podobnie jak Robertem. Robią, co chce. Może to rodzaj hipnozy, a może jakieś pyły halucynogenne. Lekarze nie znaleźli żadnych śladów wstrzyknięcia psylobicyny, tak jak to miało miejsce w przypadku Roberta, ale nigdy nie wiadomo, są różne metody. Kolejny fakt: działa zgodnie ze schematem. Wybiera domy umiejscowione w lesie. Obie kobiety były na liście Okulickiego. Skupiliśmy się na mecenasie. Dopóki nie dostaniemy zezwolenia na przeszukanie jego domu i tartaku, trudno nam oceniać, czy jest mordercą. Ale może to jego wróg? Może chce go zrobić, a może po raz kolejny zmylić nasz trop?

— Jest też opcja, że to Okulicki zlecił zabójstwa — przypomniała Maria. — Wątpię, aby Okulicki był człowiekiem, który chce sobie pobrudzić ręce w takim bagnie. Może wynajął profesjonalistę, tak żeby wyglądało to na robotę seryjnego mordercy, który zabija przypadkowe ofiary? W rzeczywistości ułatwia adwokatowi odkupienie posesji, tym bardziej że teraz nikt się nie będzie tym przejmować.

Paweł uśmiechnął się do Kozielskiej. Chyba myślał podobnie.

— Zastanówmy się, jak tego można dowieść, ale nie przyzwyczajajmy się, bo przecież nie jesteśmy tego pewni. Dobrze byłoby na wszelki wypadek zweryfikować, czy to stwierdzenie — wskazał na łaciński zwrot — ma jakieś głębsze znaczenie. Pomyślałem o tym księdzu. Ale to już chyba jutro — na

posterunkowym zegarze dochodziła północ. — Musimy być gotowi na wszystko. Nie zastanawiajmy się za długo. To musi być coś prostsze. Może coś pomijamy.

Maria też tak sądziła. Nie wiedziała, na czym powinna skupić uwagę, ale zginęły już dwie osoby, a mogła zginąć kolejna. To trzeba było zatrzymać, nim będzie za późno.

Wszyscy zgromadzili się wokół komendanta. Wydawał szczegółowe dyspozycje. Kozielska nie miała odwagi. Nie dość, że nadal była zawieszona, to jeszcze miała problem, czy może swojemu przełożonemu zaufać. Paweł Kownacki usiadł przy swoim laptopie. Coś pisał. Siedział za daleko, aby Maria miała możliwość dostrzec cokolwiek. Potem włączył się obraz z przesłuchania. Który raz to oglądał? Maria była daleka od krytyki jakichkolwiek jego poczynań, jednak nie widziała sensu we wpatrywaniu się przez kilka godzin w to samo. Nie wiedziała, co ze sobą począć. Siedziała przez chwilę obok Kownackiego, licząc na to, że zacznie rozmowę. Tak się jednak nie stało, bo Paweł wpatrywał się w pełnej koncentracji w nagranie.

Dlaczego Weronika Stępień? Ktoś wywiesił jej zdjęcie na tablicy. Był to stary portret. Miała krótko przystryżone włosy, męskie rysy twarzy, ale skórę bardzo zadbaną, delikatne cienie pod oczami. I te oczy. Choć to zdjęcie, były jak żywe, świdrowały w jej głowie.

Czynicki szedł w jej kierunku. W rękę niósł telefon służbowy. Podał jej bez słowa słuchawkę.

— Cześć, Mario! — Kozielska od razu poznała ten głos. — Z tej strony Robert. Wiem, że już późno, ale... — chwilę się zawahał. — Czy mogłabyś do mnie przyjechać?

ZAMKNAŁ OCZY. PRZEWRACAŁ SIĘ NA ŁÓŻKU, ale nie mógł znaleźć odpowiedniego ułożenia. On ją naprawdę kochał. Jednak liczyło się jej szczęście. Był świadom, że traci coś ważnego, serce wciąż sprzeciwiało się temu, co zrobił — ostatecznie przystał na jej decyzję. Ale przecież rzeczywistość to nie świat dla romantyków. Trzeba było kierować się rozumem, bo to przynosiło najwięcej korzyści.

Ona gdzieś tam była, jego kochana Kamila. Może też o nim myślała, zastanawiała się nad swoją decyzją, wspominała chwile spędzone razem. A może wręcz przeciwnie. Michał i na taką możliwość był gotowy. Nie zdziwiłby się,

gdyby w końcu oddychała z ulgą, bo skończyła tę żalosalną relację. Całkowicie w jej stylu, który był sprzeczny z kodeksem Michała.

Ale on przecież jej nie opuści. Za bardzo ją kochał. Czy można umrzeć z miłości? Na pewno nie z jej obfiteści, raczej z jej braku. Wystarczy mieć słabą psychikę, dołek, depresję. Michał nigdy w życiu nie zastanawiał się nad samobójstwem. Aż do teraz.

Z pamiętnika filozofa

Ta pani. Gnije. Od wewnątrz. Za dużo pracy — za dużo odpowiedzialności — za dużo stresu. No ale przecież to jej wina. Równie dobrze mogłaby siedzieć obok mnie. Mogłaby nawet oprzeć się o moje ramię. Niby po co chodziłem na siłownię, po co byłem u fryzjera, po co używałem tego dennego antyperspirantu, po co? Wszystko robimy dla kobiet. A one nawet tego nie dostrzegają. Mają swój cel. Jeden. Często wspólny. Kto pierwszy, ten lepszy. I zamiast pozwolić na działanie nam, mężczyznom, same zaczynają, tracąc u nas punkty. A skąd one mogą wiedzieć, jacy naprawdę jesteśmy? Dla większości liczy się tylko wygląd. Rozczulają się nad cudowną muskulaturą, chcą się znaleźć w tych ramionach, a wady takiego wyboru dostrzegają dopiero, kiedy jest już za późno.

Ten pan. Nie wiem, gdzie jest. Zniknął. Gdzieś. Nic mi nie powiedział. Ale ludzie mają sekrety i czują się lepiej, gdy nikt nic o nich nie wie. Ten pan też ma sekrety. Znam jego tajemnicę. Znam twoje tajemnice, czytelniku. Teraz, będąc na półmetku tej naszej dywagacyjnej podróży, zastanawiasz się, kiedy to cholerstwo się skończy, kiedy nastanie koniec tej coraz bardziej zaplątanej płątany wątków, motywów i pomysłów. Sam nie wiem. Przecież to jest półmetek. Nie znam końca. Jeszcze mamy czas. Jeszcze noc jest młoda. Jeszcze dzień nie zebrał swojego żniwa.

Zamknij oczy. Widzisz coś? Jeżeli właśnie czytasz te słowa, to znaczy, że nie udało ci się podolać temu, o jakże wielkiemu, wyzwaniu. Spróbuj jeszcze raz. Teraz śpij. Resztę doczytasz jutro, może później, a może zwyczajnie nie będziesz ciekaw, co się dalej wydarzy, i już się nie obudzisz.

Trudno dogodzić człowiekowi. Zamykają ci się oczy, zresztą podobnie jak mi, ale ty kontynuujesz, żeby dokończyć przynajmniej ten rozdział — żeby mieć jutro mniej do czytania. Ja wręcz odwrotnie. Zatem pomóżmy sobie nawzajem. W pewnym sensie to ja pomagam tobie. Przecież to mój przywilej: robić tutaj, co mi się żywnie podoba. Kończę. Idę spać. Światło gaśnie. Zamykam oczy. Śnię. A to

najlepsze środowisko dla filozofii. Mogę gestykulować, wyobrazić sobie gromkie brawa publiczności. Czerwienię się. Oj, już nie trzeba, starczy! Kląnam się nisko. Aplauz. Tylko co ja mam mówić? Idźcie do domu, nie róbcie wiochy.

Jeżeli dobrnąłeś do tego momentu, winszuję. Naprawdę. Jestem z ciebie dumny! W nagrodę mam dla ciebie prezent. Nie będzie to lizak, nie będzie to kwiatek. Wnikliwy powiedziałby, że to jedynie nadzieja, i chyba faktycznie tak jest.

Cokolwiek wiesz, muszę cię ostrzec — wątpię, abyś wiedział cokolwiek.

Część III

CZWARTEK, 14 MARCA

Trwałość życia jest umowna, zależna wyłącznie od sygnatariuszy. Może się okazać, że podpisałeś cyrograf z diabłem.

Rozdział 26

ZAPADŁA NOC. LEŻAŁ W ŁÓŻKU. NA ZEWNĄTRZ BYŁO tylko siedem stopni, ale on i tak był spocony. Było mu ciepło z wrażenia. Niewiele brakowało. Ledwo uciekł. Tak jak myślał. Nikt go nie zobaczył. Bez — nerwowych — ruchów. Ale skąd oni się u licha dowiedzieli, kto będzie ofiarą? Skąd wiedzieli, że to kochana Weronika zginie dzisiejszej nocy? Ale udało się. Tylko to się liczyło. Zamknął oczy. Kto będzie kolejną ofiarą? Policja na pewno nie będzie się domyślać. Przecież to właściwe nie miało sensu, nawet dla niego. Wszystko po to, żeby zdobyć cel — ten jeden, wyznaczony już dawno temu przez jego mentora. Musiało się udać. Już nie mógł się doczekać, kiedy znów spojrzy w jej oczy. Początkowo myślał, czy nie zabić mężczyzny, ale przecież nie mógł ryzykować. Kobiety były łatwiejszym celem. Takie niewinne, wręcz bezbronne. No i najważniejsze...

Naiwne.

Oczywiście nie wszystkie, ale on dobrze wiedział, które może wybrać. Tym razem miało być trudniej. Tak naprawdę się nie znali. Czy wpuści go do domu? Możliwe. Ale czy nie za wcześniej? Teraz to już nie miało większego znaczenia. Teraz liczył się tylko finał.

Policja była głupia. Policja była naiwna. Mógłby ich wszystkich pozabijać.

Ale przecież był dobrym człowiekiem. Robił tylko to, co było konieczne. Teresa Wójcik, Weronika Stępień. Teraz kolejna. Szkoda mu Roberta. Ale przecież tak narzekał. Że tak tu nudno, że nic się nie dzieje. No to teraz ma rozrywkę. Niech się bawi. To nie koniec atrakcji przygotowanych przez niego.

Zasnął natychmiast. Zero wyrzutów sumienia. Będzie musiał wstać wcześniej. W końcu musi się przekonać, że nic, naprawdę nic mu nie grozi.

BYŁA ZMĘCZONA. WYDARZYŁO SIĘ tak wiele. Ale nie myślała o spaniu. I tak by nie zasnęła. Była obolała, ale zdeterminowana.

— Przepraszam! Naprawdę przepraszam — patrzyła wprost w oczy Roberta. Był zrozpaczony, a nawet przestraszony tym, co się stało.

— To nie jest miejsce i czas, żebym cię przeklinała. Stało się, nie twoja wina — próbowała wymazać z pamięci scenę, gdy krzyczał na nią „kurwa”.

Robert zamknął oczy.

— Pamiętasz coś? W jaki sposób mogłeś zostać przez niego zaatakowany? — zapytała.

— Jeździłem cały dzień, kolejne miejsca. Zresztą podałem dokładne punkty docelowe Joasi, która prowadzi w tej sprawie dochodzenie. To chyba stało się, gdy byłem tutaj. Lekarz medycyny sądowej cały czas był w szpitalu i prowadził dodatkowe badania. Miałem od niego wziąć kolejne dokumenty. Poczuję delikatne ukłucie, ale nie zwróciłem na nie uwagi, śpieszyłem się — jej młodszy kolega złapał się głowę. Był przybity.

Maria nie wiedziała, co powiedzieć. Kilka godzin temu mogła zginąć z rąk tego człowieka, a w rzeczywistości z rąk całkiem obcej osoby. Albo to ona mogła się stać zabójcą na zlecenie. Dreszcz przeszedł jej po plecach, kiedy pomyślała sobie, jakie to proste.

— Przepraszam, że dzwoniłem o tak późnej porze. Pewno chcesz wracać do rodziny, ale widzisz, pamiętam tylko jak przez sen, co wtedy, w tym lesie się stało. Nie wszystko, co mówiłem, było tym, co chciał zabójca. Miałem tutaj chwilę czasu i zerknąłem do książek. Doczytałem się wielu fascynujących informacji o symbolach starożytnego Egiptu. Znak CIS jest słusznie kojarzony z dynastią Hyksosów. Przez egiptologów jest on różnie tłumaczony, ich badania zgadzają się ze słowami księdza i tego Okulickiego. Obie teorie są słuszne, ale tak w ogóle jest ich sześć. Każda jest udowodniona, ale daje inny obraz. — Maria chciała go powstrzymać. Nowe wiadomości stanowiły wyłącznie komplikacje. — Okulicki mówił coś o odwrotności. Nie jest to głupie, choć wielu by polemizowało. Odwrócony znak CIS chowano do grobu wraz z faraonem, oznaczał wtedy nie tyle śmierć, co dobre życie po śmierci. Egipcjanie wierzyli, że śmierć nie oznacza końca. Teoria księdza również znajduje potwierdzenie w praktyce. Faraonowie faktycznie musieli przejść rytuał dojścia do władzy, przechytrzyć chciwych kapłanów oraz udowodnić swoją boskość. Źródła prowadzą również do innych informacji. Dynastia Hyksosów, faraonowie znajdujący się na najwyższym poziomie hierarchii społecznej, po przejściu rytuału zatrzymywali sobie znak CIS w formie amuletu. Nosili go na szyi i był to znak ich wielkiej, niczym nieograniczonej władzy. Stawali się w ten sposób nienaruszalni.

Robert napił się wody. Maria zobaczyła grymas bólu, zapewne był to wynik płukania żołądka. Szczerze mu współczuła.

— Zainteresował mnie również inny scenariusz — kontynuował młodszy kolega. — Znak CIS początkowo był mapą. Może cię to zdziwi, ale Egipcjanie przejawiali upodobania do przeciwstawiania się ziemskiej grawitacji. Wszystkim są znani bracia Wright, którzy odbyli pierwszy lot samolotem. To jest delikatne zakłamanie historii, bo latano już prawie trzy tysiąclecia wcześniej. Umożliwiło to wybudowanie piramid około trzystu lat przed rozpoczęciem panowania dynastii Hyksosów. Te potężne budowle okazały się znakomitym miejscem do startów. Było to wielkie wyzwanie. Nie tyle znaleźć się w powietrzu, co się tam wdrapać. Dzisiejsza postać trzech największych piramid jest bardzo myląca. Widzimy wielkie bloki skalne poukładane w ten sposób, że do góry prowadzą stopnie po metrze wysokości. Tylko na samym czubku pozostał fragment rzeczywistej postaci. Ja nazywam to złotą powłoką. Kiedy piramida była gotowa, a faraon znajdował się w środku, nakładano złotą powłokę, która lśniła w słońcu, dając wrażenie, że ten blask wydobywa się z serca zmarłego króla. Lata wojen zniszczyły jednak tę warstwę i mamy potężne schody. Ludzie chcący spróbować lotu wydrapywali specjalne dziury, dzięki którym byli w stanie wejść bardzo wysoko, prawie na sam czubek. Później dzięki prototypom puszczali się w przestrzeń. Loty trwały krótko, do dwudziestu sekund. Legenda głosi, że był to przez pewien czas sposób śmierci. Eksperymentowano na ludziach starszych. Bardzo często kończyło się to właśnie śmiercią. Ale znalazł się człowiek o imieniu Heksis, któremu udał się ten wyczyn. Legenda głosi, że leciał kilkanaście minut i przeleciał nad Kairem. Kiedy wylądował, został przyjęty przez kapłanów, a oni poprosili go o narysowanie kształtu ich boskiego miasta. Heksis nakreślił właśnie znak CIS i od tego czasu był on również mapą Kairu.

Maria wiedziała, że przed takimi wiadomościami przestrzegał kilka godzin temu Paweł. Były to tylko teorie, których nie można do końca udowodnić. Domysły, bardzo wiele domysłów. Ale było to na swój sposób fascynujące i intrygujące. Kozielska nie miała pojęcia, do czego ją to doprowadzi, ale dobrze było wiedzieć, że takie teorie istnieją.

— Wyglądasz okropnie! Idź do domu, wyśpij się — powiedział Robert, gdy ziewnęła ze zmęczenia.

Mimowolnie się uśmiechnęła. Makijaż już dawno spłynął, miała potargane włosy, co było jeszcze efektem leśnego sprintu. Była w domu, ale wróciła na posterunek od razu po telefonie Doroty, zapominając o własnym stanie. Zrobiło się

jej wstyd. Miała nadzieję, że milczenie Pawła, kiedy usiadła przy nim, nie było spowodowane jej wyglądem, a po prostu był skupiony nad wykonywaną pracą.

Szła przez szpital, a jej kroki odbijały się echem od wysokich ścian korytarza. Zza niektórych drzwi dochodziły ciche jęki. Minęła strzałkę, która wskazywała oddział psychiatryczny. Nie wiedziała dlaczego, ale właśnie tam zapragnęła iść, właśnie tam zmierzała. Jej tata, kochany tatuś, omijał szpitale z daleka. Chciała iść na medycynę, ale wybrała mniejsze zło — biologię. Właśnie dla taty, który bał się lekarzy, a chorował dopiero wtedy, kiedy musiał do nich iść. Kiedyś opowiedział jej mrożącą krew w żyłach historię o tutejszym oddziale psychiatrycznym. Mówił o duchach krążących po tych ciemnych korytarzach, które budziły strach i zamęt. Nikt tutaj nie przychodził, bo się bał, że jeden błędny krok skutkuje następstwami nie do odwołania. Podobno jednak znalazło się kilku odważnych. Podobno, bo były to bardzo ściśle tajne informacje, których ojciec nie mógł wyjawiać. Ginęli w męczarniach, nie umiając wydostać się z tego labiryntu.

Maria nigdy nie wierzyła tym opowieściom. W przeciwieństwie do taty nie bała się lekarzy, no, może poza dentystą, którego też omijała szerokim łukiem. Chyba tylko to różniło ją z ojcem. W innych kwestiach byli jak dwie krople wody.

Przeszła obok budki portiera. Była pusta. Drzwi do dalszej części były otwarte, lekko uchylone. Wykonane ze stalowej kraty. Kiedy je pchnęła, delikatnie zaskrzypiały. Wibracja przedostała się dalej, bo usłyszała w oddali jakiś krzyk. Pacjent? Pies? Zrobiła krok do przodu. Oddychała szybko, ale równo. Patrzyła na każdy krok. Kiedy już weszła, zaczęła tego żałować. Czuła, że pacjenci śledzą jej ruchy, każdy jej krok był obserwowany, jakby stanowiła atrakcję wieczoru. Podeszła do pierwszych drzwi. Przez małe okienko dostrzegła półnągą kobietę. Leżała na szpitalnym łóżku. Ręce i nogi były przypięte do łóżka. Choć oczy miała zamknięte, jej kończyny poruszały się, bezwiednie drżały. Maria zobaczyła wielką szramę przecinającą jej ciało. Gdy bliżej się przyjrzała, okazało się, że całe jej ciało było pocięte. Poszła dalej.

Och, Mario, droga Mario, co cię podkusiło, żeby iść na oddział psychiatryczny w środku nocy?! Usłyszała skrzypnięcie. Takie ciche, krótkie. Lecz wystarczyło, by obleciał ją strach. Była przekonana, że się nie przesłyszała. Otworzyły się jakieś drzwi. Tylko które? Było tak ciemno, że nie miała pojęcia, gdzie jest wyjście. Zacząć biec? Gdzie, do cholery? GDZIE?! Gdziekolwiek! Panikowała. Obracała się dookoła siebie w poszukiwaniu punktu zaczepienia. Spokój! Nie wariuj, kobieto! Jeżeli dostałaby tutaj ataku astmy i upadła na ziemię, znaleziono by ją dopiero rano. Martwą. Ale nie mogła sobie na to pozwolić.

Jeszcze nie złapała mordercy, a musiała to zrobić. Miała świadomość, że to jedyna możliwość, aby oczyścić się z zarzutów.

Zaczęła iść. Pewnie. Nie zastanawiała się dokąd. Mogła się jedynie domyślać. Uderzyła o drzwi, których wcześniej nie widziała. Nie było tam okienka, przez które mogłaby dostrzec, kto znajduje się w środku. Uderzenie musiało być słyszalne, bo z drugiej strony ktoś oddał tak, że odskoczyła na bok. Pacjent zaczął się szyderczo śmiać. Ruszyła szybciej. Gdzieś, gdziekolwiek. Słowa ojca się spełniły. Znalazła się w jakimś wariackim labiryncie. Nie było wyjścia. Pacjenci chyba usłyszeli, że mają gości. Kozielska dostrzegała ich twarze w niewielkich okienkach. Przyglądały się jej badawczo, śledziły każdy krok. Niektóre się uśmiechały, niektóre płakały. Inne krzyczały niesłyszalne słowa. Maria zatrzymała się. Znalazła się w miejscu bez wyjścia.

Uratować mógł ją tylko cud.

Rozdział 27

CZY TO MOGŁA BYĆ PRAWDA? Jeżeli tak, trudno mu będzie ją udowodnić. Musiał udać się do komendanta Głowali, żeby wyjaśnić sprawę. Nie chciał iść w stronę szantażu, ale jeśli to będzie konieczne, nie zawaha się.

Ale było jeszcze za wcześnie. Wszedł do domu. Zegar wskazywał na czwartą, na zewnątrz wciąż było ciemno. Burza przyniosła orzeźwienie. Gdyby nie zmęczenie, usiadłby na ganku, zapalił papierosa i kontemplował ciszę. Maria spała z Jasiem w jednym łóżku. Zasiadł przy komputerze, zaczął pisać. Wydał już w redakcji wszelkie upoważnienia. Jego codzienną pracę przejęli zastępcy. On chciał się poświęcić swojej sprawie, doprowadzić do końca coś, co jakiś czas temu postanowił zacząć. Teraz nie było odwrotu. Wiedział, że publikacja takiego artykułu w niewielkiej miejscowej gazecie doprowadzi jedynie do tego, że władze zamkną jego redakcję. Musiał przedostać się wyżej, przekonać, że ta sprawa powinna ujrzeć światło dzienne i nie można już dłużej czekać. CBA po takiej aferze zapewne zostanie zamknięte, a wiele ludzi zwyczajnie straci misternie tworzony przez lata pracy autorytet.

Marek nigdy nie dawał i nigdy nie brał łapówek. Słyszał niejednokrotnie, że ten proceder ma miejsce coraz częściej, ale bez większych konsekwencji. Był wielokrotnie oskarżany o znajomości. To podobno właśnie dzięki nim ukończył studia dziennikarskie z wyróżnieniem, to podobno dzięki nim stał się redaktorem naczelnym tutejszej gazety. Sam w życiu jeszcze nic nie osiągnął — taki wniosek

można było wyciągnąć ze słów bliskich współpracowników. Było to twierdzenie fałszywe i nieoparte żadnymi dowodami. Marek walczył o wszystko sam, byle udowodnić, że choć miał wpływowego ojca, tak właśnie nie jest. Może ta sprawa zmieni nastawienie ludzi.

Położył się obok Marii. Przytulił się do niej. Poczł jej ciepło. Wspominał, jak piękne chwile z nią spędził.

Niektórzy mówili, że życie zaczyna się po trzydziestce, inni — że po czterdziestce lub pięćdziesiątce. Marek czuł się zwyczajnie wypalony. Nie był stary, po prostu wyniszczony codziennymi wyzwaniem i problemami. Już zwyczajnie zapomniał, jak wielką radością jest przytulić ukochaną osobę, powiedzieć jej zwykle „dobranoc”.

Będzie musiał to zmienić. Idąc ulicą, obserwował, oceniał i umiejscawiał. Ta dziewczyna jest ładna, ale buty nie pasują jej do całości ubioru. Ta ma przyciągające wzrok krągłości, ale mogłaby popracować nad makijażem. Z tą by się umówił, może chwilę pogadał. Tłumaczył to swoją pracą dziennikarską. Przecież powinien być blisko ludzi, znać ich gusta i pragnienia. Nigdy nie byłby w stanie zdradzić żony. Wszelkie smutki i złości zatapiał w pracy. Odrzucał myśl o posiadaniu kochanki, bo było to zwyczajnie nieetyczne i nie w porządku względem Marii.

Nie mógł zasnąć. Wstał i zapalił papierosa. Nie palił wiele. Po pierwsze ze względu na Jasia — przecież dym szkodził również otoczeniu. Po drugie cena — zwyczajnie nie było go stać na nałogi. No i po trzecie — Maria nie lubiła, gdy się całowali, a czuła odór tytoniu. Tylko kiedy ostatni raz się całowali? Poczł, jak dym dociera do jego płuc. Usiadł na kanapie, zamknął oczy. Wiedział jedno: za kilka godzin się obudzi i prawdziwa zabawa dopiero się zacznie.

WSTAŁA WCZEŚNIE. NIGDY NIE SPAŁA DŁUGO, a dzisiaj po prostu były ważniejsze sprawy niż odpoczynek. Zbyt wiele się działo, a ona nie godziła się na bezczynność, na to, że nie robią nic, gdy zabójca może już się szykować do kolejnej zbrodni. Przecież nawet ona mogła być ofiarą. Dorota szybko wzięła kąpiel i włożyła najcieplejsze ciuchy, jakie miała. Na zewnątrz było naprawdę zimno. Kochała słońce i niecierpliwie czekała, aż zrobi się cieplej.

Teściowej nie było. Dorota obiecała sobie wieczorem, że cokolwiek będzie się dziać, przykłąnie i podziękuje za ten dar niebios. No przecież tak nie mogło być! Ile można chodzić po własnym domu, bojąc się, że za rogiem czyha teściowa,

która po raz kolejny wyśmiewa jej jabłecznik, choć ten wyjątkowo ostatnim razem się nie przypalił. A przecież Franek lubił przypalone rzeczy. Robiła to specjalnie dla niego. Mateusz powiedział ostatnio, że lubi zapach spalenizny. O gustach się nie dyskutuje! Tak więc niech dadzą jej spokój!

Pojechała do komendy. Zastała ten sam widok, który pozostawiła, wyjeżdżając około drugiej w nocy. Nie było dla niej zadań. Była tylko zewnętrznym doradcą w kwestiach badania dowodów i żadne czynności dochodzeniowe w jej przypadku nie wchodziły w grę. A chciałyby jakieś zajęcie, lubiła czuć się potrzebna. Wydawało jej się, że wczorajsze rozeznanie w szpitalu wypadło całkiem pozytywnie, a przydzielenie kolejnego zadania byłoby jedynie dowodem na to, że tak właśnie było.

Paweł Kownacki siedział, wpatrując się bez ruchu w zimną już kawę. Kiedy usiadła obok niego, ożywił się nagle, tak jakby przyłapano go na jakimś występku. On chyba w ogóle stąd nie wychodził. Możliwe, że nie miał dokąd. Do Rzeszowa było zbyt daleko, żeby wracać tutaj rano. Prędzej zasnęłyby za kierownicą, niż pospałyby w swoim łóżku.

Nikt nie zwracał na nią uwagi, więc postanowiła wymknąć się i pojechać na miejsce ostatniego zabójstwa. Wiedziała, że nie ma prawa, za naruszenie strefy bezpieczeństwa groziły wysokie grzywny, a nawet pozbawienie wolności za utrudnianie śledztwa. Jednak miała przeczucie. Może kryminalistycy coś przeoczyli, pominęli jakiś ważny fakt? Dorota nigdy nie miała okazji widzieć miejsca zabójstwa. Zwykle, tak jak w przypadku tej sprawy, badała dowody. Wiedziała zatem, czego szukać, co może być przydatne. Nie wątpiła w umiejętności techników, bardziej chodziło o ciekawość.

Przejechała przez Tymce. Trafiała do domu Weroniki Stępień bez żadnego problemu. Spodziewała się, że przy domu będzie stał jakiś radiowóz, ale było pusto. Płot i drzwi wejściowe były zaklejone taśmą policyjną. Nawet niedoświadczona Dorota doszła do wniosku, że jest to dość lekkomyślne postępowanie. Przecież morderca mógł tutaj spokojnie przyjść i usunąć ślady pozostawione podczas ucieczki.

Weszła do środka, korzystając z uniwersalnego klucza, który należał do podstawowego wyposażenia kryminalistów. Włączyła światło. Pierwsze, na co zwróciła uwagę, to był zapach. Wszystko było przesiąknięte dymem papierosowym. Pokój nie był zapewne wietrzony, więc opary nie miały prawa się ulotnić. Wątpiła, aby to technicy zanieczyścili miejsce zbrodni. Zebrała ślad po

zwęglonym papierosie. Każdy tytoń miał własny, charakterystyczny rodzaj. Tak jak człowiek ma DNA, tak papieros ma cechy, które pozwalają stwierdzić, kto jest producentem. Wystarczył nawet tak niewielki ślad popiołu, jaki zebrała Dorota. Dziwne. Nie zauważyła żadnej popielniczki. Przeszukała kieszenie ubrań oraz sypialnię Weroniki. Nigdzie nie dostrzegła żadnego papierosa. To było ważne. Możliwe, że to właśnie morderca odważył się zapalić. Żałowała, że nie była obecna na miejscu pierwszej zbrodni. Kryminaliści przekazali nawet najdrobniejszy włos, ale na zapach nie zwrócili uwagi. Ich błąd.

Dom był nowy, urządzone gustownie, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Sypialnia i kuchnia były niedokończone. Może zabrakło koncepcji, może pieniędzy, ewentualnie czasu. Dorota zauważyła kartki z cyferkami używane przez kryminalistów przy robieniu zdjęć dowodów znalezionych na miejscu zbrodni. Jedyńka leżała na sofie. Tam znaleziono Weronikę. Dwójka na szklanym stole, gdzie leżała koperta i strzykawka, znowu w folii. Morderca mógł zostawić jakiś odcisk. Na szkle widać było każdy odcisk. Wszelkie ślady z dywanu były zatarte. Dreszcz przeszedł jej po plecach, kiedy uświadomiła sobie, że mógł tu chodzić morderca, jeszcze kilka chwil temu, i że to ona mogła leżeć na kanapie. Dorota podeszła do okna. Miała nadzieję, że znajdzie gdzieś niedopałek papierosa. Było to źródło DNA. Ślina pozostawiona na papierosie okazała się już niejednokrotnie niezbitym dowodem przeciwko przestępcy. Na nic nie natrafiła.

Zaczęła się zastanawiać, którędy uciekł morderca. Po drodze mógł zostawić jakieś ślady. Śpieszył się, ważne było tylko to, żeby jak najszybciej wydostać się z domu. Na pewno nie wyszedłby drzwiami frontowymi, bo tam stali policjanci. Choć skąd pewność, że sprawca uciekał? Może on wyszedł wcześniej, a Tadek zobaczył po prostu jakiś cień? Podeszła do głównych drzwi. Na klamce nie było odcisków palców, ale znalazła coś pod komodą. Kawalek jakiegoś włókna. To była część jakiegoś ubioru, trochę mniejsza od tego, jaki znalazła Maria w lesie. Zdecydowanie grubszy materiał. Zabezpieczyła swoje znalezisko.

Dorota podeszła jeszcze raz do szafy, aby sprawdzić, czy ten fragment materiału nie pochodzi przypadkiem z garderoby ofiary. Okazało się, że nie. Odkryła pudełko pełne pistoletów oraz amunicji. Przestraszyła się, ale uświadomiła sobie, że przecież Weronika była żołnierzem. Codziennie miała do czynienia z bronią i zapewne miała pozwolenie. Usłyszała jakiś ruch. Czytała kiedyś książkę o postępowaniu na miejscu oględzin. Morderca niejednokrotnie obserwował to miejsce. Mógł zaatakować. Dorota zupełnie zapomniała o takiej możliwości. A co, jeśli jest w tym domu, nawet stąd nie wychodził, a po prostu się gdzieś skrył? Chwyciła broń Weroniki. Nie wiedziała, jak się tym posługiwać, nie wiedziała, czy

„to coś”, co trzyma, jest naładowane, ale było już za późno. Kiedy się obróciła, zobaczyła jedynie lufę pistoletu wycelowaną w swoje czoło.

Z pamiętnika filozofa

Ta pani. Może dzisiaj będzie, może nie. Nie zależy mi. Nie można się przyzwyczajać. Życie się zmienia, my też. Choć to trudne, powinniśmy mieć siłę, by się przyzwyczaić do nowego świata.

Ten pan. Już się nie mogę doczekać, gdy powie „dzień dobry”. Zwykle słowa, ale kierowane do nas dodają blasku naszemu dniu. Jesteśmy zauważeni. Przystajemy być szarymi myszkami, takimi samymi jak tysiące innych. MY istniejemy.

Miałem gościa. Rzadko się zdarza, ale bywa i tak. Czy się zdziwiłem? Trochę. Chciałbym móc z nim porozmawiać, dopytać się, co sprawiło, że do mnie przyszedł. Przecież siedzę tak na uboczu, mało kto do mnie przychodzi.

Placz jest szczerym odbiciem uczuć. Kiedy śmiejesz się szczerze, bardzo szczerze, o łzy nietrudno. Kiedy czujesz smutek lub radość, łzy są dowodem twojej wrażliwości. Ronimy łzę, nie widząc w tym nic nadzwyczajnego. Mężczyzna jest silny, odważny, zapracowany. Kiedy ludzie widzą jego płacz, pytają go, czy wszystko w porządku. Nedorzecznosc. Przecież on też jest człowiekiem, przecież on też ma uczucia. Kobiecie szkoda makijażu, choć łzy kobiecie nie budzą zdziwienia. To stereotyp matki płaczącej. Żegnając męża, żegnając przyszłość, nietrudno było w przeszłości o łzy. Dziś jest trochę inaczej. Gdybyśmy nazbierali wszystkie swoje łzy w życiu, może uzbierałby się litrowy garnek. Większość pochodziłaby z dzieciństwa, kiedy płacz był sposobem wyzyskiwania.

No a reszta to starość: kiedy mamy świadomość przemijania, mamy więcej czasu na uzalanie się nad własnym pierdolonym życiem.

Ale może moje słowa są zbyt pesymistyczne. Twierdzę jednak, że im więcej łez, tym lepiej. Wyobraźmy sobie litr łez. Z pozoru jest to garnek napelnlony wodą. Możemy ugotować sobie pierogi albo zalać tanią kawę rozpuszczalną. Ale z całym szacunkiem dla tego, co byś zrobił, uważam, że lepiej byłoby go zatrzymać. Spójrzmy na to inaczej. Litr uczuć, litr wrażliwości, litr wspomnień. To bezcenny litr. Ważny dla każdego człowieka indywidualnie. Mający tysiące barw, które mienią się szczęściem, strachem, smutkiem i wieloma innymi uczuciami.

Słowa. Podobno najwartościowszy jest człowiek, który myśli. Bo i milczenie jest wartością. Dość mało dostrzegana przez elity polityczne, które wychodzą zapewne z założenia, że im więcej używają słów, im bardziej te słowa są skomplikowane, tym większa jest szansa, że zostaną zauważeni. I w pewnym sensie tak właśnie jest. Słowa są jak człowiek. Dostrzegamy brzmienie, wygląd, również sposób mówienia, ale rzadko wnikamy w treść.

Żeby słowa miały głębszy sens, musimy je kierować z przekonaniem, najlepiej do jednej osoby lub niewielkiej grupy, która jest zainteresowana tym, co masz do powiedzenia. Można mówić o wszystkim i o niczym, jednak lepiej mieć jakiegokolwiek pojęcie w temacie, niż robić z siebie większego głupka, niż w rzeczywistości się jest. Można mówić o miłości, starannie dobierać słowa. Ale trzeba dostosować język. To jest skomplikowane, ale robimy to, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Mówisz do żony: „kocham cię”. Twoje uczucia są szczere. Słowa udowadniają idące za tym gesty i czyny. Możesz porównywać swoją ukochaną do pięknej nimfy, recytować wiersze, a nawet śpiewać serenady. Jednak inaczej będziesz się zwracać do swojego potomstwa, tłumacząc, co to właściwie jest to, o jakże tajemnicze, uczucie, jak odkrywać jego szczerość, a jak bardzo należy uważać, żeby wybrać właściwie. Za wszystkim idą słowa — nie da się wszystkiego pokazać.

Napijmy się kawy. Usiądź obok mnie. Cukru? Śmietanki? A może troszeczkę whisky? Tak, wiem. Jesteś pewnie abstynentem. Jak wszyscy Polacy. Przecież my nie popadamy w nałóg. To tylko kawa. Tylko jeden łyk. Tak samo jest ze wszystkim. Tak samo jest z miłością. Zaznasz jej raz, to już nie puścisz. Już nie oddasz. Za bardzo ci na niej zależy. Jest zbyt wielka i zbyt ważna. Podobnie jest ze słońcem i deszczem. Potrzebujesz obu, bo znasz to i to. Dla ciebie jest normalne, że po słonecznym tygodniu przyjdą burze i wielkie ulewy. A co, gdyby tej miłości zabrakło? A co, gdyby przez cały czas miał padać deszcz? Jako nałogowiec będziesz dążył do miłości, będziesz jej usilnie szukał, no i tak samo ze słońcem. Będziesz wstawał codziennie i patrzył na niebo, mając nadzieję, że dzisiaj w końcu doczekasz się kochanego słońca.

Ale w ten sposób zaczynamy od początku. Nie warto się przyzwyczajać, bo przychodzi nam to bardzo łatwo, a później nałóg rodzi nałóg. A z nałogu niełatwo wyjść. Tak więc nie przyzwyczajaj się, nawet tutaj. Bo są niespodzianki, których nie możemy przewidzieć, są zdarzenia, których nie możemy się spodziewać, są przed nami dni, na które nie warto czekać.

Rozdział 28

SPODZIEWAŁ SIĘ KOGOŚ INNEGO. Miał nadzieję, że zasadzka się uda. Ale niespodziewanie pojawiła się Dorota Maj. Nie miał do niej pretensji. Nic jej nie mówił, lecz nie spodziewał się, że właśnie ona będzie gotowa na takie działania. Nie zamierzał wyciągać konsekwencji. Przecież szukała dowodów. Znalazła coś, czego nie znaleźli kryminaliści Aleszkiewicza.

Wszystkie możliwe drogi ucieczki zostały sprawdzone, ale nikt nie przypuszczał, że morderca mógł wyjść głównymi drzwiami. Analiza lekarza medycyny sądowej i sekcja zwłok wykazały, że zastrzyk był zrobiony przez samą ofiarę, tak samo jak w poprzednim przypadku. Świadczy o tym kąt wbicia igły. Uniemożliwiało to po raz kolejny postawienie zarzutu zabójstwa. Śmierć nastąpiła około dwudziestej pierwszej, czyli sprawca miał czas uciec przed przyjazdem policji, co miało miejsce o dwudziestej drugiej. Dorota Maj zbadała znaną przez siebie tkaninę w chromatografie. Była to bawełna wysokiej jakości. Mogła znaleźć się tam przez całkowity przypadek, jednak jej chromatograf odkrył po raz kolejny tajemniczą *Commiphore abyssynice*. Komendant nie miał odwagi zgadywać, skąd taka substancja może pochodzić, skąd wzięła się zarówno na liście, jak i na materiale. Maj doszła do zadziwiających wniosków. Dopasowała znalezisko do własnej bazy tkanin. Był to ogólny projekt polskich naukowców. Zrobili szczegółowe badania kilkuset rodzajów materiałów. Kiedy znalezisko było wystarczająco duże, można je było porównać z dostępnymi w bazie próbkami.

Komendant szczerze się zdziwił. Materiał ten był używany do szycia kamizelek kuloodpornych wysokiej jakości. Policjanci nie znaleźli żadnej kamizelki w garderobie Weroniki Stępień. Jej dowódca poświadczył, że jego podwładni dostają je od wojska, ale muszą każdorazowo oddać — nie wolno im zabierać ich do domu.

Zatem ten fragment mógł zostawić morderca. Możliwe, że uciekając, zaczepił o coś, czego właśnie mieli efekt.

Najgorsze było to, że mogło dojść do nieszczęścia. Policjanci specjalnie oddalili się od domu, aby w przypadku, kiedy morderca wróci, żeby zatrzeć ślady, schwycić go. Kiedy Dorota Maj wchodziła do domu, miała na sobie ortalionowy, hermetyczny kombinezon. Mógł to być morderca, ale równie dobrze św. Mikołaj albo Barack Obama. Policjanci obserwowali, co robi potencjalny morderca. Weszli do domu i gdyby nie to, że Dorota się na czas odwróciła, mogło dojść do tragedii, tym bardziej że trzymała w rękach broń.

Komendant Głowala miał wszystkiego dość. Problemy się kumulowały. Stolica naciskała: chciano go odsunąć od sprawy wraz z przekazaniem dowództwa Aleszkiewiczowi. Nie chciał na to pozwolić. Ta sprawa się jeszcze nie zakończyła, a wdrażanie nowego dowódcy na pewno by się jej nie przysłużyło. Ale co właściwie udało im się zrobić? Znaleźć *Commiphore abyssynice*? Nic to im nie dało, a poza tym podziękowanie należało się doradcy zewnętrznemu — Dorocie Maj — a nie policji.

Władysław Okulicki nie chciał się przyznać i odpowiadał szantażem. Głowala liczył na to, że w końcu uda im się zdobyć nakaz przeszukania domu mecenasa, a on sam nie będzie dłużej tamować tego procesu. Znali się długo.

— Gdzie jest Czynicki? Dajcie mi Czynickiego! — komendant rozejrzał się po pokoju funkcjonariuszy.

Wzywany policjant wypadł z ubikacji. W biegu zapinał rozporek, co wywołało niestosowny uśmiech Joasi. Stał niedbale przed komendantem. Głowala nieraz miał wyrzuty sumienia, że traktuje Czynickiego jak syna, który jest od wszystkiego. Ale w pewnym sensie tak było. Komendant tak naprawdę nie miał rodziny. Rozpadła się, gdy został zdegradowany i wysłano go do Lubaczowa. Żona była zapewne chciwa na jego pieniądze, a gdy przychody znacznie się zmniejszyły, zwyczajnie go rzuciła. Głowala nie miał wtedy czasu na rozpaczanie, tym bardziej że dawno przestał ją kochać.

Czynickiego wiecznie musztrował, nie dawał mu odpoczynku, wykorzystywał to, że funkcjonariusz jest nieżonaty i bezdzietny. Widział w nim przyszłego następcę i chciał go przystosować do tej pracy.

— Pojedziesz na plebanię, Czynicki!

— Z całym szacunkiem, komendancie — młodszy funkcjonariusz pomimo zmęczenia widocznego w jego oczach, ku rozbawieniu Głowali, zaczął pyskować. — Jestem odpowiedzialny za pilnowanie skrzynki pocztowej, proszę o przydzielenie do tego zadania kogoś innego.

— Ja mogę jechać — Joasia podniosła rękę do góry. Mimo trudnej nocy wyglądała na wypoczętą. Co jakiś czas uśmiechała się w stronę Todka. Pewnie wiedziała, że Czynicki nie miał możliwości się zdrzemnąć nawet kilku minut.

Komendant spojrział na nią, jakby widział ją po raz pierwszy. W końcu machnął ręką, co można było zrozumieć jako: „róbcie, co chcecie, byle byście mi przywieźli wikarego”.

Wrócił do swojego biura. Nalał szklaneczkę czegoś mocniejszego. Jeszcze było wcześniej, ale co z tego. Jeżeli miał to wszystko wytrzymać, musiał się znieczulić, a nie znał lepszego sposobu.

Ktoś zapukał do drzwi. Przywitał gościa skinieniem głowy. Wystarczył krótki rzut oka, żeby dojść do wniosku, że nie tylko on miał trudną noc.

— Witam, panie Marku — wskazał Kozielskiemu krzesło ustawione naprzeciw jego biurka. — Do rzeczy!

OBUDZIL SIĘ, SŁYSZĄC ALARM BUDZIKA. Nie było już ani mamy, ani taty. Nie zapomnieli jednak o nastawieniu pobudki. Przecież ich synek nie mógł się spóźnić do szkoły. Na dole czekały przygotowane kanapki. Jasio nie chciał iść dzisiaj do szkoły. Miał problem, wolałby go najpierw rozwiązać. Chciał wczoraj pogadać z rodzicami, ale nie dali mu takiej możliwości. Pozostało napisać maila do nowego znajomego. A co, gdyby nie poszedł do szkoły? Rodzice zapewne wrócą późno wieczorem, o niczym by się nie dowiedzieli. Przecież kartkówkę z matmy, którą dzisiaj miał napisać, mógł przełożyć na inny termin. Nigdy nie miał problemów z nauką, a nauczyciele bardzo go lubili.

Dzwonek do drzwi. Tego nie przewidział. Babcia. Jej nie mógł o tym powiedzieć. Babcia była kochana, ale nie rozumiałaby.

— No już, Jasio. Myjemy ząbki, ubieramy się, a ja ci zrobię śniadanko. — Byleby to nie była... — Co byś powiedział na owsiankę?

I nie czekając na przeczącą odpowiedź, zaczęła przyrządzać swoją sekretną miksturę, której sam zapach wywoływał u Jasia mdłości.

No i trzeba było iść do szkoły. Babcia na pewno nie pozwoliłaby mu zostać. Tym bardziej że przecież był zdrowy, a na kombinowanie z kaszlem było już za późno, bo go widziała bez żadnych oznak choroby.

Dokończył maila. Co by było, gdyby zniknął z tego świata? Co by było, gdyby uciekł? Był mały, łatwo by się mu było schować. Szukaliby go. Rodzice płakaliby i zrobiliby wszystko, żeby go odnaleźć. Jasio również by tęsknił —

przecież to jego rodzice. Kochani rodzice. Ale nie znał innego sposobu, żeby zwrócić na siebie uwagę, żeby wreszcie zaczęto go dostrzegać. Dorosłym się wydaje, że tylko oni mają problemy, a dzieci mają sielskie życie. Ale myślą się, bardzo się myślą.

Rozdział 29

KOZIELSKA JUŻ CHYBA NIGDY NIE WRÓCI na oddział psychiatryczny. Tak naprawdę nie wiedziała, jaki przyświecał jej cel. To było bardzo nieroztropne z jej strony. Niepotrzebnie wpadała w panikę. Na szczęście był ochroniarz. Gdy mijała portiernię, zapewne był w łazience. Kiedy usłyszał jakieś ruchy, poszedł na obchód. Z jego pomocą Maria wydostała się na zewnątrz. Ochroniarz nie pytał o powód jej przyjścia, z czego bardzo się cieszyła, bo nie wiedziałaby, co właściwie odpowiedzieć. Bo tak jakoś wyszło. Zabłądziła.

Drzwi otworzyła Danuta. Dobrze się znały, tym bardziej że Maria była w stałym kontakcie z rodziną Agnieszki Surmy. Kozielska otrzymywała nawet zaproszenia na koncerty i nigdy nie odmawiała.

Po chwili obok Danuty pojawiła się jej córka. Państwo Surmowie byli dużą rodziną. Agnieszka miała trzech braci i siostrę. W ich rodzinnym domu mieszkali również dziadkowie. Ze względu na zdarzenia z przeszłości Danuta postanowiła nauczać córkę w domu. Maria rozumiała taką decyzję i wspierała, jak mogła, wszystkie działania mogące przywrócić uśmiech na wiecznie smutną twarz dziecka.

Kiedy Agnieszkę porwał pedofil, co pozostawiło trwałe ślady w jej psychice, jej matka obwiniała się, że nie potrafiła się zaopiekować córką. Rozmawiał z nią psycholog, ale nie przynosiło to większego skutku. Minął pewien czas i choć Agnieszka miała trudności, aby powrócić do normalnego życia, działania powoli dawały zamierzony efekt. Danuta zrezygnowała z pracy, materialną stronę utrzymania rodziny przejął w całości jej mąż. Choć straciła dobrze płatną posadę w banku, raczej nie żałowała.

Maria nieraz spotykała się z nią na zwykłe kobiece plotki, bo to było potrzebne również jej. Czuła się w ten sposób potrzebna. Rzadko przyjeżdżali do Kozielskiej jacyś znajomi.

Ale dzisiaj była tutaj z misją. Morderca był na wolności, a Maria nie miała pojęcia, gdzie go szukać. Zawieszona w obowiązkach miała wolną rękę, nie była

związana z komendą. Wpadła na pomysł, aby wykorzystać w pewien sposób Pawła Kownackiego. Po zakończeniu sprawy mogli się już więcej nie spotkać. A chciała przynajmniej spróbować. Wiedziała, że Danuta nie będzie protestować.

Pomyślała o tym w nocy, kiedy Paweł mówił, że morderca może manipulować, zacierać oraz fałszować ślady. Wspomniał wtedy o hipnozie. Była to trudna sztuka. Kiedy Maria zapytała, czy on sam podjąłby się zahipnotyzowania kogoś, nie był zachwycony, ale powiedział, że mógłby spróbować.

Sprawa pedofila była dla niej ważna. Chciała go dopaść za wszelką cenę. Czytała, że osoby znajdujące się w stanie hipnozy, poproszone i zapytane, łatwiej ujawniają pewne sytuacje. Kozielska jako główny śledczy tej sprawy miała kontakt z innymi ofiarami, ale to właśnie z Agnieszką utrzymywała bliższe stosunki, to od niej wszystko się zaczęło. Nie miała wyboru, musiała przynajmniej spróbować.

— Nasza uwaga jest bardzo podzielna — zaczął swój poranny wywód Kownacki w odpowiedzi na pytanie Marii, na jakiej zasadzie hipnoza właściwie działa. — Wchodząc w stan hipnozy, mamy tylko część naszego świata, następuje koncentracja myśli, przekazywane są bodźce pomiędzy różnymi obszarami mózgu. Człowiek bardzo często znajduje się w stanie hipnozy, nie zdając sobie z tego sprawy. Na przykład sen. Właśnie od tego słowa pochodzi słowo „hipnoza”. Wiedziałaś o tym? — Nie, Maria nie miała o tym zielonego pojęcia, ale bardzo ją to intrygowało. — W stan hipnozy może wprowadzić nas monotonia, nuda, ale nawet zwykła codzienna rutyna. Jesteśmy wtedy bardziej podatni na oddziaływanie zewnętrzne, a manipulacja nami jest o wiele łatwiejsza, choć nie zdajemy sobie z tego sprawy. Jest wiele metod wprowadzania w stan hipnotyczny. Indiańscy szamani używali pachnących kadzidełek, podawali fałszywe medykamenty chorym, a kiedy pacjent się budził, był przekonany, że nic mu nie jest. W filmach często widzimy wahadełko. To rzeczywista metoda, ale bardzo wolna i zależna od odbiorcy. Byłem na dwóch szkoleniach. Kiedyś hipnoza była używana w kryminalistyce dość często. Wprowadzanie w ten stan było główną metodą przesłuchań. Potem przestępcy znaleźli sposoby, jak się przeciwstawić. Stali się bierni, co wykluczało jakiekolwiek zastosowanie tej metody. Nie mogę ci nic obiecać, Mario — dodał na koniec. — Hipnoza ma szansę w momencie, kiedy rozmówca zna drugą osobę. Trzeba wiedzieć, jak podejść do danej sprawy. Powiedziałaś mi wiele o Agnieszce, ale czy to wystarczy? Trudno mi spekulować.

Paweł zaproponował rozmowę w innym pokoju. Obskurne ściany piwnicznego pomieszczenia mogłyby odstraszyć dziewczynkę. Kozielska przystała na jego sugestię. Usiadła z boku, wpatrywała się w widowisko, które

właśnie się zaczynało. Agnieszka zajęła miejsce naprzeciw Kownackiego w dyspozytorce, którą Czynicki zwolnił na prośbę koleżanki.

Maria z radością patrzyła, jak Agnieszka odważnie siada na krześle. Uśmiecha się, jest zainteresowana dziwnym pomieszczeniem, w którym znalazła się po raz pierwszy. Kownacki zamknął akta sprawy o pedofilu, które wręczyła mu wcześniej Maria.

— Chcę, abyś wybrała taki moment z przeszłości, kiedy byłaś bardzo, bardzo małą dziewczynką. Mój głos podąży za tobą. Stanie się głosem twoich rodziców, twoich sąsiadów, twoich przyjaciół, twoich koleżanek i kolegów ze szkoły, twoich towarzyszy zabaw i twoich nauczycieli. Chcę też, abyś znalazła się w szkolnej klasie jako mała dziewczynka, szczęśliwa z powodu czegoś, co wydarzyło się dawno temu, o czym zdążyłaś już zapomnieć.

Głowa Agnieszki delikatnie się przechyliła. Miała zamknięte oczy. Paweł dał Marii znać, aby zgasła światło.

— Pamiętasz tamten dzień? Ochraniam cię. Nic ci się nie stanie. Nie masz się czego obawiać — głos Pawła się zmienił. Ton był melodyjny. Profesor wstał i podszedł bliżej Agnieszki. Mówił szeptem, blisko jej ucha, tak że Kozielska miała trudności, aby wszystko dosłyszeć.

— Co się dzieje? Opowiedz mi!

— Jest zabawnie, bardzo zabawnie — Agnieszka zająknęła się. Zmarszczyła czoło. — Jest lato, wracam ze szkoły.

— Kto idzie z tobą?

— Bo-boję się — po jej policzku spłynęła łza. Maria zdała sobie sprawę, że jej serce bije mocniej niż zwykle. Nie spodziewała się, że to przyjdzie z taką łatwością.

— Nic ci się nie stanie. Jesteśmy w raju, tylko we dwójkę...

— Bo-boję się.

Agnieszka otworzyła oczy, uniosła głowę. Popatrzyła na Marię. Kozielska po raz pierwszy widziała w jej oczach taki strach. To był poroniony pomysł! Dość!

Już starczy! Nie bój się, Agnieszko, wszystko będzie w porządku! Popatrzyła pytająco na Pawła. On tylko wzruszył ramionami.

— Ten lęk siedzi chyba zbyt głęboko. Gdzieś, gdzie nie jestem w stanie dotrzeć. Przepraszam.

Wychodząc z Agnieszką, była trochę zawiedziona. W drzwiach minęła męża. Chciała z nim porozmawiać. Wspominał, że musi odwiedzić komendanta, ale nie podał żadnych szczegółów, których Kozielska była bardzo ciekawa. Ale wydawał się zagoniony, a ona obiecała Danucie, że jak najszybciej odwiezie córkę do domu.

— Jutro gram koncert. Przyjdiesz, ciociu?

— Nie wiem — Maria wątpiła, aby dała radę. Z drugiej strony nie chciała robić jej przykrości. — Może.

Agnieszka była utalentowaną pianistką. Muzyka, zresztą podobnie jak konie, pozwoliła jej się przybliżyć do rzeczywistości sprzed wypadku. Kiedy grała swój pierwszy koncert, Danuta nie umiała powstrzymać łez. Był to milowy krok. Zamknięta myszka miała odwagę, aby wystąpić przed kilkudziesięcioma gośćmi.

Wsiadły do samochodu. Kozielska była tak rozkojarzona po tym, co się stało, że o mały włos wjechałyby w stojący obok radiowóz. Dziewczynka spojrzała na nią przestraszona. Maria przeprosiła i pojechały dalej. Myśli policjantki były jednak zupełnie gdzie indziej. Usilnie próbowała sobie coś przypomnieć. Widziała tylko pustkę, czarną, bez wyrazu.

PAWEŁ NIE WIEDZIAŁ DO KOŃCA, jaki jest sens pytać księdza o metaforyczne znaczenie kolejnego łacińskiego zwrotu. Jeżeli morderca bawił się z nimi w głupie gierki, profesor jako niezbyt wytrawny gracz po prostu by się z tej gry wycofał. Metafor było wiele, a każda nowa pociągała za sobą kolejną tajemnicę.

Była to zwykła ludzka ciekawość. Kownacki był ateistą. Równie dobrze ksiądz mógł być zwykłym przechodniem. Po prostu uważał, że poprzednie informacje podane przez niego były bardzo interesujące. Tak niewiele brakowało, a drogą jego dedukcji powstrzymaliby zabójcę.

Może to był przypadek, że to Weronika Stępień została zaatakowana, ale

wszystko pasowało. Na liście potencjalnych klientów Okulickiego znajdowały się pielęgniarki, sekretarki, krawcowe i sprzedawca mięsa. Tylko jeden żołnierz. Jeżeli zabójca miał się faktycznie wykazać odwagą, sprytem, siłą oraz zdecydowaniem, zabicie Weroniki najlepiej udowodniało te cechy. Przypuszczenie okazało się trafne. Pytanie tylko, czy podejrzenia względem Okulickiego były właściwe. Paweł jeszcze raz przejrzał informacje o osobach z listy potencjalnych ofiar, ale nikt nie pasował do przyjętego modelu.

Ksiądz Jan usiadł na krześle, podano mu herbatę. Jego uwagę przykuł automatycznie nowy list. Delikatnie obracał go w dłoniach. Drżały mu ręce. To świadczy o tym, że ma pojęcie, iż list jest dowodem w ważnej sprawie oraz może być kluczowy w rozwiązaniu zagadki.

— *Contra facta non valent argumenta*. Wobec faktów argumenty muszą ustąpić — powiedział te słowa w zamyśleniu, jakby sam do siebie, ale wystarczyło, by przyciągnąć uwagę zebranych. — Nie znam wszystkich zwrotów łacińskich. Są popularne, ale używane jedynie przy tradycyjnych ceremoniach. W każdym razie moje ostatnie domysły były błędne. Odnalezienie łaciny w przestrzeni hieroglificznej nic nie dało. Może bandyta — Pawłowi podobało się to milutkie określenie bezwzględного zabójcy w ustach księdza — chce coś powiedzieć. Może nie do końca mu to wychodzi. Trzy użyte łacińskie zwroty są powszechnie znane, należą do podstawowego kanonu, dzięki temu je znam. Może to przypadek, ale...

Na to „ale” Kownacki aż się wyprostował. Nie wiedział, czego może się spodziewać.

— Byłem kiedyś na wykładzie dotyczącym językowych mitów. Duża jego część została poświęcona właśnie łacinie. Wykładał pewien dominikanin. Twierdził, że wszystkie łacińskie zwroty mają taką samą konstrukcję, czyli działają na tej samej zasadzie. One przykrywają prawdę. Pierwotnie były używane w prowizorycznych rzymskich sądach na początku istnienia republiki. Arystokraci chcieli w ten sposób pokazać własną wiedzę i udowodnić niższemu warstwowi społeczeństwa, że nie warto się buntować, bo ich geniusz przewycięży wszystko. Nieważne, co mówili. Byle był odpowiedni akcent. Liczyło się wrażenie. Im piękniej ktoś mówił, tym był bardziej poważany.

Paweł Kownacki pomyślał, że słowa księdza mogą być prawdziwe. Morderca używał słów trudnych, niezrozumiałych dla zwykłego policjanta. Może to był tylko fałszywy trop. Zastanawiali się nad jego wiedzą, znajomością mistycznych egipskich znaków, a w rzeczywistości miało to tylko ukryć prawdę.

Kownacki popatrzył na wszystkich zgromadzonych w sali. Każdy patrzył na wikarego, czekając na wyjaśnienia.

Paweł ich nie potrzebował.

Poszedł do pokoju przesłuchań. Czy poradził sobie z hipnozą? Maria na pewno liczyła na coś więcej. Oczekiwała, że odkryje prawdę o pedofilu, że uchroni kolejną niewinną duszę. Jednak umysł Agnieszki był taki zamknięty, taki nieprzenikniony. Zastosował podstawową metodę. Obawiał się, że dziewczynka będzie złękciona. Chciał ją zapewnić, że nic jej nie grozi.

Brał udział w warsztatach z hipnozy. To była bardzo ciekawa umiejętność, jednak nieużyteczna w codzienności. Konieczna była świadomość, jak używać jej bezpiecznie. Napisano już całe tomy o przypadkach ludzi, którzy nie byli w stanie wyjść z tego stanu.

Sen, który trwa wieczność.

Ludzie podatni na oddziaływanie łatwo otwierali się na jakiegokolwiek manipulacje. Im dłużej znajdowali się w stanie zahipnotyzowania, tym trudniej było ich z tego stanu wyciągnąć.

Zaczął po raz kolejny przeglądać filmy z przesłuchań. Coś mu się w tym wszystkim nie podobało. Coś pomijał. Zerknął na swój czerwony notatnik. Zapisywał tam wszystko. Kiedy szedł ulicą, mijał człowieka, kobietę lub mężczyznę, bez znaczenia, od razu do głowy przychodziły mu słowa dotyczące ich charakteru. Przygotowywał w myślach taktykę ich przesłuchania, a w przypadku niektórych kobiet — podrywu. Był to rodzaj zboczenia zawodowego. Kochał ludzi. Wygląd był tylko prologiem, często przez niego pomijanym, bo to właśnie wnętrze było najważniejsze, zdecydowanie bardziej interesujące. Stąpał po kruchym lodzie, ponieważ ludzie często tworzyli fałszywy obraz, a nie zawsze było to łatwe do wykrycia.

Znał Okulickiego. Początki kariery naukowej Pawła były związane z Warszawą. Bywał na rozprawach sądowych, bo to było zdecydowanie najlepsze miejsce do badania tajników zachowań człowieka. Tam poznał mecenasa. Był trudnym przeciwnikiem i im dłużej Kownacki oglądał nagrania z przesłuchania, tym bardziej nie mógł się nadziwić sztuce panowania nad własnym zachowaniem, którą Okulicki opanował perfekcyjnie. Może kłamał, ale równie dobrze mógł mówić prawdę i tylko prawdę. Lepszym obiektem był Tomasz Domagała. Pawła

intrygowały pewne kwestie, o które zapomniał zapytać podczas pierwszej rozmowy.

Paweł, jesteś mordercą. Co robisz? Jaki będzie twój następny krok? Zaatakujesz jutro czy dzisiaj?

Chcę zaskoczyć policję. Atakuję dzisiaj. Już nie będzie to ofiara, która wpisuje się w model przyjęty przez tych naiwniaków z komendy. Muszę zaskoczyć. Muszę. Wkurzyłem się. Niewiele brakowało, a schwytaliby mnie. Skąd oni u licha wiedzieli, że wybiorę właśnie Weronikę? Ale teraz o tym nie myślę. Dążę do celu.

Paweł nie miał pojęcia, czego może oczekiwać. Wiedział jedno: to coś zaskoczy wszystkich, a prostota zbrodni po raz kolejny udowodni ich głupotę.

Rozdział 30

LUBACZÓW BYŁ OSTATNIĄ WIĘKSZĄ MIEJSCOWOŚCIĄ na drodze prowadzącej na Ukrainę. Mieszkańcy walczyli o obwodnicę, aby chronić się przed coraz większą liczbą samochodów ciężarowych, które uważały Lubaczów za znakomite miasto tranzytowe. Ich broń była jednak za słaba, bo na razie nic nie wywalczyli.

Nigdy nie było problemu z ukraińską ludnością. Szukający pracy w Polsce docierali zwykle dalej, wychodząc z założenia, że łatwiej będzie im coś znaleźć w głębi kraju niż na terenach przygranicznych.

Niewątpliwie bezrobocie było tutaj dużym problemem. Lokalne władze sukcesywnie zmniejszały odsetek bezrobotnych, chwaliły się tym, ale rzeczywistość wyglądała trochę inaczej. Średnia bezrobocia od dawna była większa od tej krajowej, a mniej bezrobotnych to wynik wyjazdów za granicę. Nie tylko na Zachód: do Anglii czy Irlandii. Również na sąsiednią Ukrainę. Potrzebni byli tam specjaliści, których w Polsce nie brakowało. Choć początkowa pensja była niewielka, to mimo wszystko była praca z szansą na awans w przyszłości.

Marek przyspieszył kroku. Rozmowa z komendantem wiele wyjaśniła. Zaniepokoił się, bo miał świadomość, że sprawa odkrycia wielkiej afery korupcyjnej w Centralnym Biurze Antykorupcyjnym nie ma właściwie sensu. Zostanie uznany za głupka, który szuka sensacji, a nie ma dowodów na jakiegokolwiek nieprawidłowości. To była prawda. Nie miał żadnych dowodów.

Jedynie domysły. Tylko i wyłącznie.

Ale była inna sprawa, która wiele wyjaśniała. Zakończyłaby pewien proceder i otworzyła oczy wielu ślepcom. Potrzebował nakazu, właśnie w tej sprawie kierował się do miejscowego sądu rejonowego. Może mu się wydawało, lecz chyba ktoś go śledził. Czarny samochód stał już przy komendzie. Teraz zatrzymał się na światłach. Miał przyciemniono-ne szyby, więc Kozielski nie mógł dostrzec, kto siedzi za kierownicą. Jako dziennikarz czasem musiał podążać za podejrzanym. Nie było to łatwe, bo mógł zostać oskarżony o napastowanie. Człowiek śledzony ma świadomość, że coś jest nie w porządku, zachowuje się uważniej. Teraz, czując czyjś wzrok, zwolnił. Zobaczył kiosk, wszedł do środka. Wziął do ręki pierwszą z brzegu gazetę i zamasyście otworzył. Obserwował, jak czarny mercedes przejeżdża z patrolową prędkością, zapewne próbując go zlokalizować. Marek poprosił o możliwość wyjścia przez zaplecze.

W tej chwili nie miał wątpliwości, że ktoś z nieznanego powodu go śledzi. Brakowało nawet domysłów, kto to może być. Nigdy wcześniej nie widział w Lubaczowie takiego samochodu. Musiał kosztować fortunę. Gdzie iść? Nie miał powodu, żeby biec. Nie miał dokąd. Po wyjściu z drugiej strony kiosku znalazł się w wąskiej uliczce pomiędzy dwoma budynkami. Śmierdziało, że studzienki kanalizacyjnej unosiły się opary, które wzbijały się wysoko w powietrze. Usłyszał jakiś hałas. Okazało się, że skryła się tutaj dwójka nastolatków, aby zapalić papierosa. Marek miał nadzieję, że nie zaczną zaczepiać takiego przygarbionego dziadka jak on. Był obolały po pobiciu. Nigdy nie mieszał się w problemy innych. Tak naprawdę zawsze udawało mu się unikać bójki. Uważał, że zwyczajnie nie jest do tego stworzony.

— Ej! Masz ognia? — mały gnojek zrobił krok w jego stronę.

Odpowiedzieć, że nie ma, czy udawać, że nie dosłyszał? Nie miał pojęcia, jak zareagują. Widział ich po raz pierwszy. Gdyby znał ich rodziców, na pewno nie odważyliby się go ruszyć. Może to było śmieszne. On, człowiek, który ma już swoje lata, boi się nastolatków, którzy pewnie nie osiągnęli jeszcze wieku dojrzałości. Mieli na sobie luźne ciuchy. Krok w dżinsach sięgał do kolan. Nie znał się na modzie, mógł założyć sandały do garnituru, ale tego, co oni mieli na sobie, nawet by nie dotknął.

Zdecydował, że pójdzie dalej.

— Ej, staruszkule! Nie usłyszałeś? Pytamy grzecznie, czy masz ogień! —

drugi kolega szyderczo się uśmiechnął.

„Przepraszam, ale nie jestem Prometeuszem” — żarty się go trzymały, choć znalazł się w dość niefortunnej sytuacji. Uliczka była ciemna, nikt nie mógł mu pomóc. Sam nie wiedział, co gorsze: stanąć oko w oko z kierowcą czarnego mercedesa, czy użerać się z gnojkami.

Jakikolwiek ruch by teraz zrobił, wiedział, że jest na przegranej pozycji. Mógł uciekać, ale młodość w takim starciu zawsze zwycięża. Mógł się bić, ale mogłoby to go kosztować wiele siniaków, a jeżeli on zrobiłby im krzywdę, oskarżyliby go o znęcanie się nad nieletnimi.

Postanowił zaryzykować. Przygotował się do biegu. Odwrócił się w stronę chłopaków i spokojnie powiedział.

— Sorry, chłopaki! Nie jestem Prometeuszem!

Chyba nie znali mitologii, bo ruszyli w jego stronę, uznając jego słowa za obrazę. Marek usłyszał pisk opon. Czarny mercedes zatrzymał się u wylotu wąskiej uliczki. Wysiadło z niego dwóch wysokich mężczyzn. Mieli na sobie czarne garnitury. Jeden miał ciemną karnację, drugi wręcz przeciwnie. Choć byli jeszcze daleko, Kozielskiemu wydawało się, że patrzy na duchy.

Chłopcy szukający Prometeusza chyba się zlekli, bo dobijali się do tylnych drzwi kiosku. Marek nie miał siły bawić się w kotka i myszkę. Patrząc na dwóch dżentelmenów zmierzających w jego kierunku, miał świadomość, że ma do czynienia z czymś większym. Był ciekaw, co mają mu do powiedzenia.

— Dzień dobry! — odezwał się duch. — Czy pan Marek Kozielski?

Odpowiedzieć, że pomylili go z kimś innym? Że on jest jedynie Prometeuszem i robi sobie z nich jaja? Ale trzeba przecież zachować szacunek dla bliźniego.

— Tak. A pan?

Odpowiedź mogła być tylko jedna.

— ABW. Mamy do pana kilka pytań.

JUŻ SAMA NIE WIEDZIAŁA, CO ROBIĆ. Pojechała do domu. Spieprzyła sprawę. Wiedziała o tym. Może właśnie dlatego Dorota została naukowcem. Tylko ona i próbówka. Doświadczenie do wykonania. Teza do udowodnienia. Analizy i badania były takie fascynujące. Raz, akurat dzisiaj, postanowiła zbadać miejsce zbrodni, a schrzaniła całą operację. Morderca mógł widzieć tę sytuację, zobaczyć, jak się wszystko rozwija. Mógł również wejść za nią do środka — zabić ją na miejscu. Wątpiła, czy byłaby w stanie się uratować.

Była wdzięczna komendantowi, że nie wyciągnął wobec niej konsekwencji. Wiedziała, że zasłużyła. Ale znalazła dowód. Mógł się okazać ważny, należało jednak połączyć wszystkie fakty, czemu nikt jeszcze nie podołał.

Miała nadzieję, że nie będzie teściowej. Tego by nie zniosła. Potrzebowała odpoczynku, odprężenia, a nie mąk zadawanych jej przez teściową. Zajrzała do pokoju Mateusza. Jak zwykle panował tam nieporządek. Niezaścielone łóżko, pełno walających się ubrań, przesypujące się śmieci w koszu oraz niedbale pozostawione książki, zapewne specjalnie, jako dowód, że do nich zaglądał.

Nie zastała męża przy komputerze. Z łazienki dobiegł głos lejącej się wody. Nie zdziwiłaby się, gdyby Franek dopiero teraz wstał. Znany był z tego, że mógł pisać całą noc, a spać w dzień. Pisarze mieli taki przywilej — nienormowany czas pracy. Masz wenę, nie odrywasz się od komputera. Kiedy chcesz odpocząć, też nie ma problemu. Tyle że było to zwykle złudzenie. Licencjonowani pisarze, którzy byli związani z wydawnictwami umowami, musieli się śpieszyć, bo każdy dzień opóźnienia oznaczał kary. Pisanie czegokolwiek, czy był to krótki artykuł, nowela, czy powieść historyczna, wymagało pełnej koncentracji, co wcale nie było takie proste.

Pamiętała czasy, kiedy jej babcia pisała pamiętnik. Celebrowała każdy krok. Podchodziła z podniesioną głową do maszyny i zaczynała stukać. Dorota nauczyła się od niej, że nie wolno czytać osobistych zapisków. Pamiętniki trafiły w jej ręce dopiero po śmierci babci. Zawsze, kiedy siadała wieczorem, żeby przeczytać choć jedną stronę, wzruszała się. Zawierały wiele błędów, ponieważ niewielkie przyciski wciąż się babci myliły. Były tam historie o miłości, jak również lęki związane z dniem następnym. Maj zastanawiała się, czy wydać te zapiski w formie książki. Miała sentyment do starych druków.

Teraz technika się zmieniła. Jej mąż pracował na laptopie. Codziennie przegrywał kopię na dysk przenośny. Mógł poprawić wszystkie błędy i nanosić poprawki. Wersja elektroniczna umożliwiała również zwielokrotnienie kopii.

Usiadła naprzeciw komputera. Otwarty był plik z tekstem jej męża. Zaczęła czytać, mając nadzieję, że Franek jej nie nakryje.

Oczy rozszerzyły się jej ze zdumienia. Było to niewątpliwie coś innego i zarazem nietypowego dla twórczości męża. Zwykle początki książek były nudne, trzeba było po prostu przez nie przebrnąć, jednak powieść jej męża od razu ją zainteresowała. Napisana była w formie osobowej „ja”, jak gdyby mąż prowadził pamiętnik. „Choć jestem niskim, gburowatym gnojem, palę nieustannie najtańsze papierosy i sączę wiśniówkę, też mam uczucia. Zakochałem się. Początkowo w cymbałach, to znaczy piersiach, jeśli ktoś woli. Potem ta pani się obróciła, więc mogłem podziwiać profil...”. Tak zaczynała się nowa książka. Dorota uśmiechnęła się pod nosem. Chciała czytać dalej, ale usłyszała kroki. Mężczyźni stąpali mocno, stawiając nogi pewnie, nie bawiąc się w podchody. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że dokładnie tak samo chodziła teściowa.

Odetchnęła z ulgą, gdy okazało się, że to jednak Franek. Delikatnie zaczerwieniła się, jakby została przyłapana na jakimś występku. Przytuliła się do męża.

— Jak długo jeszcze? — wskazała ręką na komputer.

— Już kończę. Ostatnie poprawki. Gdy wydawnictwo zobaczy, co tam jest właściwie napisane, zażąda zmian, a ja na to nie chcę się zgodzić.

— Wszystko będzie dobrze! — miała nadzieję, że książka będzie się dobrze sprzedawać, bo ich konto potrzebowało doładowania. Wciąż spłacali kredyt, Mateusz dorastał, a dom aż prosił się o remont. Nie miała do Franka pretensji, jednak ostatnia książka sprzedała się jedynie w trzech tysiącach egzemplarzy. Na polskie warunki to i tak był sukces. Tym razem liczyła jednak na coś więcej.

— U ciebie wszystko w porządku? — mąż spojrzał z niepokojem na Dorotę.

— Tak — skłamała. Chyba to wyczuł.

Zadzwoił telefon. Był to nie teściowa. Poprosiła męża, żeby odebrał. Machinalnie podał jej słuchawkę, szepcząc, że to z komendy.

— Chcielibyśmy prosić panią o przysługę — usłyszała po drugiej stronie

głos Głowali. — Czy mogłaby pani zbadać miejsce przestępstwa?

O nie! Czyżby była kolejna ofiara? Przecież nie minęła nawet doba!

— Dobrze — powiedziała lekko przerażona. — Gdzie mam się udać?

— Do domu Tomasza Domagały.

Z pamiętnika filozofa

Ta pani. Jest blada, nic nie mówi. Jest sama i źle się z tym czuje. Normalną koleją rzeczy jest posiadanie współtowarzysza podróży, jaką jest życie. Pragniemy podświadomie ciepła drugiej osoby. Sami niby cieszymy się wolnością, szukając się, że to przywilej nielicznych. Walczono o wolność już od dawna. Powstanie Spartakusa, edykt nantejski, rewolucja francuska, wojna secesyjna, obalenie muru berlińskiego. Więc proponuję tę wolność postrzegać w odpowiednich kategoriach.

Ten pan. Nasze życie ma najpiękniejsze barwy, kiedy ekscytujemy się każdym kolejnym dniem. On się cieszy życiem. Zwykle tak jest, kiedy nam się układa — i materialnie, i duchowo. Prawdziwą wartością jest być szczęśliwym, będąc świadomym niejasności jutra.

Jem. Wrzucam do swojego żołądka bezbarwną masę konserwantów i barwników. A wszystko przez złudne wrażenie, że to głód jest powodem stresu. Śmiejemy się z kobiet, które jedzą każdy posiłek z myślą, że tak nie można, że jeśli dłużej będą utrzymywać podstawowe czynności życiowe, nie będą się podobać mężczyznom. Potem stosują diety, walczą same ze sobą, byle stracić kolejny kilogram. My się śmiejemy, a robimy dokładnie to samo. Pracujemy na nisko płatnej posadzie, szukając się, że jutro będzie podwyżka, że jutro będzie awans. Wmawiamy sobie, że w końcu znajdziemy w sobie odwagę i powiemy szefowi, że wyzyskuje swoich pracowników. Nie mamy jednak woli zwolnić się, bo media wciąż donoszą o wzroście liczby bezrobotnych. Nie chcemy dołączyć do tego grona. Inny przykład?

Wygrywasz fortunę na loterii. Pierwsze tysiące idą na bieżące wydatki — spłatę wcześniejszych pożyczek. Zdajesz sobie sprawę, że wydajesz tych pieniędzy za dużo, jednak dalej to robisz, nie zastanawiając się nad tym, że kiedyś ich zabraknie i będziesz żałować swoich nieprzemyślanych inwestycji. Potem jest za późno. Tak jest ze wszystkim. Robimy coś, co nie jest do końca zgodne z tym, co

mówi rozum. Ale to jest normalne — kierujemy się sercem. Dieta, żeby to serce miało szansę zaznać ciepła drugiej osoby. Praca, żeby nie przyprawiać innych o ból serca informacją o utracie posady. Bankructwo, bo wcześniej liczyła się chwila, szczęście, które jest tak sercu potrzebne.

Szachy. Gra dla idiotów, którzy mają czas na tracenie wolnej chwili, czy też dla intelektualistów, którzy wysoko cenią sobie możliwość walki mądrością oraz zdolnością przewidywania? Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie na jakiej zasadzie opiera się ta gra, może wysnuć inny wniosek. Człowiek lubi czuć własną potęgę. Lubi być wielki, posiadać możliwość kierowania życiem. Szachy dodają mu pewności siebie. To on rządzi, to od niego wszystko zależy. Ma tyle władzy, że rozporządza nie tylko małymi pionkami, ale również królem i królową. Zatem kimże on jest? Bierze udział w wojnie, jest strategiem i wszystko, naprawdę wszystko jest w jego rękach.

Często chcemy być kimś wielkim, nie zdając sobie sprawy, jakie niesie to za sobą konsekwencje. Szachy wymyślono, aby ci odważni mieli szansę zaznać władzy. W przypadku porażki nic wielkiego się nie dzieje. Ustawia się figury ponownie na swoje miejsce. Dopiero kiedy zwycięstwo przychodzi z łatwością, świadczy to o pewnym kroku zrobionym w przód. Tyle że wtedy ten ktoś aspirujący do roli wodza już wie, że władza wcale nie jest taka prosta, łatwiej mu zrezygnować, niż znaleźć odwagę, żeby wejść do ogrodu bestii.

Plotki, słowa niedokończone, zdania wyjęte z kontekstu, boskie fantasmagorie. Może się wydawać, że nie mają żadnego znaczenia. Z drugiej strony może jednak jest wręcz przeciwnie. Do czego zmierzam? Wszystko zależy od punktu widzenia. Perspektywa jest bardzo ważna i choć czasem nie zdajemy sobie z tego sprawy — jak inaczej wyjaśnić rozbieżności w opiniach dwóch osób? Na przykład teatr. Ten, kto jest bliżej, ma większą szansę dostrzec jakiś detal, co może mieć znaczenie w odbiorze całej sztuki. Ten, kto jest dalej, ledwo słyszy, co mówią aktorzy. Jak w takim przypadku można spodziewać się takich samych spostrzeżeń? To po prostu niemożliwe.

Koniec! Dość biadolenia o niczym. Jestem teraz tylko ja i ty. Nie wiem, czy to towarzystwo ci odpowiada. Nie wiem, czy widzisz sens w siedzeniu ze mną na jednej ławce, jednak kolejny akt już się rozpoczął. Nie można wychodzić w środku tak wielkiego widowiska. Byłoby to obrazą tych wielkich ról, mogłoby zakłócić ciszę, tak ważną dla innych słuchaczy.

Mógłbyś się nie dowiedzieć najważniejszego... Prawdy.

Rozdział 31

TWARZ MA BARDZO DUŻE ZNACZENIE. Naukowcy podzielili ją na trzy części. Warstwa intelektualna dotyczy płata czołowego. Sama nazwa związana jest zapewne z faktem, że na tej wysokości znajduje się mózg odpowiedzialny za większość podejmowanych przez nas decyzji. Kolejna część to warstwa emocjonalna, czyli środkowy odcinek naszej twarzy — od brwi po usta, w tym nos. Broda to nic innego jak warstwa witalna.

Twarz zmienia się wraz z wiekiem. Często obrazuje nasze nastawienie do życia, choć nie zdajemy sobie z tego sprawy. Często mimowolnie uśmiechamy się, widząc małe dziecko, które biega dookoła drzewa, co jakiś czas łapiąc zająca, ale taka zmiana mimiczna wyszła sama z siebie, a nie poprzez polecenie wysłane przez mózg.

Mówiąc o twarzy jako o ogniwie zdradzającym osobowość, nie powinniśmy popadać w zwątpienie po wykryciu jednego niepasującego elementu. O rzeczywistej osobowości świadczy przede wszystkim częstotliwość oraz intensywność występowania danego gestu.

Najbardziej jednoznacznym elementem twarzy są oczy. Są one bardzo zdradliwe. Normalną pozycją gałek ocznych jest wyśrodkowanie. Obserwując widownię na meczu tenisa, łatwo spostrzec pewne zachowania. Całkowita większość, by obserwować tor lotu piłki, rusza całą głową, a ich gałki oczne pozostają na samym środku. Każde ich odchylenie, abstrahując od jakichkolwiek meczów tenisa, może świadczyć o wizualnym lub audytywnym zmyśleniu, przypominaniu, a może dialogu wewnętrznym.

Ważnym czynnikiem podczas przesłuchań jest poznanie podstawowych zasad proksemiki. Jest to nauka, która zajmuje się oddziaływaniem na drugiego człowieka w zależności od odległości pomiędzy dwojgiem ludzi. Przesłuchujący często robią wielki błąd, grając złego glinę i wchodząc od razu w strefę intymną przesłuchiwanego. Powoduje to zerwanie porozumienia, które niweczy wszystkie możliwe plany i przypuszczenia.

Paweł siedział w tej chwili w odległości około dwóch metrów od Tomasza Domagały. Tym razem ten drugi występował w roli świadka, a nie podejrzanego.

Kownacki z zaciekawieniem patrzył, jak bardzo nerwowo jest dziś Tomasz.

Może to wynikało z faktu, że o mały włos straciłby życie. Określano to mianem szoku pourazowego. Oprócz kilku siniaków oraz rozciętej brwi nic poważnego się mu nie stało.

Paweł zrezygnował z metody „białej kartki”. Celem tego przesłuchania było jedynie dowiedzenie się, co właściwie miało miejsce, a nie gnębienie i weryfikowanie słów podejrzanego.

— Proszę mi opowiedzieć, gdzie pan był, w jaki sposób doszło do napadci — zaczął Kownacki.

— To był on! On musiał się dowiedzieć, że jestem teraz właścicielem tego domu! Chciał mnie zabić! — Tomasz Domagała był roztrzęsiony. — Wróciłem do domu przed dwunastą, żeby nakarmić kota. Rodzice pojechali do wujostwa, a ja rano zapomniałem zostawić kotu jedzenie. Usłyszałem, że ktoś wchodzi. Biegł w moją stronę. Miał kominiarkę. W rękę trzymał jakąś strzykawkę! Na szczęście zobaczyłem go wcześniej. Udało mi się go przewrócić. Strzykawka wyleciała mu z ręki. Zaczęliśmy się szamotać. Uderzyłem w kant stołu, przez co rozciąłem brew. Potem straciłem przytomność, ale sąsiadka chyba słyszała hałasy, więc wezwała policję. Jednak napastnik uciekł — skończył Domagała załamany głosem.

— Czy może pan podać jakieś dokładniejsze informacje? O której to było godzinie? Czy widział pan twarz mordercy? Czy był wysoki, czy niski? Blondyn czy szatyn?

— Kiedy wszedłem do domu, była godzina za piętnaście dwunasta. Nie zamykałem drzwi wejściowych, bo chciałem nasypać tylko trochę jedzenia do miski, potem wracać. Napastnik miał kominiarkę. Trudno mi nawet powiedzieć, jakiego koloru miał oczy, bo wszystko działo się tak szybko. Mogłem zginąć. To wszystko przez Okulickiego! Musicie go złapać. Musiał się dowiedzieć, że spryt mojej kochanej Teresy doprowadził do tego, że i tak nie stanie się właścicielem naszej posesji.

— Czy napastnik miał na sobie kamizelkę kuloodporną? — Paweł zapytał w związku z włóknem znalezionym w domu Weroniki Stępień.

— Nic takiego nie zauważyłem — powiedział szczerze zdziwiony Tomasz.

Paweł nie miał więcej pytań. Może to przypadek, że napastnik zaatakował właśnie Domagałę, trzymając w rękach strzykawkę. Zastanawiał się, czy Dorota

Maj znajdzie jakieś ciekawe dowody na miejscu zbrodni. A jeżeli właśnie tak wyglądały zabójstwa? Morderca wbiegał do domu, następnie zabijał. Ale to przecież niemożliwe. Ofiary same sobie wbiły igłę, żadna nie miała śladów pobicia przez mordercę. Kolejna zagadka. Tym razem na szczęście nic się nie stało.

Poza tym było trochę za wcześnie. Wątpił, aby morderca zaatakował tak szybko. Ale może? Komendant Głowala dzwonił do Okulickiego od razu po zgłoszeniu ataku na Tomasza. Mecenas był w swoim biurze w tartaku, a bracia Dąbkowie to potwierdzili. To nie mógł być on, ponieważ nie było możliwości, aby się tak szybko przemieścić.

Pożegnał się z Tomaszem, udał do pokoju obok, aby obejrzeć film z przesłuchania. Nie było powodu przypuszczać, że Tomasz kłamał, jednak jeżeli Paweł miał taką możliwość, wołał z niej skorzystać.

Gdzie jesteś, Julio? Popatrzył w górę, ale zobaczył tylko pleśniejący sufit. Często rozmawiał z żoną, nie zapominał o niej, bo choć był ateistą, o czym mówił otwarcie, wierzył, że życie po śmierci istnieje, że zmarli krążą wokół nas, widzą, co się dzieje.

Nie wiedział, co robić. Żona zawsze służyła mu pomocą, zawsze wiedziała, czego oczekuje. Kiedy szukał wsparcia, to właśnie z jej ust płynęły słowa, na które czekał. Julia była i będzie jego największą miłością. Popatrzył jeszcze raz w górę. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

SPACEROWI TOWARZYSZYŁY MYŚLI. JAK?! MÓGŁ JUŻ SPOKOJNIE czekać na swoją kolejną ofiarę. To wszystko nie miało sensu, od początku był przeciwny temu pomysłowi. To mogło się naprawdę źle skończyć.

Poruszać się samochodem, pieszo czy komunikacją miejską? Czy nie popełni błędu, jeśli zaatakuje dzisiaj? Właśnie to zakładał jego plan. Musiał to zrobić, nie miał innego wyjścia. To nie była pora na jakiegokolwiek zmiany. Nadal nie otrzymał odpowiedzi, dlaczego policja zainterweniowała wczoraj tak szybko. Dlatego był zły. O tak! Bardzo zły. Najgorsze było to, że uratowała go wyłącznie pogoda. Brak dopływu prądu elektrycznego uniemożliwił policji skorzystanie z internetu, a to był chyba klucz do sukcesu. Ale tym razem czuł się pewniejszy. Ci naiwniacy nawet nie domyślali się, jak wielkiej zbrodni się dopuści. To będzie szok, przede wszystkim dla komendanta. Głowala nie wybaczy sobie tego do końca życia. Pogrzyży się w swoich młodzieńczych nałogach, tylko zamiast piwa będzie sącył koniaczek.

Zatem samochód. Spojrzał na mapę, zastanawiając się, gdzie najbezpieczniej stanąć. O której godzinie to nastąpi? O której godzinie postawi ślad w jej domu? Wpuści go, widział to już nieraz w jej oczach. Choć znali się od niedawna i poznali się przypadkiem, był pewien swego. To będzie przypadkowa ofiara. Nie miało jej być, ale policja sama się prosiła. Trzeba było tak szybko nie przyjeżdżać do Weroniki Stępień, trzeba było się nie wychylać. Będzie żałować. Uśmiechnął się. Finał był już bliski.

Teraz musiał być greczny, bardzo greczny. Przecież jego kolejna ofiara była zaangażowana w tropienie go. Jej też zależało na jego schwytaniu. Kiedy się dowie, że to on stoi za morderstwami, będzie chciała go zabić. Ale przecież się nie dowie. Już dawno będzie martwa.

PAPIEROS OKAZAŁ SIĘ WAŻNYM DOWODEM. Drobinę popiołu, które Dorota zebrała z domu Weroniki Stępień, po analizie doprowadziły do wniosku, że to papieros marki Camel. Zapewne morderca czuł się na tyle pewnie albo był na tyle zdenerwowany, że pozwolił sobie na zapalenie papierosa. Koleżanka ofiary potwierdziła, że Weronika nigdy nie paliła. Władysław Okulicki natomiast przeciwnie. W zależności od humoru oraz natężenia stresu sięgał po czerwone marlboro lub właśnie camele. Papierosy te były jednak dość popularne. W chwili postawienia zarzutów Okulickiemu mogły się stać dowodem posiłkowym, na razie jednak znalazły się jako kolejny rekwizyt w policyjnej zamrażarce dowodów, czekając na rozwój sytuacji.

Dorota weszła do pokoju. Tym razem zabezpieczyła się na możliwość pojawienia się mordercy. Nie potrafiła używać broni, więc odmówiła komendantowi, który zaproponował jej swojego służbowego glocka, ale zabrała ze sobą gaz pieprzowy. Przeterminowany kilka lat, ale — sprawdziła — działał, a tylko to miało znaczenie.

Zatem znów była na miejscu przestępstwa. Czuła się z tym wyjątkowo dobrze. Dostrzegano w ten sposób, że nie tylko potrafi siedzieć nad swoim chromatografem cyklicznym, a następnie tłumaczyć na język ludzki efekty jego pracy, ale również znajdować dowody.

Weszła do środka. Znów ten swąd papierosów. Usłyszała miauczenie. Kot! Był rudy, na plecach miał białe cętki. Baczenie obserwował gościa. Obwąchał nogę Doroty, a następnie zaczął się łąsić. Strzasnęła go, mając nadzieję, że nie zrobi mu w ten sposób krzywdy. Nic nie miała do rudych, ogólnie była bez żadnych

uprzedzeń, ale zwyczajnie nie cierpiała kotów. Kocur odfuknął rozgniewany, po chwili pobiegł do drugiego pokoju. Skojarzenie z kotami Dorota miała tylko jedno: teściowa! Matka Franka kochała wszystkie zwierzęta, a przede wszystkim koty. Jej małe mieszkanie było domem dla gryzoni, ptaszków, ale również płazów i gadów. Ssaki reprezentowali: pies, dwa koty i ona sama. Spędzenie pięciu minut w tym domu powodowało u Doroty odruch wymiotny. Nie tylko z powodu niesamowitego odoru, który był mieszaniną nadmiernej ilości odchodów pochodzących od różnych gatunków zwierząt, ale również niewyobrażalnego hałasu. Piski, syki, pomrukiwania były zwyczajnie nie do zniesienia.

Na stole leżała popielniczka, ale była czysta. Będzie musiała się później spytać, czy Tomasz Domagała pali. Śwąd tytoniu był silny, była przekonana, że ktoś tu niedawno palił.

Pojawiła się na miejscu przestępstwa jako pierwsza. Komendant Głowala jakimś cudem przekonał Franciszka Aleszkiewicza, żeby to właśnie Dorota Maj dokonała oględzin tego miejsca.

Znajdowała się w staromodnie urządzonej domu. Na ścianach wisiały liczne fotografie przedstawiające zapewne rodziców Tomasza na tle różnych zabytków europejskiej i światowej kultury. Nie wiedziała, w jakiej branży pracują, ale wygląd ich mieszkania oraz ilość podróży skłaniała do wniosku, że są bardzo zamożni.

Kot leżał na wielkiej skórzanej kanapie. Nie interesował się już więcej Dorotą albo po prostu udawał obrażonego. Skupiła się na kuchni, bo wedle opisu Tomasza Domagały to właśnie tutaj doszło do szamotaniny. Istniała możliwość, że strzykawka, która wypadła z ręki napastnika, potoczyła się dalej i nadal gdzieś leży. Uważnie zbadała każdy centymetr podłogi, jednak nie znalazła kompletnie nic. Pół godziny później wyszła frontowymi drzwiami, podnosząc ręce w geście kapitulacji i oznajmiając, że nic nie ma.

— To pani powiadomiła policję? — Dorota podeszła do młodej kobiety, która przyglądała się całej sytuacji z boku.

Była to urodziwa blondynka. Miała na sobie przybrudzone rybaczki i kalosze. Dorota nie byłaby na tyle odważna, żeby robić prace porządkowe w ogródku w taką pogodę, a możliwe, że właśnie to uratowało Tomasza Domagałę.

— Nazywam się Basia Nikłowska. Pracowałam w ogródku, kiedy

usłyszałam przytłumione hałasy dochodzące z domu sąsiadów.

— Czy widziała pani napastnika?

— Hm — Basia się zamyśliła. — Ktoś szedł w stronę domu. Był ubrany na czarno, nie widziałam twarzy. Potem usłyszałam hałasy. Bałam się wejść do środka, więc zadzwoniłam po policję.

— Może pani podać jakieś szczegóły? Wzrost, kolor włosów?

— Niski, nie wyższy niż metr siedemdziesiąt. Włosy jasne. Nic więcej nie widziałam.

— Dziękuję bardzo. Będziemy w kontakcie, dobrze?

Na twarzy pani Basi odmalowało się zaniepokojenie.

— Jutro wyjeżdżam. Mam zaplanowany urlop w ciepłych krajach.

Dorota nie wiedziała, jak dokładnie wygląda procedura, jednak Basia mogła się okazać przydatna w przypadku zatrzymania napastnika. Choć, jak mówiła, niewiele widziała, przy okazaniu często pamięć wracała, łatwiej było wskazać na winnego.

— Jeżeli to możliwe, proszę przesunąć wyjazd o kilka dni.

— Obawiam się, że nie jest to możliwe.

Dorota nie miała czasu się kłócić, tym bardziej że dość już miała wrażeń tego dnia. Na niebie znów pojawiły się ciemne chmury. Deszcz wisiał w powietrzu. Powiedziała dobitnie, dopiero później zdając sobie sprawę, że było to bardzo oschłe i nie na miejscu.

— Obawiam się, że ta kwestia nie podlega dyskusji.

Rozdział 32

GLÓWNE ZADANIA AGENCJI BEZPIECZEŃSTWA WEWNĘTRZNEGO dotyczyły zwalczania terroryzmu, korupcji, przestępstw ekonomicznych, kontrwywiadu oraz ochrony tajemnicy państwowej. Część została

przejęta przez służby specjalne, takie jak CBA. Najważniejszą stroną działania ABW była profilaktyka. Działała przed, a nie po, żeby zapewnić funkcjonowanie państwa i gospodarki bez większych skandali, które mogłyby doprowadzić do utraty rzetelności na arenie międzynarodowej. Charakteryzowała ją tajność oraz poufność, jej dane były pilnie strzeżone, a szpiegzy tępieni, zanim zbliżyli się do bram kwatery głównej.

— Czy zdaje pan sobie sprawę, że jeśli te informacje okażą się prawdziwe, CBA przestanie istnieć? — zapytał Marek agent o ciemniejszej karnacji.

— Na tym polega praca dziennikarza — odparł Kozielski. — Tropimy niejasności, przedstawiamy je opinii publicznej.

Siedział na skórzanym fotelu w dźwiękoszczelnym pokoju, w miejscu, w którym nigdy wcześniej nie był. Kiedy dwaj faceci w czerni kazali mu wsiąść do mercedesa, zakryli mu oczy. Marek podejrzewał najgorsze: że gdy otworzy oczy, będzie przypięty do krzesła elektrycznego, a torturami będą z niego wydobywane informacje, których nie posiada. Zdziwił się jednak. Choć został zawieszony w miejscu, o którym nie miał pojęcia, został przyjęty gościnnie. Agenci traktowali go z szacunkiem, uważnie słuchali jego argumentów. Poczęstowali kawą oraz ciasteczkami maślanymi. Kozielski znał zasady funkcjonowania ABW, więc nie miał powodu, aby kryć przed nimi cokolwiek. Zapewne zdobyli już wszystkie informacje, które posiadał również on, a teraz weryfikowali zgodność jego danych ze swoimi.

— Od dawna śledzimy pana pracę. Mamy pod obserwacją pana dom i rodzinę, bo nikt zaangażowany w całą tę sprawę nie chce, aby cokolwiek wyszło na światło dzienne — zaczął mówić duch. — Dotarliśmy do informacji, że z kont Centralnego Biura Antykorupcyjnego co miesiąc znikają niewyjaśnione sumy pieniędzy. Finansowanie jest tajne. Pewne operacje są bardzo kosztowne i zdajemy sobie z tego sprawę, jednak CBA jako komórka rządowa musi składać coroczne raporty, które my, jako Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, weryfikujemy. Jest tam bardzo wiele nieścisłości. Wysyłają duże sumy osobom z pozoru w żaden sposób z nimi niezwiązanym. Rozpoczęliśmy śledztwo i jesteśmy już blisko końca.

Marek nie powinien słyszeć tych informacji. Wolał nie myśleć, jakie plany mają względem niego. Czy go stąd wypuszczą?

— Jest nam pan potrzebny! — usłyszał w końcu.

— Chyba czegoś nie rozumiem. Wiecie o wiele więcej niż ja. Nie wiem, w jaki sposób mogę wam pomóc?! — obruszył się Marek.

— Są pewne zasady — ciągnął duch, nie zważając na pytanie Kozielskiego. — Musi pan zrozumieć, że to, co panu powiemy, wiąże się z tajemnicą państwową. Nie może pan wyjawiać ani tego, co pan będzie robić, ani żadnej innej informacji, którą pan zdobył.

A przecież Głowala go ostrzegał. Mówił mu, żeby przestał, że interesują się tą sprawą różni ludzie, nie zawsze przyjaźnie nastawieni. Kozielski nie bał się ataku ze strony ABW. Było to dla nich zbyt ryzykowne. Okazało się, że to właśnie komendant był jego informatorem. Głowala posiadał dane, które były dość niepokojące, jednak wiedział za mało, aby cokolwiek ujawniać. Poza tym gdyby zdał raport z dochodzenia, od razu sprawa zostałaby wyciszona. Dziennikarz mógł prawie wszystko. To z nim Marek miał się spotkać w lesie. Ktoś musiał go śledzić. Komendant nie przyszedł na spotkanie, bo, jak tłumaczył, miał inne sprawy na głowie. Morderstwo, dochodzenie, mnożące się pytania. Zadzwoił do niego, gdy Marek czekał już na umówionym miejscu. Kiedy Kozielski się obudził, nie pamiętał, co się stało. W notesie miał numer telefonu oraz jego nazwisko. Musiał go poznać po głosie i dopisał na szybko, ale amnezja nie pozwalała mu na pewność.

Komendant sądził, że mogą być podsłuchiwani. Nie tylko przez takie służby jak ABW, ale również osoby, które miały interes w tym, żeby te dane nie wydostały się na zewnątrz, a które było stać na prywatne śledztwo.

— Od zawsze walczyłem o to, żeby prawda nie znała granic. Przykro mi, ale nie można mnie w ten sposób uciszyć — Marek się zdenerwował, wstał gwałtownie z fotela, patrząc gniewnie na facetów w czerni. — Zaangażujecie mnie w sprawę. Może przypadkiem zginę, może sami mnie zabijecie. Może wszystko potoczy się prawidłowo, przelejecie na moje konto ogromną sumę, a sami uciszycie całą sprawę. Nikt nigdy nie dowie się o rzeczywistej pracy CBA. Wszystko będzie tak samo, nic się nie zmieni!

— CBA musi istnieć! Nie może pan opublikować tych informacji. Chodzi nam o trochę inną sprawę. Damy panu możliwość opisanie jej na łamach prasy. Będzie to duży plus dla pana, zostanie pan doceniony przez miejscowych mieszkańców. CBA zostanie oczyszczone z osób odpowiedzialnych za przekręty, opłacane osoby odnalezione, a cały proceder zatrzymany.

— Nie rozumiem. O jaką sprawę chodzi? — chciał wejść im w słowo, wszystko zmierzało w złą stronę, ale zaintrygowali go.

— ABW nie może mieszać się w działania, które nie są związane z ochroną dobra państwowego. Prowadząc śledztwo w tej sprawie, natknęliśmy się na inne nieprawidłowości. Obawiam się, że pewne wysoko postawione osoby stracą swoje funkcje. Wolelibyśmy, żeby to pan zawiadomił policję, a nie my, bo to by było nieodpowiednie.

— Ale w jaki sposób mnie wykryliście? Nic nie rozumiem. Nadal nie do końca wiem, o jaką sprawę wam chodzi.

— Widzi pan, mamy swoje sposoby — duch popatrzył porozumiewawczo na agenta o ciemnej karnacji. — Pana żona była w tartaku. Mieliśmy informacje, że zajmuje się pan tą sprawą, ale był pan nieuchwytny, a nie mieliśmy żadnego dowodu, że właśnie tak jest. Co prawda jedna z naszych pluskw została usunięta, co nas trochę zdziwiło. Na szczęście umieściliśmy taki sprzęt również w kieszeni pana żony. Nawet nie zauważyła. Możliwe, że nadal tam jest.

Duch wypiął pierś. Wyglądał na dumnego z siebie. Marek dorwał się do niego. Zaczął go dusić, nie panował nad sobą. Drugi agent zainterweniował. Inwigilacja nie znała granic. A najgorsze było to, że Kozielscy byli zwykłymi ludźmi. Nie byli związani z żadnymi aferami politycznymi, korupcją. I to właśnie oni padli ofiarą tego procederu. Marek był wciąż czerwony na twarzy.

— Żeby było jasne, mamy pozwolenie, panie Kozielski, na użycie podsłuchu w przypadku pana żony.

— Nie obchodzi mnie to!

Ależ oczywiście. Cóż za problem wypisać pozwolenie. Marek sądził, że nie byłoby problemu wystawić taki dokument w przypadku trzydziestu ośmiu milionów Polaków.

Miał tego dość. Zdawał sobie sprawę, że zaangażowanie w tę sprawę może się okazać niebezpieczne, jednak nigdy nie myślał, że ucierpi na tym jego rodzina. Na to nie mógł pozwolić.

— Jeżeli jeszcze raz naruszyicie spokój mojej rodziny, zabiję.

MARIA OBSERWOWAŁA WIDOCZNE W ODDALI niewielkie jezioro. Uwielbiała tutejszą naturę.

— Dziękuję ci.

Kozielska siedziała na fotelu pasażera. Prowadził Paweł. Gdzie jechali? Donikąd. Uciekali od rzeczywistości. Odrzucali na bok to, czego nie rozumieli, to, czego nie potrafili pojąć. Paweł wyglądał na rozkojarzonego po rozmowie Domagałą. Jego wzór uległ całkowitej zmianie. Człowieka nie dało się okiełznać.

— Gdzie jedziemy? — Maria przerwała ciszę.

— Zobaczysz. Zaufaj mi.

I jechali dalej. Droga wiała się w górę, potem znów opadała. Maria zamknęła oczy.

— Gdziekolwiek jestem — zaczął Kownacki — zawsze szukam miejsca, w którym mogę dotknąć natury, w którym nic poza tym nie istnieje, nie muszę się przejmować tym, jak wyglądam, zapominam o pracy.

Dojechali do lasu. Maria chciała protestować. Po przygodach wczorajszego dnia nie miała ochoty na żadne leśne spacerunki i choć miała pełne zaufanie do Pawła, to taki pomysł jej nie odpowiadał. Na szczęście Kownacki skręcił, pojechali przylesną kamienistą drogą. Zatrzymał się przy drewnianej chatce.

— Mieszkam pod Rzeszowem, ale Julia odziedziczyła po śmierci rodziców właśnie ten letniskowy domek. Potem przeszedł w moje ręce. Czasem tutaj przyjeżdżam. Lubię zapach lasu. Nikt mnie tutaj nie może zobaczyć, jestem sam.

Dom faktycznie był niewielki. Dach przykryty był strzechą. Paweł otworzył drewniane drzwi, a Maria weszła za nim do środka. Doleciał ją zapach stęchlizny. Kownacki otworzył wszystkie możliwe okna, aby do środka wpadło trochę świeżego powietrza. Wyciągnął z szafy dwa leżaki i choć słońce było skryte za chmurami, położyli się, aby z zamkniętymi oczami odpocząć w zupełnie innym świecie.

Maria poszła do toalety. W środku domek wydawał się większy i przestronniejszy niż z zewnątrz. Wszystko było zakurzone, co wskazywało na rzadkie odwiedziny. W rogu stał kominek. Na niewielkiej półce należącej do

obudowy kominka stała fotografia ślubna Julii i Pawła. Szkło ramki było pęknięte. Młoda para uśmiechała się. Patrzyli na siebie. Byli szczęśliwi. Maria poszła w stronę łazienki. Jedne drzwi były zamknięte na kłódkę. Spróbowała drugie. Nie było innej możliwości, bo w domku nie było więcej drzwi. Trafiała do łazienki. W stłuczonym lustrze dostrzegła swoją własną zmęczoną twarz. Tusz pod rzęsami zdążył się rozmazać, a ona nie zdawała sobie z tego sprawy. Musiała w sobie coś zmienić, musiała znaleźć radość młodości, bo będzie coraz bardziej szara, aż w końcu zniknie z tego świata całkiem niezauważalna.

— Zahipnotyzuj mnie! — Maria wróciła na leżak.

Nie wiedziała dlaczego, ale sądziła, że tak trzeba, że coś jej umyka, coś, co jest bardzo ważne. Chciała spróbować. Nie wiedziała, w jaki sposób to się odbywa, nie wiedziała, co będzie mówić i czego właściwie szuka we własnej podświadomości. Ale potrzebowała tego, a Paweł był jedyną osobą, która mogła jej w tym pomóc.

— Jesteś pewna? — Maria kiwnęła głową. — Słuchaj mojego głosu, nie pozwól umysłowi odpłynąć, bo może się to zakończyć bardzo źle. Rób dokładnie to, o co cię proszę.

Na niebo nadciągnęły ciemne chmury. Ją to jednak nie interesowało.

— Zamknij oczy. — Maria posłusznie spełniła prośbę Pawła. — Jesteś wszystkim, jesteś tylko ty i nikt więcej. Twoje powieki robią się ciężkie, bardzo ciężkie — głos Pawła stał się bardziej melodyjny. — Unosisz się nad ziemią. Twoje ciało znajduje się w próżni, jest elastyczne. Twój rozum jest otwartą szufladą, do której dostęp mają wszyscy.

Jest taka mądra, jest taka wielka. Świat się pomylił, zabójca też. Wybrał złą osobę, której nie zdoła pokonać. Wybrał Marię Kozielską.

Morderca nie jest sam, ma współników. Robi wszystko, żeby zdezorientować policję, podsuwa fałszywe dowody. Ma wrogów, których stara się pozbyć. Jest inteligentny, ale Maria jest lepsza. Znak CIS jest błędnie tłumaczony. Wszystko ma na celu jedynie odwrócenie uwagi. Ale przecież była tak blisko niego. Ona na pewno go zna. On się jej boi. Na pewno jej nie ucieknie. Wszystko znakomicie zaplanował, wszystko zmierza w jednym kierunku. Pośród dowodów podstawionych są rzeczy przypadkowe, które mówią całą prawdę. On zna każdą swoją ofiarę, on zna wszystkich, również Marię. Nosi kamizelkę kuloodporną, bo

się boi, bo jest tchórzem, dlatego nie będzie więcej ryzykować. Oblewa wszystkich zimną wodą. Ale Maria się nie da. Będzie brodzić w tej wodzie i w końcu go dorwie. Przecież jest taka silna. Na pewno da radę. Zaczyna się topić, nie umie pływać. Potrzebuje pomocy. To działanie w grupie jest złotym środkiem. To musi się udać. Upada na dno. Nie może oddychać...

— Mario! Mario! Obudź się!

Kozielska otworzyła oczy. Była cała mokra. Wielkie krople deszczu spadały na jej twarz. Ale ona się tym nie przejmowała. Miała jasny cel. Nie wiedziała, gdzie ją doprowadzi, co jej powie ta osoba, ale chciała ją jak najszybciej znaleźć, dopytać, zapytać, a może i aresztować. Jeżeli to będzie konieczne, nie zawaha się użyć swojej prywatnej broni, no bo przecież służbowa została jej odebrana.

— PRZEPRASZAM CIĘ. WIEM. ZAWALIŁAM. Robiłam dokładnie to, o co prosiłeś, ale ona... ona w ogóle mnie nie słuchała.

Był wściekły. Nie wiedział, co powiedzieć. Nigdy więcej nie będzie działał z współnikami. To do niczego nie prowadziło. Wszystko zawsze musiało się w jakimś momencie popsuć. Na szczęście już ich nie potrzebował. Tym razem będzie grać w pojedynkę.

Miał nadzieję, że policja niczego się nie domyśli. Było zbyt wiele elementów, które musieliby połączyć. Na pewno nie dadzą rady.

Zakończył rozmowę. Nie miał siły słuchać tego biadolenia. Choć był młody, płaczu nasłuchiwał się zbyt wiele. Biegł, bo musiał zdążyć, musiał dotrzymać tempa. Musiał dokończyć misję.

Musiał.

Był pewny swego. Patrzył na ich dom. Jakieś dziecko wróciło ze szkoły. Było samo. Ale dzieci nie były żadnym celem.

Mors ignia iura solvit. Jego najukochańsza maksyma. Kiedy był na studiach, chodził na wszystkie wykłady z łaciny. Pasowało to do jego wzoru inności, nikogo nie dziwiło. Mógł polemizować z wykładowcą całe godziny, używając coraz to dziwniejszych zwrotów.

Mors ignia iura solvit. Śmierć znosi wszelkie prawa. Tak właśnie było. Cała wartość śmierci zawarta w czterech słowach. Nic piękniejszego nie mogło zostać wymyślone. Ale przecież on nie zabijał. Był tylko obserwatorem.

Rozdział 33

BYŁ PIJANY. MIAŁ NADZIEJĘ, ŻE nikt nie wejdzie do jego biura. Gdyby ten gnojek Aleszkiewicz zobaczył go w takim stanie, od razu zostałby zdegradowany. Głowa stałaby się po raz kolejny nikim, choć niżej chyba już nie było można upaść. Był wrakiem człowieka, zdawał sobie z tego sprawę. Naprzeciwko siedział Marek. Porządny gość. Ale dlaczego tak szybko mówił? Coś o ABW, coś o tajnej akcji. Czego on ode mnie chce? Żebym uciekał? Niech sobie nie robi z niego pośmiewiska. Przecież był taki stary. Miał artretyzm. Przebiegnięcie pięćdziesięciu metrów zakończyłoby się zawałem serca. Lata młodości przeminęły.

— Dlaczego mi pan nie powiedział? — Głowa patrzył z bladym uśmiechem na Marka, który teraz stał i mówił do niego nie do końca zrozumiałe słowa.

Świat po kieliszku, no może kilku, był taki cudowny. Wszystko miało barwy słonecznej Toskanii. Tylko on i marzenia. Komendant już dawno zapomniał, jak piękne to uczucie. Głowa poruszała się w takt muzyki, która grała pięćdziesiąt kilometrów dalej. Ale była to piękna muzyka. Jakiś Bach czy Mozart, może disco polo. Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Grunt, że muzyka. Przecież nic nam więcej nie potrzeba. Jest muzyka — jest zabawa.

— Marku, drogi Mareczku — komendant też wstał, ale chyba przesadził ze swoimi możliwościami, bo opadł z powrotem na fotel. — Naprawdę lubię twoją żonę, nie bierz tego zawieszenia do siebie. Ono nic nie znaczy. Zakończy się sprawa, a wszystko wróci do normy.

— Przecież nie mówię o mojej żonie! Powiedz mi, czy to prawda?! — Komendant poczuł, jak ręka Marka łąduje na jego policzku. Choć bolało, to podziałało orzeźwiająco.

Poczuł się na siłach, więc sięgnął po prawie pustą butelkę koniaku, ale zamiast sobie nalał Markowi.

— Musiałem to zrobić. Okulicki by mnie zniszczył, dobrze o tym wiesz.

Teraz już nie mam nic do stracenia. Rób, co chcesz. To twoja praca. Przyznaję się do błędu. To prawda, co powiedzieli ci tajniacy. Gdyby taka sytuacja miała się wydarzyć powtórnie, zrobiłbym tak samo.

Marek wyszedł, nie mówiąc ani słowa. Komendant zastanawiał się przez chwilę, czy jest bardzo zły na niego. Ale przecież go ani razu nie okłamał, po prostu nie mówił pewnych rzeczy. Rozmyślenia nie trwały jednak długo, bo uwagę komendanta przykuł napełniony kieliszek, którego Marek nawet nie ruszył.

Zamiast go wypić, wylał na siebie. Z oczu popłynęły łzy. Sam nie wiedział, co jest ich powodem. Jego głowa nie myślała tak jak zwykle. Został sam. Jego kariera dobiegła końca. Ponad trzydzieści lat pracy w policji zakończyły się jego własną głupotą. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Może posprząta to biuro, tak żeby jego następca wiedział, że rządził tu człowiek porządny przynajmniej w tej sferze.

PRZEZ CAŁY DZIEŃ MIAŁA WYRZUTY SUMIENIA. Jak nigdy dotąd. Myślała tylko o Michale. To było jak telenowela. Po nieprzespanej nocy nie czuła się dobrze. Bolała ją głowa, a żadne tabletki nie pomagały. Ponadto nie mogła zaznać spokoju. Czuła, jak las, który otacza jej dom, robi się coraz ciaśniejszy. Nie radziła sobie z oddychaniem, ale nie było już dla niej ratunku — przywilej ludzi samotnych. Był to najgorszy koszmar jej życia. Żadne thrillery czy horrory nie były w stanie wywołać takich dreszczy jak ta jedna myśl — że umrze w samotności.

Gdziekolwiek spojrzała, dostrzegała pamiątki po związku z Michałem. Byli ze sobą krótko, ale każde miejsce, każde zdjęcie rozbudzało na nowo wspomnienia. Nie mogła tego schować, bo wszystko to wiązało się z pewnymi wydarzeniami, a usuwanie ich z pamięci byłoby zwykłą głupotą.

Zrobiła tak z Nowakiem. Pewnego dnia wyrzuciła go z pamięci. Przestał istnieć. Pamiątki po nim spaliła. Choć mogło się to wydawać niemożliwe, kiedyś była jeszcze bardziej bezwzględna niż teraz. Minęło już tak wiele lat, a Nowak cały czas żył w jej pamięci. Wciąż był, przypominał chwile bądź co bądź szczęśliwe, których nie chciała tracić. Nie miałyby nic przeciwko temu, aby pamiątki po nim, listy miłosne mieć blisko siebie. Tak to już jest, że człowiek dostrzega pewne rzeczy dopiero po czasie.

— Dzień dobry, pani Rybak! Czy zastałam Michała? — Kamila podjechała pod jego rodzinny dom.

Pani Stasia, bo tak właśnie miała na imię mama Michała, jedynie wskazała

ręką za gospodarstwo. Od początku odnosiła się do Kamili z rezerwą. Bała się zapewne, że zabierze jej jedyne go syna, który był potrzebny tutaj, do pracy w gospodarstwie.

— Cześć! — przywitała się nieśmiało. Michał, który był pochylony nad silnikiem, obrócił się gwałtownie.

Był ubrudzony smarem. Na czole lśniły kropelki potu.

Co właściwie Kamila tutaj robiła? Sama nie wiedziała. Bała się o Michała. Przez noc nachodziły ją różne myśli. Obawiała się, że Rybak będzie chciał coś sobie zrobić. Nie mogła do tego dopuścić. Nie wybaczyłaby sobie tego do końca życia.

Michał chyba nie miał ochoty z nią rozmawiać. Wytarł ręce o spodnie i skierował się w stronę pola. Zboże dopiero zaczynało rosnać. Z ziemi wybijały się pierwsze łodygi. Kamila była tu tylko raz. Ze względu na odór już nie wracała. Co dziwne, teraz jej to nie przeszkadzało. Zaczęła iść za nim.

— Zaczekaj! Porozmawiajmy!

— O czym?! O czym chcesz rozmawiać?! Daj mi święty spokój!

— Nie chcę cię stracić!

Michał w końcu się zatrzymał.

— Za późno.

Po policzku Kamili spłynęła łza. Zbliżyła się do Michała, zaczęła go całować. Jednak on na to nie zważał, odrzucił jej pocałunki. Dziewczyna złapała go za ramię, lecz wyrwał się z uścisku.

— Za późno, Kamilo. Kocham cię i zawsze będę cię kochać — patrzył jej prosto w oczy — ale jesteś z innego świata. To jest wszystko, co mam — wskazał na daleko rozciągające się pole. — Nie znajdziesz tutaj luksusu ani brylantów. Jestem tylko ja z moim polem. Obawiam się, że choć może byś zaryzykowała, została tutaj, nie jesteś przekonana, czy to słuszne, czy podolasz. Sama nie wiesz, czego chcesz, Kamilo. Odejdź! Rozstańmy się godnie.

— Zostańmy przyjaciółmi — poprosiła Kamila po chwili.

— Sama w to nie wierzysz. Coś takiego jak przyjaźń damsko-męska po prostu nie istnieje, a na pewno nie po czymś takim, co przeżyliśmy — Michał usiadł na ziemi. — Zасыpiam, czując twój zapach, budzę się, tuląc poduszkę, bo myślę, że to ty. Śnią mi się twoje usta, które całują moje nagie ciało. Przyjaźń, Kamilo, jest niemożliwa.

Usiadła obok niego. Co z tego, że miała markową spódnicę, na którą wydała pół pensji? Co z tego, że w ziemi pełzały robaki, których zwyczajnie się bała? Liczył się ten ulotny moment.

Siedzieli tak obok siebie, wpatrując się w dal. Końca nie było widać. Kontemplowali w zupełnej ciszy, nie oczekując żadnych słów. Powiedzieli już sobie wszystko — tylko to, co było konieczne w tej chwili. Liczyła się tylko ta jedna ulotna chwila.

Rozdział 34

A WIĘC TOMASZ DOMAGAŁA NIE PALIŁ, a przynajmniej nikomu nic o tym nie było wiadomo. Dorota Maj odetchnęła z ulgą, kiedy na miejsce przestępstwa weszli technicy Aleszkiewicza i potwierdzili, że nie ma żadnych innych dowodów. Poszukiwany był cieniem. Oczywiście osoba, która zaatakowała Domagałę, mogła nie mieć żadnego związku z ich sprawą, ale szczerze wątpiła w taki przypadek. Napaść na Tomasza nie pasowała do poprzednich zbrodni. Środek dnia, dom na osiedlu domków jednorodzinnych...

Ewidencja szpitalna zarejestrowała zabranie czterdziestu mililitrów Alprazolamu i stu mililitrów Tranxene. Do zabójstwa Teresy i Weroniki wystarczyłoby odpowiednio dziesięć i dwadzieścia mililitrów. Wskazywałoby to na to, że albo zabójca miał odpowiedni zapas, albo zaplanował atak na cztery osoby. Pytanie, czy można było zaliczyć do nich Tomasza Domagałę. Dorota nie chciała wnikać w psychikę zabójcy. Od tego był Paweł Kownacki, a spoglądając na jego tablicę, dochodziła do wniosku, że wykonuje naprawdę dobrą pracę.

Jak na jeden dzień miała dość emocji. Była zmęczona, tym bardziej że poprzedniej nocy spała tylko kilka godzin. Chciała się pożegnać z komendantem, wyrazić gotowość do pracy, gdyby wymagała tego sytuacja, ale drzwi do jego gabinetu były zamknięte.

Czynicki trwał w swojej dyspozytorce. Siedział na krześle, a z jego gardła dochodziło głośne chrapanie. Dorota przykryła go kocem. Zamknęła również drzwi, żeby nikt go nie obudził.

Miała dość. Jej ruchy były spowolnione. Czuła się jak na jednym wielkim kacu, choć ostatniego drinka piła w sylwestra. Wszystko poruszało się bezładnie. Jechała samochodem, zmierzając w stronę domu. Jej powieki były bardzo ciężkie — bezwiednie opadały. Przyśpieszyła. Prędkość pobudzała adrenalinę. Nie bała się kontroli policyjnych. Wszyscy funkcjonariusze byli zaangażowani w śledztwo, a poza tym teraz miała już w komendzie kontakty.

Las był taki ciemny, głuchy. Mógł się tamtędy przechadzać poszukiwany morderca — był przecież cieniem, był niezauważalny.

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Zatrzymała się przed domem. Weszła do środka, mając nadzieję, że nie zastanie tam teściowej, no i oczywiście... mordercy.

JASIO BYŁ SAM. CZUŁ SIĘ SAMOTNY. Babcia poszła do domu. Wrócił tata, ale tylko zapytał, jak było w szkole, od razu poszedł do łóżka. Jasio nie był śpiący. Włączył komputer, ale rutyna sprawdzania wiecznie tych samych rzeczy nie dawała mu już satysfakcji.

Tak bardzo potrzebował rozmowy. Chciał opowiedzieć rodzicom, że nie chce wracać do szkoły, że to nie jest dla niego miejsce. Koledzy stali się tacy obcy. Wciąż mu dokuczali, że całe przerwy przesiaduje w pracowni informatycznej, zamiast pograć z nimi w piłkę. Wszyscy mu wypominali, jaki to z niego prymus. Najgorsze było to, że Jasio nie widział nic złego w tym, że dobrze się uczy. Wszystko przychodziło mu z taką łatwością.

Czy on w ogóle miał dzieciństwo? Dostawał od rodziców wszystko to, czego pragnął. Tyle że on był inny. Fascynował się komputerami, nowinkami technicznymi. Nawet nie spróbował połowy zabaw z kolegami. Padł na łóżko. Myślał o niczym i o wszystkim. Wiedział, że nikt go nie zrozumie. Dorośli dziwili się jego dorosłości, koledzy wręcz przeciwnie. Chciał spróbować czegoś nowego. Gotowy był nawet wyrzucić swój kochany komputer.

Napisał do swojego nowego kolegi w sieci. Okazał się świetnym rozmówcą. Rozumiał wszystko to, co Jasio miał do powiedzenia. Był starszy, ale podzielał jego punkt widzenia. Jaś nie wiedział początkowo, czy można mu zaufać. Przejrzał

fora, dopytał starych znajomych. Sieć mogła być bardzo niebezpieczna. Krążyły tam osoby czyhające na ludzkie słabości.

Jasio wyłączył komputer. Położył się. Jemu też pozostał tylko sen.

Z pamiętnika filozofa

Ta pani. Zdenerwowana. Zdecydowanie za bardzo zdenerwowana. Ludzie nie potrafią radzić sobie z depresją. Podobnie ze stresem czy niewiedzą. Są choroby nieuleczalne lub takie, na których wyleczenie wystarczy trochę czasu. Potrzebna jest cierpliwość... Cierpliwość, której siła jest indywidualna dla każdego z osobna.

Ten pan. Był, ale się zmył. Lubię z nim rozmawiać. Co prawda w tym przypadku ćwiczę bardziej umiejętność słuchania, ale to również jest wartością, często nieznaną i niedocenianą. Zauważamy rzeczy błahe, a to, co jest naprawdę ważne, omijamy szerokim łukiem. Bo się boimy. Człowiek jest istotą tchórzliwą.

Nie mam weny. Żeby tworzyć, nie wystarczą zwykłe chęci. Ma na to wpływ wiele czynników. Jakieś rozproszenie, hałas, wszystko to sprawia, że zwyczajnie nie potrafisz. Człowiek często jest w transie — nie zdając sobie z tego sprawy. Wtedy myśli i tworzy na całkowicie innych częstotliwościach. Tak trudno wejść w ten stan...

Bo wszystko zmierza ku jednemu. To właśnie to kształtuje całe nasze życie, nasze postępowanie, nasze zwyczaje oraz nastroje. Tym czymś jest wspomniana już przeze mnie miłość. Trzeba jej pomóc, trzeba szukać, ale nic na siłę. Przecież życie jest zbyt krótkie, by popełniać jakiegokolwiek błędy. Bo nie wszystko da się naprawić.

Idź sobie. Szukaj, a może znajdziesz. Bądź wytrwały! Bo tylko tacy otrzymają nagrodę. Ja siedzę na ławce. Czekał na ciebie. Nie wiem, czy ci ustąpię miejsca. To zależy. Czy będziesz mężczyzną, czy kobietą, czy będziesz chciał i czy będę mógł ci zaufać. Gdziekolwiek będziesz, — znajdę cię. Tak, właśnie ciebie! Bo kto chce, ten ma.

Człowiek potrzebuje mapy. Nie ma na tyle siły, żeby dopytać kogoś o drogę. A jest to jeden ze sposobów na poznanie drugiej osoby. Z pozornie niewinnej rozmowy możemy się dowiedzieć bardzo wiele o drugiej osobie. Przecież to takie proste. Nie wstyź się. Już nie udawaj takiego wstydlivego.

Albo chodź ze mną. Obok mnie jest jedno miejsce, które nieustannie trzymam. Nie pozwolę ci na nim usiąść, ale jakiś ochroniarz zawsze się przyda, żeby zabezpieczać tyły. W akcie desperacji zawsze będę mógł po ciebie sięgnąć. Spodziewaj się mojej filozoficznej rączki w każdej chwili, bo nie omieszkam sprawdzić twojego refleksu. Ochroniarz nie może tylko groźnie wyglądać. Musi myśleć. Spryt idzie w parze z odwagą, tak jak życie z problemami. Przyzwyczajamy się. Również do tego. Nie martw się.

Idę spać. Idziesz ze mną?

Rozdział 35

KOBIETY BYŁY BARDZO SKOMPLIKOWANE. Michał ich w ogóle nie rozumiał, nawet się nie starał. Zdziwił się, kiedy Kamila do niego przyjechała. Zwykle unikała jego gospodarstwa, bo przecież można pobrudzić drogą garsonkę albo potknąć się na szpilkach. Ucieszył się, kiedy ją zobaczył, choć nie rozumiał celu jej wizyty. Siedzieli obok siebie około godziny. Bez słowa. Chyba po prostu rozmowa nie była im potrzebna. Porozumiewali się bez słów.

Potrzebował czasu. Chciał poukładać sobie wszystko w głowie. Poprzedniej nocy odrzucił możliwość samobójstwa. Zastanawiał się, co stało za jego decyzją. Przecież koniec związku z Kamilą niczego nie zmieniał. Nadal będzie wstawać wcześniej rano, żeby pomóc w gospodarstwie. Będzie spotykać się ze znajomymi, których trochę przez dziewczynę zaniedbał. Może kiedyś dorobi się czegoś własnego, pozna inną dziewczynę, zakocha się ponownie. W przyszłości zrobi licencję pilota, będzie spełniał swoje podniebne marzenia.

Pamiętał pewną sytuację. Raz nie uważali. Nie zabezpieczyli się. Michał nie martwił się o to. Co prawda nieślubne dziecko sprawiłoby, że zostaliby potępiony przez rodzinę, zwyciężyłaby jednak opinia, że już najwyższy czas na potomstwo. Jednak Kamila lamentowała. Może właśnie dlatego ta sytuacja była taka dramatyczna. Dziecko wszystko by zmieniło. Zostaliby związani na zawsze. Dla Kamili byłoby to rezygnacją z planów na przyszłość. Obawy okazały się nieuzasadnione, ale teraz Michał żałował. Wzięliby ślub i wychowali dzieci w szczęśliwej rodzinie. Teraz nie było ani dziecka, ani Kamili.

Sam siebie nie poznawał. Lubił pisać. Spisywał swoje myśli. W przypadku Kamili często dopuszczał się grzechu napisania listu. Wyznawał swoje uczucia, lęki, często życzenia. Nie wiedział dlaczego, ale taka forma bardziej mu

odpowiadała. A wczoraj, kiedy siedział obok Kamili wpatrzony w kominek, po raz kolejny porzucony, ale już pogodzony z tą myślą, nie potrafił wykrzesać z siebie nawet kilku słów. Kiedy pisał, miał czas na wszystko. Mógł wymyślać składne połączenia, dobrać słowa w czytelny sposób. To nie była kwestia chwili i przypadku. Michał lubił mówić, wśród znajomych uchodził za gadułę, ale w towarzystwie kobiet, tym bardziej takich jak Kamila, czuł się onieśmielony. Mogli się całować i przytulać, śpiewać lub tańczyć, ale kiedy przychodziło mu coś powiedzieć, czerwienił się, zamieniając się w jąkałę.

Rodzice naciskali na założenie rodziny. Tata się śmiał, że przecież ród Rybaków musi przetrwać, a Michał wiedział, co za tym idzie. Ktoś powinien kultywować tradycje wielkiego gospodarstwa. Michał był młody, miał dwadzieścia sześć lat, nawet gdy był blisko z Kamilą, plany małżeńskie pozostawały odległe. Jednak potrzebował potomstwa, dwóch, może trzech synów, którzy zastąpią go, kiedy się zestarzeje.

Tutaj wszystko kręciło się wokół gospodarstwa. Na obiad będzie zupa jarzynowa, ale z ziemniakami, bo jeszcze są, a makaron za drogi. W tym roku nigdzie nie pojedą na wakacje, bo rodzice zainwestowali w nowy silnik do traktora. Liczyło się tylko gospodarstwo. Michał zdawał sobie sprawę, że to duże obciążenie i gdyby to zależało od rodziców, sprzedaliby wszystko bez namysłu. Jednak dopóki przychody wystarczały na życie, chcieli zachowywać pozory, że wszystko jest w porządku, że w przyszłym roku nie będzie suszy, że powódź nie zmyje wszystkich nasion. To była tradycja, ojcowizna, o którą trzeba się troszczyć.

Położył się wcześniej. Miał wrażenie, że zbliża się coś złego. Nie zjadł kolacji, nie był głodny. Po całym dniu pracy — był osobą, która wysiłek fizyczny traktowała jako ujście dla problemów — wszystko go bolało. Przyzwyczyił się już do tego uczucia, jednak skurcze, choć bardzo delikatne, uniemożliwiały sen.

— Śpij dobrze, Kamilo. Życzę miłych snów. Jutro wieczorem cię odwiedzę, ale nie jestem pewien, czy moja niespodzianka ci się spodoba.

I szybko wstał. Nie zważając na ból w nogach i zmęczenie, zaczął się przygotowywać, żeby nie napotkać żadnych problemów.

ACH, BYŁ JUŻ TAK BLISKO. CZUŁ JEJ ZAPACH. Siedziała na fotelu. Ale jeszcze było za wcześnie. Dzisiaj nie było powodu się śpieszyć. Przecież policja nie spodziewała się morderstwa tak szybko. Może dlatego wróciła do domu. Spokój. Musiał jeszcze poczekać.

Wszystko zmierzało ku jednemu celowi, a finał był już blisko. Na wyciągnięcie ręki. Pocił się. To był zły znak. W pocie było DNA. Założył perukę. Czy nie za wcześnie? Pot mógł zmyć klej. Przecież miał wszystko zaplanowane. Ten cholerny pot. Jeszcze raz.

Spokój.

Gdziekolwiek patrzył, widział tylko ciemność. W porządku. Przecież o to chodziło. Nie mógł pozwolić na to, żeby ktokolwiek go zobaczył. Wchodzisz, robisz to, co do ciebie należy. Może poczęstuje go kawą? Wczoraj nie mógł zasnąć, ale może przyczyną nie była wcale kofeina. Uśmiechnął się, przypominając sobie bezwładne ciało Weroniki Stępień. A tak się jej bał. Niepotrzebnie. Ale popełnił błąd. Zdał sobie z tego sprawę dopiero, gdy dzisiaj przygotowywał się na kolejną misję. Podarł swoją kamizelkę kuloodporną. Była pamiątką po tacie, który go wyklął. Po co w ogóle ją zabierał? Ach, no tak, bał się, że Weronika w akcie rozpacz i gniewu zacznie do niego strzelać.

Zaśmiał się z własnej głupoty.

Nic podobnego. Była potulna jak gołąbek. Ale to był jego błąd. Błąd, na który dzisiaj nie mógł sobie pozwolić. Musiało się to stać, gdy uciekał. Chciał zmylić policję, ale przekombinował, nie dostrzegł małej komody przy drzwiach wejściowych — musiał o nią zaczepić.

Ale przecież to był jeden mały błąd.

Czy zostawiać dzisiaj list? To już nie miało znaczenia. W torbie miał Alprazolam. Pozostały mu tylko dwie dawki, ale nie wiedział, czy chce użyć tego sposobu. Chciał zobaczyć choć raz grymas bólu na ciele ofiary. To było takie podniecające. Działo jak narkotyk. Piękna śmierć jest cudowna. Każdy chce tak umierać, bez bólu. Chyba nie miał w sobie wewnętrznej mocy, żeby po prostu zabić, słyszeć krzyki rozpacz albo widzieć oznaki rozdzierającego ciała bólu.

Causa causa est etami causa causati. Przyczyna przyczyny jest również przyczyną skutku.

Rozdział 36

MARIA PATRZYŁA Z PRZERAŻENIEM NA TO, co zostało narysowane

na mapie. Znajdowała się z Pawłem w sali szpitalnej, w której leżał Robert. Po wyjściu z hipnozy udała się właśnie tutaj. Coś jej umykało, a to coś miał jej dać Robert. Zaczęli powoli analizować wszystkie informacje. Burza mózgów była świetnym sposobem. Unikało się indywidualnej odpowiedzialności, a zarazem otwierało się umysł na inne możliwości.

Starali się rozważyć wszelkie informacje, jakie zebrał Robert o znaku CIS. Wersja, że był on mapą, popchnęła ich do oznaczenia na mapie miejsc morderstw. Odrzucili napad na Tomasza Domagałę. Pawłowi przypomniało się, że Okulicki, spoglądając na znak, przesunął go, skręcając wokół osi i kilkanaście stopni w prawo. Robert sprawdził, czy ma to jakiś sens — i faktycznie. Znak CIS był znany nie w formie prostej, jaką przedstawił im morderca w liście, ale delikatnie skrzywiony.

Maria połączyła oba miejsca morderstw kreską. W rzeczywistej skali była pomiędzy nimi odległość około ośmiu kilometrów. Kozielska dorysowała potencjalne miejsce zbrodni. Nie mogła uwierzyć. Paweł i Robert patrzyli na nią pytająco. Oni nie wiedzieli, kto tam mieszka. Uspokój się, kobieto! Przecież morderca zaatakuje zapewne jutro. Może to, na co patrzysz, jest jedynie przypadkowe. Ulegasz chwili, nie zastanawiając się nad rzeczywistym obrazem. Ale Maria nie miała wątpliwości. Wysypała zawartość torebki. Szukała telefonu. Żeby tylko nie było za późno. Spojrzała na zegarek.

Przecież ona musi uciekać. Gdziekolwiek. Gdzieś, gdzie będzie bezpieczna.

Pierwszy sygnał.

Tylko spokój. Przecież na pewno wszystko jest w porządku. Niepotrzebnie panikuje. Ten trop jest zapewne fałszywy i jutro wszyscy będą się z tego śmiać.

Drugi sygnał.

Odbieraj! Szybko! Morderca może już jest obok ciebie. Nie wpuszczaj go do domu pod żadnym pozorem! Machała do Pawła, żeby alarmował policję, on jednak podnosił ręce w geście niezrozumienia.

Trzeci sygnał.

Hipnoza pozwoliła jej myśleć. Hipnoza była dobra. Hipnoza miała swój sens. Dziękowała Pawłowi. Ale jeżeli ONA nie odbierze tego telefonu, wszystko

pójdzie na marne.

Czwarty sygnał.

Maria miała ochotę krzyknąć niekoniecznie przyzwoite słowa.

Ktoś podniósł słuchawkę. Kozielska nie czekała.

— Uciekaj! Morderca może być blisko. Grozi ci niebezpiecz...

Sygnał przerwane połączenia.

Maria spróbowała kolejny raz, ale tym razem wiadomość była jednoznaczna: „Abonent chwilowo niedostępny. Prosimy spróbować później”.

Miała świadomość, że później już nie będzie miała do kogo zadzwonić. Złapała Pawła, ruszyli jego prywatnym samochodem. Wiedziała, że tym razem to właśnie oni mogą być pierwsi na miejscu przestępstwa.

NIE WSZYSTKIE MARZENIA SIĘ SPEŁNIAJĄ. Teściowa była w domu. Co gorsza, postanowiła zostać na noc. Kiedy Dorota zapytała, czy jej kochane zwierzaczki wytrzymają całą noc bez swojej mamusi, została spiorunowana wzrokiem tak, że już więcej się nie odzywała.

Dziwny telefon. Nie rozpoznała głosu. Na dworze był silny wiatr. Zapewne jakaś gałąź uszkodziła linię telefoniczną, bo połączenie zostało zerwane. Może i lepiej. Chwila ciszy. Teściowa poszła spać, Mateusz też już się położył. Ona nie czuła się śpiąca, chciała ten czas spożytkować w inny sposób.

Ten telefon mimo wszystko wzmógł jej czujność. Podeszła do drzwi wejściowych. Rozglądnęła się wokoło, czy aby na pewno są sami. Odpowiedziało jej jedynie wycie jakiegoś wilka lub innej zwierzyny. Zamknęła szczelnie drzwi.

Wróciła na miękką sofę. Rozpoczęła lekturę pewnej książki, którą posiadała jeszcze z okresu studiów, ale której ze względu na jej zawartość oraz dość mało komunikatywny język nigdy nie otworzyła. Była to encyklopedia drzew i roślin. Ku zdziwieniu Doroty znajdowało się tam wiele bardzo interesujących informacji. Ona szukała tylko jednej — chciała się dowiedzieć więcej o tajemniczej substancji *Commiphora abyssynica*. Otworzyła na odpowiedniej stronie. Była to żywica rzadkiego gatunku drzew tropikalnych, występujących na wschodnim wybrzeżu

Afryki, ze względu na odpowiednie natężenie słońca i oceaniczny wiatr. Czytała dalej, ale było tam wiele łacińskich słów, których niestety nie rozumiała.

Poczuła delikatny przeciąg na nagich stopach. Skuliła się mocno.

Doleciał ją dziwny zapach. Czowała go nie po raz pierwszy. Dobrze wiedziała, gdzie ostatni raz. Ten sam zapach był w domu Weroniki Stępień, również dzisiaj u Tomasza Domagały. Zobaczyła, jak kłęby dymu unoszą się w świetle. Co się działo?! Spostrzegła jakiś ruch Usłyszała donośny huk. Odpływała, bez koła ratunkowego, oddalając się w otchłań nicości.

SZYBCIEJ! LICZNIK SIĘGAŁ MAKSIMUM. Pędzili krętą drogą, a Paweł nawet nie miał siły protestować, gdy Maria ledwo wykręcała na ostrych zakrętach. Dał jej kluczyki, ale teraz tego żałował. Obawiał się, że było już za późno. To miało sens. Dorota Maj. Uderzył w samo serce śledztwa. Nikt nie mógł tego przypuszczać, nawet w najgorszych koszmarach. Musiał zaatakować dzisiaj. To nie miało większego sensu. Ale czy cokolwiek miało jakiegokolwiek znaczenie przez ostatnie trzy dni? Kownacki nie wiedział, w co gra zabójca. Jeżeli chciał pokazać, jak bardzo naiwna jest policja, w stu procentach mu się to udało.

Paweł nie miał szansy porozmawiać dłużej z Dorotą, teraz tego żałował. Nie domyślał się, dlaczego morderca wybrał właśnie ją. Sądził, że szybka interwencja ostatniej nocy bardzo go wkurzyła. Może miał początkowo inny cel, ale ze względu na dynamikę tego, co się dzieje, postanowił zmienić plany? Mapa jednoznacznie wskazywała na miejsce zamieszkania Doroty Maj. Gdzieś w lesie, pomiędzy Dąbrową a Krowicą Hołodowską. Idealne miejsce. Tam, gdzie nikt go nie zobaczy. Nie oszukujmy się, Dorota Maj była łatwym celem. Młoda pani naukowiec nie miała pojęcia, jak się bronić. Jej mąż i dziecko już pewnie spali.

Lokalizacje domów Teresy Wójcik, Weroniki Stępień i Doroty Maj tworzyły idealny trójkąt. Informacja, którą wyczytał Robert, że znak CIS był również mapą, posłużyła Marii do stworzenia tego modelu w realiach Podkarpacia.

Kownacki wolał nie patrzeć na wskaźnik szybkościomierza. Jechali teraz leśną drogą, po obu stronach rozciągał się ciemny las. Maria jednak, zamiast zwolnić, docisnęła gaz.

W oddali widzieli już światła domu Doroty. Już niedaleko. Uratujemy cię, Doroto! Wtedy Paweł zdał sobie sprawę, że morderca może być w domu. Nie miał broni, a nawet jeśli ją posiadał, nie byłby w stanie jej użyć. Maria była wciąż

zawieszona w czynnościach policjanta. W ogóle nie powinno jej tutaj być. Niech Bóg ma ich w opiece. W ustach ateisty zabrzmiało to wyjątkowo rozpaczliwie.

Rozdział 37

MARIA PO RAZ PIERWSZY WIDZIAŁA TAK DRAMATYCZNĄ SCENĘ. Dorota leżała bez ruchu na kanapie. Nad nią stała jakaś starsza pani, klepiąc ją po policzku. Jakiś mężczyzna, zapewne mąż, biegał rozpaczliwie, podejrzliwie patrząc na Marię i Pawła. W rogu płakało dziecko. Wszystko obracało się w jakimś zwariowanym kręgu. Na podłodze leżała patelnia, a na Dorocie spoczywała otwarta encyklopedia. Kozielska nie wiedziała, co się stało. Rozglądnęła się wokół, ale nikogo podejrzanego nie zobaczyła. Morderca nadal mógł tutaj być. Teraz, kiedy Dorota nie żyła, już nic nie miało sensu. Czuła gromadzące się w niej gniew i furię. Chciała tylko jednego: dopaść tego sukinsyna, — najlepiej udusić go własnymi rękami.

Paweł podbiegł do Doroty. Delikatnie odsunął zapłakaną staruszkę. Przyłożył rękę do tętnicy. Chwilę poczekał. Maria widziała, jak zaczyna nerwowo wybierać numer. Nie wiedziała, co się dzieje. Kownacki przykrył Dorotę kocem, który leżał obok. Kozielska stała wpatrzona w scenę, która rozgrywała się przed jej oczami.

— Ona żyje! Wszystko będzie w porządku! — Paweł krzyczał z radości. Mąż Doroty podbiegł do Mateusza, aby otrzeć mu łzy.

Maria otrzeźwiała. Pogotowie było już w drodze. Dorota przeżyła, a przynajmniej tak sądzi Paweł. Ale morderca.. przecież on mógł tutaj jeszcze być. Nie wiedziała, co się dokładnie wydarzyło. Widząc patelnię, domyślała się jedynie, że ktoś uratował Dorotę, odstrasząc napastnika. Zatem możliwe, że był ranny. Uciekał. Wszystkie ślady zostały już zapewne zdeptane przez rodzinę Doroty, przez Pawła i przez nią samą. Rozejrzała się za strzykawką, którą morderca mógł przypadkowo upuścić. Znalazła ją pod małym stolikiem nocnym. Możliwe, że napastnik upadł, a strzykawka potoczyła się po ziemi. W szaleńczym wirze zdarzeń nie miał czasu jej znaleźć. Maria nie wiedziała, jak zabezpieczyć ten dowód. Postawiła krzesła, aby nikt go nie ruszał aż do przyjazdu kryminalistów.

Słyszała, że to właśnie Dorota przeszukiwała miejsca przestępstwa, w dodatku z dużym powodzeniem. Ciekawa była, co by w tej chwili zrobiła. Którędy mógł wejść morderca? Gdzie uciekł? A może nadal tu był i liczył na to, że zaraz wszyscy pójdą, a gdy Dorota zostanie sama, dokończy swoje zadanie? Maria

spojrzała na nieprzytomną Maj. Była taka piękna, taka bezbronna.

Z daleka usłyszała sygnał pogotowia. Ta staruszka, która pochylała się nad Dorotą, gdy Maria z Pawłem wpadli do domu, teraz opadła na krzesło, oddychała nierówno. Otarła pot z czoła i z wielką trwogą patrzyła na bezwładne ciało Maj. Maria pomyślała, że należy z nią porozmawiać, podobnie z mężem Doroty. Ale to nie była odpowiednia chwila. Poza tym była zawieszona, — nie miała prawa do rozmowy ze świadkami. Nie wyobrażała sobie jednak, aby ten chłopczyk miał być przesłuchiwany. Miała syna w podobnym wieku i ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła jako matka, było narażanie dziecka na podobny stres.

Ogarnęło ją uczucie, że jest złą matką. Wciąż nie było jej w domu, zaniedbywała kochanego Jasia. Gdyby mu się coś stało, nie wybaczyłaby sobie tego do końca życia. Tylko praca, wiecznie praca, ciągły pościg za kilkoma złotymi więcej, a żadnych profitów. To przecież czas spędzony z rodziną był bezcenny. Nie można go było kupić.

Do domu wpadli dwaj ratownicy medyczni. Po chwili wynieśli Dorotę na noszach, przykryli folią termiczną. Zamykając drzwi od karetki, jeden z nich popatrzył na Marię i podniósł kciuk. Uśmiechnął się, fala ciepła spłynęła na Kozielską. To był jej błąd. Teraz było za późno. Nie miała powodu tak myśleć, ale przecież to mógł być on, to mógł być morderca. Zabójcą mógł być każdy. Mógł uśmiechać się do ciebie na ulicy, być listonoszem, murarzem, a nawet ratownikiem medycznym. Chciał dokończyć swoje zadanie. Chciał zabić Dorotę. Przecież często się zdarzało, że osoba poszkodowana umierała w karetce. Nikogo by to nie zdziwiło. Odsunąłby od siebie podejrzenia.

Czysta paranoja.

Przerażona podbiegła do Pawła. Uspokoił ją. To faktycznie było paranoiczne myślenie. Piętnaście minut później zadzwoniła do szpitala. Sanitariusze przywieźli Dorotę. Leżała już na oddziale. Wszystko było w porządku, a lekarze próbowali ustalić, co jej się stało.

Obłąd. Maria znajdowała się na jakiejś karuzeli. Wszystko się kręciło dookoła, jak w hipnozie. Tyle że nie potrafiła się skoncentrować. Wszystko było dziwne, takie niedorzeczne i fałszywe. Mordercą mógł być naprawdę każdy. Zobaczyła, jak Paweł wita się z zespołem kryminalistów. Wskazał na Marię.

— Ta patelnia leżała na podłodze. Sądzę, że napastnik został nią uderzony,

ale to zweryfikujemy później. Strzykawka jest tam. Wygląda na to, że był tutaj poszukiwany przez nas morderca. Trzeba sprawdzić zawartość, ale jestem przekonana, że będzie to ta sama substancja co w dwóch poprzednich przypadkach — wyjaśniła Kozielska Aleszkiewiczowi, co do tej pory udało jej się ustalić. — Ta encyklopedia leżała na Dorocie. Nic więcej nie udało mi się znaleźć.

— Czy pani przypadkiem nie jest zawieszona? — zainteresował się całkowicie czymś innym.

Maria nie miała ochoty zajmować się teraz tym tematem. To nie był ani czas, ani odpowiednie miejsce. Spojrzała z zażenowaniem na Aleszkiewicza i bez słowa przeszła do pokoju obok. Staruszka tuliła do piersi chłopca, a mężczyzna, zapewne mąż Doroty, stał z kluczykami w rękach, czekając na pozwolenie, by pojechać do szpitala.

Kozielska pokiwała. Wiedziała, że w tej chwili nie byłoby to dobre źródło informacji. Przy wejściu do drugiego pokoju uderzyła w nią fala świeżego powietrza. Było to dziwnie nierealne, dziwnie orzeźwiające.

Wróciła do salonu, gdzie wcześniej leżała Dorota. Wzięła głęboki oddech. Specyficzny zapach. Dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę. Powietrze było bardziej stężone. Zakręciło się jej w głowie. Kryminaliści spojrzeli na nią, zdenerwowani, że ktoś przeszkadza profesjonalistom w pracy.

Maria była już prawie pewna, że w pokoju zostało coś rozpylone, jakiś gaz. W pewnym sensie zapach przypominał jej dym papierosa. Nie była na innych miejscach zbrodni. Nie mogła powiedzieć, czy jest to charakterystyczny sposób postępowania mordercy.

Stanęła na werandzie obok Pawła. Wpatrywali się w las. W ciemność. Byli idealnym celem dla snajpera, ale nie spodziewali się ataku z tej strony. W końcu to był Lubaczów, a nie amerykański film. Maria była pewna, że morderca chce być teraz jak najdalej stąd. Jak najszybciej. Może przedziera się przez ten ciemny las, ociera o wysokie pnie, idzie ostrożnie, aby nie zbudzić groźnych zwierząt.

— Bałem się o ciebie! — Paweł popatrzył jej prosto w oczy. — Wtedy, kiedy wprowadziłem cię w stan hipnozy, byłaś zupełnie w innym świecie. Mówiłaś coś, co w ogóle nie miało sensu. Byłem przerażony. Chciałem cię wybudzić, ale nie reagowałaś na moje komendy. To mogło się zakończyć tragedią.

Maria nie odpowiedziała. Nie wiedziała, co robi, ale właśnie tak podpowiadała jej podświadomość. Przytuliła się do Kownackiego. On ją objął. Położyła głowę na jego ramieniu. I tak stali, zaniepokojeni przeszłością, nieświadomi przyszłości.

TEGO DNIA JUŻ NIC NIE MOGŁO GO ZDZIWIĆ. Było tyle spraw to załatwienia. Niestety nie czuł się zbyt dobrze. Chyba przesadził z tym koniakiem. Ale przecież świat był taki piękny. Spojrzał na Dorotę. Jej mąż siedział tuż obok. Oddychała samodzielnie, ale pozostawała w stanie śpiączki. Lekarze stwierdzili, że był to skutek zbyt dużej ilości jakiegoś gazu rozweselającego. Nie mogli dokładnie ustalić, co to było, nie mieli w Lubaczowie aż tak profesjonalnej aparatury. Sądziło, że organizm musi się przewentylować świeżym powietrzem. Dość przyziemne metody. Świadomość miała wrócić za parę godzin, może za dzień. Istniało jeszcze ryzyko, ale o tym mówiono szeptem, że zmiany zaszły zbyt daleko, wtedy śpiączka trwa zdecydowanie dłużej.

Łajdak. Komendant Głowala nie miał pojęcia, dlaczego to właśnie Dorota Maj została zaatakowana. Doszły do niego informacje o jakiejś mapie, do której nakreślenia posłużył znak CIS. Nie miał pojęcia, o co chodzi. Cieszył się jednak, że Dorota przeżyła. Zatem słowa księdza Jana się nie sprawdziły. Spodziewał się kolejnego morderstwa jutro. Przeliczył się. Ale przecież Głowala powinien się tego domyślić.

Dziwne: choć znajdował się w alkoholycznym transie, wolał nie myśleć, jak bardzo go będzie bolała głowa, kiedy obudzi się jutro rano, myślał wyjątkowo trzeźwo. Był przekonany, że to nie koniec, że morderca zaatakuje ponownie, a on nie będzie w stanie sprostać tej rozgrywce. Był taki słaby i głupi. Należało przesłuchać świadków. Najchętniej wysłałby do tej roboty Pawła Kownackiego, choć zdawał sobie sprawę, że ten człowiek dał z siebie już o wiele więcej, niż ktokolwiek od niego wymagał.

Komendant usiadł na szpitalnym krześle. Do sali, gdzie leżała Dorota, wciąż wchodziły pielęgniarki. Podawały leki, pobierały krew. Zabójca posiadał początkowo cztery dawki Alpafoxene. Głowala nie mógł pozbyć się myśli, że od początku zamierzał popełnić cztery morderstwa. W domu Doroty została znaleziona strzykawka. Sprawdzenie jej zawartości było tylko formalnością. Sprawca zapewne nie odważyłby się atakować w szpitalu, choć postawienie ochrony przed salą nie wydawało się głupim pomysłem. Będzie musiał się tym zająć. Zatem pierwotna hipoteza księdza Jana o trzech morderstwach była niesłuszna. Głowala wyciągnął z kieszeni piersiówkę. Pociągnął łyk. Skrzywił się.

Nie miał pojęcia, co wleciało do jego żołądka, ale było to coś niedobrego, przynajmniej bardzo mocnego.

Szybko schował swój tajemniczy trunek, bo na szpitalnym korytarzu ukazała się sylwetka tęgiego mężczyzny. Komendant z daleka poznał jego kaczkowaty chód. Franciszek Aleszkiewicz kroczył pewnym krokiem w jego stronę. Tylko prychnął, widząc przygarbioną postać. Zapewne unosząca się woń alkoholu odwiodła go od myśli zajęcia miejsca obok Głowali. I dobrze. To nie był czas na rozmowy. Tym bardziej o problemie alkoholowym. Aleszkiewicz wyciągnął papierosa. Komendant chwiejnie podniósł rękę, wskazując na zakaz palenia.

— Dostał patelnię od teściowej — powiedział po chwili Franciszek.

Gdyby nie dramatyczna sytuacja komendant zapewne parsknąłby śmiechem.

— Zatem powiadasz, że w końcu się do czegoś przydała — odpowiedział komendant, dopiero później zdając sobie sprawę, że ta uwaga była nie na miejscu, bo na korytarzu pojawiła się dość przysadzista kobieta. Szła szybko, a jej kwiecista sukienka powiewała niczym firany w przeciągu. Z nosa spadały jej okulary, była czerwona na twarzy i płakała. Nic nie powiedziała, tylko od razu weszła do sali, w której leżała Dorota.

Komendant przez okienko zobaczył, jak wystawia na niewielki stoliczek nocny znajdujący się obok szpitalnego łóżka jakieś konserwy i przeciery owocowe. Po krótkiej rozmowie z mężem Doroty schowała wszystko z powrotem i siadła zapłakana z drugiej strony, chwytając synową za rękę.

— Znaleźliśmy fragmenty kleju. Niestety żadnych śladów jego naturalnych włosów.

— Nie rozumiem.

— Morderca miał zapewne perukę. Uderzenie patelnią musiało być naprawdę silne, bo część kleju została na jej powłóce — wyjaśnił Aleszkiewicz. — Czasem do kleju przyczepiają się naturalne włosy, a byłby to niezbity dowód w przypadku postawienia zarzutów.

Komendant spojrzał na masywne ręce teściowej. Gdyby nie to, że bardzo

chciał złapać tego łajdaka, pewnie by mu współczuł, że ta staruszka musiała go uderzyć akurat w głowę.

— Zatem istnieje przypuszczenie, że poszukiwany jest ranny? — Głowała był wręcz wstrząśnięty, że pomimo swojego stanu jest w stanie dojść drogą dedukcji do takich wniosków. — Powiedz mi jedno: czy morderca jest człowiekiem?

— Tym razem to chyba ja nie rozumiem — Aleszkiewicz patrzył na komendanta, jakby to on był poszukiwanym sprawcą.

— Oberwać patelnię, a potem wyjść o własnych siłach?! Może miał współnika?

— Żadne ślady nie wskazują na jakiegokolwiek osoby trzecie, oprócz teściowej oczywiście — wyjaśnił Aleszkiewicz.

— Czy jej mąż albo teściowa widzieli coś? Jak wyglądał? Jakiej był postury?

— Nikt jeszcze z nimi nie rozmawiał. To już nie należy do nas.

Aleszkiewicz odszedł, pozostawiając komendanta sam na sam z rozmyślaniami. Głowała wstał, aby udać się do izby przyjęć.

Hol był pusty. Kobieta w recepcji popatrzyła na niego z dziwnym lękiem, kiedy chwiejnym krokiem podchodził w jej stronę. Gdyby nie to, że miał na sobie mundur, zapewne wezwałaby ochronę. Wszystko przychodziło z taką łatwością. Na trzeźwo nigdy by nie wpadł na pomysł, aby wykorzystać to, że jest w szpitalu.

— Czy zastałem panią Sylwię Słaboń?

— Czy może pan powtórzyć? Chyba nie dosłyszałam.

A przecież tak się starał wypowiedzieć te słowa wyraźnie. Spróbował jeszcze raz. Alkohol robił swoje. Powolutku, pomalutku. Sylaba po sylabie, literka po literce. Pielęgniarka uśmiechnęła się, widząc, jak bardzo stara się sprostać niewyobrażalnie trudnemu zadaniu zapytania, czy pani Sylwia Słaboń jest w pracy.

— Tak, jest — w końcu się nad nim zlitowała. — Zawiadomię ją, że chce

się pan z nią widzieć. Proszę się udać tymi schodami do góry, a następnie skręcić w lewo, prosto do oddziału psychiatrycznego.

Komendant wbił w nią wzrok. Czy ona sobie z niego przypadkiem nie kpi?! To niemożliwe. Jest policjantem, ludzie szanują służby mundurowe, tym bardziej że jest komendantem. Jakoś sobie poradzi, to tylko schody. Podziękował niskim ukłonem, następnie ruszył we wskazanym kierunku. Prosto na oddział psychiatryczny.

— Dobry wieczór! — stanęła przed nim młoda blondynka. — Słyszałam, że mnie pan szuka.

Komendant zapatrzył się na jej głęboki dekolt. Podobała mu się. Podobna do jego żony, kiedy byli jeszcze młodzi. Wyglądała na zaspaną. Można było wytłumaczyć to późną porą.

— Mam do pani kilka pytań. Podobno pani brała — starał się przypomnieć sobie te skomplikowane nazwy, jednak stan upojenia nie pomagał — jakieś leki...

Sylwia wskazała mu ciemny korytarz. Na szczęście nie kazała mu iść dalej. Głowa bał się ciemności, a kieliszek, choć dodawał odwagi, nie wystarczał, aby pokonać tę fobię. Pielęgniarka otworzyła najbliższe drzwi. Na półkach stało mnóstwo próbek. To pomieszczenie służyło zapewne do przygotowywania odpowiednich dawek leku dla pacjentów. Sylwia podsunęła komendantowi krzesło.

— Zatem jak brzmiało pana pytanie?

Był pijany, ale nie ulegało wątpliwości, że Sylwia była trochę zdenerwowana. Od kinetyki był Paweł, ale obgryzanie paznokci było oczywistym znakiem, że towarzystwo Głowali nie za bardzo jej odpowiada.

— Środki takie jak Alprazolam i Tranxene — przypomniał sobie. — Ewidencja szpitala wskazuje, że pani je brała. To nie były odpowiednie miejsce i pora. Na pewno zauważyła, że jest pijany.

To, co się wydarzyło chwilę później, spowodowało, że serce komendanta zaczęło bić szybciej niż zwykle. Sylwia rzuciła się na niego. Usiadła na nim, przytuliła głowę do jego piersi, objęła go.

Nie wiedział, co się dzieje. Zdał sobie sprawę, że jego koszula jest mokra.

To były łyzy Sylwii. Nie miał pojęcia, co robić. Zapytać, o co chodzi?! Odrzucić i gnębić dalej pytaniami? Postanowił, że zrobi to za chwilę. Objął Sylwię, ciesząc się jej ciepłem, którego tak bardzo mu brakowało.

Rozdział 38

MAREK MIAŁ DOŚĆ. NIC NIE ROZUMIAŁ. Chciał porozmawiać z żoną. Zapytać. Może dałaby mu jakąś radę. Wyglądało na to, że zainteresował się sprawą z wyższych sfer, pomijając to, co działo się na jego oczach. Nie miał pojęcia, jak długo trwał ten proceder, jednak trzeba mu było jak najszybciej powiedzieć „stop”. Najgorsze było to, że nie wiedział, jak obwieścić światu całą prawdę. Żał mu było Głowali, choć wiedział, że komendant jest winny całej tej sytuacji, zdecydowanie za późno powiedział mu o wszystkim. Dopóki nie zakończy się sprawa tajemniczych zabójstw, nie chciał wtajemniczać policji. Kozielski obawiał się jednego — że jest już po wszystkim.

— Marku, chyba musimy poważnie porozmawiać — jego teściowa weszła do pokoju. Był jej bardzo wdzięczny, że opiekuje się Jasiem, kiedy ani jego, ani Marii nie ma w domu, jednak wiedział, jak będzie wyglądać ta rozmowa. Matka niczego nie zrozumie.

— Mamo, to chyba nie jest odpowiednia chwila.

— Staralam się być z dala od waszych spraw, ale tego już wystarczy. Co wy najlepszego robicie?! Wciąż was nie ma w domu, tylko pracujecie! Otwórzcie oczy! Wasz syn was potrzebuje. Dorasta, zmienia się, a was zwyczajnie to omija!

Marek wiedział, że mama ma rację. Co jednak jej słowa zmieniały? Faktycznie poświęcał ostatnio Jasiowi za mało czasu. Wczoraj syn chciał chyba z nim porozmawiać, ale on miał inne sprawy na głowie.

Teściowa popatrzyła na niego z ubolewaniem. Usiadła na bujanym fotelu.

— Mów! Coś cię trapi. Co się dzieje? Wiem, że jestem stara, wiem, że nie zdaję sobie sprawy z realiów codzienności, ale może moja starość ma jakieś dobre strony, takie jak doświadczenie?

Marek się zamyślił.

— Co byś zrobiła na moim miejscu? Jako dziennikarz chcę dochodzić

prawdy, ujawniać ją, nie zważając na konsekwencje. Z drugiej strony jestem też zwykłym człowiekiem, który nie czerpie radości z krzywdy innych osób. Muszę dokonać wyboru. Czy zostać człowiekiem, stracić pracę, renomę, zarazem działać wbrew własnym zasadom? Czy może poinformować opinię publiczną o tym, co udało mi się dowiedzieć, a w ten sposób zakończyć bulwersującą sprawę, ale i stracić zaufanie człowieka prawego, który wiele zrobił dla tych terenów?

Teściowa pokiwała głową.

— Wiesz, jako żona policjanta często uczestniczyłam w sytuacjach, które mnie nie dotyczyły. Mąż czuł obowiązek interwencji. Zdarzyło się, że jechaliśmy razem na zakupy. Kiedyś zobaczył jakąś małą bójkę. Nic wielkiego. Sam pewnie nieraz się biłeś, kiedy byłeś młodszy. Zatrzymaliśmy się. Widziałam przez okno, jak rozwiązuje sporną sytuację. Wyciągnął pistolet i strzelił w powietrze. Chłopcy przestali się bić. Mąż złapał ich za uszy i zaciągnął pod płot. Powiedział: „Takie mądrale! Chcecie się wyżyć? Chętnie zostanę waszym workiem treningowym”. Zobaczyłam, jak ci dwaj mali chłopcy uderzyli męża w brzuch. Nie mogłam w to uwierzyć. Pojechaliśmy do sklepu. Z przerażeniem spostrzegłam, że mój mąż ma problem z oddychaniem.

Głos teściowej się załamał.

— Co się stało? — Marek znał wiele historii o tacie swojej żony. Tę jednak słyszał po raz pierwszy.

— Okazało się, że dostał krwotoku wewnętrzznego. Ci chłopcy, uderzając go w brzuch, uszkodzili mu śledzionę. Chciał pomóc, a stał się ofiarą. Wciąż powtarzałam mu, żeby wykonywał swoją pracę, mając na względzie swoje zdrowie. Kodeks policjanta nie mówi ci, żebyś pozwalał się bić. Gdybym była na jego miejscu, rozdzieliłabym tych chłopców, może postraszyła, że zadzwonię do ich rodziców. Jeżeli zaszłaby taka potrzeba, naprawdę bym to zrobiła. Cokolwiek będziesz robił, rób to mądrze, abyś przy okazji sam nie stał się ofiarą.

— Nie rozumiem, mamó. Ta sprawa zwyczajnie mnie przerasta.

— Marku! — teściowa wstała i poklepała go po ramieniu — Dokładnie wiesz, co trzeba zrobić.

PAWEŁ NIE LUBIŁ ROZMAWIAĆ Z OSOBAMI pogrążonymi w bólu. Franek, mąż Doroty, nic nie widział. Spał, kiedy cała sytuacja miała miejsce. Gdy

wszedł do pokoju, mordercy już nie było w środku. Potwierdził jedynie, że dzwonił telefon. Technicy powiedzieli, że linia telekomunikacyjna została zerwana albo raczej przecięta profesjonalnymi nożycami. Franek nie wyraził zgody na przesłuchanie Mateusza, tym bardziej że nie istniały podejrzenia, aby mógł cokolwiek wiedzieć.

Paweł wciąż był w szpitalu. Przyjechał z Marią, która teraz rozmawiała z Franciszkiem Aleszkiewiczem. Więcej nadziei wiązano z teściową. Eugenia, bo tak miała na imię, była dość przysadzistą emerytką. Warunki w szpitalu były połowe, ale Kownacki miał świadomość, że ani Franek, ani teściowa nie mają w tej chwili ochoty zostawiać Doroty samej.

— Pani Eugenio, niech mi pani opowie wszystko, co się wydarzyło tego wieczoru — Paweł siedział w tej chwili naprzeciwko niej. Rozmowa odbywała się na korytarzu. Wokół nie było żywej duszy. Jego słowa odbijały się od pustych ścian szpitala.

— Przyjechałam po południu. Pomyślałam, że Dorotka będzie w pracy, więc zrobię jakiś obiad, żeby moi chłopcy nie umarli z głodu. — Paweł domyślił się, że mówiąc o chłopcach, miała na myśli Franka i Mateusza. — Postanowiłam, że zostanę na noc, bo byłam pełna obaw, jeżeli chodzi o Dorotę.

— Co ma pani na myśli? — zainteresował się. — Czy coś wskazywało, że Dorocie grozi jakieś niebezpieczeństwo?

— Raczej chodziło mi o dobro mojego Franusia. Doroty ciągle nie było ostatnio w domu, nie wracała na noc. Obawiałam się, że ma jakiś romans. Wróciła do domu przed siódmą i nie była zadowolona, kiedy mnie ujrzała. Widać moje towarzystwo pokrzyżowało jej plany — teściowa podniosła dumnie głowę.

Kochana mamusia. Ona zawsze wszystko wie najlepiej.

— Co się dalej wydarzyło? — Pawłowi trudno było powstrzymać śmiech.

— Położyłam się wcześniej. Rozwiązywałam krzyżówki, ale później zmorzył mnie sen. Śpię z zasady bardzo słabo i cokolwiek się dzieje, budzę się. No i usłyszałam telefon. Zbudziłam się momentalnie. Potem jakieś kroki. Ktoś otworzył drzwi. Pierwsza myśl, że to kochanek Doroty przyszedł do domu. Wkur... Zdenerwowałam się troszeczkę — poprawiła się. — W torbie miałam patelnię. Zobaczyłam, że ktoś idzie. Po wzroście upewniłam się, że nie jest to ani Franek,

ani Mateusz. Miał typowo męską budowę. No to walnęłam go patelnią. Podbiegłam do Doroty, aby również jej się dostało za zdradę, ale ona była nieprzytomna. Próbowałam ją cucić. Wtedy ten łachudra musiał uciec. Potem przybiegli Franek i Mateusz, zapewne obudzeni hukiem. Jeżeli dobrze pamiętam, to następnie przyjechał pan z jakąś kobietą.

— Czy może pani podać jakieś szczegóły dotyczące wyglądu tego... kochanka? — Paweł był wstrząśnięty słowami Eugenii. Jak niewiele potrzeba, aby oberwać patelnią. Nie było mu szkoda mordercy, ale wstrząsnęła nim myśl, że również Dorota mogła w taki sposób ucierpieć. Powinien zasugerować lekarzom zrobienie tomografii.

— Panie Pawle! Mam już swoje lata. Żeby widzieć, potrzebuję okularów. Wtedy była noc, nie fatygowałam się, żeby je zakładać. Waliłam patelnią... na oślep. Miał ciemne ubranie. Trzymał w rękach chyba igłę. Trudno mi powiedzieć.

Ratunku! Paweł chciał jak najszybciej skończyć tę rozmowę. Ale jeszcze jedna kwestia bardzo go trapiła, nie dawała spokoju.

— Pani Eugenio. Z całym szacunkiem, ale dlaczego miała pani w swojej torbie patelnię?!

— Ależ to oczywiste! — Paweł był bardzo ciekaw, co było takie oczywiste. — Dorota w swojej kuchni ma tylko jakieś teflonowe świństwa. Żeby ugotować prawdziwy obiad, potrzeba prawdziwej, żelaznej patelni. A propos. Czy mogłabym ją dostać z powrotem?

Paweł popatrzył z lękiem na wózek inwalidzki, który stał niedaleko. Zastanawiał się, czy posłuży jako broń w rękach teściowej, gdy odpowiedź będzie negatywna. Postanowił odpowiedzieć z rezerwą, nic nie obiecując, ale też nie zaprzeczając.

— Wszystko w swoim czasie. Dziękuję bardzo.

Kownacki zastanawiał się, jak by zareagowała Julia, gdyby usłyszała relację z tej rozmowy. Może by się anielsko uśmiechnęła, tak jak to kochał najbardziej, albo przytuliła, co pozwoliłoby mu dojść do siebie po traumatycznych przeżyciach. Cokolwiek by zrobiła, byłoby dobrze.

— Chodź ze mną — Maria podeszła do niego. — Musimy znaleźć

komendanta. Poszedł szukać tej całej Sylwii Słaboń. Nie ma go już od godziny. Podobno nie wyglądał za dobrze, kiedy stąd wychodził.

Chwilę później stali przed wejściem na oddział psychiatryczny. Maria opowiedziała mu o nocnym incydencie. Jeżeli to, co mówiła, było faktycznie prawdą, szczerze jej współczuł. On bał się szpitali psychiatrycznych. Bardziej przypominały mu pilnie strzeżone więzienia. Zakratowane okna, zamknięte pokoje. Kiedyś często odwiedzał takie miejsce. Każda wizyta była straszna. Słyszał jęki i niekończące się piski pacjentów. Patrzyli na niego jak na człowieka z kosmosu. Z zaciekawieniem dotykali i głaskali. Budził ogólne zainteresowanie. Gdyby to od niego zależało, nigdy by tam nie wchodził. Ale przecież musiał co jakiś czas odwiedzić swoją kochaną żonę.

BYŁ ZŁY. BARDZO ZŁY. NIE PRZEWIDZIAŁ TEGO. Ta cholerna patelnia. Miał nadzieję, że uciekł wystarczająco szybko i nikt go nie zobaczył. Ściągnął perukę, włożył wygodniejsze buty. Był już w domu, ale wciąż nie potrafił odzyskać spokoju. Nawet cudowny obraz nie był w stanie ukoić jego duszy.

Bolała go głowa. Bolało go wszystko. I ta policja. Nie był do końca pewien, ale widział tę kobietę w szpitalu. W jaki sposób tak szybko udało im się przyjechać? Przecież nikt na pewno nie zadzwonił na policję. Przeciął linię telefoniczną. Zrobił to na pewno dobrze. Była to jedyna rzecz, której nauczył go tata. Niech spoczywa w spokoju, ze świadomością, że jego syn potrafi praktycznie wykorzystać tę z pozoru nic niedającą umiejętność.

Cholerna patelnia. Dobrze, że miał pod peruką poduszkę. Oprócz tego, że wyglądał w niej całkowicie inaczej, był to świetny sposób, żeby zabezpieczyć się przed takimi zdarzeniami. A powinien to rozegrać tak jak wcześniej. Zapukać. Powiedzieć „dzień dobry”. Może poczęstowałyby go kawą. Ale nie mógł tak ryzykować. Przecież w każdej chwili mógł przyjść do nich jej mąż, a nie miał przy sobie dwóch dawek śmiertelnej Alprazolamu. Dlatego wolał samotnicę. Jutro nie powinno być problemu. Współczuł swojej kolejnej ofierze. Ale ona w przeciwieństwie do Teresy, Weroniki i pół-ofiary Doroty naprawdę sobie na to zasłużyła.

Zemsta będzie słodka.

Człowiek był mściwy. Ułożył sobie wszystko tak, aby mu pasowało. Rzadko szedł na ustępstwa. To nie było w jego naturze.

Nie martwił się o Dorotę. Może się obudzi... kiedyś. Ale on wtedy będzie już bardzo, bardzo daleko. Substancja, którą rozpylił w salonie, była nie do wykrycia. Uśmiechnął się sam do siebie, świadomy własnego sprytu. Humor od razu mu się polepszył. Wszystko zależało od perspektywy.

Czas na sen. Na wszystko trzeba było mieć czas. Jutro wielki dzień. Pogrzeb Teresy. Ciekaw był, jak zareagują na jego obecność. To dobre miejsce obserwacji, więc musiał tam być. Potem trzeba będzie uciekać.

Już nie był zły. Zadanie mu się nie udało, ale nikt na tym nie stracił. Policja zginie w domysłach, dlatego próbował zabić właśnie Dorotę. Nie planował tego początkowo. Ale trzeba zrobić wszystko, żeby ci naiwniacy czuli się niepewnie. Sam nie wiedział, po co miałby zabijać Dorotę. Idealnie się złożyło, że zaangażowała się w sprawę jego pościgu.

Wyobraził sobie bieg. Znajdował się na stadionie lekkoatletycznym. Prowadził. Kilkaset metrów za sobą zostawił zasapanych policjantów, którzy nie radzili sobie z przeszkodami porozstawianymi przez niego w najmniej odpowiednich miejscach. Uśmiechnął się.

Jutro będzie piękny dzień.

Z pamiętnika filozofa

Ta pani. Czasem zastanawiam się, czy siada obok mnie z przymusu, czy po prostu mnie lubi. Może oszukuje się, że mi się naprawdę podoba, że ma jakieś szanse na znalezienie ciepłego miejsca w moim sercu. Obawiam się, że ją zawiodę. Gdybym faktycznie chciał ją mieć, wolałbym ją zdobyć, przynajmniej spróbować. Pokazałbym się z dobrej strony i nie podobałoby mi się, gdybym nie napotkał żadnego oporu. Przecież trzeba nauczyć się korzystać z własnych walorów, a takie sytuacje są świetnym testem.

Ten pan. Chyba się obraził. Chyba moje towarzystwo już mu nie odpowiada. Głupiec. Trzeba doceniać to, co się ma. Zwykle zdajemy sobie sprawę z pewnych rzeczy, kiedy jest za późno, a nie mamy czarodziejskiej różdżki albo wehikułu czasu, aby naprawić swój błąd. Jaka szkoda. Wielka szkoda.

Czasem zdarza się tak, że czegoś bardzo pragniemy. Usilnie dążymy do tego, wszelkimi możliwymi sposobami, nie zastanawiając się nad etycznością

własnego postępowania. Jesteśmy zdolni robić coś na przekór własnej woli i na przekór woli innych. Staramy się pokazać z jak najlepszej strony. Złościmy się, kiedy efekt jest całkowicie odwrotny. Przecież my tak tego pragniemy. Zastanawiamy się, co jest powodem naszej porażki, co doprowadza nas do paranoi. Potem wszystko tracimy. Zagłębiaamy się w smutku i cierpieniu. Ale przecież to nie nasza wina, że coś tak bardzo zauroczyło nasze oczy, że coś tak bardzo przykuło naszą uwagę. Przecież to normalne, że pewne rzeczy lub osoby wabią nas, nie pozwalają o sobie zapomnieć. Ale nie ma sensu się użalać nad naszą miernotą. Nie ma sensu.

Są osoby, które na stałe pozostają w naszej pamięci. Nie możemy się ich pozbyć. Może nie chcemy. Może to być mama, tata, żona, przyjaciel. Częściej kochanka, z którą liczyliśmy na coś więcej. Równie dobrze może to być przypadkowa osoba, z którą rozmowa, nawet krótka wymiana zdań, pozostawiła w twojej świadomości trwałe ślad. Ślad, którego nie da się tak po prostu wymazać.

Gdziekolwiek jestem, cokolwiek widzę, myślę tylko o jednym. Żyć mądrze, żyć tak, żeby umiejętnie wykorzystać lekcje z przeszłości. Żyć tak, żeby nie popełniać więcej tych samych błędów, bo coś takiego świadczyłoby tylko o mojej głupocie.

Cokolwiek zrobisz, cieszę się, że jesteśmy dzisiaj razem. Siedzimy obok siebie na ławce. Jeżeli cię krępuje, odsuń się, jest dość miejsca. Nie wiem, jak długo tutaj będziesz, czy jeszcze wrócisz... Czy będziesz chciał wrócić... Dziękuję ci. Składam pokłony pomimo artretyzmu, wręczam kwiatuszek kupiony za ostatni grosz, choć inne inwestycje byłyby lepszą decyzją, i mówię dobranoc, bo pora mnie do tego zmusza. Mówię dobranoc, bo musisz przygotować się na nowy dzień pełen wrażeń. Jesteś ciekaw, kto zginie? A może kto uniknie śmierci? Prawdę mówiąc, sam nie wiem. Życie to wieczna zagadka. Nasze pragnienie może się jutro odezwać. Znikąd. W momencie kiedy byś się tego zwyczajnie nie spodziewał. I może to jest piękne. Może właśnie to kochamy. Boimy się niespodzianek, bo nie możemy ich przewidzieć, ale z drugiej strony są takie ekscytujące. I może dlatego udaję się spać. Noc przyspieszy upływ czasu. A jutro może się tyle wydarzyć.

Każdy dzień niesie tyle nowych możliwości.

Część IV

PIĄTEK, 15 MARCA

Finał jest wynikiem przypadku perspektywy, początkiem nieuniknionego, końcem złudzeń.

Rozdział 39

DOROTA NADAL NIE ODZYSKAŁA ŚWIADOMOŚCI. W strzykawce znalezionej w jej domu znajdował się Alprazolam. Na encyklopedii, którą czytała jeszcze chwilę przed utratą przytomności, nie znaleziono żadnych odcisków palców oprócz jej samej. Franek zasnął obok jej łóżka. Teściowa wróciła do domu, aby przypilnować Mateusza.

Komendanta odnaleziono na oddziale psychiatrycznym. Gdyby nie jego głośnie chrapanie, możliwe, że Maria i Paweł szukaliby go o wiele dłużej. Kiedy został obudzony, wytłumaczył, że przyszedł dopytać Sylwię Słaboń o leki. Maria chciała jej poszukać, jednak ciemne korytarze oddziału psychiatrycznego stały się skutecznym demotywatorem.

Teraz siedziała obok Pawła. Patrzyła w jego nieskazitelnie niebieskie oczy. Widziała, że pragnie rozmowy. Nosił w sobie jakiś ciężar, którego chciał się pozbyć. Maria wiedziała, że rozmowa jest najlepszym sposobem na oczyszczenie się. Kiedyś miała przyjaciółkę. Mówiły sobie o wszystkim: pierwszy chłopak, pierwszy pocałunek, pierwszy seks. Potem poślubiła Marka. Zaczęły się obowiązki rodzicielskie. Przyjaciółka wyjechała, a kontakt wygasł. Też czasem miała ochotę na rozmowę, a Paweł był idealnym kandydatem na przyjaciela. Umiał słuchać, co było chyba najważniejsze.

Usiedli obok siebie naprzeciwko sali, w której leżała Dorota. Ich ramiona się stykały. Po tym, jak przytulili się do siebie na werandzie domu Doroty, wzajemnie uzgodnili, że do czegoś takiego nie doszło. Po prostu chwila słabości, która napada człowieka w najmniej odpowiednim momencie. Tak naprawdę nic się nie stało. Zganiła się w duchu, że zachowuje się jak mała dziewczynka przyłapana na czynie niechlubnym.

Nigdy nie byłaby w stanie zdradzić męża, a gdyby sama została zdradzona, nie wybaczyłaby Markowi do końca życia, bez względu na przyczyny takiego zdarzenia. Uścisk z Pawłem uważała raczej za dowód przyjaźni. Od początku połączyła ich jakaś nić porozumienia, bardzo dla niej ważna. Potrzebowała tego.

— Widzisz, nigdy nikomu o tym nie mówiłem. Uważałem, że to nie jest odpowiedni temat, może interesujący, ale nieodpowiedni — dolna warga Pawła delikatnie drżała. — Moja żona, Julia, ostatnie trzy lata życia spędziła w zakładzie

psychiatrycznym.

Kiedy Kozielska wchodziła na oddział psychiatryczny, zastanawiała się, co wywołuje lęk Pawła. Widocznie się zawahał, jakby się czegoś bał, jakby powróciły wspomnienia.

— Byliśmy szczęśliwym małżeństwem. Pewnego dnia wydarzyło się coś strasznego. Byliśmy na zakupach, a Julia, uchodząca za ostoję spokoju, rzuciła w ekspedientkę kupionym towarem. Żona wkurzyła się, bo nie zgadzał się rachunek. Wziąłem ją do psychologa. Nie mogłem uwierzyć, ale rozpoznano u niej wstępną fazę schizofrenii. Odradzono mi narażanie żony na jakikolwiek stres. Zdecydowanie powiedziano, że dzieci nie są w tym przypadku dobrym pomysłem. Do dziś nie mogę w to uwierzyć. Powiedziałem sobie, że wszystko będzie dobrze, zaopiekowałem się Julią. Spędzaliśmy razem każdą wolną chwilę. Nie było podstaw, aby sądzić, że cokolwiek jest nie w porządku. Potem nadeszła tragedia. Wróciłem do domu bardzo późno, bo był wtedy gorący okres w pracy. Julia czekała na mnie w sypialni. W dłoni trzymała nóż. Na łóżku leżała otwarta teczka z analizą psychiatry dotyczącą jej stanu umysłowego. Miała do mnie pretensje, że nic jej nie powiedziałem. Rzuciła się na mnie. Nie wiedziałem, co robić. Obezwładniłem ją. Nie chciałem wzywać odpowiednich służb, ale nie pozostawiała mi wyjścia...

Głos się mu załamał. Maria widziała w jego oczach, że obwinia się o wszystko. Chciała usłyszeć historię do końca, bo nie widziała w tej całej sytuacji żadnego jego błędu.

— Zabrali ją na obserwację. Nie pozwolili mi się z nią widzieć przez pierwszy miesiąc. Bardzo to przeżywałem. Brakowało mi jej. Ku mojemu przerażeniu lekarze uznali jednogłośnie, że Julia ma schizofrenię, a ze względu na bezpieczeństwo innych i samej siebie powinna zostać na oddziale psychiatrycznym. Wyglądało to podobnie jak tutaj. Oddział był połączony ze zwykłym szpitalem. Odwiedzałem ją tak często, jak to było możliwe. Brakowało mi jej słów i dotyku. Żona nigdy więcej się do mnie nie odezwała. Nigdy nie powiedziała ani jednego cholernego słowa! Nawet na mnie nie spojrzała. Ale ja wiedziałem, byłem pewny, że ona wie, że tam jestem, że mnie słyszy. — Maria uświadomiła sobie, że Paweł złapał ją za rękę. — Nigdy nie wybaczyłem sobie tego, że zadzwoniłem wtedy po karetkę. Przecież nic się nie działo. Nic by mi nie zrobiła. A tak bardzo się kochaliśmy. Po trzech latach popełniła samobójstwo. Nie udało się jej uratować. Często śni mi się jej lament — budzę się zalany potem. Zawsze, kiedy ją odwiedzałem, dosięgały mnie traumatyczne przeżycia. Wzrok

tych pacjentów śledził mnie nawet, gdy już byłem poza szpitalem. Wciąż o niej myślę, nie mogę przestać. Moje życie się zawaliło. Rozsypało się jak domek z kart, a przecież sam budowałem fundamenty, sam dokładałem cegłę do cegły.

Zaległa cisza. Maria nie wiedziała, co powiedzieć. To było takie szczere. Nie wiedziała, czym zasłużyła sobie na takie zaufanie. Czego Paweł od niej oczekiwał? Trudno jej było oceniać, czy to, co zrobił, było właściwe. Nie czuła się na siłach, aby kogokolwiek rozgrzeszać. Jeżeli liczył na pocieszenie, to nie miała pojęcia, jakich słów użyć. Siedzieli w ciszy.

— Nadal ją kochasz? — zapytała po chwili.

— Nic się nie zmieniło. Wciąż o niej myślę, wciąż z nią rozmawiam. Ale odpowiada głucha cisza, ta sama co na oddziale psychiatrycznym. Tylko jej błąd wzrok wpatrzony w niewidzialny punkt. Żałuję, że nie potrafię go dostrzec.

Maria dobrze go rozumiała. Czasem się zastanawiała, czy ten hołd złożony swojemu tacie, jakim było pójście do akademii policyjnej, był słusznym posunięciem. Czy tego naprawdę chciał jej ojciec? Czy właśnie tego chciała ona? Zdecydowała chwila. Odłożyła na bok fascynacje biologiczne, uparcie podejmowała coraz to nowe wyzwania z myślą, że robi to dla niego. Ale ta sprawa pozwoliła jej zrozumieć jedno — że nigdy nie będzie taka jak on.

Nigdy.

Dolek moralny. Patrząc na zmęczoną twarz Pawła nie myślała jednak o własnych rozterkach. Lepiej było zająć się problemami innych, odłożyć na bok własne sprawy, a czas sprawi, że spojrzy na to z zupełnie innej strony.

— Chodź! — wstała. Wyciągnęła w stronę Pawła rękę. — Zabieram cię stąd! Zostawmy ich samych — wskazała na Dorotę i Franka. — Trzeba zapomnieć, a znam na to tylko jeden sposób.

NIGDY WCZEŚNIEJ TEGO NIE ROBIŁA. Lubiała szaleństwo i adrenalinę. Niesamowicie ceniła spontaniczne zachowanie, ale rzadko było na nie stać ją samą. Była pełnia, a jasny księżyc powoli przebijał się przez warstwę chmur. To był dobry omen, zwiastujący lepszą pogodę.

Kamila chciała zasnąć, ale nie mogła. Zbyt wiele myśli, zdecydowanie zbyt wiele. Nie lubiła beczynn timer leżeć. Wtedy wciąż obracała się z boku na bok, a

pozycje zwykle wygodne stawały się niemożliwe do wytrzymania. Nie chciała na to dzisiaj pozwolić, tym bardziej że wciąż myślała o Michale.

Ubrała się więc i pojechała do swojego ukochanego miejsca. Właśnie skończyła siodłać wierzchowca. Pogłaskała go po ciemnym grzbiecie. Krótka przycięta grzywa lśniła w delikatnej poświacie księżyca. Był to przywilej właściciela. Nie zważając na pogodę i godzinę, mogła przyjechać do stadniny — robić, co tylko się jej podoba. Ochroniarz wyglądał na zdziwionego, kiedy ujrzał swoją pracodawczynię o pierwszej w nocy, jednak nie powiedział ani słowa.

Wskoczyła na konia. Słuchał się jej, robiąc tylko to, o co został poproszony. Kamila popuściła lejce, delikatnie docisnęła strzemiona. Powolny stęp przeszedł w kłus. Wiatr opadł niczym wodny strumień na jej twarz. Przyśpieszyła. Pędziła przed siebie. Nigdy nie jeździła konno w nocy. Uważała to przede wszystkim za niebezpieczne, więc zakazywała tego wszystkim. Konie miały dobry wzrok, ale noc to zupełnie inne warunki. Z lasu mogły wybiec dzikie zwierzęta, co mogło doprowadzić konia do gniewu, a takiego wierzchowca, na którym siedziała, trudno było okiełznać w stanie furii.

Ale teraz liczyła się tylko chwila. Wiatr rozwiewał jej długie włosy. Czowała, że leci w przestworzach niczym jastrzęb. Wjechała w głąb lasu. Zwolniła. Konie w jej stadninie były przyzwyczajone do jazdy leśnymi ścieżkami. Nie wiedziała, gdzie jest. Koń potykał się o gałęzie wystające z ziemi. Wdrapywali się na górę pod dużym kątem. Kamila z całej siły trzymała się siodła, żeby nie spaść do tyłu. Miała nadzieję, że koń się nie przewróci, bo mógłby ją przygnieść, zmiążdżyć. A nikt by jej tutaj nie znalazł. Powoli zaczynała żałować, że zawędrowała aż tutaj. Skąd w ogóle taki pomysł?! Ale ona wiedziała, co jest powodem. Miłość. To uczucie powodowało, że robimy rzeczy, o których byśmy nie pomyśleli kiedy indziej. Miłość była jak narkotyk, który zakłada nam na nos różowe okulary. Pytanie, w czym Kamila tak się zakochała. Odrzuciła miłość Nowaka i Rybaka, podobnie jak kilkunastu innych aspirantów do posiadania jej serca. Lubowała się w swojej samotności, choć nie stroniła od bliskości mężczyzn albo niezobowiązującego seksu, który dla innych znaczył coś więcej.

Wjechała na szczyt góry. Wokół rozciągała się szeroka panorama. W blasku księżyca dostrzegła kontury szczytów gór. Zsiadła z konia i usiadła na kamieniu. Patrzyła w mrok. W położonej na zboczu tego wzgórza wiosce świeciły się tylko uliczne latarnie.

Jaki człowiek był mały. Chcemy być kimś ważnym, dążymy do tego, ale

nasze działania nic nie zmieniają. Natura i tak z nami zawsze wygra, a my, budując nowe biurowce, zagospodarowując wolną przestrzeń, jedynie zamykamy się w industrialnym świecie, by zdać sobie sprawę z jego śmiertelności dopiero na łożu śmierci, kiedy brakuje nam już siły i chęci, aby zmieniać cokolwiek.

Koń się poruszył. Szarpnął tak, że wyrwał lejce, które Kamila trzymała w ręku. Pobiegł w stronę lasu. Z dala dobiegło pohukiwanie sowy.

Poruszyła się gałąź. Kamila spojrzała w tamtym kierunku. Wlepiły się w nią błyszczące ślepie. Zastanawiała się, czy ten dziki zwierz znajdzie w sobie tyle odwagi, aby ją zaatakować. Wyciągnęła nóż. Czy się bała? Słowo „strach” zdecydowanie nie odzwierciedlało uczuć, które towarzyszyły jej w tym momencie.

Rozdział 40

NAJGORSZY BYŁ POCZĄTEK. ARTYKUŁ musiał zaciekawiać, intrygować, ale nie odstraszać. Wstęp miał być zwięzły i jedynie wprowadzać w temat, a nie streszczać go. Potem nadchodziła część główna. Zwykle unikało się ocen, aby pozwolić czytelnikowi na wysnucie własnych opinii. Odbiorca nie lubił, gdy coś mu się narzucało.

Marek Kozielski napisał w swoim życiu wiele artykułów. Większość z nich nie była nawet dostrzeżona. Starał się być perfekcjonistą, co doprowadzało ludzi z nim pracujących do obłędu. Jakieś słowo nie pasowało — zmienić. Literówka — ale przecież to było niedopuszczalne. Robił wszystko jak najlepiej, tak aby się nie wstydzić i samemu mieć chęć zagładnięcia do własnego dzieła.

Słabo spał ostatniej nocy. Maria wróciła dopiero około trzeciej. Teraz leżała jeszcze w łóżku, choć Marek miał świadomość, że zaraz się zerwie, przygotuje Jasiowi śniadanie i pobiegnie do komendy. Wciąż ciążyło na nim poczucie winy. Kiedy sprawa morderstwa się skończy, będzie musiał do końca wyjaśnić sytuację w swojej redakcji. Nie martwił się o Marię. Komendant obiecał, że jeszcze w tym tygodniu zostaną jej przywrócone prawa policjanta.

Zatem od czego zacząć? Zwykle pisał tekst, a dopiero później wymyślał nagłówek. Przez noc zastanawiał się, czy nie spróbować publikacji na łamach bardziej popularnego dziennika, jednak sprawa dotyczyła ściśle Podkarpacia, więc interesowała głównie jego mieszkańców. Co prawda sytuacja jeszcze nie została do końca wyjaśniona. W południe miał dostać oczekiwane pozwolenie, a jutro artykuł mógł zostać opublikowany. Informacje dostarczone mu przez ABW wciąż go

zaskakiwały.

„Drogi czytelniku, czy jesteś ciekaw, jak przez kilka lat byłeś wyzyskiwany, oszukiwany i okłamywany?”. Skreślił to, co napisał. Unikał ostrego języka. Starał się nie oskarżać, a raczej podawać fakty, które mogły pozwolić na ocenę czytelnikom.

Dzisiaj był wielki dzień. Zastanawiał się nad tym dziwnym pobiciem. Mógł to być każdy. ABW zaprzeczyło, komendant winił sam siebie, bo nie zjawił się w umówionym miejscu. Marek nadal miał jakąś lukę w pamięci. Cieszył się, że to właśnie jego Głowala wybrał jako odpowiedniego człowieka. Wysyłał mu anonimowe listy. Informował o całej sprawie. Ciekaw był, czy pobicie w lesie wiązało się ze sprawą korupcji w CBA, czy może raczej tą miejscową. Lepiej pasowała mu ta pierwsza opcja, bo wtedy zajmował się tylko nią, nie mając jeszcze pojęcia o innych kwestiach.

Zastanawiał go znaleziony w lesie fragment materiału. Maria stwierdziła, że odzież uszytą z takiego materiału noszą policjanci. Komendant zapewnił jednak, że wszyscy jego podopieczni byli zaangażowani w sprawę morderstwa. Był to niewyjaśniony wątek, a Marek nie był pewien, czy chce znać całą prawdę.

Rozmowa z teściową bardzo mu pomogła. Zawsze ją cenił. Gdy przeprowadził się tutaj i znalazł w zupełnie obcym miejscu, starała się zadbać o to, żeby czuł się jak w domu. Nie był do tego przyzwyczajony, żeby o takich problemach rozmawiać właśnie z rodzicami.

Przed napisaniem artykułu nigdy nie planował dokładnie, co się w nim znajdzie, jaki będzie koniec. Tym razem wiedział, jakie informacje chce pominąć, a jakie podkreślić. Nie potrafił powiedzieć, czy jest to słuszne. Postępował zgodnie z własną etyką, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Rozmowa z agentami ABW uświadomiła mu jedno. Człowiek znajdował się w gęstej sieci powiązań. Wszystko się ze wszystkim wiązało, a usunięcie jednego elementu mogło zachwiać całą konstrukcją, wręcz zburzyć organizm. Osoby, które chciały zmienić porządek, były, są i będą likwidowane, czy się to komuś podoba, czy nie. Można walczyć, grać rolę bohatera tragicznego, choć pozostanie się nim, nawet nic nie robiąc. Marek czuł się właśnie takim bohaterem. Mógł wytoczyć przeciwko CBA najcięższą artylerię, ale nie dałoby to nic — zginąłby zbombardowany przez wojska wroga. Mógł też nic nie robić, jednak byłoby to wbrew jego etyce, nie zaznałby spokoju do końca życia. Miał plan, potrzebował jedynie czasu. Był to mizerny zamysł oparty na wielu chwiejnych fundamentach. Ale to była jedyna

możliwość.

Tylko jedna szansa.

OTWARŁA OCZY. WSZYSTKO KRĘCIŁO SIĘ DOOKOŁA. A miała taki piękny sen. Chciała spać dalej. Było tu jasno. Bardzo jasno. Nie wiedziała, co się stało. Jakieś dźwięki, telefon, drzwi, *Commiphora abyssynica*, morderstwo. Wszystko było nijakie.

Gdzie w ogóle się znajdowała? Szpital. Była tutaj przedwczoraj. Jak się nazywała? Ach tak. Pani Halina. Jakieś leki. Miała coś sprawdzić. Co ona w ogóle tutaj robi? Przecież już czas wracać do komendy. Powinna tropić mordercę. Była im potrzebna.

Commiphora abyssynica.

Czuła się jak po jakimś dobrym ziole. Nic ją nie obchodziło. Była tylko ona oraz cudowna utopia wokół niej. Cudownie. Zobaczyła jakiś ruch. Pielęgniarka. A więc jednak była w szpitalu. Po cholere nadal tutaj leżała. Skoro było tak jasno, musiało być naprawdę późno. Dość leniuchowania. Dość.

Pielęgniarka podeszła do niej. Poprawiła poduszkę. Uśmiechnęła się. Dorota była pewna, że już ją gdzieś widziała. Ale przecież była w tym szpitalu. Wiele osób mówiło jej dzień dobry. Chciała wstać, ale uświadomiła sobie, że nie ma siły. Powieki były takie ciężkie. Takie ciężkie. A ona była zbyt słaba, żeby je podnieść. Jeszcze chwila. Pięć minut, a na pewno wstanie.

Jakiś hałas. Pielęgniarka coś przewróciła. Dorota nigdy nie leżała w szpitalu. Nigdy nie była chora. Okaz zdrowia.

Poczuła ukłucie. To ta pielęgniarka zrobiła jej zastrzyk. Uśmiechnęła się radośnie. Przecież Dorota ją dobrze знаła. Ale nie, to nie mogła być prawda. Przecież mordercą był mężczyzna! Ale dlaczego? Ten wniosek był niedorzeczny. Mordercą mógł być każdy.

Każdy.

Pielęgniarka pomachała jej. Radosny uśmiech stał się drwiącą kpinią. Dorota starała się szamotać, ale odpowiedział jej sprzeciw mięśni.

Powróciła do błęgiego snu, który miał się już nigdy nie skończyć.

Rozdział 41

ŚWIETNIE SIĘ BAWIŁ. ZAPOMNIAŁ, że jest tyle możliwości relaksu. Maria wzięła go w nocy na plac zabaw. Taki zwykły, dla dzieci. Huśtawki, koniki, zjeżdżalnia, obowiązkowo piaskownica. Bawili się jak małe dzieci, całkowicie zapominając o rzeczywistości.

Weszli na zamknięty plac zabaw w środku nocy, choć regulamin mówi jednoznacznie, że na teren ten można wchodzić wyłącznie wtedy, kiedy plac zabaw jest otwarty.

Ale to nie było ważne. Paweł w swoim życiu niewiele miał okazji do spontanicznych zachowań. Takie wydarzenie jak ostatniej nocy nadało kolorów jego życiu, zapomniał na chwilę o Julii, o morderstwach i pracy. Przez chwilę był zwykłym człowiekiem, który nie dźwiga ciężkiego brzemienia rzeczywistości.

Od rana świeciło słońce. Wreszcie. Właśnie zmierzał do kościoła, gdzie za kilka minut miał się odbyć pogrzeb Teresy Wójcik. Kiedy żegnał swoją żonę, na mszy zjawili się tylko teściowie i jeden znajomy. Choroba psychiczna odstraszała. Nikt nie chciał znać się z kimś takim, bo obawiał się, że narazi się na jakieś niebezpieczeństwo. Od kiedy Julia została zamknięta na oddziale psychiatrycznym, wszyscy przyjaciele stali się obcy. Również do Pawła odnoszono się z rezerwą. Jeżeli wyrażenie, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie, było prawdziwe, wniosek był prosty: on i Julia nigdy nie mieli żadnych przyjaciół.

Coś mu nie pasowało. Chciał porozmawiać z Frankiem, mężem Doroty, aby dowiedzieć się więcej o przeszłości jego żony. Teresa Wójcik oraz Weronika Stępień były osobami, których życiorysy były owiane tajemnicą. Teresa była molestowana w pracy, przegrała sprawę wytoczoną prezesowi. Ukryła się tutaj przed przeszłością. Weronika Stępień chciała się pozbyć wspomnień dotyczących zabitych na wojnie dzieci. Ukrywała się, mając świadomość potępienia przez społeczeństwo za to, że brała udział w takim okrucieństwie.

Dorota Maj była cudownym dzieckiem, wybitnym naukowcem i wynalazcą. Miała wszystko, co było jej do szczęścia potrzebne. Wspaniałego męża, dziecko i... teściową. Mieszkała w pięknym domu, była poważana w światku naukowców, cieszyła się dużą sympatią. W porównaniu z Teresą i Weroniką... były to dwa bieguny.

Zabicie jej jednak pasowało do stworzonego przez Pawła profilu poszukiwanego. Nie miał złudzeń: morderca był typem człowieka, który zrobi wszystko, aby pokonać policję. Będzie się z nią bawić, będzie ją wyśmiewać. Morderstwo Doroty Maj dotknęłoby serca policji, ukazałoby brak horyzontów umysłowych funkcjonariuszy. Pytanie, jaki będzie jego kolejny krok. Czy takowy w ogóle będzie?

Paweł Kownacki dostał informację o poprawie stanu zdrowia Doroty. Lekarze nie potrafili wyjaśnić, dlaczego jeszcze nie odzyskała świadomości, ponieważ parametry wskazywały, że wszystko jest w najlepszym porządku. Był bardzo ciekaw, co Dorota może im powiedzieć. Może widziała zabójcę, może poda jakieś dokładniejsze cechy wyglądu, a może go rozpoznała. Głównym podejrzanym wciąż był Władysław Okulicki. Nie miał żadnego alibi na wczorajszy wieczór. Komendant zadzwonił się do niego dopiero późną nocą. Jeżeli można zaufać relacji Głowali, bo mówił dość niezrozumiale i zawile, Okulicki był na wieczornych łowach.

Mecenas wciąż był niedostępny. Mieli za mało dowodów, aby cokolwiek mu zarzucić. Gdyby Dorota się obudziła, a byłaby w stanie wskazać, że to właśnie Okulicki był w jej domu ze strzykawką w ręku, adwokat nie miałby żadnej linii obrony. Bo w tej chwili, nawet jeśli by znaleźli zabójcę, trudno było mówić o postawieniu cięższych zarzutów. Wszystko było dobrze przemyślane. Nie mieli dowodu na to, że to zabójca robił zastrzyk oraz włamywał się do domu którejkolwiek ze swoich ofiar. Przecież on nie robił nic złego. Jedyna szansa istniała w odkryciu prawdy o wstrzyknięciu psylobicyny funkcjonariuszowi policji. Choć ten środek nie powodował śmierci, podziałął właśnie w tę stronę — gdyby nie to, że Robert dostał ataku, Maria mogłaby zginąć. W tym przypadku można było postawić zarzut ataku na funkcjonariusza policji. Jednak Paweł, podobnie jak cały posterunek, dążył do tego, aby morderca odpowiedział za swoje najgorsze przestępstwa.

Kownacki nie lubił pogrzebów. Uczestniczył w niewielu, ale zdążył wyrobić sobie opinię. Pożegnać przychodzą często ludzie, którzy nie odzywali się do nas przez kilka dekad. Wspominają zmarłego, chwalą jego wielkie czyny oraz szczere serce, pomimo że wcześniej było ich stać jedynie na szydzenie. Okrywają się peleryną żałoby, choć wcześniej nie potrafili uszanować nawet jednego słowa.

Z drugiej strony bez względu na to, kto odchodził, Paweł wspominał dobrze każdy pogrzeb. Może to straszne, ale był to swoisty warsztat. Miał przed sobą tłum

ludzi w czerni. Jedni płakali, drudzy patrzyli pustym wzrokiem na wyblakłe ściany kościoła. Część miała spuszczone głowy, co miało wyrażać ich głęboki smutek i boleść.

Każdy w inny sposób ukazywał swoje emocje. Pogrzeb był miejscem ścierania się dwóch postaw. Są ci, którzy przychodzą, bo kochali zmarłą osobę, faktycznie ubolewają nad śmiercią i żałują, że nadeszła tak szybko. Są również ci, którzy przychodzą, bo wypada. Przecież to była rodzina, przecież to był znajomy. Co ludzie powiedzą, kiedy nie zjawię się na mszy?

Paweł siedział teraz w ostatnim rzędzie ławek. Był ateistą, ale musiał być tutaj, uważał to za swój obowiązek. To był dla niego rodzaj widowiska. Julia była blisko związana z Kościołem. Po namowach Pawła zgodziła się na ślub w urzędzie, co było wielkim ciosem dla jej rodziców. Pogrzeb odbył się jednak zgodnie z tradycyjnym obrządkiem. Inne pogrzeby, w których uczestniczył, związane były ze śmiercią znajomego czy członka rodziny. Wtedy należał do grupy osób, które były na pogrzebie, „bo wypadło”.

Zobaczył, że ksiądz Jan wychodzi na ambonę. Wszyscy wstali. Paweł nie znał prywatnie Teresy, nie była jego rodziną, nie była jego znajomą. Wyłącznie obserwował. Przybyło wiele osób. Prawie cały kościół był wypełniony. Wiele nieznanymi twarzą. Domyślił się, że to delegacja z jej pracy. Może przyjechał ktoś ze starych znajomych z Warszawy. W pierwszym rzędzie siedzieli rodzice Teresy. Obok nich Paweł zobaczył zasmuconą twarz Domagały. Miał na czole niewielki plaster i zabandażowaną lewą rękę. W kolejnych rzędach siedzieli ludzie, którzy według Pawła jednoznacznie pasowali do dalszej rodziny Teresy. Głowy mieli spuszczone. Starsze panie ocierały łzy. Po drugiej stronie można było dostrzec tych, którzy czuli skruchę i... poczucie winy. Stali tam policjanci. Potężna postura komendanta wręcz zasłaniała filigranową Marię. Dalej siedzieli Czynicki i Tadek Renes. Ostatni był Franciszek Aleszkiewicz. Komendant trzymał w dłoniach duży wieniec kwiatów.

Był i on. Mecenas Władysław Okulicki. W ciemnym opiętym w ramionach garniturze, z trochę za krótkimi rękawami. Przybrał pozę smutku, dobrze znaną Pawłowi z przesłuchań.

Bywało, że morderca został schwytany właśnie na pogrzebie. Przychodził zobaczyć, jak jego ofiara znika pod trzymetrową warstwą ziemi, a policjanci, znając jego rysopis, aresztowali go. Paweł rozglądał się badawczo po kościele. Zabójcą mógł być każdy. Ta młoda pani, która powoli ocierała łzę chusteczką

higieniczną, uważnie, żeby nie zmyć makijażu, bo na stypie rodzina będzie ją widzieć, a potem obgadywać. To dziecko, które zapatrzona w księdza rzeczywiście odliczało sekundy do zakończenia tego nudnego ceremoniału. Ten dziadek, który właśnie siłował się z własną kieszenią, aby wyciągnąć portfel i wyjąć jakiś grosz na ofiarę. Zabójcą mógł być każdy, trzeba było zachować absolutną koncentrację, dostrzegać wszelkie niepokojące oznaki.

Tomasz Domagała zerknął na zegarek. Czyżby mu się gdzieś śpieszyło? Nie płakał. Zwykle tłumaczono takie zachowanie tym, że ból jest zbyt wielki. Ale czy rzeczywiście tak było w jego przypadku? Przemyślenia Pawła przerwał dobitny głos księdza Jana.

— Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz — duchowny wyszedł na mównicę. Nadszedł czas kazania. — Żegnamy dzisiaj Teresę Wójcik. Choć stąd nie pochodziła, już na zawsze pozostanie w swoim sanktuarium zbawienia, jej dusza będzie wśród nas...

A więc jednak ksiądz Jan się pomylił. Jego wiedza o Egipcie imponowała Kownackiemu, jednak hipoteza o mordercy jako człowieku, który przechodzi próbę, aby wejść do boskiego panteonu, okazała się błędna. Oczywiście jego rozpoznanie znaku CIS okazało się bardzo przydatne, zaoszczędziło policji wiele pracy. Z drugiej strony wszyscy za bardzo przywiązali się do jego przypuszczeń, nie dopuszczając do siebie żadnej innej możliwości, co było dużym błędem.

— Niech jej dusza spoczywa w pokoju — zakończył po kilku minutach ksiądz.

W stronę cmentarza ruszyła procesja. Paweł postanowił odstąpić od tego rytuału. Przez chwilę z daleka obserwował, jak ksiądz błogosławi trumnę. Kownacki jednak nie mógł doczekać się spotkania z Frankiem. Może się mylił, nie był do końca pewny, czy chce poznać prawdę. Obawiał się, że Dorota również kryje tajemnicę. Jak każdy. I on przez tyle lat chował prawdę o Julii i dopiero rozmowa z Marią uwolniła go od tego brzemienia. Paweł był pewny, że morderca dobrze zdawał sobie sprawę z tajemnic Teresy Wójcik i Weroniki Stępień. Nie były to przypadkowe ofiary, jak też nieprzypadkowy był wybór Doroty Maj.

Przywitał się z Frankiem. Zdawał sobie sprawę, że mąż może nie wiedzieć o wszystkim. Albo nie będzie mu chciał wyjawić prawdy.

Paweł przedstawił mu własną teorię i zapytał wprost, bez ozdobników.

— Jaka jest tajemnica Doroty?

Franek spojrzał mu prosto w oczy. Nie miał przecież żadnego powodu, aby mówić Kownackiemu cokolwiek. Nawet się nie znali.

— Obawiam się, że pański trop jest błędny, panie Kownacki — odpowiedział po chwili.

Paweł był zły na siebie. Może to źle rozegrał, może był zbyt nachalny. Nie zdobył zaufania Franka. Ale miał jednoznaczną odpowiedź. Mąż Doroty kłamał. Ona miała swoją wielką tajemnicą i nie była przypadkową ofiarą. Teraz tylko należało odkryć prawdę.

SIEDZIAŁ I SIĘ GAPIŁ. PROSTO W TE OCZY. Zastanawiał się, jaka moc w nich drzemie, że są w stanie wprowadzić go w taki trans, aby dać mu siłę do kolejnego zadania. Wiecznie musiał coś robić, wiecznie musiał mieć nowe wyzwania. Właśnie to było piękne. Dopóki miał wyznaczony cel, jego życie miało sens. Obmył ręce. Włożył głowę pod kran. Jego głowa bardzo cierpiała. Patelnia tej starej baby wylądowała na czubku jego głowy. Adrenalina zrobiła swoje, nie czuł początkowo żadnego bólu. Ale teraz! Nie pomagały leki przeciwbólowe. A przecież musiał mieć siłę na wieczór. To był gwóźdź programu.

Final z fajerwerkami.

Przypomniały mu się czasy studiów. Żałował, że nie udało mu się ich kontynuować, ale dobrze wiedział, że nie było w tym jego winy. On był geniuszem. Zasłużył sobie na lepsze trofea. Ale mimo wszystko miło wspominał ten okres. Wszyscy go lubili. No prawie. Nie lubili go ci, których on właśnie widział jako swoich przyjaciół. Ale to było nieważne. Teraz nie miał czego żałować.

Właśnie na studiach po raz pierwszy odczuwał taki ból jak teraz. Powodem nie był nadmiar alkoholu, ale miłość. To właśnie to uczucie powodowało u niego zawrót głowy. Wewnętrzny ból, jakby dosięgło go kilka tysięcy żelaznych patelni rozżarzonych do czerwoności. Wiele o tym czytał. Opinie specjalistów mówiły, że nieszczęśliwa miłość działa zwykle jak wiadro zimnej wody. Orzeźwia i przywraca przytomność. Człowiek staje się świadomy, potem nie popełnia podobnych błędów. Jego przypadek był jednak inny. Porażka była jak pętające nogi ciężkie kajdany, które nie pozwalały mu wydostać się z tego ciasnego kręgu.

Spojrzał przez okno. Uderzyła w niego fala wczesnego wiosennego słońca. Uśmiechnął się sam do siebie. To będzie naprawdę piękny dzień. Poszedł prosto do łóżka, z nadzieją, że sen uśmierzy zmęczenie i nasilający się ból. Zasypiał jednak, nie myśląc o patelni, ale o Dorocie, czyli problemie... którego już nie było.

Z pamiętnika filozofa

Ta pani. Jej nie ma i już nie będzie. Obraziła się. Człowiek jest tworem niezrozumiałym. Zwykle trudno nam zawrzeć wartościową znajomość. Wynika to z cech naszego charakteru mówiących o tym, że nie można powierzać swojej sympatii pierwszej napotkanej osobie. Szybko jednak jesteśmy w stanie odrzucić drugą osobę. Obrażamy się o byle co, odwracamy plecami. Żałujemy dopiero wtedy, kiedy jest już za późno.

Ten pan. Mam nadzieję, że jeszcze wróci. Przecież tak bardzo lubimy przebywać wśród ludzi, którzy nas rozumieją, którzy mają podobne poglądy i zainteresowania. Czujemy się jak w jednej wielkiej rodzinie, w której możemy dostać właśnie to, czego tak potrzebujemy — zrozumienie.

Zapewne uważasz, że jestem materiałem na samobójcę. Wciąż mówię niezrozumiałe rzeczy, które zmierzają jedynie w stronę autodestrukcji. Przedstawiam obraz pesymistyczny, w którym ludzie są jedynie bezmózgimi organizmami zagubionymi we własnej naturze. Uwierz mi, nie mam aż tak niskiego mniemania ani o tobie, ani o świecie. „Śmierć” również nie musi być zjawiskiem negatywnym. Można ją ukazać jako kolejny punkt docelowy. Kolejny, ale nie ostatni. To, jak postrzegamy pewne sprawy, zależy tylko od nas. Pesymiści nazywają siebie realistami, sądząc, że to świat, który znajduje się wokół nich, ma największy wpływ na ich postrzeganie życia. Wydaje mi się, że sprawa siedzi w ich głowach.

Zatem pozwól mi wyjaśnić. Ja nie jestem ani pesymistą, ani realistą. Daleko mi do optymisty. Jestem po prostu człowiekiem, masą, która powstała w wyniku wielu czynników i z tych czynników jest zbudowana. Pewne sprawy mogą być ukazane w kolorach tęczy, inne natomiast odstraszą nas na samym wstępie swoją szarością. Tak już jest i na pewno tego nie zmienimy.

Wybór. Człowiek podejmuje codziennie tysiące decyzji, które potem są weryfikowane przez czas. Nawet mały krok może okazać się ważny. Wybór koszuli, a nawet zwykłych majtek nie tylko kształtuje opinię innych ludzi, ale może nam

zapewnić pewność siebie, co sprawi, że będziemy bardziej pozytywni oraz przekonywający.

Inny przykład — śniadanie. Nie będę nalegał, abys jadł codziennie owsiankę i popijał ją sokiem pomidorowym. Ale jeżeli możesz wybrać, zjeść ugotowane jajko na twardo czy sieczkę białka i żółtka w postaci spopularyzowanej jajecznicy, usmażonej na patelni, należałoby sobie zadać pytanie, co jest lepszą decyzją. Zapewne wybierzesz to drugie, bo przecież jest smaczniejsze. Ale więcej wartości odżywczych ma to pierwsze. Mówiąc o zdrowiu, chyba nie trzeba się długo zastanawiać. Ale my na to nie patrzymy. Ile można się przejmować takimi błahostkami? Robimy to, co wolimy, i słusznie, ale nie dostrzegamy innych możliwości, które dadzą nam to samo, a z lepszym efektem.

Trzeba to jakoś zakończyć. Nie mam pojęcia, w jaki sposób, aby nie urazić przypadkiem twoich delikatnych uczuć. Może powiem „dobranoc”? Nie, jeszcze noc młoda. Jeszcze nie załatwiłeś wszystkiego. Najpierw musisz się umyć, założyć pidżamę lub zdjąć ubrania. Jak kto woli. Nie będę cię powstrzymywał. Postaram się nie podglądać, ale nie obiecuję. Przecież też mam swoje potrzeby.

Teraz idź. Jeżeli oczekiwałeś w tym miejscu jakiegoś punktu kulminacyjnego, zawiodę cię. Nie może być tak pięknie. Koniec zbliża się już wielkimi krokami, prawda zostanie w końcu wyjaśniona. Chyba że wszyscy zginą i nie będzie miał jej kto wyjaśnić.

Rozdział 42

POŁOŻYŁ WIENIEC. CZUŁ, JAK JEGO GŁOWA woła „nie!”. Kefir nie pomógł. Zresztą zdziwiłby się, gdyby faktycznie przyniósł jakąś ulgę. Zbyt długo nie pił, a wczoraj zwyczajnie przesadził. Uśmiechnął się, widząc lęk Aleszkiewicza, który patrzył, jak komendant chwiejnym krokiem wchodzi na pogrzeb.

Wszyscy byli tacy głośni. Rozumiał potrzebę wynalazku, ale nie po to stworzono mikrofon, żeby jeszcze do niego wrzeszczeć. Największą męką było kazanie księdza Jana. Czemu aż tyle słów? Czemu tak długo?

I głośno...

Nie pamiętał do końca, co się stało ostatniej nocy. Poszedł na oddział psychiatryczny, tam spotkał się z Sylwią Słaboń. Nie wiedział, czy się czegoś w

ogóle dowiedział. Teraz ten obraz majaczył jedynie w jego świadomości. Był pewien, że coś się tam wydarzyło. Zadawał jakieś pytania, ale nie otrzymał odpowiedzi. Będzie musiał tam dzisiaj wrócić. Choć nie był pewien, czy trzeźwy będzie miał wystarczająco dużo odwagi, żeby tam wejść.

Potem znalazła go Maria Kozielska. Była chyba z Pawłem Kownackim. Czuł, jakby wszystko było złudzeniem. Tak długo czekał na możliwość pokazania własnych umiejętności, a teraz, kiedy miał ku temu okazję, zalewał smutki i niepowodzenia alkoholem. Złapał się za głowę. Wiedział, że jeżeli dojdzie do kolejnego zabójstwa, straci tę pracę na zawsze. Komenda Główna Policji w Warszawie nalegała na przekazanie sprawy, ale sytuacja wtedy wyglądałaby tak samo, nic by to nie zmieniło.

Jego kariera wkrótce miała się zakończyć. Postępował źle, ale uświadomił sobie to za późno. Zdecydowanie za późno. Sumienie nie pozwalało mu jednak zostawić tej sprawy. Dlatego wysłał anonimy do Marka, który w jego mniemaniu był odpowiednim człowiekiem na odpowiednim miejscu. Szczery, rzetelny i szukający prawdy. Jego żona była przecież w jego policyjnej brygadzie. Tylko do niego mógł się zwrócić. Nie wiedział jednak, że w całą sprawę zaangażowało się ABW, że wykryło jeszcze inne nieprawości. Nikt nie miał pojęcia, że to właśnie Głowała był winny zaniedbań, jednak skąpe informacje wystarczyły Markowi, aby domyślił się prawdy. W końcu kto jak nie on. Jak zwykle miał rację.

Komendant dobrze wiedział, jak działają takie służby jak ABW. Wszystkim im zależało na tym, aby pewne informacje nie wydostały się „na zewnątrz”. Nie mogli pozwolić, aby nieprawości w CBA ujrzały światło dzienne, bo przecież za to im płacili. Przekupili Marka, co nie było w żadnym wypadku jego winą. Pytanie teraz, jak prawda zostanie przez niego ukazana.

W każdym razie jego policyjna kariera znajdowała się na ostatniej prostej, a on zbliżał się do mety, co nie było do końca zgodne z jego chęciami.

Po pogrzebie pojechał prosto do szpitala, aby zobaczyć, czy wszystko w porządku z Dorotą. Odwiedzenie Sylwii Słaboń odwlekał w czasie.

Kroczył pewnym krokiem szpitalnym korytarzem. Mijali go głównie ludzie starsi. Uświadomił sobie, że jest dokładnie taki jak oni. Jego chorobę wywoływał morderca, który skutecznie pokazywał mu jego brak sił oraz odpowiedniej elokwencji. On przecież też był stary. Poruszał się pochylony, prosząc o łaskę. Bo nic innego mu nie pozostało.

Zapewne był czas obchodu ordynatora, bo nie było osoby, która by pozostawała bezczynna. Pielęgniarki goniły od sali do sali, uzupełniając kroplówki, podając leki, pomagając schorowanym pacjentom. Jak w niebie. Tyle że to był tylko szpital.

Poszedł do łazienki. Usłyszał szum. Woda zaczęła lać się z kranu usadowionego kilka metrów od jego kabiny. Nie widział, kto tam jest. Pewnie jakiś pacjent, lekarz, pielęgniarz. A może osoba, na którą właśnie tutaj czekał? Uchylił drzwi, aby spojrzeć prosto w oczy gościowi.

Zatopili się w rozmowie, na ich twarzach pojawiły się purpurowe wypieki.

— DZIĘKUJĘ PANU! — KAMILA TREWOR popijała kawę, co jakiś czas zerkając na swojego wybawcę.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Nocne wycieczki do lasu są naprawdę niebezpieczne, mogło się wydarzyć prawdziwe nieszczęście.

Kiedy jej koń się spłoszył i została sama, uratował ją właśnie on, Władysław Okulicki. Jak tłumaczył, był na nocnych łowach. Zobaczył, że Kamila jest w niebezpieczeństwie. Zastrzelił wilka w ostatniej chwili, ratując ją przed atakiem.

Ponieważ było późno w nocy, a Kamila była w szoku, zaproponowała mecenasowi poranną kawę u siebie w domu. Okulicki właśnie przyszedł. Miał na sobie czarny garnitur. Wyglądał bardzo elegancko, choć marynarka powinna być przynajmniej o rozmiar większa.

— A więc jaką tajemnicę pani kryje?

— Tajemnicę? O czym pan mówi?

— Nie ma ludzi bez tajemnic — wyjaśnił. — Nie tutaj. Wszyscy starają się ukryć przed czymś. Lasy są dobrą kryjówką.

— Przykro mi, jeżeli moja odpowiedź nie będzie dla pana satysfakcjonująca, ale nie mam tajemnic. Przyjechałam tutaj, żeby zaznać trochę spokoju. Stadnina przynosi mi odpowiednie zyski. Nic więcej mi nie trzeba.

Kamila w swoim życiu spotkała wielu playboyów takich jak Okulicki. Zresztą i on zaczynał jeść jej z ręki. Kiedyś liczyła się tylko zabawa, uczucia były nieważne. Lubowała się w bogaczach. Młody czy stary — nie miało to większego znaczenia. Wszystko zmieniło się pewnego dnia, kiedy jej partner nie wytrzymał. Wyzwał ją od suk i odszedł, nie mówiąc ani słowa na do widzenia. Pierwszy raz dostała kosza, pierwszy raz to ktoś rzucił ją, a nie odwrotnie.

— Naprawdę piękny dom! — Okulicki wstał, zaczął przechadzać się wokoło. Przystanął na chwilę przy oknie, zerknął na bajeczny ogród, który dopiero dojrzywał do swojej świetności po długiej zimie. — Jeżeli pani chciałaby go kiedykolwiek sprzedać, proszę się odezwać.

Kamila kiwnęła głową.

— Proszę mi wierzyć, nie przewiduję, aby miało to miejsce w najbliższym czasie. Choć gdybym mogła w jakiś inny sposób się zrewanżować za ocalenie życia, to z przyjemnością.

Okulicki uśmiechnął się. Miała nadzieję, że odłożył na bok wszelkie podteksty i skojarzenia.

— Poprosiłbym o kawę. Jeszcze jedną. Jest naprawdę wyśmienita.

Kamila poszła do kuchni. Słyszała o jego aroganckim podejściu do ludzi, zawiści i egoizmie, ale jak dotąd jej wrażenia były bardzo pozytywne.

Zadzwoił jego telefon. Rozmawiał przez chwilę przytłumionym głosem, tak że Kamila nie mogła dosłyszeć, czego konwersacja dotyczy. W kuchennym okienku pojawiła się twarz mecenasa. Przeprosił, że nie może zostać, ale wzywają go obowiązki.

Chwilę później Kamila leżała na swoim łóżku, czytała jakiś magazyn dla pań. Była zmęczona po jedynie kilku godzinach snu. Była nieświadoma tego, że Okulicki nie zjawił się przypadkiem ani wczoraj w lesie, ani dzisiaj w jej domu, że wszystko to było znakomicie przygotowanym planem, który jeszcze tego wieczoru miał się okazać dla niej śmiertelnie niebezpieczny.

Rozdział 43

KONIEC RÓWNIEŻ NIE NALEŻAŁ DO ŁATWYCH. Marek Kozielski

podpisywał się dwoma drukowanymi literami. RK. Redaktor Kozielski. Pytanie jednak, jak napisać ostatnie zdania, żeby czytelnik czuł się w pełni usatysfakcjonowany. Czy jako pełnowartościowy morał, czy też przestroga na przyszłość? Cokolwiek by się zrobiło i tak nie zyska się przychylności wszystkich. Nie było takiej możliwości.

Teraz pozostała już tylko jedna kwestia, możliwa dzięki Głowali. Może właśnie dlatego nie był zadowolony z ogólnego przekazu swojego tekstu. Nie wiedział, jak opinia publiczna zareaguje na te wieści, a komendant mógł się pożegnać z posadą w Lubaczowie.

Jednak takie były koleje losu. Nie można mieć wszystkiego. Nawet jeden głupi błąd mógł zniszczyć wszystko, o co tak długo walczyliśmy.

— A ty nie w szkole?! — Marek wszedł do pokoju Jasia, aby sprawdzić, czy zaścielił łóżko. Ku jego zdziwieniu syn wciąż w nim leżał.

Jasio obrócił się w jego stronę.

— Źle się czułem. Mama powiedziała, że mogę zostać w domu.

Marek wiedział, że synek kłamie. Maria wyszła bardzo wcześnie, na pewno nie miała czasu porozmawiać z nim. Gdyby tak faktycznie było i widziałyby, że Jasio jest chory, pojechałyby z nim do lekarza. W przypadku Marka zwykle starczała podwójna dawka witaminy C. Wolał teraz nie dzwonić do żony, bo pewnie była zajęta swoimi sprawami. On śpieszył się, żeby zakończyć własne śledztwo.

Zrobił Jasiowi gorącą herbatę z cytryną i miodem. Postawił ją na biurku obok jego łóżka.

— Tato... — chłopiec nawet na niego nie spojrzał.

— Pij, pij. Na pewno ci pomoże. Wrócę za kilka godzin. Jeżeli do tego czasu ci się nie poprawi, pojedziemy do lekarza.

Marek sam nie wierzył w to, co mówił. Nie wiedział nawet, w jaki sposób trzeba się zarejestrować. Za chwilę miała przyjść babcia. Może ona coś poradzi.

Poszedł w stronę budynku, który mógł się za chwilę okazać dla niego

wybawieniem. Miał nadzieję, że wszystko będzie w porządku — tak faktycznie było. Nie miał problemu i dostał to, co chciał. Trzymał w ręku niewielką kartkę, jednak czuł, jak bardzo jest ważna. Od niej zależało wszystko. Jego kariera oraz jego... życie.

CZASEM LEPIEJ JEST NIE ZNAĆ CAŁEJ PRAWDY. Paweł siedział przed komputerem. Dotarł do informacji, do których nie miał dostępu, ale ponieważ znał się na programowaniu, nie było dla niego żadnym problemem wejść niezauważenie na strony ograniczonego dostępu, szybko znalazł to, czego szukał.

Zatem Dorota Maj również miała tajemnice. Kownacki nie chciał oceniać. To, co zrobiła, uważał za niemoralne, jednak życie zmuszało nas do pewnych trudnych decyzji. Nie wiedział, jak wytłumaczyć takie zachowanie, nie miał zamiaru tego rozgłaszać. Był zły na swoją ciekawość, która kazała mu drażnić słowa Franka. Dopisał do profilu psychologicznego mordercy, że prawdopodobnie zna się na komputerach. Miał nadzieję, że nikt go nie zapyta, skąd takie konkluzje. Poznanie sekretu Doroty było bardzo trudne, jedyną szansą był właśnie internet. Pawłowi podobał się ten punkt zaczepienia, ponieważ informatyka była jego pasją i z chęcią stanąłby do walki na tej płaszczyźnie.

Policja często korzystała z technologii komputerowych. Bazy danych przyśpieszały wszelkie śledztwa. Internet o mały włos nie uratował Weroniki Stępień. Paweł wciąż nie pogodził się z tym, że nie dotarł do pewnych informacji wcześniej. Gdyby komenda posiadała jakiś dodatkowy alternator, Weronika Stępień by żyła, mogłaby im powiedzieć coś więcej. Może policja dowiedziałyby się, według jakich kategorii morderca dobiera ofiary.

Kownacki miał pewność, że będzie kolejna ofiara. Najlepszym dowodem na to był fakt, że wszyscy zastanawiali się, kto będzie kolejną ofiarą, a nie — kim jest zabójca. W rzeczywistości poszukiwany mógł już uciekać, być daleko stąd. Jeżeli policja faktycznie zaczęłaby go szukać, byłoby za późno na znalezienie kogokolwiek.

Paweł spojrział na chromatograf cykliczny. Widział go nie po raz pierwszy, ale w zupełnie innym świetle. Zamiast tysiąca drucików zobaczył poświęcenie Doroty, aby skonstruować wynalazek, który teraz każdego dnia zmieniał życie na łatwiejsze. Jednak czy można to w ogóle rozważać w kwestiach etycznych? Tajemnica Doroty była prosta. Wyszła za męża będąc na drugim roku studiów. Była jeszcze młoda, a jej mąż, Franek, wciąż ćpał, pił i palił. Takie właśnie było wtedy życie studenckie. Nikt nie widział żadnej przyszłości, liczyła się tylko chwila i

zabawa, która miała ubarwić burą rzeczywistość. Dorota szybko zaszła w ciążę. Wraz z tą szczęśliwą wiadomością jej świat legł w gruzach, bo dostała ofertę nie do odrzucenia ze Stanów Zjednoczonych. Dla młodej, inteligentnej studentki z Polski taka szansa wymiany była niewyobrażalnie ważna. Pomimo sprzeciwu Franka wyjechała. Aborcja przyniosła pewnie wielki ból psychiczny, ale wybrała karierę, która w tamtych czasach była równie bezcenna jak dziecko. Kownacki przeczytał, że zabieg nie do końca się udał. Choć usunięto cały płód, naruszono pewne organy. Dorota stała się bezpłodna. Gdy Maj wróciła kilka lat później do Polski, już jako światowej klasy chemik, Franek na nią czekał. Jego książki nie zyskały rzeszy czytelników, ale uczucia pozostały. Postanowili adoptować dziecko.

Był wstrząśnięty tymi wieściami. Takich historii było tysiące, tyle że zwykle pozostawały sekretem. Współczuł Dorocie. Sam bardzo chciał mieć dzieci. Za każdym razem, kiedy Julia poruszała ten temat, odmawiał, bo tak doradzali mu lekarze. Początkowo za wszystko winił siebie. Wciąż się uczył, wciąż go nie było w domu. Julia była zdana na siebie. Kiedy żonę zamknięto w szpitalu psychiatrycznym, praca była dla niego ukojeniem. W szpitalu patrzył jedynie na jej pusty wzrok. Wtedy musiał pracować, żeby zapomnieć o niej, choć na chwilę.

Spojrzał na mapę. Jeżeli morderca faktycznie się nią kierował, gdzie mógł się znajdować kolejny cel? Znak CIS okazał się niewyobrażalnie ważny w przypadku Doroty Maj. Przypadek stał się kluczem. Trzy ostro zakończone wierzchołki wklęsłego trójkąta idealnie pasowały do trzech miejsc morderstw.

A co z czwartym, piątym, szóstym? Należało na to spojrzeć z innej strony, w innych kategoriach. Znał tylko jeden sposób, ale żeby się on spełnił, potrzebował czasu, chęci i szczęścia.

BYŁA NA PLACU ZABAW. WIDZIAŁA, JAK JEJ MAŁY URWIS ślizga się na zjeżdżalni. Bawił się z tatą na koniku. Podskakiwał z radości, przytulał się do mamy. Była piękna pogoda. Słońce rozjaśniało ciepłem jej cudownie piękną twarz. Była tylko ona i jej spełniające się marzenia. Nie miała obaw o przyszłość, złe wspomnienia z przeszłości zostały wymazane. Było pięknie.

Ale co to? Pojawiła się teściowa. Podążała ciężkim krokiem w jej stronę. Uśmiechała się szyderczo, żeby wzbudzić w niej pozytywne uczucia. Ale nie, ona się nie da. Zaczynała walczyć. Teściowa starała się wykraść jej te wszystkie pragnienia, odebrać radość.

Otworzyła oczy. Znowu było tak jasno. Dorota spojrzała przed siebie. Ku

jej przerażeniu — prosto na swoją teściową. Chciała krzyknąć, błagać o litość, uciekać jak najdalej było to możliwe. Przecież ona chciała żyć, była jeszcze taka młoda! Musiała zaopiekować się Mateuszem, wychować go na dobrego człowieka. Również Franek potrzebował jej opieki. Oczywiście, teściowa mogła polemizować co do jej opiekuńczości, ale teraz liczyło się tylko to, aby jak najszybciej wydostać się z jej sideł.

O mało zawału nie dostała, gdy starsza pani nachyliła się jeszcze bardziej, poruszała jej poduszką, następnie uśmiechnęła się tak szeroko, że omal nie wypadła jej sztuczna szczeka. Poglaskała po głowie. Usiadła na fotelu obok. Dorota znów zaczęła oddychać.

Zatem była w szpitalu. Za drzwiami jej szpitalnej sali zrobiło się zamieszanie. Po chwili obok łóżka stanęła trójka lekarzy oraz policjant. Pamiętała go z komendy. Chyba Tadek. Tadek Renes. Wyglądał na strapionego i złego. Lekarze natomiast uśmiechali się uprzejmie. Po chwili do jej łóżka podbiegł również Franek. Pocałował ją. Dorota miała nadzieję, że teściowa zajmuje się swoimi sprawami i nie widzi tej uroczej małżeńskiej sceny.

— Jak się pani czuje? — spytał jeden z lekarzy.

— D-dobrze — brakowało jej śliny. Musiała tutaj leżeć dość długo. Nie pamiętała, co się właściwie stało.

— Czy ma pani na tyle siły, aby odpowiedzieć na pytania funkcjonariusza Renesa?

Pomimo wielkiej sympatii do tego policjanta, Dorota nie miała ochoty na jakiegokolwiek pytania, tym bardziej że nie wiedziała, co się właściwie stało.

Pokiwała przecząco głową. Jeden z lekarzy uśmiechnął się do policjanta, co można było zrozumieć jako: „spadaj stąd, moja pacjentka woli rozmawiać ze mną”.

Dorota nie miała chęci na jakikolwiek wysiłek umysłowy. Chciała zamknąć oczy, powrócić do swojego pięknego snu, powrócić na plac zabaw. Sen był lepszy niż pełna zagadek rzeczywistość, w której na każdym kroku czekały pytania bez odpowiedzi.

Dorota chciała spać. Pragnęła zamknąć się w szczelnej powłoce podświadomości, zapomnieć o tym, co się stało. Choć do końca nie wiedziała, co

takiego miało miejsce.

— Tadek! Nie bądź na mnie zły! — zwróciła się do policjanta, który skierował się z opuszczoną głową do wyjścia. — Co się właściwie stało? Nic nie pamiętam. Głowa mi wiruje w jakichś innych przestrzeniach.

— Uratowała cię teściowa, Doroto — powiedział Renes. — Zabójca był w twoim domu, miałaś być jego trzecią ofiarą.

Maj spojrzała na teściową. Zobaczyła ją teraz w innym świetle. Pomimo że abstrakcją było widzieć ją jako anioła, który rozpościera białe skrzydła nad jej głową, to tak właśnie było.

W tej chwili nie myślała o tym, że miała być kolejną ofiarą. Nic sobie nie przypominała. Ważne było dla niej to, że żyje.

— Dziękuję, mam. Czuję się świetnie. Mam nadzieję, że nie będzie problemu, żebym wyszła ze szpitala jeszcze dziś wieczorem — popatrzyła porozumiewawczo na lekarzy. — Żeby uczcić to szczęśliwe zakończenie, ugotuję dzisiaj kolację.

Teściowa szybko wstała.

— Prędzej cię patelnią uderzę, niż pozwolę ci cokolwiek ugotować!

Kochana teściowa. Zawsze służyła pomocą. Dorota uśmiechnęła się od ucha do ucha, widząc świat już w całkowicie innych barwach, z optymizmem patrząc w przyszłość.

Z pamiętnika filozofa

Ta pani. Nie tęsknię za nią, bo to prowadzi tylko do tego, że nie zauważam innych osób obok mnie, a one czasem mają chęć przekazania mi jakichś esencjonalnych wartości. Przecież na świecie jest tyle ludzi. Nie będę udawać, że ich nie ma.

Ten pan. On nadal jest. Również jemu zależy na utrzymaniu tej przyjaźni. Ma ciągle ciepłe miejsce na ławce obok mnie i słusznie dba o to, żeby się nie ochłodziło. Jeżeli czegoś naprawdę chcemy, musimy walczyć ze wszystkimi

przeciwnościami. Wszystko ma swoje granice, ale spróbować trzeba, bo żal z tego powodu, że nic się nie zrobiło, nie da ci już nigdy spokoju.

Zażenowanie. Nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak często występuje w naszym otoczeniu. Zwykle jest skutkiem tego, że nie dostajemy tego, czego tak bardzo pragniemy. Zastanawiamy się wtedy, co jest powodem, trudzimy się, aby to zmienić.

Podobnie jest w wielu innych przypadkach. Kolejki. Wszystko jest w porządku, kiedy czekamy na coś w towarzystwie znajomych lub człowieka, który posiada wewnętrzną chęć rozmowy z obcym. Wtedy nie zauważamy, jak wiele czasu marnujemy, okres oczekiwania się skraca. Inna sytuacja jest, kiedy znajdujesz się w korku ulicznym. Obok ciebie nie ma pasażera. Po chwili wyłączasz radio, kiedy słyszysz kolejny hit muzyczny, który jest odtwarzany co piętnaście minut. Posuwasz się ślimaczym tempem. Twoje zażenowanie objawia się wyrzucaniem z siebie nieprzytoczonych przez mnie przekleństw albo nerwowym uderzaniem o kierownicę. To, co króluje w twoim sercu, to niecierpliwość. Choć trudno zauważyć jakiegokolwiek zalety takiego stania w korku, to jednak. Przecież niejednokrotnie szukałeś samotności. Nie miałeś czasu przemyśleć tak wielu spraw. A teraz, kiedy faktycznie jest ku temu dobra okazja, jedynie denerwujesz się na otaczający cię świat.

Jestem zły. Wkurzam się na wszystko, co się rusza. Zabijam komara, waląc w niego po raz setny zwiniętą gazetą, chociaż wiem, że był nieszkodliwy już po pierwszym trafieniu. Ustawiam budzik na kolejny dzień, aby wstać o przyzwoitej porze, bo przecież tyle razy już tutaj mówiłem, jakim marnotrawstwem czasu jest sen. Przecieram ekran swojego komputera i patrzę na warstwę kurzu, która wzięła się tam znikąd. Wiem, że jutro zrobię to samo, znów będę się dziwił. Robię siódmą kawę. Z dużą ilością mleka i cukru. Latte. Wiem, iż to ona powoduje, że robię się coraz bardziej senny, bo przecież wypłukuje magnez, ale i tak ją wypiję, bo nałóg nie pozwoli na chwilę słabości. Czytam artykuł dotyczący kolejnego globalnego kryzysu gospodarczego. Co kto zrobił źle? Jak trzeba było postąpić? Dziennikarzom łatwo mówić. Tylko dlaczego nie podsuwają żadnych pomysłów, jak z tego dołka wyjść?

Daj mi chwilę. Idę do łazienki. Umyję zęby, odleję się i pójdę spać. A ty będziesz tutaj czekał, aż wstanę. Będziesz śmiał się z mojego chrapania i niezrozumiałych do końca słów, które stały się tworem nocnego majaczenia. Będziesz myślał o jutrzejszym dniu, aż w końcu północ minie. Trochę ci zajmie dojście do zatrważających wniosków, że ten nowy dzień właśnie nadszedł, że

doczekałeś się. Wtedy się popłaczesz, klękając przed straszliwym i gromowładnym czasem.

Potem zaśniesz. O tak. Literki zaczynają się robić niewyraźne. Starasz się ujrzeć, co tutaj piszę, ale twój mózg sprzeciwia się. Twoje powieki robią się ciężkie, bardzo ciężkie. Opadają. Nie widzisz nic. Ciemność. Właśnie ciemność widzisz. Jakkolwiek wygląda. Życzę miłych snów...

Ach! Byłbym zapomniał! Nie zapomnij się obudzić.

Rozdział 44

MAREK MUSIAŁ BYĆ BARDZO ZŁY. Chciała brać udział w tej akcji, ale komendant nie dał jej takiej możliwości. Wciąż była zawieszona, musiała to uszanować. Przebieg zdarzeń знаła tylko z opowiadań Czynickiego, który był zbulwersowany tym, że o niczym wcześniej nie wiedział.

Zdziwiła się. Dopiero przed chwilą usłyszała o jakiejś akcji ABW, interwencji przeciwko wyjawieniu prawdy. Nadal nie wiedziała do końca, o co chodzi. Pozostawało liczyć na to, że jej mąż kiedyś zdradzi swoje tajemnice.

Ponieważ możliwość przeszukania posesji Okulickiego w związku z tajemniczymi morderstwami została przez mecenasa zablokowana, komendant w porozumieniu z Markiem postanowił spróbować innej drogi dochodzenia prawdy. Maria nie do końca rozumiała sytuację. Wolałaby, aby to Marek opowiedział jej wszystko od początku. Podobno Okulicki był podejrzany również o machlojki rachunkowe związane z jego tartakiem. Przedsiębiorstwo Tartex zarabiałoby miliony rocznie. Wszelkie prawa konkurencji zostały złamane. Podobno opłacał jakieś wysoko postawione osoby, które przymykały oko na jego poczynania. Dokumenty potwierdzające ten proceder miały być przez niego ukrywane. Sąd wydał pozwolenie. Jednocześnie przeszukano całą administrację tartaku oraz dom Okulickiego. Komendant liczył na to, że uda się znaleźć również jakieś dowody obciążające adwokata w sprawie zabójstw. Immunitet adwokacki wygasał wraz z przejściem na emeryturę, dlatego Okulicki nie mógł w jakikolwiek sposób uniknąć kary.

Nie znaleziono jednak żadnego punktu zaczepienia.

Nic.

Obciążające dokumenty zostały zapewne spalone po spontanicznej wizycie Marii i Pawła w tartaku albo rozpoczęciu procesu zdobywania pozwolenia na przeszukanie domu Okulickiego. Wszystko poszło na marne. Po raz kolejny policja była bez niczego. Maria bardziej martwiła się jednak o męża. To była jego ostatnia szansa. Poświęcił wiele dni, żeby dojść do prawdy, a bez dowodów jego artykuł nie miał wartości merytorycznej, zawierał jedynie domysły.

Nic nieznaczące domysły.

Rozmawiała z nim przez chwilę, ale nie był w humorze na zwierzenia. Wydawał się załamany. To przeszukanie zaprzepaściło jego szanse. Oczywiście mógł pisać o sprawie, nagłaśniać różne nieprawidłowości Tartexu, jednak Okulicki mógł mu zarzucać kłamstwo, wyśmiewać, a nawet podać do sądu.

Marek był dobrym dziennikarzem starej daty. W przeciwieństwie do dzisiejszych paparazzi jej mąż wciąż dążył do prawdy, niekoniecznie tej przyjemnej, co nie zawsze wszystkim się podobało. Społeczeństwo lubiło być biernym obserwatorem, czytać plotki o ludziach znanych z telewizji, co faktycznie nie miało większego wpływu na ich życie. Kiedy docierała do nich prawda, odrzucali ją, bali się jej.

Maria również chciała się zapaść pod ziemię. Mało spała tej nocy. Cudownie spędziła czas z Pawłem Kownackim. Plac zabaw, przyjemna przyjemność, jaką była rozmowa z nim, pozwoliły odpocząć również jej. Ostatnie dni były niezwykle męczące. Wykończenie fizyczne i psychiczne uniemożliwiało spokojny sen.

Rano nie robiła nic ważnego. Spędziła czas przed monitorem, oglądając nagrania z przesłuchań. Za każdym razem dostrzegała coś nowego. Wiedziała, że coś pomija. Ostatnim razem instynkt jej nie zawiódł. Poszlaka związana ze znakiem CIS jako punktem nawigacyjnym okazała się przydatna, doprowadziła ją wprost do Doroty Maj. Maria zdawała sobie sprawę, że gdyby nie silna ręka teściowej, ich koleżanka pewnie by nie żyła.

Zjadła batonik. Popiła kawą. Jeszcze jeden łyk. I jeszcze jeden. Znów tam wróciła. Szła teraz pustym korytarzem oddziału psychiatrycznego. Czego szukała? Maria chodziła od drzwi do drzwi, błędząc we własnej niewiedzy. Instynkt przyciągnął ją właśnie tutaj. Otworzyła na oścież drzwi, za którymi w nocy znalazła Głowalę. Komendant zachowywał się dzisiaj dziwnie. Rano widziała się z nim na pogrzebie Teresy. Wyglądał na zasmuconego i zmęczonego.

W sali nikogo nie było. Miała nadzieję, że zapyta Sylwię Słaboń o Alprazolam i Tranxene. Był to jedyny punkt zaczepienia mogący przynieść jakieś znaczące dla śledztwa wiadomości. Bo przecież wciąż nic nie wiedzieli. Było już po południu. Morderca mógł właśnie zabijać, ewentualnie przygotowywać się do kolejnego zabójstwa. Choć tak naprawdę poszukiwany był nadal niewinny. Prokurator raczej będzie nieprzychylny postawieniu mu jakichkolwiek zarzutów. Przecież to nie on dawał zastrzyk, przecież nie używał przemocy względem ofiar, przecież nie włamywał się do ich domów. Trudno mówić o napadzie na Tomasza Domagałę, bo nie wiadomo, kim był napastnik. Musieliby złapać przestępcę na gorącym uczynku, powinien przyznać się do wszystkich zarzucanych czynów. Maria pomyślała o hipnozie. Choć przypadek Agnieszki dowiódł, że nie w każdym przypadku się sprawdza, można było spróbować, aby dowieść prawdy.

To właśnie był klucz, którym kierował się sprawca. Manipulował, tworzył obraz, który odciągał policję od tego, co faktycznie miało w tej sprawie znaczenie. Można było uznać, że morderca posługiwał się hipnozą, trzymał rękę na pulsie. Pomimo że nie udało mu się zabić Doroty Maj, wciąż w tym pojedynku wygrywał.

Otworzyła kolejne drzwi, na których wisiała tabliczka „Tylko dla personelu”. Znalazła ją. Znalazła Sylwię Słaboń. Widziała ją po raz pierwszy, ale miała przypiętą do piersi plakietkę właśnie z tym nazwiskiem. Kozielska żałowała, że poznała ją dopiero w takich okolicznościach. Poszukiwana pielęgniarka leżała bezwładnie. Czoło miała rozcięte. Pod nią znajdowała się kałuża krwi. Maria zaczęła wzywać pomocy. Pochyliła się nad Sylwią. Nie usłyszała oddechu, nie wyczuła tętna. Jej klatka piersiowa się nie unosiła. Sylwia Słaboń nie żyła. Jako pierwszy przybiegł ochroniarz. Złapał się za głowę. Krzychał coś. Maria go nie słuchała. Wyszła jakby nigdy nic. Skierowała się do wyjścia. Wiedziała, że to, co robi, jest bardzo nieodpowiedzialne. Zbyt wiele było ostatnio przypadków, a prawda była taka, że każdy kolejny krok był determinowany przez jedną osobę — sprawcę. Sylwię Słaboń ktoś zabił, a Maria miała niewyobrażalną szansę, aby zabłysnąć, — powrócić godnie w szeregi policji. Ale teraz już o tym nie myślała. Olśniło ją.

Kiedy była po raz pierwszy na oddziale psychiatrycznym, późna godzina, zdenerwowanie, stres i wariackie otoczenie sprawiły, że nie dostrzegła tego szczegółu. Jak mogła być taka głupia? Przecież tyle razy o tym czytała. Wszystko pasowało. Nie wiedziała, jaki będzie skutek jej działań. Niczego nie mogła być pewna.

Zapukała do drzwi. Kilka chwil zwłoki. W końcu otworzył. Zobaczyła

przerażenie malujące się w jego oczach. O tak! On na pewno się jej tutaj nie spodziewał. Na pewno będzie mówić. Przecież myśli, że ciągle jest policjantką. A Maria coś takiego potrafiła skrzętnie wykorzystać.

— Dzień dobry! — powiedziała.

Chwilę później wchodziła w nieznaną. Przekroczyła próg domu Sebastiana Bednarza, ochroniarza w przedsiębiorstwie Okulickiego.

BYŁ ZŁY. BARDZO ZŁY. SIEDZIAŁ I SIĘ GAPIŁ, ale nie patrzył na obraz. Patrzył na niepotrzebną krew. Wszystko było nie tak. Od początku. A on musiał się przecież skupić na swoje misji. Miał tylko jeden cel.

Szybko wstał, strącił ostentacyjnie swój ukochany obraz. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, co zrobił. Natychmiast podniósł go, żeby powiesić na swoje miejsce. Dokładnie zbadał, czy wszystko jest w porządku, czy nic się nie stało jego cudownej muzie. Potem głaskał, tak jak małe dziecko głaska swojego ukochanego misia.

To musiało się udać. Nie było innej możliwości. Był pewny, że da radę. Po paśmie niepowodzeń musiał przyjść czas na sukcesy.

Był pełen pragnienia zemsty. Od tak wielu lat ciążyło na nim niewyobrażalne brzemię, którego dzisiaj chciał się pozbyć. Miał nadzieję, że policja go nie dopadnie. Tak niewiele im było teraz trzeba. Deptali mu po piętach. Zaskoczyli go również lekarze. Ale to nie była jego wina. To nie on spaprał swoją robotę.

Teraz już nie chciał przejmować się bzdurami. Miał nadzieję, że ten błąd nie będzie miał wpływu na przyszłość, że uda mu się osiągnąć zamierzony efekt. W plecaku miał przygotowaną ostatnią dawkę Alprazolamu. Nie był pewny, czy ją wykorzysta. Chciał wyjawić prawdę w ostatniej godzinie jej życia, ale nie potrafił przewidzieć reakcji. Może właśnie dlatego tak bardzo się bał tego spotkania. Jego geniusz nie znał przyszłości. Jego rezolucja i elokwencja działały w innych sferach. Hipotezy odrzucał. Nie było czasu na domysły. Zbyt długo czekał. Takie osoby jak Teresa Wójcik, Weronika Stępień czy niefortunna Dorota Maj były niepotrzebne. Uległ pokusie. Ale przecież nic nie jest stracone.

Ten, kto ma zginąć, i tak zginie.

JUŻ NIC NIE MOGŁO MU POMÓC. Stracił swoją ostatnią szansę. Stracił wszystko. Patrzył na ekran swojego monitora, zastanawiając się, jakiej metody użyć, aby go zniszczyć. Przecież jego artykuł nie miał już sensu. Czyelnicy by go wyśmiali. Nie miał już żadnych dowodów. Agenci ABW przekazali mu tę sprawę, a on naiwnie im uwierzył. Mieli własnego szpiega w tartaku Okulickiego. To właśnie on dotarł do dokumentów, które udowodniały machlojki rachunkowe. To on założył podsłuch i nadajnik Marii.

Marek był teraz bez niczego. Mógł zostać wrobiony. W zamian za milczenie w sprawie CBA przekazano mu informacje o przekrętach w miejscowym przedsiębiorstwie. Wieści te wstrząsnęły Markiem, szybko zgodził się na propozycję agencji, jednak zapomniał, że nie będzie łatwo zdobyć dowody.

Potem ta cholerna rozmowa z pijanym Głowalą. Marek nie mógł uwierzyć, że to właśnie on, przełożony jego żony, człowiek prawa, godnie reprezentujący miejscową placówkę policji, był zamieszany w te wszystkie przekręty. ABW przekazała informację, że Okulicki opłacał komendanta w zamian za przemykanie oka na jego bezprawne działania, jak poszerzanie powierzchni wycinkowej oraz budowa magazynów na terenach narodowego parku.

Komendant w końcu się wkurzył. Całkiem przypadkiem doszedł do informacji, że tartak nie przynosi aż tak wysokich zysków, żeby mogły pozwolić na wielkie inwestycje Okulickiego. Mecenas był poważnym graczem. Wiedział, że zmaterializowana inwestycja jest trudniejsza do wykrycia. Komendant na własną rękę rozpoczął śledztwo. Wszystko sprowadzało się do CBA. Koniec kariery Okulickiego w Warszawie nie był przypadkowy. Za takie pieniądze, jakie zaoferowało mu CBA, każdy by milczał i pojechał, gdzie tylko mu każą. Głowala nie miał możliwości jakiegokolwiek interwencji. Skończył biznesy z Okulickim, ale ten zaczął go szantażować. Duma nie mogła pozwolić komendantowi, by jego nieprawości wyszły na jaw. Ich przyjaźń się zakończyła, ale obaj panowie milczeli, aby nie stracić wszystkiego, co posiadają.

W ostatni poniedziałek, w dniu śmierci Teresy Wójcik, ktoś włamał się na teren Tartexu. Okulicki był zły na komendanta, ponieważ domyślał się, że to on wysłał swoich ludzi, którzy mieli wykryć obciążające go dokumenty. Marek nie miał pojęcia, czy tak właśnie było. Głowala nie przyznał się. Zaczął wysyłać do Marka anonimy, które zdradzały wybrane szczegóły dotyczące pełnych okrucieństwa akcji CBA. Miał się z nim spotkać we wtorek, pokazać swoją twarz, ale sprawa morderstwa sprawiła, że odwołał spotkanie, a ktoś zaatakował Marka.

Sprawą CBA zajęła się ABW. Marek domyślał się, że sprawa nie ujrzy światła dziennego, ale teraz się tym nie przejmował. Miał wiedzę, potrzebował dowodu. Dokumenty mogły się znajdować dosłownie wszędzie. Osoba, która włamała się na teren tartaku, wzbudziła czujność adwokata. Mógł przenieść dokumenty w bezpieczne miejsce. Potem rozpoczęła się procedura wydania nakazu przeszukania domu mecenasa. Okulicki miał czas, aby przygotować się na taką możliwość. Gdy dzisiaj funkcjonariusze wpadli do jego domu, nie znaleźli oczywiście nic, co mogłoby świadczyć o jakiegokolwiek nieprawości, a tym bardziej związku adwokata z tajemniczymi morderstwami.

Markowi nie pozostało nic innego, jak tylko się upić. To nie był sposób, a Kozielski dobrze o tym wiedział. Jutro obudzi się bez pracy, z pamięcią i olbrzymim kacem, tak że jeszcze trudniej będzie zacząć wszystko od nowa.

Sam siebie nie poznawał. Zawsze był wytrwały w swoich działaniach, drażył temat, dochodził prawdy, nawet gdy po drodze przyszło mu mijać wysokie przeszkody. Na tym właśnie polegała praca dziennikarza.

Teraz miał wszystko w nosie. Nie potrafił zrozumieć, jak to wszystko mogło się tak niefortunnie skończyć. Chciał wrócić do ABW, wypluć im wszystkie smutki, może nawet zaszantażować, że jeśli nie pomogą mu w sprawie nieprawości Okulickiego związanych z tartakiem, to będzie kontynuował swoje śledztwo przeciw CBA. Z drugiej strony Marek nie miał pojęcia, gdzie szukać ich tajemniczej siedziby, bał się, że w końcu doprowadzi do tego, że stanie się coś poważnego. Nie bał się o siebie. Bał się o rodzinę.

Bo tylko to mu pozostało...

Rozdział 45

— CZY TO OKULICKI KAZAŁ CI POBIĆ MOJEGO MĘŻA?

— Jego dyspozycje były jasne. Ktokolwiek naruszy jego własność, musi ponieść karę — Maria znajdowała się w niewielkim mieszkaniu w centrum Lubaczowa, a naprzeciwko niej siedział Sebastian Bednarz.

Współpraca z Pawłem Kownackim uświadomiła jej jedno: wszystko miało swój sens, a nasza niewiedza wiązała się z tym, że coś pomijaliśmy, coś nam umykało i czegoś nie dostrzegaliśmy.

Kiedy była w tartaku i rozmawiała z tym chłopakiem, który pracował tam jako ochroniarz, widziała w jego oczach dziwne zaniepokojenie. Przypuszczała, że wynikało to z ich niespodziewanej wizyty skumulowanej liczby pytań. Ale nie. Sebastian również miał swoją tajemnicę, gdy Maria się przedstawiła, rozpoznał w niej żonę faceta, którego pobił ostatniej nocy.

— Niech mi pani uwierzy, nie skrzywdziłbym nawet muchy. — Maria spojrzała z uśmiechem na rosłego, muskularnego młodzieńca. — To był po prostu przypadek. Mecenas Okulicki zwiększył ochronę po włamaniu, które miało miejsce w poniedziałek. Zobaczyłem jakiś ruch w pobliżu. We wtorek był mój pierwszy dzień pracy, a chciałem pokazać się z dobrej strony. Stałem przy płocie bliżej bramy wjazdowej od strony Niemstowa. Usłyszałem dzwonek telefonu. Wyszedłem za płot. Ktoś zaczął uciekać. Obezwładniłem go. Ale chyba uderzyłem go zbyt mocno. Przestraszyłem się, więc wróciłem na swoje stanowisko.

Połykał zdania. Był zestresowany.

Maria wpadła na ten trop całkiem przypadkiem. Właśnie dzięki oddziałowi psychiatrycznemu. Kiedy zabłądziła tam w nocy, uratował ją ochroniarz. Tak samo gdy zobaczyła martwą Sylwię Słaboń, pierwszy przybiegł właśnie on. Sebastiana Bednarza zdradził jego służbowy ubiór. Wiedziała, że mundur ochroniarza jest wykonany z tego samego materiału co strój policjanta. Na miejscu pobicia Marka znalazła niewielki fragment materiału. Analiza Doroty Maj wykazała, że zapewne pochodził on z munduru policyjnego. No ale przecież to ochroniarz mógł zaatakować Marka. Sebastian przyznał się. Tak jak myślała, był studentem, który chciał sobie dorobić do chesnego. Widziała w jego oczach, że bardzo się tym wszystkim przejął, miał do siebie pretensje, że nie zainterweniował wtedy w inny sposób.

Kozielska wiedziała, że Sebastianowi grozi nawet kara pozbawienia wolności. Pobił osobę, która bezpośrednio mu nie zagrażała. Jako ochroniarz nie miał obowiązku interweniować w tym przypadku, ponieważ Marek znajdował się w dużej odległości od terenu tartaku, dlatego nie stanowił żadnego zagrożenia. Kolejnym poważnym problemem była ucieczka. Powinien pomóc Markowi, dowiedzieć się, czy wszystko w porządku. W razie potrzeby wezwać ambulans.

Z drugiej strony jednak mógł się okazać bardzo przydatny. Dużo wiedział, również o Okulickim, a jego wiedza mogła wnieść nowe informacje.

— Co możesz mi powiedzieć o Okulickim?

— To mściwy człowiek. Wie, czego chce — chłopak był chyba rad, że może pomóc. Teraz, gdy nie stał nad nim szef, czuł się pewniej, więc był skory do rozmowy, tym bardziej że mogło to zmniejszyć jego wymiar kary. — Słyszałem, że był wściekły, kiedy dowiedział się, że ktoś włamał się na teren jego tartaku. To jego silnie chroniony bastion. Krążyły plotki, że jeszcze tej samej nocy przyjechał tam swoim jeepem i wpakował do bagażnika jakieś segregatory. Słyszałem o jakichś dziwnych transakcjach, które Okulicki chciał ukryć, ale nie znam dokładnie tematu.

— Czy Okulicki często bywa w Tartexie?

— Pracuję tam od wtorku, ale widziałem go tylko raz — wtedy, kiedy przyjechała pani. Zapewne zawiadomili go o waszej wizycie bracia Dąbek. To oni są jego mózgiem operacyjnym. Wiem, że w okolicy krążą plotki o niezgodzie pomiędzy nimi, ale — Sebastian pokręcił głową — oni są zbyt związani ze sobą. Okulicki istnieje dzięki nim, a oni dzięki niemu. Okulicki daje pieniądze, a oni inwestują. Znają się na rzeczy.

— Czy byli w ostatnich dniach jacyś nieproszeni goście? Kto mógł mieć na tyle odwagi, żeby naruszać terytorium Okulickiego w poniedziałek?

— Sama pani widziała. To twierdza. Płot jest pod napięciem elektrycznym. Tak jak mówiłem wcześniej: możliwość wejścia niezauważenie nie istnieje. Mówiło się, że nastąpiło to w trakcie zmiany warty, ale włamywacz musiałby być cieniem, aby go nikt nie dostrzegł. Z tego, co wiem, nikt nie wszedł do budynków administracji ani magazynów. Zniszczył część płotu, choć to dziwne...

— Co jest takie dziwne? — zainteresowała się Maria.

— Ze śledztwa Okulickiego wynika, że ktoś wszedł na teren bez żadnego problemu i dopiero przy wyjściu zniszczył część ogrodzenia, bo miał kłopot z przedostaniem się na zewnątrz. — Maria domyślała się, że sprawca się skaleczył. Tłumaczyłoby to obecność krwi, którą Kozielska znalazła przy jednym z urządzeń do obróbki drewna.

Włamywacz musiałby być cieniem.

Dokładnie tak jak sprawca przestępstw.

Tylko kim on może być?

— Będziemy w kontakcie, dobrze? — powiedziała po chwili.

— Czy będą mi postawione zarzuty?

— Porozmawiam z mężem. To właśnie go pobiliś, więc nie udawaj, że o tym nie wiedziałeś — Maria z rozbawieniem patrzyła na próbę pokazania zdziwienia przez Sebastiana. — Okulicki powiedział ci na drugi dzień. Wszystkiego się dowiedział, miał do ciebie pretensje. To tłumaczy twoją obecność o tej porze w domu. Zapewne cię zwolnił.

— Powiedział, że musi zwalczać niekompetencję — Sebastian opadł bez sił na kanapę, która zatrzeszczała pod jego ciężarem.

Chwilę później Maria wyszła z jego domu. Była z siebie dumna. Nie mogła się doczekać, kiedy opowie o przebiegu tej rozmowy Pawłowi. Czytała didaskalia. Po raz pierwszy nie słuchała tylko słów, ale całego ciała Sebastiana Bednarza. Była tak bardzo zadowolona. Zapomniała o Sylwii Słaboń, zapomniała o nieudanym przeszukaniu domu Okulickiego.

Zadzwoiła do męża.

— Słucham. — Usłyszała smutny głos Marka po drugiej stronie.

— Mamy świadka. Rozmawiałam z chłopakiem, który pracował w tartaku jako ochroniarz. Powiedział, że potwierdzi wszystkie machlojki Okulickiego, gdy znajdziemy te cholerne dokumenty!

— Mario, czy ty naprawdę nie rozumiesz?! Już po wszystkim. Dokumenty leżą pewnie w jakimś rowie sto kilometrów stąd albo zwyczajnie zostały spalone.

Wiedziała, że jej mąż ma rację. Pozostało tylko czekać. Znała ten ton głosu — Marek był pod wpływem.

— Jasio źle się dzisiaj czuł rano. Rozmawiałaś może z mamą? Miała przyjechać i się nim zaopiekować — usłyszała po chwili.

Maria zapomniała o wszystkim. Jasio chciał z nią ostatnio porozmawiać, a ona nie miała dla niego czasu. Rano nie widziała się z synem. Kiedy jej mała

pociecha przyszła na świat, obiecała sobie, że poświęci jej każdą wolną chwilę. Jej tata, pomimo że był policjantem, potrafił znaleźć czas na wszystko, ale Kozielska sobie z tym nie radziła. Wciąż były sprawy ważne i ważniejsze, a Jaś pozostawał na boku.

Teraz popatrzyła wprost przed siebie. Czuła się okropnie. Chciała krzyknąć. Fala szczęścia po udanej rozmowie z Sebastianem opadła. Dopadły ją te wszystkie strachy i niepowodzenia. Kto mógł być mordercą? Czy śmierć Sylwii Słaboń była przypadkiem? Dobrze wiedziała, że nie. Zrobiła krok w przód. Jeszcze jeden. Kolejny. Zaczęła biec. Nie patrząc na ostry sprzeciw nierozgrzanych mięśni, nie patrząc nawet na krzyk płuc i kolkę.

Po prostu biegła. Zmierzała prosto do celu. I choć meta była daleko, wiedziała, że w końcu ją osiągnie.

MICHAŁ SPOJRZAŁ NA SWÓJ TELEFON KOMÓRKOWY. Zastanawiał się, czy napisać. Jeżeli by to zrobił, Kamila pomyślałaby, że jest nachalny. Tak podpowiadało mu serce. Potem by się tylko zadreślał, czekał na odpowiedź, a nawet czytał kilkakrotnie wiadomość wysłaną przez siebie, aby sprawdzić, czy nie popełnił jakiejś gafy...

Mógłby jej napisać: „Dobranoc”. Był to najprostszy sposób. Przecież nic się nie dzieje, gdy ktoś komuś życzy dobrych snów. Z drugiej strony była wczesna godzina popołudniowa, a jego ukochana Kamila mogłaby dojść do wniosku, że zwariował. Mógłby ją zaprosić na zabawę taneczną. Miała się odbyć jutro, a on szukał partnerki. Byli przecież na takich imprezach niejednokrotnie. Tylko że on i ona jako para już nie istnieli. Michał wyrzucił ją z serca, choć wiedział, że coś takiego nigdy naprawdę się nastąpi.

Była piękna pogoda. Zdjął koszulkę. Praca w gospodarstwie dała lepsze rezultaty, niż gdyby chodził przez kilka lat na siłownię. Delikatne promienie wczesnowiosennego słońca opadły na jego muskularne ciało. Właśnie to kochał na wsi. Mógł narzekać, że jest więźniem rodzinnego gospodarstwa, mógł płakać, że wieś powstrzymuje go od spełniania ambicji, lecz nie wyobrażał sobie przeprowadzki do miasta. Tutaj mógł w każdej chwili wyjść z domu, nie zastanawiał się, co ma na sobie. Był panem, żył w przyjaźni z naturą. Gdyby mieszkał w metropolii i wyszedłby na klatkę schodową bloku w podartej koszuli flanelowej, w upapranych olejem spodniach, wyśmiano by go, uznano za dziwaka. A tutaj, na wsi, to było normalne i... naprawdę piękne. Było tym czymś, co naprawdę kochał.

Całą noc pracował nad niespodzianką dla Kamili. Nie był przekonany, czy spodoba się jej to, co zaplanował. Jednak nie było innego sposobu, aby zakopać wspomnienia.

Przyszedł Jarek. Byli sąsiadami. Kumple z ławy szkolnej. Mieli za sobą wiele przygód, kłótni i wspólnych tajemnic. Michał właśnie jemu opowiadał o marzeniach, zwierzył się, kiedy doszło do pierwszego razu z Kamilą. Na dobre i na złe. Najlepszy przyjaciel. Jarek też borykał się z wieloma problemami. W przeciwieństwie do Michała miał już licencję pilota. Zbierali na nią kilka lat, tyle że Michał musiał oddać wszystkie swoje oszczędności na leki, kiedy zachorowała jego matka. Pomimo że zazdrość buzowała w nim, kiedy widział, jak Jarek wsiada do awionetki lecąc już jako licencjonowany pilot, nie miał wyboru. Takie były koleje losu. Jedni mieli lepiej, drudzy gorzej. Ale i tak wszystko zależało od przypadku.

— Czy ja dobrze robię? — Michał postanowił ostatni raz poradzić się Jarka.

— I tak zrobisz to, co będziesz chciał. Pamiętasz Dominikę? — Michał pamiętał. To była pierwsza dziewczyna jego przyjaciela. Potem wyjechała studiować do Warszawy. Nigdy już nie wróciła. — Pisałem do niej listy, płakałem, marząc, aby kiedyś wróciła. Szukałem pocieszenia. Nic nie przynosiło rezultatu. Nic.

— No ale przecież jesteś teraz z Zosią. Szczęśliwy. Wszyscy ci zazdroszczą.

— Tak. Ale dalej nie rozumiesz. Nie zapomnisz o Kamili. Nawet jej śmierć nie pomoże. Będzie twoim wspomnieniem, którego nie pozbędziesz się do końca życia. Gdziekolwiek się zatrzymasz, cokolwiek będziesz robić, z kimkolwiek będziesz, Kamila zawsze będzie przy tobie.

— Wiem — powiedział Michał po chwili ciszy. — Ale co ja mam zrobić?! Ja ją nadal kocham. Nie wyobrażam sobie, że ktokolwiek da mi tyle szczęścia co ona.

— Jesteśmy młodzi. Poznasz jeszcze mnóstwo pięknych dziewczyn. Myślisz o Kamili, chcesz wymazać ją z pamięci, ale dalej o niej śnisz, dalej czujesz jej dotyk. Nic dziwnego. To wspomnienia. Choć rozum mówi co innego, serce wciąż jej pragnie, nie pozwoli zapomnieć. Wiesz, jaki jest problem? Ty chcesz ją

pamiętać!

— Wiesz, od pierwszej chwili, zawsze kiedy byliśmy razem, wydawało mi się, że znalazłem to, czego szukałem. Obiecywałem sobie, że nigdy jej nie wypuszczę, że dopilnuję, aby nie stała się jej jakakolwiek krzywda. Kiedy powiedziała mi, że z nami koniec, cały czar prysł. Nie powiedziała dlaczego, nie podała powodu. Tak jakbym był plastikową zabawką, która się jej zwyczajnie znudziła. „Już jesteś niefajny, wyrzucam cię do kosza”. To mnie zabolalo najbardziej.

Jarek poklepał go po ramieniu. Głowa Michała opadła. Po raz pierwszy czuł się tak niepotrzebny. Samobójstwo nie było sposobem, aby poradzić sobie z tym problemem. Samobójstwo nie było wyjściem z żadnej sytuacji. Był mężczyzną. Musiał stanąć, podnieść głowę, wypiąć pierś i podążać dalej. Nie miał innego wyjścia. Ale Jarek miał rację — Michał nie chciał zapomnieć o Kamili. Wiedział, że nigdy już nie będą razem. Nie po tym wszystkim.

Miał nadzieję, że wystarczy mu odwagi wieczorem, kiedy będzie musiał zapukać do drzwi domu Kamili, spojrzeć jej prosto w oczy i zrobić to, nad czym pracował całą noc.

Rozdział 46

WJECHAŁA DO KOMENDY NA WÓZKU INWALIDZKIM. Dorota długo spierała się z lekarzami, że czuje się wyśmienicie, że wystarczy jej sił, aby iść samodzielnie. Zmieniła zdanie, kiedy spróbowała stanąć. Niewiele brakowało, żeby zwymiotowała.

Wszyscy obecni przywitali ją gromkimi brawami. Czowała się, jakby wracała do rodziny. Tych ludzi jeszcze cztery dni temu w ogóle nie знаła. Teraz mieli wspólny cel — dopadnięcie mordercy — stali się jedną drużyną.

Byli naprawdę wszyscy. Chyba po raz pierwszy. Komendant siedział na środku. W oddali zobaczyła Roberta. Przysiadł w rogu, wyglądał na osłabionego, ale zarazem zadowolonego tak jak Dorota, że znów tu wrócił, że może brać udział w śledztwie.

Przy tablicy stał Paweł Kownacki. Coś czytał, mazał, przepisywał. Maria kończyła zaparzać kawę. Dorota usłyszała od Czynickiego, który przywiózł ją ze szpitala, że to właśnie ona oraz Paweł zjawili się jako pierwsi w jej domu. Przy

oknie stał Franciszek Aleszkiewicz. Był wręcz purpurowy na twarzy.

Joasia rozmawiała z Tadkiem. Dorota nie знаła się na mowie ciała tak jak Paweł, ale nietrudno było odgadnąć, że tę dwójkę coś łączy. Może jakiś niewinny romans.

Paweł stanął na środku. Maj widziała u wszystkich oznaki zmęczenia, związane z przedłużającym się śledztwem, ale on wyglądał nieprzyzwoicie elegancko, a jego twarz promieniała. Sama wołała nie przeglądać się w lustrze. Kiedy zapytano ją, czy ma na tyle sił, żeby przyjechać do komendy, pomimo ostrzeżeń lekarzy, że może to być niebezpieczne dla jej osłabionego organizmu, nie zastanawiała się długo. Zapomniała o zrobieniu makijażu, narzuciła na siebie przywiezione przez Franka ubrania, bez wahania wypisała się na własne żądanie.

— Zatem jesteśmy w komplecie — Paweł stanął na środku. To właśnie on wiódł teraz prym, ale z przyzwoleniem komendanta. — Zebraliśmy się tu wszyscy, żeby wspólnie dojść do jakichś wniosków. Przez ostatnie dni każdy z nas pracował nad innymi sprawami, każdy z nas spotykał się z innymi świadkami, widzieliście różne rzeczy. Zależy mi, aby każdy opowiedział to, co robił. Może to nam otworzy oczy. Musimy się przyjrzeć wszystkiemu w całości.

— Co się stało Sylwii Słaboń? — komendant podniósł głowę, skierował wzrok na Marię.

— Byłam tam przypadkiem. Chciałam się dowiedzieć więcej o lekach, które brała ze szpitalnego magazynu. Otworzyłam drzwi. Ona już leżała. Po czole spływała strużka krwi. Przybiegł ochroniarz. Zostawiłam sprawę Joasi — Maria spojrzała porozumiewawczo na młodszą koleżankę. — Sama musiałam iść, ponieważ natrafiłam na pewien trop.

— Wygląda na to, że Słaboń niefortunnie się przewróciła, następnie uderzyła o krawędź stołu.

— Wysłałem tam techników — ożywił się Aleszkiewicz — ale nie znaleźli żadnych śladów.

Uwagę Doroty przykuł Głowala. Działo się z nim coś dziwnego. Po policzku spływała mu łza. Nagle wstał i podbiegł do Marii. Niespodziewanie zaczął ją dusić.

To trwało sekundę.

— To ty! To musiałaś być ty! Nie chciała ci powiedzieć prawdy. Ale ona była niewinna! Zabiłaś ją! Potem uciekłaś! To wszystko twoja wina!

Dorota chciała podbiec, uwolnić Marię z uścisku wielkich łap komendanta. Nie miała jednak siły wstać z wózka. Widziała, jak twarz Marii Kozielskiej robi się sina. Paweł Kownacki i Czynicki odciągnęli komendanta. Maria Kozielska opadła na krzesło. Trzymała się za gardło, brała jak najgłębsze oddechy.

Nikt nie wiedział, jak się zachować. Wszyscy patrzyli z przerażeniem na swojego przełożonego. Dorota była przede wszystkim zaskoczona, zbita z tropu.

— To nie może być prawda! — Głowała wciąż wrzeszczał. — Sylwia mnie ostrzegła!

Maj nie miała powodu, żeby przypuszczać, że to Maria zabiła Sylwię. Czowała się jak w krzywym zwierciadle. Wszystko wyjaśnił jej Paweł. Podciągnął rękaw jego koszuli. Wskazał miejsce, gdzie został zrobiony zastrzyk.

— Psylobicyna — popatrzył na Roberta, uświadamiając wszystkim obecnym w sali, że komendanta spotkało to samo.

— Zatem już coś wiemy — powiedziała powoli Dorota, choć nie była do końca przekonana, czy wie, o czym mówi. — To Sylwia Słaboń zrobiła zastrzyk Robertowi, gdy woził dokumenty pomiędzy szpitalem a posterunkiem.

— Wczoraj, kiedy przywieźli cię do szpitala, komendant poszedł szukać Sylwii. Miała dużo czasu, aby zaaplikować mu odpowiednią dawkę „tego czegoś” oraz poinstruować. Pewnie się jeszcze dzisiaj spotkali. Panie komendancie! Czy słyszy mnie pan? — Paweł Kownacki zaczął szarpać Głową.

— Przecież to nie może być prawda! Nie może!

— Teraz nam nic nie powie. Jest w stanie otępienia. Nie wiadomo, jaki cel postawiła mu Sylwia. Może miał kogoś zabić, podobnie jak Robert — wyjaśnił Paweł. Wszyscy spojrzeli na Marię, bo przecież to ją komendant prawie udusił. — Trzeba zadzwonić po pogotowie. Jeżeli Sylwia Słaboń po raz kolejny przesadziła z ilością psylobicyny, reakcja może być podobna jak w przypadku Roberta.

Po chwili usłyszeli sygnał karetki. Komendant został zabrany do szpitala.

Maria powoli wstała. Dorota spostrzegła, że korzysta z inhalatora. Wciąż była blada. Nalała sobie jednak kolejną porcję kawy, po chwili wszystko wróciło do normy. Aleszkiewicz rozmawiał przez telefon. Dorota nie słyszała słów, jednak po nadmiernej gestykulacji można było dojść do wniosku, że chce usilnie przekonać do czegoś rozmówcę.

— Uwierzcie mi, to nie ja zabiłam Sylwię Słaboń — powiedziała po chwili Maria. — Choć wszystko wskazuje na to, że to ona stoi za wstrzyknięciem psylobicyny Robertowi i komendantowi, wątpię, aby była mordercą.

— Zgadzam się — Paweł podchwycił jej słowa. — Był to raczej jego pomocnik. Człowiek od brudnej roboty, który na tym etapie był już niepotrzebny. Może się nie sprawdził, zrobił coś złe.

Dorota poczuła zmęczenie. Widziała w swoim życiu już wiele. Mimo wszystko sytuacja, której przed chwilą była świadkiem, była dla niej niewyobrażalnym szokiem. Zatem Sylwia Słaboń wykradła leki dla poszukiwanego przestępcy. Następnie, zapewne za jego namową, wstrzyknęła halucynogenną substancję Robertowi, potem komendantowi i podała im szczegółowe dyspozycje.

— Trzeba sprawdzić jej rodzinę. Co może ją łączyć z mordercą? Może to jej mąż, kuzyn, brat, tata, mama. Musimy się skupić. Dużo pracy przed nami. O co chodzi? — Paweł spojrzał na Aleszkiewicza, który podniósł rękę, jakby czekał, kiedy będzie mógł coś powiedzieć.

— Przejmujemy sprawę. Już dość nabroiliście. Najlepszym dowodem waszej naiwności jest atak komendanta, który został zauważony — Aleszkiewicz uśmiechnął się szyderczo — po 14 godzinach. Brawo. Gratuluję państwu spostrzegawczości.

Paweł patrzył na niego z odrazą. Dorota do końca nie rozumiała. To przecież oni pracowali od kilkadziesiątu godzin bez przerwy, aby złapać mordercę. Aleszkiewicz pośpiesznie wyszedł. W końcu dopiął swego.

— Dość! — Dorota zobaczyła, że Maria podeszła do tablicy Pawła. — Zabrnęliśmy za daleko, żeby teraz się wycofać. Morderca pozbył się pomocnika, a my musimy mu przeszkodzić.

Maj była pod wrażeniem. Słowa te wypowiedziała osoba, która o mały włos nie zginęła z rąk swojego kompana ze służby oraz została niesłusznie zawieszona w czynnościach policjanta. Nadal miała werwę, co dodawało sił również jej i, jak przypuszczała, wszystkim, którzy pozostali w tym pokoju.

— Macie może zdjęcie tej Sylwii? — Dorota miała pewne przypuszczenia.

Czynicki podszedł do projektora. Po chwili na ścianie ukazało się dość nieostre zdjęcie kobiety leżącej w kałuży krwi.

Serce zaczęło bić jej mocniej. Przecież ona ją dobrze знаła. Jak przez sen. Przez plecy przebiegł jej zimny dreszcz. Serce waliło od natłoku emocji.

— Chyba mamy problem — powiedziała po chwili. Wszyscy zwrócili się w jej stronę. — Trzeba aresztować Tomasza Domagałę. I to szybko. Póki nie jest za późno.

WCIAŻ O NIM MYŚLAŁA. PATRZYŁA TERAZ na swoją komórkę, zastanawiając się, czy napisze jeszcze kiedyś do niej jakiegoś romantycznego SMS-a. Gdyby to ona pierwsza wysłała mu wiadomość, zaprzeczyłaby zakończeniu ich związku. Kamila nie wiedziała, co robić. Mogłaby zabłysnąć intelektem i zapytać, czy ze względu na piękną pogodę Michał pracuje, a jeśli tak, życzyć milej oraz łatwej pracy na roli. Zganiła się w duchu. W jej postępowaniu nie było logiki. To było żalosne.

Odłożyła komórkę. Dzisiaj nie wychodziła z domu. Po porannej wizycie Okulickiego czuła pewien niedosyt. Mecenasa nawet nie próbował jej podrywać. Zyskał na tym sporo punktów. Było to coś dziwnego. Zwykle faceci w jego wieku chcieli nacieszyć się ostatnimi chwilami przy tak pięknej dziewczynie jak ona. Jednak Okulicki zachował się jak prawdziwy dżentelmen. Nie naciskał. Kamila zaprosiła go, więc przyszedł. Napił się kawy.

Zrozumiała, dlaczego nocne przejażdżki nie są dobrym pomysłem. Była taka przerażona. Gdyby nie pewna ręka tego podstarzałego adwokata, mogłoby nie być jej na tym świecie.

Przecież tak niewiele trzeba.

Chciała się zapaść pod ziemię. Może właśnie najgorsze było to, że nie wiedziała dlaczego. To samo uczucie miała, kiedy zerwała z Nowakiem. Był

miłym chłopakiem. Poznali się na studiach. Zerwała z nim bez żalu. Po prostu znudziła się. Może był to rodzaj obawy, że mogłaby się związać z kimś na stałe. A ona na to nie miała ochoty. Nie odpowiadało jej również towarzystwo, jakim się otaczał — ludzi o dziwnych zainteresowaniach, którzy budzili w niej grozę.

Tyle że później miała wyrzuty sumienia. Tak samo jak teraz. Ale przecież ani jej życie, ani ich się nie kończyło. Kolejny przystanek. Na pewno sobie kogoś znajdzie. To po prostu zaszło za daleko. Jeśli zrobiłaby to później, bolałoby o wiele bardziej. Choć wszystko robiła zawsze z pełnym przekonaniem, nie miałaby serca odmówić Michałowi, gdyby postanowił się jej oświadczyć.

Wykręciła numer do terapeuty. Nie przyznawała się nikomu, ale czasem zdarzało się jej korzystać z tego typu pomocy. Nie wiedziała, w czym rzecz. Płacić kilkaset złotych za półgodzinną rozmowę z człowiekiem, którego równie dobrze mogliby zastąpić koleżanka, mama albo ksiądz.

Ale rozmowa z terapeutą już nieraz jej pomogła. Była to ekskluzywna konwersacja. Terapeuta zachowywał wszystko dla siebie. Przez większość czasu słuchał. Był to rodzaj spowiedzi, podczas której można zwierzyć się ze wszystkich lęków, obaw, ale i radości. Potem zwykle następował czas na konkluzje. Taka rozmowa pomagała Kamili zrozumieć własne myśli.

— W czym rzecz? — pół godziny po jej telefonie zjawił się Janusz Kossakowski.

— Zerwałam z Michałem — terapeuta znał życiorys Kamili. Dobrze wiedział, przez jakie perturbacje przechodziła. Mógł z pamięci wyliczyć wszystkich jej chłopaków oraz sposoby zerwania z nimi. Znał ją na wylot. Kamila nie miała przed nim nic do ukrycia.

— Ale...?

— Nie jestem pewna, czy dobrze zrobiłam.

— Miałaś już kiedyś takie wątpliwości — przerwał Kossakowski.

— Tym razem to coś innego. Wtedy było mi szkoda chłopaka. W tym przypadku czuję, że coś się skończyło. Coś pięknego. To, że to zrobiłam, wynikało bardziej z faktu, że wszystko zaszło za daleko, przestraszyłam się. Musiałam to zakończyć.

— Nie tłumacz się. Rozumiem. Zakochałaś się...

— Ale przecież miłość nie istnieje! Ostatnio oboje doszliśmy do takich wniosków.

— Nie, Kamilo. Miłość nie istniała w twoim sercu. A Michał ją uwolnił, stworzył od nowa.

— Minie trochę czasu, wszystko się ułoży. Musi się ułożyć.

— Tak. Na pewno. Choć jeśli to jest miłość...

— Co ma pan na myśli?

Kamila rzadko potrafiła się tak otworzyć. Była zwykle zamknięta w sobie.

— Wydaje mi się — zaczął terapeuta — że miłości nie da się wyrzucić z serca. To typ magnesu. Raz przyczepiony, już nie odpuści. Zostanie w twoim sercu, będzie o sobie przypominał. Wspomnienia nie pozwolą ci cieszyć się codziennością.

— Nie pociesza mnie pan — Kamila wolałaby usłyszeć co innego.

— Nie moją rolą jest pocieszać, ale pokazywać drogę, dawać wskazówki.

— Zatem jaka jest wskazówka na dziś? — spytała szeptem, jakby bała się, że usłyszy ktoś niepowołany.

— Nie bój się, Kamilo. Nie bój się!

Z pamiętnika filozofa

Ta pani. Podobno miała wypadek. Codziennie przechodzimy ścieżkami, których historii wolelibyśmy nie znać. Staramy się omijać niebezpieczeństwa, ale jest to nieuniknione. Boimy się bólu, niewiedzy i... śmierci. Jesteśmy tchórzami, ale właśnie to czyni nas ludźmi. Dopiero bez lęku zaczynamy myśleć nieracjonalnie, co bardziej naraża nas na niebezpieczeństwa.

Ten pan. Znów tutaj był. Jak dobrze widzieć znajomą twarz. Jak dobrze usłyszeć głos przyjaciela. To bardzo pozytywne uczucie. Najbardziej nam go brakuje, kiedy jesteśmy sami, w nowym środowisku, w którym każdy może być potencjalnym wrogiem, nikt nie należy do twoich znajomych. Dlatego proponuję wznieść toast za przyjaciół. Może w końcu kiedyś ich docenisz.

Zbliżamy się do finału, proponuję więc godnie zakończyć nasze filozoficzne przemyślenia. Ponieważ żyjemy w Polsce, jedyne, czego nam nie brakuje, to chmielu i trzciny, proponuję zatem wyciągnąć flaszkę. Choć jest to potwierdzeniem stereotypu Polaka pijaka, to jednak mamy dobrą okazję do wspólnego napicia się. No już. Nie ukrywaj się. Przecież wiem, że nie jesteś abstynentem. Nie pękaj. Ze mną się nie napijesz?!

Pierwsza kolejka. Wzniesmy toast za kobiety. W końcu to one są inspiracją do robienia czegokolwiek w naszym życiu. To właśnie one determinują nasze zachowania. Zaczynamy się starać oraz mamy motywację do kolejnych wyzwań.

Druga kolejka. Za wspomnienia. Choć nie zawsze są piękne, choć nie zawsze chcemy je pamiętać, one będą zawsze stanowić najsmakowszą lekcję naszego życia. Niezmiennie, na zawsze. I może to jest właśnie najpiękniejsze.

Trzecia kolejka. Tym razem toast za ciebie. Albo raczej za twoją wytrwałość. Dobrze ci aż tutaj, wciąż czytasz te literki. Gdzieś tam już zarysowuje się ostatnia kropka. Jest jeden problem. Koniec oznacza rozstanie, a dobrze mi z tobą, potrzebuję obserwatora, który doceni moje czyny.

Korniszonek.

Czwarta kolejka. Za życie. Żebyśmy nauczyli się doceniać to, co mamy, póki jeszcze nie jest za późno. Wciąż narzekając, pesymistycznie patrząc na świat, tracimy czas. Mogę ci dodawać otuchy, powtarzać, że potrafisz zrobić wszystko. Ma to sens, ale tylko w pewnym wymiarze. Możesz ugotować jajecznicę, wybudować dom, urodzić potomstwo. Jednak jeśli chcesz zmienić świat, ty jeden to trochę za mało.

Co za tym idzie...

Piąty toast za to, żeby jednostka miała również możliwość zmiany wizerunku naszej codzienności. Choć może to być błahe, nasz mózg nie pracuje już na najwyższych obrotach (tak to jest, jak pijemy tylko we dwójkę), proponuję poprzez

wypicie szóstej kolejki anulować tę piątą.

Wyobraźmy sobie świat, w którym każdy jest architektem. Wszyscy są szczęśliwi. Jednak wszechobecna boskość sprawia, że wszyscy są równi, więc kiedy chcemy pokazać, jak piękni i cudowni jesteśmy, spotyka nas jedynie rozczarowanie.

Ups... kończy się.

Zatem ostatnia kolejka. Pozwolę sobie zasugerować. Za tę filozofię, żeby można ją było kiedyś nazwać lekcją pokoleń, niedopracowanym świadectwem geniuszu autora. I chyba najważniejsze — żeby przetrwała, może w twoich wspomnieniach, może na półce, ale jej byt będzie świadectwem na to, że nie wszystko przemija.

A żeby końcówka nie była tak sentymentalna, jako że dżentelmeni po alkoholu nie piją, proponuję zjeść korniszonka.

Rozdział 47

CZUŁ JEJ ZAPACH. BYŁ JUŻ TAK BLISKO. Mógł wyciągnąć rękę i jej dotknąć. Jego ostatnia ofiara. Za kilka godzin będzie już innym człowiekiem. Przeszłość nie będzie istnieć. Znikną wszystkie wspomnienia. Będzie tylko on oraz jego własny geniusz.

Chciał wrócić ostatni raz do swojej mekki, spojrzeć na ukochany obraz. Potrzebował siły, a wiedział, że obraz da mu to, czego chce. Miał świadomość, że będzie musiał go zostawić. Taka była umowa, on nie miał odwagi jej zrywać. Przecież swojemu geniuszowi trzeba pomagać, a ta umowa była najlepszym dopalaczem życia.

Zrobił obchód. Zachowywał się jak myśliwy, który bada teren łowów. Z tym, że on nie miał ani strzelby, ani odpowiedniego ubrania. Jego ofiarą miał być człowiek. Największą bronią jest zemsta. To ona popycha nas do najgorszych czynów, to ona daje nam siłę, aby wciąż dążyć do obranego celu. Tak było właśnie z nim.

Nie żałował swoich poprzednich zbrodni. Zresztą to nie on był zabójcą. On tylko obserwował. Nie zrobił jeszcze nic złego.

Jeszcze.

Co prawda miał w torbie strzykawkę napełnioną Alprazolamem, którą dostał od Sylwii Słaboń. Ale wątpił, aby musiał jej używać. Tym razem miał prawdziwy motyw. Tym razem chciał zabić, nikt mu w tym nie mógł przeszkodzić.

A potem ucieknie. Daleko. Tak, że nie dosięgną go nawet wspomnienia.

HIPNOZA. STAN SKONCENTROWANEJ ŚWIADOMOŚCI. Człowiek znajdujący się w stanie transu był zabawką w rękach hipnotyzera. Mógł odczuwać największą radość w swoim życiu, ale zarazem smutek. Targały nim skrajne emocje, które mogły doprowadzić do zrobienia rzeczy nieetycznych, niezgodnych z wartościami życiowymi człowieka zahipnotyzowanego.

Człowiek posiada niezliczoną liczbę umiejętności, z których zwyczajnie nie potrafi korzystać. Stan hipnozy sprawia, że można na obiad wybrać odpowiednie danie — zdolność, która jest nam aktualnie potrzebna. Urzędnikowi, który pracuje za biurkiem w magistracie, wystarcza umiejętność stemplowania i segregacji dokumentów. Kiedy znajdzie się w stanie hipnozy, może zacząć robić rzeczy, o których wcześniej nawet nie marzył. Na przykład chodzić po cienkiej linie sto metrów nad ziemią lub wykonać szpagat. Inna sprawa, że jego mięśnie mogą nie wytrzymać. Może zrobić sobie krzywdę.

Wszystko zależy od człowieka. Paweł siedział naprzeciwko Tomasza Domagały. Wcześniejszy obraz człowieka pogrążonego w wielkim smutku, jaki dominował podczas ich pierwszego spotkania w pokoju przesłuchań, zniknął. Teraz na krześle siedział człowiek owinięty płaszczem, mający na głowie niewidzialny pancerz, który miał go uchronić przed gradem pytań ze strony Kownackiego. Od początku dla Pawła było jasne, że Tomasz nic mu nie powie. W tej chwili czekał już tylko na adwokata, który miał udowodnić niemożliwe — niewinność Domagały.

Dorota rozpoznała w Sylwii Słaboń Basię Nikłowską. Rozmawiała z nią po oględzinach domu Tomasza Domagały. Basia była świadkiem, który podobno widział mężczyznę włamującego się do domu Tomasza. Maj była przekonana, że ocknęła się w szpitalu, a jakaś pielęgniarka sprawiła, że zasnęła ponownie. Aby mieć pewność, że wszystko w porządku, wróciła do szpitala. Lekarze gruntownie ją przebadali, czy przypadkiem nie wstrzyknięto jej psylobicyny czy gorszego świństwa.

Komendant powrócił do formy. Właśnie rozmawiał z Marią, która miała mu

powiedzieć, że śledztwo zostało przejęte przez stolicę. Domysły się potwierdziły. Podobno gdy Głowala był w nocy na oddziale psychiatrycznym, Sylwia Słaboń wstrzyknęła mu dawkę psylobicyny. Tym razem ilość była odpowiednio mniejsza, tak że nie doszło do gwałtownej reakcji organizmu jak w przypadku Roberta. Znaleziono pacjenta, który podsłuchał rozmowę Głowali z jakąś kobietą. Miało to miejsce w męskiej łazience około godziny dziesiątej. Podobno kobieta próbowała wmówić komendantowi, że wszyscy jego podwładni są przeciwko niemu i to był główny powód kolejnych porażek w śledztwie. Miał się ich jak najszybciej pozbyć, aby złapać mordercę. Jeżeli pacjent mówił prawdę, Głowala długo walczył sam ze sobą. W końcu nie wytrzymał. Pomiedzy nim a Sylwią musiało dojść do jakiegoś zbliżenia, skoro zdenerwował się, słysząc o jej śmierci, w ataku furii zaczął dusić Marię Kozielską, bo to ona ujrzała ją martwą jako pierwsza, to ona nie udzieliła jej pomocy.

Paweł był dumny z tego, jak dobry okazał się jego pomysł. Po Tomasza wysłali Joasię. Młoda policjantka nie rozmawiała z żadnymi świadkami, nie uczestniczyła w przeszukiwaniu jakiegokolwiek miejsca zbrodni. Zanim Tomasz Domagała został na posterunek dowieziony, każdy zdał szczegółowy raport. Każdy był indywidualnością — znał tylko część wydarzeń. Robert powtórzył wszystkie informacje o znaku CIS, jakie znalazł, Maria dodała swoje spostrzeżenia dotyczące tartaku, rezydencji Okulickiego oraz zapachu w domu Doroty. Paweł zdał szczegółowy raport z przesłuchań i własne psychologiczne spostrzeżenia. Tadek opisał dom Teresy Wójcik, bo to właśnie on znalazł się tam jako pierwszy. Miał notatki dotyczące interpretacji księdza Jana, które wyrecytował tak, jakby znał je na pamięć. Czynicki dodał kwestię listu, o którym wszyscy zapomnieli. Posterunkowy sprawdził jeszcze raz skrzynkę, która okazała się na szczęście pusta. Swoją wywód zakończył na błędnej poszlacie dotyczącej stadniny koni. Paweł domyślał się, że Czynicki bardziej niż o stadninie pamiętał o Kamili Trewor, która również jemu zapadła w pamięć. Miał nadzieję, że Julia nie widzi jego myśli.

Nie wiedział, jak złamać Tomasza. Jego postawę można było określić jako: „Jak ruszysz moją głowę, to ja twoją zniszczę”. Jego oczy były prawie żółte, szklane, bez wyrazu. Patrzyły wściekle w stronę kamery. Usta miał popękane. Jak widać, nie przejmował się ich wyglądem. Strzepał z rękawa jakiś niewidzialny pył. Kajdanki uniemożliwiały mu ruch, tak że jego nerwowe tiki wyglądały w oczach Pawła zwyczajnie żałośnie. Słowami go nie miał możliwości zmiękczyć. Nie chciał mówić, bo nie miał ku temu powodu.

Informacje podane przez Dorotę dotyczące miejsca zamieszkania Tomasza Domagały coś mu wyjaśniły. Oglądając nagrania z pierwszego przesłuchania,

wciąż miał poczucie, że coś pomija. Teraz, gdy wyszło na jaw, że Tomasz miał interes w tym, aby Teresa zniknęła z tego świata, Paweł domyślał się, że morderca mógł zostać nawet wynajęty do tej zbrodni. Tomasz mieszkał z rodzicami. Miał już trzydzieści lat, powinien się usamodzielić. Wspólne mieszkanie było zapewne prawdziwą katorgą. Kownacki wątpił, żeby był mordercą. Nie był typem takiego człowieka. Miał za czyste ręce, alibi, no i brak motywacji w przypadku kolejnego zabójstwa oraz próby morderstwa Doroty Maj. Nie znał się na komputerach. Był księgowym, z historią miał na bakier, co wykluczało zainteresowania mistycznymi znakami starożytnego Egiptu czy też łaciną. Jego pobicie mogło zostać sfingowane. Jeżeli Sylwia Słaboń była jego współniczką w całej tej akcji, mogła powiedzieć dokładnie to, co chciał. „Och tak, widziałam jakiegoś człowieka, wbiegał do domu Tomasza”. Trudno byłoby mu przypisać zabójstwo Sylwii Słaboń. Nie wyglądał w oczach Kownackiego na człowieka, który byłby do tego zdolny. Poza tym miał alibi. Był wtedy w pracy. Na konferencji. Mogło potwierdzić to siedmiu pracowników.

Paweł mógłby zastosować hipnozę, jednak ze względu na bierność Tomasza musiałyby użyć metody ericsonowskiej. Kownacki bał się jej, bo choć uchodziła za najbezpieczniejszą — polegała na sile perswazji — często kończyła się dramatycznie. Byłoby to wbrew etyce Pawła. Na pierwszym miejscu stało poszanowanie dla drugiego człowieka, bo choć miał o Tomaszu bardzo niskie mniemanie po ostatnich doniesieniach, to jednak nie chciał ryzykować.

— Jeżeli powiesz nam, kim on jest, na pewno uda nam się zmniejszyć wymiar kary — postanowił zagrać dobrego glinę, choć z policją miał na co dzień niewiele wspólnego.

— Pierdolcie się wszyscy! — Tomasz tak wrzasnął, że Paweł omal nie zleciał z krzesła. — Nigdy go nie złapiecie. On wie, co robi. Zrobi to, co zaplanował, potem zniknie... na zawsze.

W głosie chłopaka wyczuł dwa skrajnie różne uczucia. Gdy mówił o nim, można było dojść do wniosku, że bardzo go ceni, jest on dla niego kimś w rodzaju boga. Jednak obecny był też strach, bo miał świadomość tego, że jego czyny są straszne.

Paweł wolał nie myśleć, jak bardzo straszne...

ZJADŁA KOLEJNEGO BATONIKA. CZEKOLADA delikatnie rozpuściła się przy podniebieniu. Słodczyce zawsze były zmorą Marii. Nie umiała się bez nich

obyć. W każdy poniedziałek zaczynała dietę, która kończyła się tego samego dnia wraz z rodzinnym podwieczorkiem — jej mama nigdy nie zapomniała o przyniesieniu swoich domowych wypieków.

No i ta przepyszna kawa. Znów wyplukiwała jej magnez, o jakże ważny dla organizmu. No ale jedząc same batoniki, udusiłaby się. Człowiek powinien pić. Bez wody umrze.

Kozielska weszła do szpitalnej sali. W ostatnim tygodniu bywała w szpitalu codziennie. Spojrzała na komendanta, który zakrył twarz rękami. Unikał wzroku Marii. Nie potrafiła logicznie wyjaśnić, dlaczego to właśnie ona stała się dwukrotnie ofiarą. Przed śmiercią z rąk Roberta uratował ją przypadek. Gdyby Paweł zainterweniował za późno, Głowała mógłby ją bez problemu udusić. Lepiej było o tym nie myśleć.

— Odebrali nam sprawę — Maria usiadła na krześle. Patrzyła wprost na starą ścianę, z której odklejała się brudna tapeta. Ona też nie miała odwagi spojrzeć w oczy swojemu przełożonemu.

— Można się było tego spodziewać — głos komendanta był zachrypnięty.
— Mam rozumieć, że wszyscy dalej pracują?

— Wie pan, panie komendancie — pomimo że była zawieszona, wolała zachować wszelkie formalności — kiedy cała machina śledztwa rozpoczęła się w ostatni wtorek, nie widziałam szans, abyśmy byli w stanie złapać tego przestępcę. Każdy był indywidualnością. Nie mieliśmy ani odpowiedniej wiedzy, ani doświadczenia. Potem straciliśmy Weronikę. To był wielki cios dla nas wszystkich, ale niewiele brakowało. Wynikało to raczej z przypadku niż solidnej pracy merytorycznej, ale było sukcesem. Teraz, kiedy wszyscy mają świadomość tego, że najbliższe godziny są najważniejsze, jesteśmy drużyną.

Komendant odsłonił twarz. Płakał.

— Kilka razy słyszałam opinię, że te listy pozostawiane przez mordercę są swoistą grą — kontynuowała Maria. — Teraz jesteśmy jednym zespołem. Wymieniamy się wiedzą, wspólnie pracujemy. Bierzemy zbiorową odpowiedzialność, dzięki temu każdy z nas czuje się silniejszy.

— Kim jest morderca, Mario? Kim? — ich oczy się spotkały.

— Kimkolwiek jest, nie jest świadomy naszej siły. Damy radę. Mamy niewiele czasu, ale powstrzymamy go. Nie ma innego wyjścia.

— Przepraszam cię — te słowa musiały w końcu paść. Maria miała *déjà vu*. — Powiniennem zacząć od tego niefortunnego zawieszenia. Jak się pewnie domyślasz, była to decyzja Aleszkiewicza. Ten grubas doszedł do wniosku, że im mniejszy oraz bardziej podzielony będzie mój zespół, tym szybciej uda mu się namówić stolicę, żeby to właśnie jemu przekazali dowództwo w tej sprawie. Prawdę mówiąc — komendant podrapał się po głowie — myślałem początkowo, że to on wstrzyknął psylobicynę Robertowi, żeby cię zaatakował. Pojawienie się prasy dało mu jednak lepszą sposobność, pozbył się ciebie. Dziękuję ci, że zostałeś. To dla mnie bardzo ważne.

— Dlaczego pan posądzał Aleszkiewicza o takie zachowanie?

— W jego aktach jest napisane, że jego żona jest farmaceutką, więc automatycznie mi się tak skojarzyło. Ale wątpię, nie mamy dowodów. Przepraszam cię również za to zajście dzisiaj. Nie uchodzi komendantowi być naiwnym jak dziecko i dać sobie zrobić jakiś zastrzyk. Cały czas staram się dociec, jak do tego mogło dojść, ale mam mętlik w głowie.

— Każdy mógł zostać jej ofiarą. Padło na pana.

— Dobrze wiesz, Mario, w jakim byłem wczoraj stanie. Nie powinienem pić na służbie. To wszystko moja wina. Zasłużyłem sobie na przegraną. Przegrałem wojnę sam ze sobą.

Kozielska nie wiedziała, co powiedzieć. Przyszła tutaj oznajmić mu nowinę, nie liczyła na takie sentymentalne zwierzenia. Skierowała się do wyjścia. To miejsce było upiorne. W towarzystwie komendanta czuła się wyjątkowo niezręcznie po ostatnich wydarzeniach.

— Mario! — Głowała zawołał ją w momencie, kiedy już otwierała drzwi. — Wierz mi, zrobię wszystko, aby te dokumenty Okulickiego się znalazły. Jestem to wam winny.

Kozielska kiwnęła głową. Wyszła, pozostawiając komendanta sam na sam ze swoimi smutkami. Udała się do komendy. Do morderstwa mogło dojść za kilka minut. Była bardzo ciekawa wyniku przesłuchania Tomasza Domagały. Paweł był sceptyczny przed tą rozmową, ale Maria wierzyła w jego możliwości. Poczula

przyjemny zapach jaśminu. Zastanawiała się, skąd może pochodzić. Zdała sobie sprawę, że ma na sobie kurtkę Pawła. Pożyczył jej, gdy wychodziła, bo swojej zapomniała wziąć z domu, a wieczory nadal były bardzo chłodne.

Coś ciążyło w lewej kieszeni. Wyjęła czerwony notes Kownackiego. Nigdy by się nie odważyła czytać cudzych notatek, ale przecież droga do komendy była jeszcze długa, a mogła znaleźć tam coś ważnego, coś, co Paweł zwyczajnie przeoczył.

Tylko zerknie. Nic się nie stanie. Nikt się nie dowie.

Otworzyła na pierwszej stronie. Notatnik był sfatygowany. Widać było na nim ślady używania. Zewnętrzna część prawie w całości się odkleiła. Kilka kartek było zalanych kawą. Zapisane były jakieś adresy, numery telefonów, portale internetowe. Potem pojawiły się nieznane Marii nazwiska. Wyglądało to w ten sposób, że w nagłówku zapisane było czyjeś imię, a poniżej od myślników poszczególne słowa, krótkie notki. Kozielska domyśliła się, że Paweł zapisywał wszystko, co przychodziło mu na myśl.

W końcu dojrzała do końcowych stron. Rozpoznała nazwisko Czynickiego. Paweł pisał bardzo starannie, jednak niektóre literki były przekrzywione i nierówne, tak jakby stawiał je na nierównej powierzchni. Potem Joasia, Tadek, Głowala, Dorota Maj, ksiądz Jan, Franciszek Aleszkiewicz. Serce Marii zaczęło bić mocniej. Jej poświęcone były aż dwie strony. Minęła je jednak. Miała nadzieję, że nawet po sprawie będą utrzymywać kontakt. Może zostaną przyjaciółmi, będą się umawiać na pogaduszki.

Kozielska się rozmarzyła. Dobrze się z nim rozmawiało, bardzo lubiła jego towarzystwo. Ceniła również jego pracę oraz umiejętności. W notatniku nadszedł czas na Tomasza Domagałę, Kamilę Trewor, Okulickiego. Kolejne kartki w wielu miejscach były pokreślone. Maria doszła w końcu do wniosku, że jest to profil mordercy, ten sam, który widziała na posterunku na większej tablicy.

Całość zamykało ostrzeżenie. Napisane czerwonym markerem, drukowanymi literami: „MORDERCĄ MOŻE BYĆ KAŻDY”. Maria bezwiednie obróciła się, żeby się upewnić, czy nikt za nią nie idzie. Słońce już zaszło, a na niebie gościła delikatna jasna poświata.

Upiornie.

Przyśpieszyła kroku. Byle jak najszybciej znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Tylko czy takie jeszcze istniało...

Rozdział 48

JASIO MIAŁ SWOJE POWODY, ŻEBY PRZEZ CAŁY dzień nie wychodzić z domu. Babcia poszła na wieczorną mszę do kościoła, tata wyszedł do redakcji parę minut temu. W rękach niósł jakieś kartonowe pudła. Mamy nie widział od dawna.

Owinął się mocniej swoją pierzyną. Było mu w niej bardzo ciepło. Pot wsiąkał w poduszkę. Tata podał mu witaminę, ale Jasio wypluł tabletkę, kiedy nikt tego nie widział. Babcia zagotowała mu jakieś lecznicze ziółka, jednak pocieszył się butelką wody, którą miał schowaną pod łóżkiem.

Za oknem zapanowała ciemność. Drewniane schody skrzypiały tak, że miał uczucie, że nie jest sam w domu, że ktoś skrada się do jego pokoju. Wszystko było takie głośnie. Jasio chciał usłyszeć ciszę, choć na chwilę poczuć się bezpieczny, a cały ten dom mu to po prostu uniemożliwiał.

Wszyscy traktowali go jak dziecko, wszyscy bez wyjątku. I mieli rację. Był jeszcze mały. Ale nikt nie mógłby przypuszczać, że taki mały chłopczyk może mieć problemy, z którymi chciałby się podzielić. Wciąż nikogo nie było, wciąż wiecznie to samo.

Nie był w szkole. Wszędzie czuł się obserwowany. Śledziły go oczy nieznanego. Bał się. Bardzo się bał. On naprawdę był małym dzieckiem, potrzebował ochrony. Zerknął z lękiem również na komputer. Czuł się źle. Powinien wcześniej sprawdzić pewne rzeczy.

Chciał zasnąć, zapaść w głęboki sen i nigdy się nie obudzić. Jak niedźwiedź.

Wtedy przynajmniej nie widziałyby tych straszliwych zmor, które zaciskały dłonie wokół jego szyi.

OPADŁ BEZ SIŁ NA ŁÓŻKO. BYŁ TAKI STARY, taki głupi, taki naiwny. O tak! Głowała wiedział, że jego kariera się zakończyła. Choć rozumiał, że ta sprawa wieńczy ją całkowicie, chciał przynajmniej dopomóc w odnalezieniu dokumentów Okulickiego. Wysłał anonimy, bo myślał, że to najlepszy sposób,

aby zakończyć wszelkie interesy z mecenasem. Do tych danych dotarł całkowicie przypadkiem. Według statystyk tartak nie przynosił Okulickiemu większych dochodów. Oczywiście wpływy były mocno zaniżane, aby jego emerytura się zgadzała. Trop prowadził do CBA. Sprawa dotyczyła byłego klienta mecenas, niejakiego Henryka Bardnickiego, który został przyłapany przez CBA na machlojkach finansowych. Jego firma ubezpieczeniowa podpisała umowę z całą rzeszą biegłych, którym wypłacała duże sumy w zamian za przychylne zeznania. Podczas jego aresztowania doszło jednak do wypadku. Bardnicki poruszał się teraz jedynie na wózku. Temperament Okulickiego przegrał z jego zmysłem do interesów. Przekonał swojego klienta, że oferta wystosowana przez CBA jest znakomita i należałoby przystać na jego warunki umowy.

To właśnie te pieniądze stały za licznymi inwestycjami Okulickiego w okolicach Lubaczowa. Duże kwoty na jego kontach bankowych mogłyby wzbudzić zainteresowanie. Możliwe, że był to warunek prawników Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Wiele zakupionych domostw, wybudowanie magazynów czy hangarów na terenie tartaku. Trudno było udowodnić, że pieniądze na ten cel pochodzą od CBA. Komendant widział na własne oczy dokumenty, które potwierdzały współpracę Okulickiego. Najgorsze było to, że płacili za to podatnicy. Właśnie ta sprawa poróżniła go z mecenasem. Wzajemnie się szantażowali. Gdyby komendant wyznał prawdę o CBA, Okulicki powiedziałby o jego przekrętach. Bo Głowala też nie był bez winy. Też czerpał korzyści materialne. Pomimo że wiedział o nieprawidłowościach w tartaku, machał ręką, pozwalając na rozszerzanie procederu.

Głowala nie wiedział jednak, że o sprawie dowiedziała się Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Komendant dobrze znał ich metody. Uciszą całą sprawę, zmienią władze, nic nie dotrze do mediów. Dopadli również Kozielskiego, zresztą bardzo umiejętnie. Z tego, co powiedział mu Marek, ABW miała swojego szpiega w tartaku, który dowiedział się więcej, również o jego udziale w tej sprawie.

Jedyne, co było teraz potrzebne Markowi do publikacji artykułu, to dokumenty, które potwierdzałyby przestępcze działania Okulickiego, mówiłyby jasno, jakie osoby opłacał w zamian za przemykanie oka na jego działalność. Głowala nie znał dokładnych danych. Zamieszani byli w to najważniejsi, poczynając od miejscowych oraz wojewódzkich władz leśnictwa, samorządu, a kończąc na organach kontroli i władzach izb rachunkowych.

Ale potrzebne były dokumenty. Wiedział, że musi pomóc w ich

odnalezieniu. Były niezbitym dowodem jego skorumpowania, ale był winny to nie tylko Markowi i Marii, których osobiście bardzo cenił, ale również sobie, bo przecież nie można żyć ze świadomością, że oszukało się prawdę.

Wstał. Podbiegła pielęgniarka.

— Niech się pan położy. Jest pan osłabiony!

— Czuję się wyśmienicie — bolała go głowa, ale nie miał czasu na szpital. Potrzebowali go na posterunku. Musiał w końcu przestać się uzalać nad własnym losem. Musiał przejąć dowództwo i choć Aleszkiewicz odebrał mu to, nad czym tak długo pracował, nie pozbawił go chęci do pracy, która pochłonęła całe jego życie.

— DZISIAJ MAMY PODWÓJNĄ OKAZJĘ DO ŚWIĘTOWANIA! — Dorota siedziała już na zwykłym krześle. Przytulała do piersi Mateusza. Teściowa podawała „coś”. Synowa nie umiała określić tego, na co patrzyła, innymi słowami. Wszystkie oczy zwrócone były jednak na Franka, który przemawiał z kieliszkiem wina w ręku. — Skończyłem!

Jej mąż wyglądał na szczęśliwego. Dawno nie widziała go takiego dumnego. Cieszyła się jego radością. Od tak dawna nie potrafił nic napisać...

Było dzisiaj tak pięknie. Nawet teściowa jej nie przeszkadzała. Możliwe, że wynikało to z tego, że do tej pory nic nie mówiła. Dorota czuła się już lepiej. Wszystko jej smakowało, zawroty głowy minęły. Mimo wszystko wołałaby być na posterunku. Paweł Kownacki powiedział jej wprost, że morderca nie zaatakuje jej drugi raz i żeby wróciła do domu, wypoczęła, spędziła czas z rodziną.

— Rozmawiałeś z wydawcą? — Dorota udała zaintrygowaną.

— Mówi, że książka jest w porządku — teściowa, słysząc słowa Franka, podeszła do swojego synusia, żeby przytulić go do matczynej piersi.

— Dziękuję ci, mamo! — Dorota nie wierzyła, że kiedykolwiek przyjdzie jej wypowiedzieć te słowa. — Gdyby nie ty...

Tym razem to ona została wyściskana przez teściową. No cóż, nie takiej reakcji się spodziewała, jednak ku jej zdziwieniu — było to nawet miłe. Potem dołączył do nich Franek i Mateusz. Nie wierzyła w to, co się dzieje. Tak długo

walczyła o to, aby jej rodzina stanowiła jedność. Właśnie to miało miejsce. Co z tego, że zapiekanka teściowej nie pachniała zbyt zachęcająco? Co z tego, że morderca mógł przechodzić teraz obok jej domu? Co z tego, że jutro obudzi się i będzie musiała czytać książkę Franka? Teraz nic się nie liczyło. Była z rodziną. Ostatnie dni były dla nich wielką próbą. Niewiele brakowało, a doszłoby do nieszczęścia. Ale o tym wszyscy woleli zapomnieć.

Usiedli do stołu. Dorota nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu, gdy Franek próbował przekonać swoją mamę, że jej zapiekanka jest wyśmienita, a zjadł niewiele tylko z tego powodu, że nie jest głodny. Potem musiał się tłumaczyć Mateusz. On wpadł na inny pomysł: odwołał się do zaleceń dietetyków, że po osiemnastej nie powinno się nic jeść. Te argumenty nie przemówiły do teściowej, ale w końcu dała wnukowi spokój.

— Nie, mamó. Naprawdę — Dorota podniosła ręce w geście kapitulacji, widząc, że teściowa wstaje, by nałożyć jej porcję, bo widocznie doszła do wniosku, że Maj nie nakłada sobie, gdyż nie ma sił. Niestety młoda pani naukowiec wymyśliła na poczekaniu coś niezwykle głupiego, jak na polskie realia niemożliwego: — Nie, mamó, najadłam się w szpitalu.

Teściowa spojrzała na nią z trwogą, w końcu opadła bez sił na krzesło, rzuciła łyżkę do zlewozmywaka i wyciągnęła jakąś ulotkę.

— Dzisiaj zapiekanka faktycznie nie do końca mi wyszła. — Dorota nie mogła uwierzyć, jak wszystko zmieniło się z dnia na dzień. — Może zamówimy pizzę? — dodała teściowa z uśmiechem.

Mateusz się rozradował. Od razu wrócił mu apetyt.

Ale Dorota znów myślami była gdzie indziej. Kim mógł być morderca? Kogo zaatakuje? Czy jest jakaś szansa, aby go złapać?

Przeszła do salonu. Może kryminaliści coś pominęli? W aktach sprawy przeczytała, że znaleziono tylko strzykawkę z Alprazolamem. W powietrzu rozpylono jakiś środek, który sprawił, że Dorota straciła przytomność. Gdy rozmawiała z Marią, policjantka stwierdziła, że był to zapach przypominający swąd tytoniu. Dorota świetnie wiedziała, o co chodzi. Czuła to i w domu Weroniki Stępień, jak również u Tomasza Domagały. Może coś zostało przeoczone? Wciąż nie potrafiła dojść do tego, jak morderca znalazł się w jej domu. Gdy zadzwonił telefon, przestępca musiał być na zewnątrz, bo przeciął kabel telefoniczny, co

przerwało rozmowę. Potem Dorota poszła zamknąć drzwi. Nie było innej możliwości jak ta, że morderca był już wtedy w jej domu. Gdzie się schował? Może w niewielkim pokoju gospodarczym? Otworzyła powoli drewniane drzwi. Franek przyglądał się jej z ciekawością. Była również kolejna niewyjaśniona zagadka. Patelnia. Jak on przeżył to mosiężne walnięcie teściowej? Pamiętała, że czytała książkę. Coś o *Commiphora abyssynica*. Wciąż miała luki w pamięci. Lekarze powtarzali, że cudem jest to, że udało się jej tak szybko dojść do siebie. Badania nie wykazały żadnych powikłań po wstrzyknięciu zagadkowego leku przez pielęgniarkę. Dorota wciąż nie była przekonana, czy ta scena była prawdziwa. Równie dobrze mógł to być sen. Jeżeli Sylwia Słaboń była w jej sali po to, żeby zrobić jej jakąś krzywdę, popełniła błąd — pytanie, czy celowo.

Dorota chciałaby wrócić do lektury encyklopedii. Może dowiedziała by się czegoś ważnego. Jednak wszystkie dowody zostały przeniesione do nowej siedziby operacyjnej Franciszka Aleszkiewicza, a żaden z lubaczowskich funkcjonariuszy nie był tam mile widziany.

Weszła do salonu. Pierwsze, co zrobiła, to wzięła głęboki oddech. Pokój był kilkakrotnie przewietrzony. Jednak Dorota coś wyczuła. Na swój sposób przypominało to dym papierosowy, ale jej czuły węch odbierał wyraźną różnicę. Nie potrafiła rozpoznać zapachu.

Poczuła rękę teściowej na ramieniu.

— Zapewne zastanawiasz się, co to za zapach — zagadnęła ze swym tajemniczym uśmiechem. — W tej kwestii chyba mogę ci trochę pomóc...

Rozdział 49

MICHAŁ DOSTRZEGŁ W LUSTRZE SWOJE ODBICIE. Był przystojny jak nigdy wcześniej. Chciałby założyć mundur pilota, wtedy czułby się jeszcze pewniej. Tego nie mogło mu dziś zabraknąć. Czy był gotowy? Czy można było być gotowym na takie coś?

— Gdzie się wybierasz? — do pokoju zajrzała matka.

O nie! Teraz nie miał ochoty z nią rozmawiać. Zaraz doczepli się o nieposprzątaną pokój, niewyniesione śmieci, nienaprawiony traktor. Michał to wszystko robi, ale jutro. Teraz miał ważniejsze sprawy na głowie, niecierpiące zwłoki.

— Na spotkanie, mamó, na spotkanie — powiedział pierwsze, co mu przyszło na myśl.

— Tak ubrany? Nie przesadzaj! Pewnie znów do tej swojej Kamili. Mam nadzieję, że wrócisz przed północą!

Oznaczało to, że jeśli kwadrans po północy Michała nie będzie, poruszy niebo i ziemię, aby jak najszybciej odnaleźć kochanego synka. Michał Rybak kochał swoją mamę, ale czasem wydawało mu się, że zwyczajnie przesadza z nadopiekuńczością. Przecież miał już dwadzieścia sześć lat! Najwyższy czas, żeby się ustatkować, założyć rodzinę. Jako jedyny syn zawsze był rozpieszczany. Z drugiej strony to właśnie na jego barkach spoczywał obowiązek zapewnienia, aby ich rodzinne gospodarstwo prawidłowo funkcjonowało.

— Daj spokój, mamó. Uspokoję cię. Z Kamilą wszystko skończone. Zadowolona? — zabrzmiało to chyba aż nazbyt cynicznie.

— Ależ synku...

— Dość, mamó! Muszę odpocząć. Nie wiem, czy wrócę na noc. Nie martwcie się o mnie. O piątej oczywiście wstanę i nakarmię zwierzęta. O to nie musicie się bać.

Wyszedł pośpiesznie z domu. Przez całe popołudnie dbał o to, aby nic, kompletnie nic go nie rozpraszało. Teraz, gdy zmierzał ku swojemu celowi, miał do siebie pretensje, że mimo wszystko zbyt szorstko potraktował mamę. Jutro kupi jej różę, wszystko będzie w porządku. Mama od początku sprzeciwiała się jego związkowi z Kamilą. Takie rozwiązanie było jej bardzo na rękę. Nie było sensu w tej chwili rozpamiętywać. Trzeba iść. Prosto do celu. Jak zawsze.

MAREK SIEDZIAŁ W SWOIM BIURZE. Dziesięcioletnia kariera w redakcji właśnie dobiegała końca. W rogu stał karton z wszystkimi jego prywatnymi rzeczami. Na blacie biurka leżała kartka z pisemnym wypowiedzeniem z pracy. Nie lubił przegrywać. Każda porażka bolała go mocniej niż innych. W tym przypadku mógł jedynie się z nią pogodzić.

I tak wszyscy czekali na ten krok. Bali się jednak, że jego zwolnienie odbierze redakcji sponsoring jego ojca. Tak zapewne się stanie. Zarząd nie będzie miał problemu. Pomimo dziesięciu lat, które tu spędził, nie czuł się przywiązany do

tego miejsca. Kiedy zjawił się tutaj po raz pierwszy, przywitał się ze swoimi nowymi współpracownikami, wyraził nadzieję, że będą jednym wielkim zespołem kreatorów. Nigdy się tego nie doczekał. Chciał zrobić pewne roszady osobowe, pozwalniać osoby, które traktowały tę pracę jako źródło utrzymania, a nie czuły żadnego dziennikarskiego powołania, ale zarząd nigdy się nie zgodził na jego propozycje.

Teraz pozostało mu tylko zawiadomić urząd skarbowy o nieściskościach w Tartexie. Firma Okulickiego zostanie zamknięta, co nie będzie się podobało ludziom, bo wielu znalazło tam stałą pracę. Możliwe, że Marek będzie musiał się z całą rodziną przeprowadzić w miejsce, gdzie nie będzie wytykany palcami. Jednak Kozielski musiał się tak zachować. Nie chciał pozwolić na dalsze machlojki finansowe. Tak nie mogło być. Istniało również przypuszczenie, że urząd skarbowy o wszystkim wiedział albo był opłacany podobnie jak komendant Głowala.

W rękach trzymał jednostronicowy artykuł. Wyciągnął zapalniczkę. Podpalił. Patrzył, jak wszystko, co miał, spala się w jego własnych rękach. Tak długo pracował nad sprawą korupcji w CBA. ABW skutecznie zamknęło mu usta. Chętnie by się z nimi spotkał jeszcze raz, wypuł wszystkie słowa, które teraz kumulowały się w jego sercu.

Potrzebował rozmowy. Musiał jechać do komendy. Maria poprosiła go o dowiezienie jakiejś książki. Marek długo szukał jej wśród zakurzonych regałów. W końcu znalazł. „Drzewa i rośliny. Elementarz biologa”. Podręcznik żony z czasów studiów nie wyglądał mu na elementarz. Liczył ponad tysiąc stron zapisanych drobnym maczkiem.

Potem chciał spędzić trochę czasu z synem. Przed nimi weekend. Może pojedą na ryby, nauczy Janka łowić. Zapewne Maria spróbuje wyrzucić im z głowy ten dumny pomysł, ale oni i tak zrobią swoje. Marek nie potrafił wyobrazić sobie życia bez pracy. Była dla niego wszystkim. Zgasił światło, zamknął drzwi swojego dawnego gabinetu. Wychodził z siedziby redakcji już jako bezrobotny. Wiedział, że niełatwo będzie mu znaleźć coś nowego. Ale teraz się tym nie przejmował. Na razie miał cel. Posterunek. Potem ryby z synem. Później się zobaczy.

Przecież życie jest pełne niespodzianek.

MORDERCĄ MOŻE BYĆ KAŻDY.

Maria siedziała przed monitorem. Znała słowa Okulickiego na pamięć.

Bardzo żałowała, że Pawłowi nie udało wydostać żadnej informacji od Tomasza Domagały. Bezsprzecznie był on współnikiem poszukiwanego mordercy. Możliwe, że nie znał jego prawdziwego nazwiska, nie znał kolejnego celu, nie wiedział, gdzie jest, ale mógł przynajmniej podać cechy wyglądu, co ułatwiłoby policji sporządzenie portretu pamięciowego.

Prasa się uciszyła. Możliwe, że do reporterów doszła wiadomość, że komenda w Lubaczowie nie jest już centrum dowodzenia, więc przenieśli się w miejsce stacjonowania ekipy Aleszkiewicza.

Było wiele tropów, ale prowadziły donikąd. Musiał być jednak jakiś punkt wspólny, jakiś szczegół, który wszyscy pomijali.

— Masz! — Marek przyjechał na posterunek, podał jej „Elementarz biologa”. — Mam nadzieję, że się przyda.

Maria wzięła do ręki swój podręcznik z czasów studiów biologicznych. Była to ta sama książka, którą czytała Dorota Maj w momencie, kiedy omal nie straciła życia.

— Co się dzieje? — spojrzała na męża. Wyglądał na zmęczonego. — Chcesz porozmawiać?

— Nie teraz, Mario. Później, w domu. Wracam do Jasia.

— Ale wszystko w porządku? — Maria wiedziała, że tak nie jest.

— Nie martw się. Złap tego mordercę, a wszystko wróci do normy.

Marek wyszedł, głośno zatraskując drzwi. Czynicki wypadł ze swojej dyspozytorki. Miał tam siedzieć, był to rozkaz komendanta, który wrócił pełen werwy i teraz w skupieniu wpatrywał się w profil psychologiczny sporządzony przez Pawła Kownackiego. Czynicki miał nasłuchiwać wszelkich doniesień o pojawieniu się w okolicy podejrzanych osób. W każdej chwili mogło być kolejne wezwanie.

Gdy Maria wróciła na posterunek, zastała Pawła przy laptopie. Chwilę później profesor wyszedł bez słowa, zapominając o swojej kurtce i czerwonym notatniku, który znajdował się w kieszeni. Kozielska postanowiła to wykorzystać. Wyciągnęła skarbiec myśli Kownackiego, otworzyła na stronach dotyczących

Władysława Okulickiego i Tomasza Domagały. Łapała się brzytwy, ale były to jedyne poszlaki, jakie posiadali. Choć nie byli w stanie ani Okulickiemu, ani Domagale udowodnić, że to właśnie oni stoją za śmiercią Teresy Wójcik, nie pozostało Marii nic innego, jak sprawdzić każdy szczegół ich wypowiedzi. Od podstaw.

Cegielka po cegielce.

„Drzewa i rośliny”. Pamiętała, że ta encyklopedia była zmorą wszystkich na roku. Wiedza w niej zawarta była zbyt szczegółowa, potrzebna wyłącznie w przypadku wybrania specjalizacji związanej z roślinami.

Może przynajmniej teraz się przyda. No i łacina. *Commiphora abyssynica*. Żałowała, że nie sprawdziła tego wątku wcześniej. Otworzyła internetowy translator, wpisała powoli, literka po literce.

Chwilę to potrwa.

Dostrzegła kątem oka, że komendant walczy sam ze sobą. Zamiast patrzeć na rozmowę Pawła z Okulickim, więcej uwagi poświęcała wewnętrznej walce Głowali. Wyciągnął on kieliszek i schłodzoną butelkę szkockiej. Powoli nalał. Usiadł naprzeciwko profilu psychologicznego. Potem wstał i wylał zawartość do niewielkiego zlewu.

Jedna bitwa wygrana. Maria uśmiechnęła się i zabrała do pracy z jeszcze większym zapalem. Spojrzała na zegar, którego wskazówka pędziła z niewyobrażalną prędkością, jak nigdy wcześniej. Była już prawie dziewiąta. Na zewnątrz było jednak dość jasno. Księżyc był w pełni. Kozielskiej przypomniały się filmy o wampirach. Zatem pogoda również sprzyjała mordercy.

Pozostała jej ostatnia szansa. Lepiej było nie zastanawiać się, co by powiedzieli na jej krok wielcy literaccy detektywi, jak Sherlock Holmes lub Herkules Poirot. Sprawdzanie kronik szkolnych w czasie, kiedy przez las już przedziera się morderca, nie było dobrym pomysłem, ale nim translator wyświetli wyniki, trzeba się było czymś zająć.

Komendant rozmawiał z Tadkiem. To było chyba coś ważnego, bo chwilę później Głowala usiadł za biurkiem. Zaczął coś rozrysowywać. Maria doszła do wniosku, że trzeba mu pomóc. Pomysł pracy w grupie, jaki rzucił Paweł, okazał się niewiarygodnie przydatny. Dowiedziała się o sprawach, o których wcześniej nie

miała pojęcia.

Wtedy komputer wydał dźwięk oznajmiający, że poszukiwanie zakończone. Otworzyła się jej strona będąca elektroniczną kroniką szkolną. Przeskanowane strony były kopią oryginału. Choć chodziła po omacku, intuicja jej mówiła, żeby się nie poddawała.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Zdjęcie pochodziło sprzed dziewięciu lat, ale nietrudno było rozpoznać konkretne postacie. Podeszła szybko do tablicy. Czy to może być prawda? Przecież to było takie banalne. A zarazem wszystko tłumaczyło. W tej chwili na komputerze wyskoczyła translacja. Oczy otworzyły się Kozielskiej szeroko ze zdumienia.

Na posterunek wpadła Dorota. Była zdyszana. Maria spojrzała jej prosto w oczy. Ona też wiedziała, kim jest morderca. A cel mógł być teraz już tylko jeden.

Rozdział 50

SZEDŁ PRZEZ LAS. BYŁ NIEWIDZIALNY. Ból głowy minął, pozostało mu mieć nadzieję, że dzisiaj obędzie się bez wypadków.

Już nie miał peruki ani kamizelki kuloodpornej. Był sobą. Nie bał się o wejście do domu, bo któżby spodziewał się jakiegokolwiek niebezpieczeństwa z jego strony. Gdy wróci do domu, pójdzie spać, a z samego rana wyjedzie, daleko stąd, zgodnie z planem, bez żadnych podejrzeń.

Ściągnął koloratkę. Nie była mu już potrzebna. Poza tym był to znak charakterystyczny, a chciał uniknąć rozpoznania, jeśli ktokolwiek by go zobaczył. Kochał to miejsce. Te lasy. Ukryły jego tajemnice. Były sojusznikiem bez względu na to, czy podobało im się to, co robił.

Przyśpieszył. Sutanna powiewała na wietrze. Ten strój już tyle razy go zbawił. Bycie księdzem niosło za sobą wiele przywilejów. Ksiądz był wszędzie mile widziany, zwłaszcza jeśli miał coś ważnego do przekazania. Nie budził obaw, nie był podejrzany. Tym bardziej że swoją rolę zagrał perfekcyjnie.

Zapukał do drzwi. Delikatnie. Nie śpieszyło mu się. Po chwili je otworzyła. Zobaczył jej idealną twarz. To było jego wspomnienie, które miało dzisiaj zniknąć.

Kamila Trewor.

— Ksiądz Jan? O tej porze? Proszę wejść — zakłopotana się, ale wszystko poszło zgodnie z planem.

Był u niej po raz pierwszy, jednak nie miało to większego znaczenia. I tak nigdy już tutaj nie wróci.

— Napije się czegoś ksiądz? Kawy? Herbaty?

— O nie! Dziękuję ci bardzo, Kamilo, ale chyba już za późno.

Dobrze pamiętał swój błąd w przypadku Teresy Wójcik. Zapewne był to wynik stresu. W końcu to była pierwsza akcja tego typu w jego życiu. Poprosił o kawę. Zdał sobie sprawę, że postawił swoje DNA na filiżance dopiero wtedy, gdy Teresa wstrzyknęła sobie śmiertelną dawkę Alprazolamu. Niewiele brakowało, a nie zdążyłaby włączyć zmywarki. Miał nadzieję, że prawie pusta maszyna nie wzbudziła podejrzeń policji. W przypadku Weroniki Stępień nie było już tego problemu.

— Co księdza do mnie sprowadza?

— Byłem w okolicy. Co jakiś czas odwiedzam parafian z pobliskich wiosek, poznaję ich, bo tak rzadko można ich widzieć w kościele — był to niezły argument, choć nie tłumaczył wizyty o tak późnej porze. No ale przecież kto to widział zabijać w biały dzień?

— Czy my już się kiedyś spotkaliśmy?

O tak, Kamilo. Jesteś blisko prawdy. Naprawdę aż tak bardzo się zmieniłem?

— Nie przypominam sobie. Spotykam tak wiele osób — odpowiedział wymijająco.

Zastanawiał się, jak zabić tę piękność. Choć strzykawkę wciąż trzymał w torbie, była już niepotrzebna. Nie musiał więcej grać seryjnego mordercy odwołującego się do mistycznych symboli Egiptu. Siedział naprzeciw Kamili Trewor. Przecież całe widowisko było dla niej — aby móc teraz siedzieć spokojnie i nie martwić się o policję.

— Czy ma ksiądz może wolne terminy na ślub?

O czym ona mówi?! Zaraz zginie, a pyta go o ślub. Jednak pozory trzeba było zachować.

— Myślę, że nie będzie większego problemu. A któż jest tym szczęśliwcem?

— Michał. Michał Rybak. Prawdę mówiąc — Kamila uśmiechnęła się zawstydzona — on jeszcze o tym nie wie.

I chyba już się nie dowie.

— No cóż, pogratulować! — powiedział nieszczerze.

Dość tego! Starczy tych teatrzyków!

— Widzisz, Kamilo, jest jednak pewien problem. Nie wiem, czy będę chciał wam udzielić tego ślubu — zdziwił się reakcją piękności. Zapewne uznała jego słowa za jakiś głupi żart, bo zaczęła się śmiać.

Wstał. Był purpurowy na twarzy ze złości.

— Nazywam się Jan Nowak. Teraz mnie poznajesz?

Kamila wydała z siebie okrzyk przerażenia, widząc, jak ksiądz wyciąga ze swojej torby kolejne przedmioty.

— Tyle lat! Gdzie ty się podziewałeś? Jesteś księdzem?!

— A cóż w tym takiego dziwnego?! — w rękę trzymał złożone kadzidło. To od początku była jego tajna broń. Ale tym razem chciał się dłużej nacieszyć chwilą triumfu. Tak długo walczył o wyzbycie się wspomnień, że teraz chwila zwłoki była dla niego balsamem ukojenia.

— To nie może być prawda! Przecież ty mnie kochałeś! Odejdź. Wyjdź stąd! To jest mój dom!

— Nie musisz się przejmować moją sutanną. „Wypierdalaj” nie jest takie wulgarne.

Nowak zaśmiał się szyderczo. Patrzył jej prosto w oczy. Ona wytrzymała jego spojrzenie. Jak nikt inny. Nie widział strachu w jej oczach. Był to raczej gniew, że ma na tyle odwagi, aby naruszać jej spokój.

— Byłaś dla mnie wszystkim! Dobrze o tym wiesz! — Jan ściągnął sutannę, odłożył okulary i przygładził włosy. Nie zmienił się z wyglądu od czasu, kiedy tworzył z Kamilą szczęśliwy związek. — Zerwałaś ze mną z dnia na dzień! — usiadł na fotelu i kontynuował swój wywód. — Nie patrzyłaś na moje uczucia, na moje emocje. Liczyłaś się tylko ty, a nikt poza tobą nie istniał! Tak zwyczajnie, bez wyrzutów sumienia. Potem poznałaś tego prezesa, co?! — uśmiechnął się jeszcze szerzej, widząc zdziwienie Kamili. — Zapewne ta willa to pamiątka właśnie po nim. Nie myśl, że straciłem cię z oczu. Przecież zawsze byłaś moją perełką. Nie mógłbym ci pozwolić tak po prostu odejść. A jak to z tym Michałem Rybakiem? O tak, on cię naprawdę kocha. Jego spowiedź była — ksiądz teatralnym gestem udał, że wyciera opadającą łzę — taka wzruszająca.

Kamila wstała i go spoliczkowała. Poczuł delikatne szczypanie. Odepchnął ją, mówił dalej.

— Odeszłaś, lecz wspomnienia pozostały. Nie umiałem się ich pozbyć. Wciąż były. Rzuciłem studia, zacząłem podróżować, oddałem się Bogu — wskazał na sutannę — ale nic nie mogło wypłenić cię z mojego serca. Nic. Dzisiaj znikniesz na zawsze. Już nie będę miał za kim tęsknić. Moje wspomnienia umrą.

Z twarzy Kamili nie można było nic wyczytać.

— Nie będziesz mieć odwagi, żeby mnie zabić. Ty ciągle mnie kochasz. Moja śmierć nic nie zmieni. Będziesz pamiętał bardziej niż dotąd. Będziesz miał na swoich rękach moją niewinną krew, bo wiesz co? — Kamila patrzyła Janowi prosto w twarz. — Nigdy nie żałowałam swojej decyzji...

— Dość! — Nowak złapał się za głowę. — Nie chcę tego słuchać! Twoja śmierć jest konieczna, nie uciekniesz mi!

Kamila Trewor miała być jego ostatnią ofiarą. Nie spodziewał się takiej reakcji z jej strony. Chciał widzieć strach w tych przepięknych oczach, zobaczył tylko to, co dziewięć lat temu, kiedy z nim zrywała. Pustkę. Włożył do kadzidła mirrę. Mało kto o tym wiedział, ale była to właśnie żywica tropikalnych drzew. *Commiphora abyssynica*. Stężone opary kadzidła powodowały halucynacje. W

starożytności duchowni specjalnie rozpylali w przestrzeni kościoła duże ilości mirry, aby ludzie byli bardziej podatni na słowa ich kazań. W ostatnim stuleciu ze względu na duże koszty związane z importem mirry z Afryki, kadzidła używane były tylko przy okazji dużych świąt, w niewielkich ilościach. Dostęp do typowej *Commiphora abyssynica* mieli wyłącznie księża.

Tego właśnie środka użył w przypadku Teresy Wójcik i Weroniki Stępień. Gdy ofiarą miała być Dorota Maj, nie przewidział jednego, za co miał do siebie wielkie pretensje. Pokój, w którym znajdowała się kobieta, był stosunkowo niewielki. Zapewne czując dziwny zapach, starała się usilnie domyśleć, skąd on pochodzi. Wciągała duże ilości naparu do płuc, przez co straciła przytomność, zanim zdążył ją przekonać do wstrzyknięcia sobie Alprazolamu.

Człowiek ulega manipulacjom. Jest jak kukielka. Ksiądz Jan całkowicie przypadkiem odkrył zastosowanie mirry. Podczas jednej ze swoich podróży był świadkiem wyciągania pieniędzy przez miejscowego szamana. Hipnotyzował ludzi, rozpylając halucynogenne opary. Ku rozbawieniu turystów pokazywał, jak można manipulować ludźmi, którzy robili dokładnie to, co im kazał, bo nie byli w stanie myśleć. W tym czasie wspólnicy szamana okradali ich, w niewielkich ilościach, tak aby nie budzić podejrzeń. Jan Nowak był dobrym obserwatorem. Szybko znalazł sposób, aby wykorzystać tę sztukę manipulacji w codzienności. Nauczył się, jak uodpornić się na działanie mirry. Było wręcz zabawne widzieć, jak ludzie jedzą mu z ręki. Mógł manipulować innymi, korzystając ze zwykłych słów, co skrzętnie wykorzystywał.

Z kadzidła zaczęły uchodzić opary.

Ksiądz Jan wyciągnął ze swojej torby strzykawkę. Nie miało już znaczenia, czy policja uzna tę śmierć za kolejny czyn seryjnego mordercy. Ci naiwniacy go nie obchodzili. Kamila miała po prostu rację. Nie był w stanie jej zabić. Wciąż ją kochał. Niewyobrażalnie mocno. Będzie musiała sama to zrobić. Za chwilę mirra zacznie ukazywać swą moc, a Kamila będzie robiła wszystko, czego on zechce.

— To ty zabiłeś te kobiety?! — popatrzyła na niego pełna nienawiści. — Policjanci myśleli, że to Okulicki...

— Bo ja tak chciałem, Kamilo, bo ja tak chciałem. Dobrze wiesz, że zawsze mam to, czego zapagnę, a jeśli nie jestem czegoś w stanie dostać, robię wszystko, aby to zmienić — odczekał chwilę, bacznie obserwując zachowanie Kamili. Po chwili powiedział. — Pocałuj mnie!

Dziewczyna wstała. Podeszła do niego. Poczł jej aksamitne wargi. Tak długo czekał na tę chwilę. Upajał się nią. Trewor była gotowa. Mirra działała prawidłowo. Manipulowanie ludźmi było takie ekscytujące. Hipnoza dawała naprawdę ogromne możliwości.

— Proszę, Kamilo, usiądź. Odpręż się. Czujesz się lepiej niż kiedykolwiek wcześniej.

Jego ukochana usiadła z powrotem na fotelu. Zamknęła oczy. Kąciki jej ust delikatnie powędrowały do góry.

— I tak zrobisz to, co najbardziej będziesz chciała. Jednak ja na twoim miejscu nie zastanawiałbym się długo nad jej użyciem.

Podał jej strzykawkę. Jan Nowak szybko nauczył się, jak należy zachowywać się względem ofiary. Musiała się czuć bezpieczna. Trzeba ją było uświadomić, że to od niej wszystko zależy, choć w rzeczywistości było zupełnie inaczej.

Kamila patrzyła na długą igłę.

— Pamiętasz tę miłą pielęgniarkę? Zastrzyki w ogóle nie bolą. Nie martw się — mówił spokojnym, melodyjnym głosem.

Strzykawka okazała się dużym problemem, kiedy przyszło mu się zmierzyć z Teresą Wójcik. Była bardzo nieporadna, dużą trudność sprawiło jej zrobienie sobie zastrzyku.

Kamila podciągnęła rękaw, wszystko było takie proste. Jan podszedł do okna. Odwrócił się, nie chciał widzieć tej chwili, kiedy jego ukochana pozbawia się życia. To było jego katharsis, zapomnienie, kres wszystkich problemów. Był tchórzem, wiedział to, ale nie widział sensu się do tego przyznawać. Istniały inne możliwości, które bezwzględnie wykorzystał.

On był już daleko stąd. Zastanawiał się, jak to będzie, kiedy jutro wstanie, a wszystkie wspomnienia, które kształtowały przez ostatnie lata każdy jego krok, przestaną istnieć.

Usłyszał jakiś hałas. Odwrócił się.

— Nie! — to jakiś policjant krzyczał do Kamili, ale ona go nie słuchała. Wbiła z całej siły igłę w szyję Jana.

MARIA NIE MIAŁA POJĘCIA, JAK MOGŁA tego wcześniej nie zauważyć. Stała pośrodku ekskluzywnego domu, który należał do Kamili Trewor. Na krześle siedział Nowak, a jego sutanna leżała w kącie. Tak sprytnie wszystko zaplanował. Niewiele brakowało, a udałoby mu się w całości zrealizować plan.

Ksiądz Jan, bo wciąż tak go postrzegała, prezentował się w tej chwili przed nią jako zupełnie inny człowiek. Zdała sobie sprawę, że coś nie pasuje. Nadmierna ruchliwość i nerwowość okazały się jedynie częścią manipulacji. Zastąpione zostały spokojem oraz suchą kalkulacją i ku uciesze Marii — zdziwieniem.

Nie było Pawła. Komendant Głowala powiedział, że musiał pilnie jechać do domu. Ale Maria czuła się na tyle silna, pewna swoich racji, by sama przeprowadzić tę rozmowę.

— Jak? — ksiądz Jan patrzył z pełnym spokojem w stronę Kamili. Chyba wciąż nie mógł uwierzyć w to, że nie udało mu się zrealizować planu, że nie wszystko poszło tak, jak zakładał, że Kamila wciąż żyje i w najbliższym czasie tego nie zmieni.

Maria spojrzała na komendanta. Dał jej kiwnięciem głowy pozwolenie na to, żeby to właśnie ona wszystko wyjaśniła.

— Kamilo! Czy znasz Grzegorza Szwenka? — Dziewczyna tylko kiwnęła głową na potwierdzenie. Maria odwróciła się w stronę wikarego. — Otóż wspomniał o nim całkiem przypadkiem mecenas Okulicki. Sprawdziłam kroniki szkolne. Studiowałeś prawo razem ze Szwenkiem. Początkowo cię nie poznałam. Potem natknęłam się na fotografie. Na jednym ze zdjęć byłeś razem z Kamilą, którą przesłuchiwaliśmy w trakcie śledztwa.

— Nic o tym nie wiedziałem — Nowak wyglądał na szczerze zdziwionego.

— Ach tak, nasz błąd — Maria dopiero teraz zdawała sobie sprawę, że policja pomagała mordercy. — Tamtego dnia nie miałeś powodu się o tym dowiedzieć. I tutaj zaczyna się pasmo twoich błędów. O tak! — patrzyła perfidnie prosto w zdziwione oczy Nowaka. — Popeliłeś więcej błędów, niż mógłbyś się spodziewać.

— Zatem słucham uważnie.

Pomimo kajdanek ksiądz założył ręce i popatrzył w stronę Marii i Doroty, które teraz stały obok siebie. Kozielska potraktowała jego słowa jako wyzwanie.

Udało im się uratować Kamilę. To była zasługa całego posterunku. Maria dotarła do zdjęcia. Jeden chłopak był na nim niewiarygodnie podobny do księdza, który chętnie im ostatnio pomagał, a dziewczyna do Kamili Trewor, właścicielki stadniny koni. Kozielska zaczęła kombinować, dopasowywać profil księdza do poprzednich zbrodni. Wtedy Dorota wpadła zdyszana na posterunek, oznajmiając, że jej teściowa rozpoznała substancję rozpyloną w pokoju. To była mirra. Mówiła o tym również encyklopedia. *Commiphora abyssynica* — żywica drzew tropikalnych, mirra.

Maria nie była pewna co do motywu księdza. Przypuszczenia dotyczące Kamili Trewor zostały potwierdzone przez Renesa. Michał Rybak był rówieśnikiem Tacka. Zadzwoił do niego kilka minut przed dwudziestą pierwszą i oznajmił, że widział kogoś w ciemnym ubraniu, kto zmierzał w stronę domu Kamili.

Zdążyli na czas. Ostrzegli Kamilę. Kazali otworzyć wszystkie możliwe okna, ale poczekać. Mieli nadzieję, że ksiądz powie coś więcej, co wyjaśni jego atak oraz dobór ofiar. Ujawnił się jako Jan Nowak. Był byłym chłopakiem Kamili. Wciąż ją kochał, dlatego chciał pozbyć się jej ze swoich wspomnień.

Kamila czekała wytrwale. Pozwalała mówić Janowi. Mirra ulatniała się dzięki przeciągowi, nie wpływała na nią halucynogennie. Policjanci dopiero nadchodzili z odsieczą, liczyła się każda chwila zwłoki. Dużym poświęceniem Trewor był pocałunek. Kiedy Jan odwrócił się i podszedł do okna, policjanci byli już na pozycjach. Wtedy dziewczyna rzuciła się na swojego byłego chłopaka, wbijając igłę. Na szczęście nie wstrzyknęła substancji, czego skutkiem byłoby podzielenie przez księdza doli Teresy i Weroniki.

— Co tu się dzieje?! — do domu Kamili wpadł Aleszkiewicz. Po jego czole spływał pot. Opasły brzuch ledwo się zmieścił w drzwiach.

— Dobry wieczór! — Głowała przywitał cynicznie człowieka, który odebrał mu sprawę. — Zdażył pan na widowisko. Zapraszamy. Proszę usiąść.

— Jest kilka kwestii, których nie potrafię zrozumieć, ale mam nadzieję, że ksiądz nam je wyjaśni — zagaiła nieśmiało Maria. — Zaczniemy od początku. Chciałeś wrobić Okulickiego. Przypuszczam, że za namową Tomasza Domagały, ale trudno to będzie udowodnić. Był twoim współnikiem — podeszła do Jana bliżej i niby przypadkiem potknęła się o jego lewą nogę. Na jego twarzy zagościł grymas bólu. — Wieczorem w poniedziałek wtargnąłeś na teren tartaku Okulickiego. Wzięłeś trochę ziemi, potem zostawiłeś ją w domu Wójcik. Jesteś po studiach prawniczych. Dobrze wiedziałeś, że taki mikroślad zainteresuje nas bardziej, niż gdyby było tego więcej. Można było sądzić, że znalazł się on tam całkowicie przypadkiem, jednak coś nam nie pasowało. Wszystko było idealnie czyste, ani jednego śladu. Pomimo że byłeś w rękawiczkach, wszystko dokładnie przetarłeś. Na pewno zauważyłbyś ten fragment ziemi i go sprzątnął. Było zatem jasne, że zostawiłeś go celowo.

Maria sama nie wierzyła, że słowa przychodzą jej z taką łatwością. Czowała się w swoim żywiole. Wiedziała, że się nie myli.

— Ale w tartaku potknąłeś się. Skaleczyłeś się w lewą nogę. Krew, którą tam znalazłam, na pewno będzie pasować. Użyłeś flesza, żeby myślano, że to tylko jakiś wścibski dziennikarz. Miałeś problemy z wyjściem ze skaleczoną nogą, więc musiałeś zniszczyć ogrodzenie. — Twarz księdza nie wyrażała żadnych uczuć. Jan patrzył coraz bardziej zdezorientowany na Marię. A więc jednak policja nie była taka naiwna. — Teresa Wójcik zmarła w ten sam sposób, w jaki miała umrzeć dzisiaj Kamila. W jej pokoju rozpyliłeś mirrę, która ma działanie halucynogenne. Wpuściła cię, bo przecież jesteś księdzem. Nikt nie spodziewałby się jakiegokolwiek niebezpieczeństwa z twojej strony. Potem zostawiłeś list. Zacząłeś z nami grać. Zabawiłeś się z nami w psychopatę, seryjnego mordercę. Choć nie rozumiem, skąd wzięło się takie zamiłowanie do mistycyzmu egipskiego i łaciny.

— Coś za coś! Skąd wiecie, że Tomasz Domagała był moim współnikiem? — Maria była szczęśliwa. Paweł opowiadał jej o różnych typach przestępców. Obawiała się, że ksiądz nie będzie nic mówić. Miał do tego prawo. Kozielska popatrzyła na Aleszkiewicza. Siedział wygodnie na kanapie i z zaciekawieniem przyglądał się tej fascynującej scenie.

— Tutaj do całej akcji wkracza Sylwia Słaboń — wyglądało na to, że jej słowa sprawiają Nowakowi ból. W końcu tak długo pracował nad tym, żeby wszystko było idealne. — To ona dostarczyła ci Alprazolam. Kiedy byłam u męża w szpitalu, byłeś tam również ty. Powiedziałeś, że odwiedzasz chorych. Może to i prawda. Nie przeszkadzało to w tym, żeby w tym czasie Sylwia przekazała ci

potrzebne leki. Wzięła je ze szpitalnego magazynu. Dorota — Maria wskazała na Maj, która stała teraz obok niej — rozpoznała ją jako świadka, który widział napad na Tomasza Domagałę.

— Od początku odradzałem taki krok — ksiądz mówił spokojnym, stonowanym głosem. Wręcz trudno było Marii uwierzyć, że mógł dopuszczać się takich okrutnych czynów. — Tomek miał dość Okulickiego, pałał do niego niewyobrażalną niechęcią, a poza tym chciał mieć dom Teresy. Sądził, że napad na niego znów zwróci naszą uwagę na mecenasa, a on stanie się kozłem ofiarnym. Niestety Sylwia zawiodła. Wciąż nawalała. Wszystko byłoby w porządku, gdyby dzisiaj rano wykonała swoje zadanie — Nowak spojrział na Dorotę. — Źle dopasowała dawkę. Spałabyś przez najbliższy miesiąc, a po obudzeniu nie pamiętałabyś nic, a nawet jeśli, ja byłbym już daleko stąd. Jeżeli chodzi o te listy — miały stworzyć wrażenie, że jestem seryjnym mordercą. Dużo podróżowałem po Afryce. Symbole egipskie mają tysiące znaczeń. Analizy trwałyby nieskończenie długo. A łacina jeszcze bardziej komplikowała całą sprawę. Okulicki należał do bractwa Franga. Podejrzenia miały paść w jego stronę.

— Potem przyszedłeś na posterunek — kontynuowała Maria. — Zjawileś się znikąd — znalazła takie określenie w notatniku Kownackiego. — I tak właśnie było. Mówiłeś, że zobaczyłeś z ulicy znajomy znak, ale nie miałeś takiej możliwości, bo z ulicy nie widać pokoju funkcjonariuszy. Zresztą Paweł Kownacki również zauważył, że znałeś się z Tomaszem Domagałą. Twój wspólnik popełnił duży błąd, gdy wyszedł z przesłuchania i mrugnął porozumiewawczo. Myślałam, że to przypadek, ale teraz nabiera to sensu. Mówiłeś o faraonach, ich drodze do władzy. Byłeś dla nas zbawieniem, bo znalazł się ktoś, kto mógł nam powiedzieć cokolwiek o tym znaku. W rzeczywistości zacząłeś nami manipulować. Od tego wszystko się zaczęło. Nie miałeś problemu, żeby wrzucić niezauważenie kolejny list do skrzynki na listy. Jego analiza zajęła cenne godziny, jeszcze bardziej pograżyła nas w niewiedzy.

Teraz wszystko miało sens. Maria nie mogła uwierzyć w swoją naiwność.

— Przeszedłeś kolejnego poranka na zaproszenie komendanta — relacjonowała. — Wcisnąłeś nam bajeczkę o hieroglifach. Ta wiedza nic nam nie dała. Nic. A zajęła czas.

— Jesteś tchórzem! — pałeczkę przejęła Dorota, która od razu przystąpiła do ofensywy. — Zaatakowałeś Weronikę Stępień. Idealnie pasowała do twojej koncepcji, że morderca będzie chciał udowodnić swoją odwagę, siłę, spryt i

zdecydowanie. Założyłeś kamizelkę kuloodporną, bo wiedziałeś, że po Weronice można się spodziewać wszystkiego. Uciekałeś głównym wejściem. Zahaczyłeś kamizelką o komodę. Zapewne zauważyłeś swoją pomyłkę dopiero na plebanii.

— W jaki sposób udało wam się zjawić tak wcześnie? — zapytał zdziwiony, ale nie wyglądał na takiego, który by się specjalnie przejmował.

— Tej zbrodni w ogóle by nie było, gdyby był prąd. Nie wiedziałeś o tym, ale Okulicki dał nam listę osób, od których chciał kupić dom. Zgodnie z kategoriami odwagi, siły i sprytu ofiarą mogła być tylko jedna osoba. Weronika Stępień. Bardziej ciekawi nas, skąd ty dowiedziałeś się o tym, że Okulicki chciał kupić jej dom.

— Spowiedź — powiedział bez większego zastanowienia Jan. — Ludzie mówią wiele rzeczy. Ja wyłapuję to, co dla mnie najważniejsze. Chcą się wygadać, a ja nie mam nic przeciwko ich słuchaniu. Tomasz Domagała faktycznie stał się moim współnikiem, ale całkiem przypadkiem. Powinienem od razu zabić Kamilę. Wtedy nie moglibyście dojść, kto tego dokonał. Byłbym już daleko stąd. Ale Tomasz bardzo nalegał. Słyszałem nienawiść w jego głosie, kiedy mówił o Okulickim. Postanowiłem zagrać w tę grę. Jak widać, przegrałem. Moją wielką zaletą był zawód. Nikt nie spodziewał się takich czynów ze strony młodego wikarego, który w dodatku — Jan zaczął nerwowo ruszać rękami — cierpi na nadpobudliwość. Czarna sutanna jest naprawdę świetnym kamuflażem. Każdy kryje w sobie jakieś tajemnice. Postanowiłem to wykorzystać.

„Kolejna manipulacja” — pomyślała Maria.

— Ale dlaczego Dorota? — ożywił się komendant.

— Widziałem ją, jak przeszukiwała dom Weroniki. Potem policjanci wyszli z ukrycia. Dobrze, że tam nie wchodziłem. Chciałem odszukać ten materiał z kamizelki kuloodpornej. Niestety było za późno. Potem Sylwia Słaboń powiedziała mi, że rozmawiała z jakąś kobietą, która przeszukiwała dom Tomasza Domagały. Była zrozpaczona, że powiedziała wszystko nie tak. Ja też się bałem, że zaczniesz się czegoś domyślać, tym bardziej że widziałem ją wcześniej w szpitalu. Całkowicie przypadkiem zdałem sobie sprawę, że taki cel pasuje do koncepcji obłąkańca. Położenie domów Teresy Wójcik, Weroniki Stępień i właśnie Doroty tworzyło idealny trójkąt, taki sam jak w znaku CIS. Moim błędem było to, że obserwowałem jej dom dopiero od szóstej. Widziałem tylko męża i syna. Nie przypuszczałem, że za rogiem kryje się teściowa. Przeciąłem linię telefoniczną na wypadek, gdyby ktoś

ją chciał ostrzec. Rozpylałem mirrę. Nie zauważyłem, że za mną stoi baba z patelnią.

— W jaki sposób udało ci się przeżyć?! — te słowa wypowiedzieli naraz komendant, Maria i Dorota.

— Pod peruką miałem specjalny ochraniacz. Ledwo uszedłem z życiem. Z Dorotą miała się rano rozprawić Sylwia, ale po raz kolejny spierdoliła sprawę — te słowa nie pasowały do sutanny.

Marii zrobiło mu się go żal. Ale to nie czas na sentymenty.

— Palisz papierosy? — zaciekawiała się Dorota.

— Ma pani niezłego nosa. To był mój pomysł — w głosie księdza można było wyczuć dumę. — Mirra pozostawia charakterystyczny zapach. Widziałem, że Okulicki pali. Kupiłem te same papierosy co on, podpalałem na miejscu przestępstwa. U Weroniki zostawiłem nawet trochę popiołu.

— Ale nie wiedziałeś, że mirra pozostawia również osad — Dorota wypomniała księdzu, który popatrzył na nią ze zdziwieniem — *Commiphora abyssynica*. Mój chromatograf znalazł taką substancję na listach, które nam podrzucałeś. Nie wiedzieliśmy, co to jest. W końcu okazało się, że to mirra.

Te doniesienia nie zrobiły większego wrażenia na Janie. Maria była coraz bardziej zdenerwowana. Po raz pierwszy rozmawiała z człowiekiem, który dopuścił się niewyobrażalnie okrutnych czynów, a nie było widać po nim choć cienia zdenerwowania.

— No dobrze. Ale teraz to wy mi coś wyjaśnijcie — zażądał Jan. Maria szepnęła Czynickiemu do ucha kilka słów. Posterunkowy powoli wycofał się, zaczął sprawdzać, czy czasem ksiądz nie umieścił gdzieś bomby. Po chwili wrócił, rozkładając ręce na znak, że nie znalazł nic podejrzanego. — W jaki sposób tak szybko się tutaj znaleźliście? Rozumiem, że przeczytaliście jakąś starą kronikę szkolną. Ale przecież to chyba nie jest wystarczający dowód.

Franciszek Aleszkiewicz poruszył się na sofie. Widać i on był ciekawy. Na pewno nie do końca podobało mu się to, że to policjanci z komendy w Lubaczowie powstrzymali księdza przed kolejną zbrodnią i zatrzymali winnego całej akcji. W każdym razie nowe wieści nie zrobiły na nim żadnego wrażenia, a przynajmniej

jego zachowanie na to nie wskazywało.

— Byłeś zafascynowany Kamilą. Pociągała cię — powiedziała Dorota. — Pewnie nie zdajesz sobie sprawy z tego faktu, ale papeteria będąca własnością stadniny koni posiadała na odwrocie własne logo, swoiste zgrubienie. To właśnie zwróciło naszą uwagę na Kamilę. W końcu doszliśmy do wniosku, że było to niedopatrzenie z twojej strony, nie miałeś pojęcia, że coś takiego tam jest. Zbierałeś pewnie wszystkie ulotki, nie zwróciłeś uwagi, że papier, którego używasz, pochodzi właśnie stamtąd.

Ktoś zapukał do drzwi. Do środka wszedł Michał Rybak. W prawym ręku trzymał pakunek.

Kamila rzuciła się na niego. Pocałowali się, nie zważając na wiwaty policjantów z Lubaczowa. Potem usiedli razem ciekawi kolejnych wyjaśnień.

— A jak chciałeś uciec? — w końcu odezwał się Aleszkiewicz.

Wyрęczył go Robert.

— Proboszcz tydzień temu ogłaszał, że wikaremu kończy się przydział.

Jan uśmiechnął się.

— Jutro mam wyjechać na północ Polski. Nikogo to by nie zdziwiło.

Maria nie mogła się dłużej powstrzymać. Zrobiła krok do przodu.

Tak jak nauczył ją Paweł, weszła w jego strefę osobistą.

— Dlaczego nam to wszystko mówisz? Jak gdyby nigdy nic. Nie boisz się. Co ty knujesz?!

— Proszę mi wierzyć, nie zrobiłem nic złego. Nawet jeśli prokurator postawi mi jakiegokolwiek zarzuty, to błahe sprawy. Kradzież grama ziemi z tartaku Okulickiego, wejście do domu Doroty Maj bez pozwolenia — zaczął wyliczać, jakby tłumaczył się mamie, jakie prezenty dostał z okazji imienin. — Dobrze wiecie, że nie zrobiłem nic złego. Dawałem dziewczynom wolny wybór. Same wybrały śmierć.

Maria nie zamierzała w tej chwili z nim polemizować na temat zarzutów. Nowak posiadał odpowiednią wiedzę prawniczą. Woląa poczekać, aż wypowie się prokurator.

— Ale ja chyba nadal nie wszystko rozumiem, Mario! — Głowała zwrócił się wprost do Kozielskiej. — Kto zawiadomił prasę? Kto podał mi oraz Robertowi psylobicynę?

Maria postanowiła zagrać *va banque*. Paweł tłumaczył jej, że zaskoczony człowiek szybciej przyzna się do pewnych rzeczy, niż gdy ma czas na namyślenie się.

— Panie Franciszku! — Maria wyglądała jak pantera przygotowująca się do skoku. — Najwyższy czas się przyznać.

Improwizowała. Nie wiedziała, czy ma rację oraz jaki będzie tego skutek. Czynicki zaskoczył i założył Aleszkiewiczowi kajdanki, zanim ten zdążył cokolwiek powiedzieć.

— To pan zawiadomił prasę! Nowak nie miał dostępu do mojej teczki, nie mógł dowiedzieć się o tym, że mój mąż jest dziennikarzem. Chciał pan przejąć sprawę. Utrudniał pan nam pracę, jak tylko to było możliwe. Wyeliminował pan mnie, liczył na to, że komendant sam przekaże sprawę. Tak się jednak nie stało. Potem przekonał pan Sylwię Słaboń. Pana ludzie szybciej dotarli do informacji, że to ona wzięła leki, i zaczęli ją szantażować. Na pana polecenie wstrzyknęła psylobicynę Robertowi, a następnie komendantowi.

— Skąd wy bierzecie te sensacje?! To niedorzeczne — Aleszkiewicz kipiał ze śmiechu.

— Porozmawiamy z pana żoną. Na pewno wyjawi prawdę o sporządzeniu w swojej aptece psylobicyny na pana prośbę, gdy zagrozimy jej nasłaniem kontroli. Tym bardziej nie będzie chciała panu pomagać, gdy dowie się, że zabił pan Słaboń, która stała się ofiarą najpierw wikarego, potem pana. Była już panu niepotrzebna, poza tym wiedziała za dużo.

Mina zrzędała Aleszkiewiczowi.

— Od początku wszystko układało się nie tak, jak powinno. Nie chciałem zabić Sylwii. To był wypadek. Nieuważnie ją popchnąłem, uderzyła o stół,

rozbijając głowę — grubas mówił w tej chwili cicho. Marii wydawało się, że Aleszkiewicz zaraz się popłacze. — Sprzeciwiła się, żeby manipulować Głową. Mówiła o jakichś uczuciach, że tak nie można. Żałosne.

Franciszek poddał się. Czynicki wyprowadził go głównymi drzwiami.

Maria nie mogła uwierzyć. Niektóre elementy nie pasowały do profilu księdza. Postanowiła trzymać się przypuszczeń Głowali, który dowiedział się, że żona Aleszkiewicza pracuje w aptece. Mogła przesadzić, oskarżyć niesłusznie niewinną osobę. A to nie byłoby dla niej dobrym rozwiązaniem.

Czynicki i Tadek zawieźli księdza wraz z Aleszkiewiczem do aresztu. Kamila siedziała w objęciach Michała. Oboje spisali się na medal. Maria wątpiła, czy byłaby w stanie zachować spokój w takiej sytuacji. Kozielska nie potrafiła sobie wyobrazić, jak beznadziejna byłaby jej śmierć.

Niepotrzebna.

Głupia.

A wszystko przez zranione serce. Wspomnienia, które nie dały o sobie zapomnieć.

Dorota zabezpieczała kadzidło. Mogło się okazać ważnym dowodem. Maria nie myślała jednak o księdzu. Nie mogła pojąć zachowania Aleszkiewicza. Ten grubas budził w niej wstręt. Nie patrzył na krzywdę ludzką, liczył się tylko jego interes. Chciał udowodnić wszystkim, że Głowa nie nadaje się do tej roboty. Śmierć Sylwii Słaboń mogła być wynikiem wypadku. Kozielska miała jednak inną koncepcję.

Zazdrość.

To ona popychała nas do najgorszych czynów. Kiedy pacjent zobaczył komendanta i pielęgniarkę w łazience, Aleszkiewicz musiał dojść do wniosku, że nie dzieje się tak, jak powinno. Głowalę i Sylwię połączyło jakieś uczucie. Żal za stratą ukochanej sprawił, że komendant w akcie rozpaczyci rzucił się na Marię. Aleszkiewicz był zazdrosny. Sylwia była piękną dziewczyną. On też by chciał poczuć jej ciepło, przytulić się. Były to zwykłe ludzkie pragnienia, które spowodowały jednak niepotrzebną śmierć.

Komendant siedział teraz na kanapie. Patrzył w dal, w bliżej nieokreślone miejsce. Maria wiedziała, że wychodzi zwycięsko z tej batalii, ale w tej chwili wyglądał na przegranego. Stracił coś ważniejszego. Coś, czego nie można kupić.

Podeszła do Roberta. Stał przez cały ten czas w rogu. Kozielska miała nadzieję, że wszystko będzie pomiędzy nimi tak jak kiedyś. Nie miała do niego pretensji. Stał się jedynie marionetką w rękach złych ludzi.

— Twoje odniesienia historyczne chyba nie do końca się spełniły — powiedziała z satysfakcją w jego stronę.

— Ależ nie. Wszystko się sprawdziło. Naprawdę tego nie widzisz?

Nie widziała, może po prostu nie chciała widzieć. Od tłumaczeń Roberta uwolnił ją komendant.

— Kamilo! — krzyknął doniośle, tak że dziewczyna aż się wzdrygnęła. — Czy spotkałaś się w ostatnich dniach z mecenasem Okulickim?

Piękność pokiwała twierdząco.

— Mario! Mam coś dla ciebie! — komendant podał jej dwie teczki. — To dokumenty, które są dowodem na winę Okulickiego. Zapewne ukrył je tutaj, sądząc, że będzie to bezpieczne miejsce. Jak bardzo się mylił.

Kozielska była w szoku. Tego wieczoru wydarzyło się tak wiele. I jeszcze te dokumenty. Komendant faktycznie obiecał, że je znajdzie — tak właśnie się stało. Były schowane pod kanapą. Zapewne Okulicki włożył je tam w momencie, kiedy Kamila była zajęta przyrządzaniem kawy w kuchni.

Zadzwoniła od razu do Marka.

— Znalazły się! Słyszysz mnie?! Znalazły się! — Maria dziwiła się swojej euforii.

— Chyba mamy problem, Mario. Jasio zniknął.

Z pamiętnika filozofa

Nazywam się Grzegorz Szwenk. Jestem pacjentem zamkniętego oddziału psychiatrycznego w Lubaczowie. Dobrze mi tutaj. Dają mi szansę moich filozoficznych podróży. Jest pięknie.

Ta pani to Sylwia Słaboń. Bardzo ją lubiłem. Była zawsze taka biała. Czasem nic nie mówiła, ale jej obecność była dla mnie wystarczająca. Bo była zawsze. Nie wiem, czy podawanie leków traktowała jako swój obowiązek, czy też robiła to z dobrego serca. Wolę nie dociekać. Będzie mi jej brakować, tym bardziej że jestem ojcem jej śmierci. Gdybym jej nie namówił, żeby pomogła mi w pewnym przedsięwzięciu, wciąż by była, wciąż by przychodziła i oślepiła swoją bielą. Ale była przecież taka naiwna, a ja musiałem to wykorzystać.

Ten pan to Jan Nowak. Był naprawdę biedny, kiedy zjawił się na mojej ławce pierwszy raz. Był moim dobrym, bliskim kolegą z czasów studiów. Obaj ukończyliśmy je z wyróżnieniem. Mieliśmy wspomnienia, których chcieliśmy się pozbyć. Należał do mojej grupy miłośników filozoficznych rozważań. Potem ta wspólnota została uznana za sektę, ale to już inna sprawa. Byłem dla niego wszystkim. Gdyby nie ja, na pewno nie udałooby mu się osiągnąć celu.

Bardzo się ucieszyłem, kiedy na horyzoncie pojawił się Tomasz Domagała. Postanowiłem go wykorzystać. Poradził sobie aż za dobrze. Bo widzicie, kiedy mecenas Władysław Okulicki zechciał pójść na ugodę z prokuratorem, trochę się wkurwiłem. Daleko mi do czubków. Nie jestem wariatem! Nie potrafiłem zrozumieć jego decyzji. Przecież przesiedzieliśmy nad aktami mojej sprawy tyle godzin. Wspólnie opracowywaliśmy taktykę obrony. A on po prostu mnie olał. Przez wiele lat obmyślałem, jak się odegrać. Początkowo starałem się zniszczyć go psychicznie, ale emocjonalne listy nie przyniosły żadnego wymiernego efektu. Doszły mnie słuchy, że się przeprowadził w bieszczadzkie strony. Oddział psychiatryczny w Lubaczowie przyjmuje tylko osoby niesprawiające żadnych problemów, ale po pół roku, za grzeczne zachowanie, przenieśli mnie. Wtedy pojawił się Jan Nowak. Zamiast to on mi pomagać, to ja wciąż mu radziłem, starałem się przywrócić pewność siebie.

Wciąż opowiadał o tej swojej Kamili. Nie potrafił o niej zapomnieć, tak jak ja nie byłem w stanie wybaczyć Okulickiemu. Nie wszystko poszło zgodnie z planem, ale to nie ja zawiodłem. Mój plan przecież był zbyt idealny, żeby cokolwiek mogło się nie powieść. Sylwia nie miała problemu, żeby wziąć z magazynu niewielkie ilości Alprazolamu oraz Tranxene. Trudniej sytuacja wyglądała z Janem. Widziałem w jego oczach, że nie jest gotowy. Powiedziałem mu, żeby zaczął myśleć nad sposobem. Wymyślił mirrę. Byłem wniebowzięty, naprawdę mile

zaskoczony. Z Teresą Wójcik nie wszystko poszło jak trzeba, więc musiałem go pocieszać. Zrobił jednak to, co najważniejsze. Dzięki spowiedzi dowiedział się, że Teresa nie chce sprzedać domu Okulickiemu. Pojawił się Tomasz Domagała. Okulicki był idealnym podejrzanym dla policji. Do tego ta ziemia z jego tartaku. Dzięki pracy z mecenasem wiedziałem o jego fascynacjach starożytnością. Jan wymyślił jakąś historyjkę z listami, żeby wyglądało na to, że morderstwa są wynikiem działania grasującego w okolicy seryjnego mordercy.

Z Weroniką Stępień poszło łatwiej. Nowak był taki dumny. Nie potrafił uwierzyć, że policja niczego się nie domyśla. Wiedziałem, że tak będzie. Jeśli słuchał moich rad, byłem przekonany, że ci naiwniacy nigdy nie wpadną na jego trop. Ale potem sytuacja zaczęła się komplikować. Wszystko przez Sylwię. Przyszła do mnie. Ze strachu rozsypała wszystkie lekarstwa. Musiałem ją uspokoić. Bała się, że źle sobie poradziła. Tak właśnie było, ale musiałem jej mówić całkiem co innego.

Jan wciąż do mnie przychodził i pytał, po co to wszystko. Ku mojemu zdziwieniu policja radziła sobie coraz lepiej. Na pewno przypuszczali, że to Okulicki stoi za wszystkim, ale trudno im to było udowodnić. Potem Jan postanowił zlikwidować Dorotę. Uważałem to za niepotrzebne. Cała sprawa mogła się zakończyć naprawdę bardzo źle.

Przyszedł do mnie kiedyś z wieściami o jakiejś akcji przeciwko mecenasowi. Jego słowa były niespójne. Dotyczyło to jakichś nieścisłości w jego tartaku. Pewnie po moich anonimach kierowanych do ABW służby w końcu zainteresowały się poczynaniami Okulickiego. Wtedy byłem już spokojny. Brakowało mi pewności, czy Jan poradzi sobie ze swoim wspomnieniem. Spędzał obok mnie długie godziny. Rozmawialiśmy o nauce, naszych zainteresowaniach, wspominaliśmy stare czasy i obmyślaliśmy, jak możemy pozbyć się naszych problemów. On naprawdę kochał Kamilę. Osobiście wątpię, czy kiedykolwiek o niej zapomni. Czy chce zapomnieć...

Nie wiem, czy jego misja się powiodła. Dzisiaj się pożegnaliśmy, jutro miał wyjechać. Był moim jedynym prawdziwym przyjacielem. Oddanym, lojalnym. Byłem jego bóstwem, moje słowa stanowiły znak do jego dalszych poczynañ. Dziękuję mu za oddanie. Mógł od razu zabić Kamilę. Mógł od razu zniszczyć swoje wspomnienia. Postanowił mi jednak pomóc, wrobić Okulickiego w zabójstwa. Nie boję się, że komuś coś o mnie powie. A nawet jeśli, to przecież jestem tylko wariatem.

Może jeszcze kiedyś się z nim spotkam. Chciałbym pogratulować i zapytać,

czy nasza przyjaźń wciąż istnieje. Sylwię zastąpi nowa pielęgniarka. Ktoś inny będzie podawać mi leki. Jednak prawdziwy przyjaciel nie zostanie zastąpiony przez przypadkową osobę. Już zawsze będę odczuwać pustkę.

Ale jestem szczęśliwy. Jak nigdy wcześniej. Tak długo zmierzałem w tym kierunku, tak długo szukałem mety. Dotarłem. Wciąż będę myśleć, jak zmienić swój świat. Wciąż będę poznawać nieodkryte zakątki ludzkiego organizmu i wciąż będę myśleć... również o tobie.

Bądź szczęśliwa, Sylwio. Gdziekolwiek jesteś.

Bądź szczęśliwy, Janie. Mam nadzieję, że pozbyłeś się wszelkich złych wspomnień. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś się spotkamy.

Bądź szczęśliwy ty, drogi czytelniku. Bo poznałeś prawdę, a przynajmniej jej część...

Rozdział 51

GŁOWALA SĄDZIŁ, ŻE TEGO dnia nie będą już na niego czekać żadne dodatkowe atrakcje. Mylił się jednak. Oczywiście cieszył się bardzo w związku z przyskrzynieniem poszukiwanego przestępcy. Całkiem niespodziewanie, na sofie w salonie Kamili, uzmysłowił sobie, że siedzi na jakiejś nierówności. Gdy podniósł materac, zobaczył dokumenty, które były dla Marka Kozielskiego zbawieniem.

Nie przejmował się na razie Nowakiem. Nie wierzył własnym oczom. Mógł się spodziewać tego po wszystkich, ale nie po nim. Prokurator na pewno będzie wiedział, w jaki sposób postawić mu zarzuty, tak aby jego linia obrony nie była zbyt przekonująca dla sądu. Żałował, że sam przyczynił się do tego, że wikary wiedział o krokach policji, pozwalał mu na manipulację funkcjonariuszami.

Wciąż myślał o Sylwii. Przekonał się o tym, jak bardzo ją polubił, gdy Maria powiedziała, że to Aleszkiewicz winny jest jej śmierci. W jego sercu wezbrała złość. Uspokoił się, aby nie mieć więcej problemów. Nie dawało mu to jednak spokoju. Niewiele pamiętał z okresu, kiedy znajdował się pod wpływem psylobicyny, lecz coś się w nim otwarło. Nie chciał być dłużej sam. Nie miał na myśli powrotu do byłej żony, bo to niczego by nie zmieniło. Chciał jednak, choć na starość, zaznać ciepła drugiej osoby. Samotność była najgorsza. Wydawało mu się teraz, że winny wszystkiego jest Franciszek Aleszkiewicz. To on odebrał mu wszystko, co miał.

Głowala znajdował się w pokoju funkcjonariuszy. Wszyscy pracowali ze zdwojoną siłą, resztkami sił. Złapali mordercę, ale musieli teraz znaleźć Jasia. Maria chodziła rozgorączkowana. Obok niej stał mąż. Starał się ją uspokoić, ale również jemu trudno było zachować spokój. Czynicki siedział nad laptopem Jasia. Syn Kozielskiej nie odbierał komórki. Marek znalazł ją w szufladzie.

Komendant nigdy nie miał dzieci. Nie mógł zatem wiedzieć, co czują w tej chwili rodzice Jasia. Maria zapewne sądziła, że to sprawka pedofila. Głowala przekazał jej tę sprawę kilka lat temu. Było nawet podobieństwo. Nigdy nie udało się odnaleźć niczego, co mogłoby doprowadzić do przestępcy. Dzieci, które stały się ofiarami, próbowały normalnie żyć, jednak nie było to takie proste. Ich życie się zakończyło. Psycholodzy, którzy z nimi rozmawiali, sądzili, że wciąż się boją, a to nie pozwala im powrócić w pełni do społeczeństwa. Komendant wołał nie brać pod uwagę opcji, że Jasia porwał pedofil. Byłby to niewyobrażalny cios dla całej załogi komendy. Nie, to nie mogła być prawda.

Zadzwoił Paweł.

— Cieszę się, że wszystko się udało — usłyszał jego głos po drugiej stronie.

Głowala powiedział mu o sytuacji z Jasiem. Słyszał przejęcie w jego głosie.

— Postaram się wrócić jak najszybciej, ale mam problem z mamą. Źle się poczuła.

Nie miał do niego pretensji. Bardzo się cieszył, że mogli współpracować. Złapanie mordercy na pewno nie byłoby możliwe bez jego pomocy. Nie wiedział, czy Paweł może pomóc w odnalezieniu Jasia. Każda pomoc była jednak ważna. Kownacki na pewno mógł wesprzeć Marię. Głowala zauważył już na początku śledztwa, że połączyła ich jakaś nić porozumienia.

Marek zaczął się kłócić z Marią. Tylko nie to! Ludzie! To nikomu nie służy. Musieli oboje bardzo kochać Jasia. Nieważne były dokumenty, od których zależała kariera Marka. Nieważne było złapanie mordercy. Komendant wciąż był pod wielkim wrażeniem dedukcji Marii. W życiu nie potrafiłby tak połączyć faktów.

Zobaczył, że Maria siada w końcu obok męża. Otworzyła jakiś czerwony notatnik, uważnie obracała strony. Odezwał się Czynicki. Wezwał Kozielskich do

siebie, coś im pokazywał. Na twarzy Marii komendant zobaczył niewyobrażalne zdziwienie. Zaczęła nerwowo wertować jakieś akta wyjęte ze swojego biurka.

Nie! Głowala nie wybaczyłby sobie, gdyby coś stało się Jasiowi. Nie mógł uwierzyć w to porwanie. To było bez sensu. Ten dzień trwał zdecydowanie zbyt długo. Komendant chciał się położyć i zapomnieć, a jutro obudzić z nową werwą, przystąpić do pracy.

Kozielska popatrzyła na niego. Czynicki już wyciągał kamizelki kuloodporne z posterunkowego magazynu. Komendant podał Marii służbową broń i odznakę.

— Idziemy! — krzyknął Głowala, a widząc determinację w oczach podwładnej, dodał: — Dopadniemy tego skurwiela!

Rozdział 52

DOROTA PO RAZ PIERWSZY UCZESTNICZYŁA W TAKIEJ AKCJI. Obok niej stali w pełni umundurowani funkcjonariusze policji. W rękach trzymali karabiny. Przeczesywali las, starając poruszać się jak najciszej, aby nie wzbudzić podejrzeń porywacza.

Trudno było jej uwierzyć, że ich trop jest słuszny, ale wydarzenia ostatnich dni uświadomiły jej, że niczego nie można być pewnym, że życie lubi zaskakiwać. Spozregła dom. Ledwo go zauważyła. W środku nie świeciło się żadne światło.

Podeszli bliżej. Komendant dawał jakieś niezrozumiałe dla niej znaki. Reszta chyba wiedziała, o co chodzi, bo dwaj policjanci przeszli do przodu.

Maria również dzierżyła w dłoniach pistolet. Dorota widziała w jej oczach niewyobrażalną złość, że ktoś zakłócił spokój jej rodziny. Jak by się zachowała, gdyby jej Mateusz został porwany? Wyszarpałaby paznokciami oczy temu, kto porwałby jej pociechę.

Początkowo przypuszczano, że Jasio po prostu uciekł. Maria dzwoniła do krewnych i jego najbliższych kolegów. Nikt nie mógł udzielić im najchętniej słyszanej odpowiedzi, że Jasio jest u niego, cały i zdrowy, nic mu nie grozi. W końcu Czynicki znalazł w komputerze Jasia maile. Rozmawiał z kimś. Maria była wstrząśnięta, gdy dowiedziała się, że Jasio opowiada tam o swoich problemach w szkole, że koledzy uważają go za dziwaka, że wciąż siedzi przed komputerem, a

zamiast grać z nimi w różne gry, programuje własne systemy.

Dorota nie wiedziała, gdzie się znajdują. Była w tym miejscu po raz pierwszy. Zaciągnęła ich tutaj Maria. Była przekonana, że wie, co robi, a nikt nie był w stanie, — nie miał odwagi przeciwstawić się rozwścieczonej matce.

Marek Kozielski stał z tyłu, bacznie przyglądając się przygotowaniom do szturm. Głowała złożył ręce. Jakby się modlił, aby wszystko się udało. Wszyscy byli skupieni, patrzyli pod nogi, zachowywali czujność. Wszyscy... oprócz Roberta. Najmłodszy wśród nich policjant uśmiechał się radośnie. Chyba po raz pierwszy uczestniczył w takiej akcji. Gdyby Dorota stała teraz na jego miejscu, zapewne drżałaby ze strachu. Ale on widocznie długo na to czekał.

Wpadli do środka. Maria od razu pokierowała wszystkich do kolejnych drzwi.

Po chwili Dorota znalazła się w zupełnie innym świecie. Wszyscy zostali oślepieni jasnym światłem. Jaś wpadł w objęcia Marii, a Czynicki i Robert celowali do osoby, która była winna jego zniknięciu.

Patrzyła wprost na Pawła Kownackiego.

— TO CHYBA JAKIEŚ NIEPOROZUMIENIE — Paweł stał z rękami podniesionymi do góry.

Maria ścisnęła z całych sił Jasia. Odczuła wielką ulgę, gdy zobaczyła, że wszystko w porządku. Nigdy nie wybaczyłaby sobie, gdyby jej synowi coś się stało. Wciąż powtarzała, że jutro spędzi z nim więcej czasu, że nie będzie go zaniedbywać. Tyle że wciąż na pierwszym miejscu była praca.

Chwilę później podeszła do Kownackiego, z całej siły uderzyła go pięścią w prawy policzek. Wszyscy patrzyli oszołomieni. Paweł spadł z krzesła i z przerażeniem się w nią wpatrywał.

— Ufałam ci! Naprawdę ci ufałam! — krzyknęła, nie przejmując się tym, że wszyscy jej słuchają. Piekła ją ręka. Miała nadzieję, że Kownackiego też zabolalo.

— Ależ Mario! To nie tak! Nie porwałem Jasia! Twój syn chciał porozmawiać. Chciałem ci pokazać, jak wielkim jest on dla ciebie skarbem.

Rozumiem, że praca jest ważna. Ale nigdy nie może być najważniejsza. Zawsze pragnąłem mieć dzieci. Kiedy lekarze powiedzieli, że ze względu na Julię nie jest to dobry pomysł, mój świat się zawalił. Wszystko przewróciło się do góry nogami! — Maria słuchała Pawła uważnie. — Ostatnio spędziliśmy razem mnóstwo czasu. Rozmawialiśmy o naszych pragnieniach, lękach, problemach. Nie wiem, skąd w ogóle takie przypuszczenie, że porwałem twojego syna?!

— Rozmawialiście z Jasiem przez internet. Pamiętasz rozmowę z Okulickim? Nazwał cię Alladynem. To twój nick w sieci. Myślałam, że się lubimy, że oboje walczymy po jednej stronie. Ale ty wykorzystałeś po prostu to, że Jasio miał problemy! Widzisz to?! — Maria pokazała mu jego czerwony notatnik. — Jest tutaj rubryka o mnie! Wiesz o mnie więcej, niż ci opowiadałam, niż można przeczytać w moich aktach! Jasio opowiadał ci o mnie. Kiedy byliśmy razem, myślałam, że rozumiemy się bez słów, ale to nie było tak. Ty po prostu mówiłeś to, co chciałam usłyszeć! Wiedziałaś, gdzie są moje czułe punkty, dlatego ich unikałeś. Potem ta wzruszająca historyjka o Julii...

— Ja naprawdę kochałem swoją żonę!

— Może tak. Tylko jak wytłumaczyć to?!

Maria natknęła się w notatniku na nazwisko Denisa Tannenberga. Były przy nim krótkie informacje. Zna się na tematyce psychiatrycznej, jest pewny siebie, można mu zaufać, potrafi zabić...

— Sprawdziłam go. Zleciłeś mu zabicie własnej żony!

— Nie! To nie tak! — teraz to Paweł Kownacki wyglądał na wzburzonego. — Chodziłem do niej, kiedy tylko mogłem. Wciąż widziałem to samo. Ten pusty wzrok. Nie mówiła nic, tylko patrzyła w miejsce, którego nie było. Naprawdę już nie mogłem tego znieść. Musiałem to zakończyć!

Maria nie mogła uwierzyć, że mogła w nim widzieć przyjaciela. Był taki cudowny. Znajdowali się w domku, do którego Paweł zabrał Marię ostatniego dnia. Jego miejsce wypoczynku, jego miejsce wspomnień o żonie.

O żonie, którą zabił...

Gdy poszła do łazienki, drugie drzwi były zamknięte. Nie wzbudziło to w niej żadnych podejrzeń, tym bardziej że była wtedy skupiona na odnalezieniu

mordercy. Nie miała też powodu, aby podejrzewać o coś Kownackiego. Przystojny profesor, elokwentny, ułożony, przyjacielski. Gdy mąż powiadomił ją, że Jasio zniknął, była przekonana, że poszedł do jakiegoś kolegi. Im więcej telefonów zostało wykonanych, tym bardziej obawiała się, że jest to sprawka pedofila.

Teraz siedziała naprzeciwko Pawła. Czy mógł być pedofilem, którego próbowała dorwać przez ostatnie lata? Mogła oczywiście przypuszczać, że tak jest, ale prokuratorowi to na pewno nie wystarczy.

— Przepraszam cię, mamo! — Jasio podszedł do Marii. — Zauważyłem jakiegoś pana, gdy wychodziłem do szkoły we wtorek. Potem znowu i znowu. Odezwał się do mnie ktoś na czacie. To był właśnie Alladyn. Sprawdziłem go. Wszystko wyglądało w porządku, a ja musiałem z kimś porozmawiać, naprawdę. Dzisiaj przyszedł po mnie wieczorem. Bałem się, a tylko on był w pobliżu.

Marii złamało się serce. Jej syn miał problem. Chciał porozmawiać, a rodzice nie mogli mu pomóc, bo zwyczajnie ich nie było. Bo mieli ważniejsze sprawy. To Jasio był najważniejszy, a musiał szukać pomocy u innych.

— To ja cię przepraszam, synku — powiedziała, tuląc go mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. — Chciałeś ze mną porozmawiać, a ja myślałam tylko, co będę robić za pół godziny. Przepraszam.

Marek podszedł do syna. Założył mu kurtkę, zabrał do samochodu. Maria została, żeby dokończyć rozmowę z Kownackim.

— To ty byłeś tym człowiekiem, który go śledził?

— Wiesz, Mario — próbował się podnieść, ale gdy mu pogroziła pięścią, potulnie wrócił na fotel — kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem, sprawiałaś wrażenie kobiety, która nie jest do końca przekonana, że robi to, co naprawdę chce. Masz cudownego syna, męża i wspomnienia, które wciąż popychają cię do przodu w twoich działaniach. Jasio miał problemy z kolegami w szkole. Wciąż był ofiarą kpin, że się za dobrze uczy, że zamiast bawić się ze wszystkimi, spędza czas w pracowni informatycznej. Życie dziecka nie jest takie proste. Naprawdę powinniście spędzać więcej czasu razem.

On wciąż mówił tak mądrze. Do tego stopnia, że Maria zaczynała żałować, że jej pięść wylądowała na jego twarzy. Jej ręka nabrzmiała, bolała ją coraz bardziej. Nigdy nie włożyła w coś tyle siły. Zdesperowana matka może wszystko.

Nie miała powodu, aby przypuszczać, że Kownacki jest pedofilem. Zabrał Jasia, bo jej syn chciał porozmawiać. Nie informował Marii, bo ona zajęta była mordercą. Zapewne zrobiłby to po jakimś czasie. Poza tym uzmysłowił Kozielskiej, jak bardzo kocha swojego syna. Teraz na pewno będzie spędzać z nim więcej czasu, nie pozwoli, aby taka sytuacja się powtórzyła. A sprawa jego żony, Julii... Prawdę mówiąc, rozumiała Pawła. On tak kochał swoją żonę, a odpowiadał mu tylko pusty wzrok. Nie mógł wytrzymać. Myślał, że Julia cierpi. Chciał zakończyć jej mękę. Denis Tannenberg był pielęgniarzem. Nadal pracował na rzeszowskim oddziale psychiatrycznym, gdzie kiedyś leżała Julia. Kozielska nie doczytała dokładnie, jak ona zginęła. Mogła się pomylić.

Paweł Kownacki powiedział, że popełniła samobójstwo, ale to było bardziej skomplikowane. Trudno było Marii oskarżać go, tym bardziej że nigdy nie była w podobnej sytuacji.

Tak trudno jej było wszystko zrozumieć. Chciała mieć przyjaciela, potrzebowała go. Kogoś, z kim może się podzielić smutkami, podejrzeniami. Kogoś, komu może powierzyć swoje tajemnice. Myślała, że tym kimś będzie Paweł Kownacki. Ale pojęła, że teraz to już nie będzie możliwe. Ich rozmowy, zwierzenia były tylko symulacją. Dzięki Jasiowi dokładnie wszystko o niej wiedział. Zbliżał się do niej, zyskiwał jej akceptację.

Oprzytomniała. Nie mogła się mu poddać. Po raz kolejny próbował nią manipulować. To jak hipnoza, której nieumyślnie się poddawała.

Zdała sobie sprawę, że wszyscy na nich patrzą. Jedyne Robert siedział na połamanym krzeselku. Z zacięciem sprawdzał, czy broń, która znajduje się w jego rękach, jest naładowana.

Do Marii podszedł Czynicki. Popatrzyła na niego i ze łzami w oczach wstała — jej pięść po raz kolejny wylądowała na twarzy Kownackiego. Miała nadzieję, że go zaboli. Wiedziała, że to niedozwolone, ale teraz to nie miało większego znaczenia.

Wolała nie wyobrażać sobie, co by było, gdyby zjawili się tutaj kilka godzin później.

— Czynicki sprawdził twój komputer. Masz tam nagrania — głos się jej załamał. — Przyznaj się! Nawet nie próbowałeś zahipnotyzować Agnieszki!

Dopiero teraz do niej wszystko docierało. Gdyby знаła prawdę, nigdy nie narażałaby dziecka na takie doświadczenia. Na pewno poznała Pawła. Usilne próby usunięcia tych wspomnień nie powiodły się. Wszystko przez nią. Przez Marię. A przecież chciała dobrze. Agnieszka faktycznie zachowywała się tamtego dnia dziwnie. Podchodziła do wszystkiego z większym strachem, zarazem nie miała odwagi, by powiedzieć prawdę.

— Ty nic nie rozumiesz! — twarz Pawła była cała czerwona. Znalazł się w potrzasku. — Kiedy Julia została zabrana do szpitala, zostałem zupełnie sam. Samotność jest najgorsza. Chodziłem ulicami, widziałem, co się dzieje. Dzieci bawiły się zupełnie bez opieki. Takie same. Ich rodzice byli wiecznie zagonieni. Chciałem im po prostu uzmysłwić, że tak nie można. Że są ludzie, którzy nie mają dzieci, a tak bardzo tego pragną. Nie chciałem nigdy nikomu nic zrobić...

— Nie kłam! — Maria podniosła rękę. Mimo wszystko Paweł Kownacki był świetnym ekspertem mowy ciała, jego nauki były bezcenne. Czuła się podbudowana po zatrzymaniu księdza Jana. Nie zamierzała się patyczkować z Kownackim.

— Widzę, że czegoś się nauczyłaś — w głosie profesora można było usłyszeć satysfakcję. — Masz rację. Porywałem te dzieci. Chciałem, aby ich rodzice choć przez chwilę rozumieli, że to właśnie one są najważniejsze. Łatwo dzieci nastraszyć, ale ja musiałem to zrobić. Agnieszka poznała mnie od razu. Bałem się, że zauważysz. Wprowadziłem ją w stan hipnozy. Ten twój pomysł uzmysłwił mi, że to chyba najlepszy sposób na to, aby nie powiedziała nic, co mogłoby naprowadzić cię na trop. Tak właśnie się stało.

Maria miała dość. Chciała teraz wrócić do swojego domu, usiąść obok Jasia i Marka. Może przyjdzie mama. Tak wiele jej zawdzięczali. Weźmie sobie urlop. Dużo urlopu. Odbuduje swoją rodzinę. Ale Kownacki chyba nie miał zamiaru kończyć tej konwersacji.

— Doroto! — zwrócił się do Maj, która z zainteresowaniem przyglądała się tajemniczemu pokojowi. — W jaki sposób Nowak dowiedział się o twojej tajemnicy? Wątpię, abyś mówiła o tym podczas spowiedzi...

Maria kręciła głową, spoglądając to na Pawła, to na Dorotę. Ta patrzyła na niego, nie rozumiejąc chyba do końca jego słów.

— Chodzi mi o to, że Teresa Wójcik i Weronika Stępień miały swoje

tajemnice. Ty też ją miałaś. Nie rozumiem do końca, w jaki sposób dowiedział się o tej twojej.

Ach, no tak. Pawła nie było przy nich, kiedy rozprawiali się z wikarym. Kozielska zupełnie zapomniała, że początkowo przypuszczali, iż morderca kieruje się jakimś kluczem tajemnic. Kiedy nadszedł czas Doroty Maj, nie drążyli tematu.

— Nie wiem, w czym rzecz — powiedziała powoli Kozielska. — Ale to chyba nie jest ważne. Każdy kryje swoją tajemnicę, a wszystko wskazuje na to, że Jan nie kierował się tą kategorią.

Kolejna sekunda sprawiła, że Maria w końcu zaczęła oddychać swobodnie. Opadły z niej wszelkie niepokoje, a na twarzy zagościł uśmiech. Dorota podeszła do Pawła, również ona uderzyła go pięścią prosto w nos. Kownacki spadł z krzesła, już chyba nie miał ani siły, ani odwagi, żeby wstać.

Nie miała pojęcia o tajemnicy Doroty. Nie chciała jej poznać. Czasem prawda mogła zboleć. Kiedy zobaczyła Maj pierwszy raz, pomyślała, że nigdy nie nawiążą kontaktu. Postrzegała Dorotę jako kobietę z wyższych sfer. Pozory jednak myliły. Uśmiechnęły się do siebie, machając Kownackiemu na do widzenia. Były zmęczone, brudne, a bez makijażu wyglądały fatalnie. Ale zwycięstwo podwyższa morale. Takie błahe rzeczy jak wygląd nie mają wtedy większego znaczenia.

Komendant przytulił Marię. Kozielska zawsze traktowała go jako szefa, przełożonego. Teraz stał się kompanem, pomocnym kolegą. Robert pokiwał głową. On również zobaczył świat z innej strony. Zdał sobie w końcu sprawę, że film nie pokazuje prawdy. Prawdziwe zabójstwa to gra o śmierć i życie. Liczyła się każda sekunda i trzeba było przygotowanym na wszystko.

Jednej nocy zostały zakończone trzy sprawy. Maria miała nadzieję, że obudzi się jutro, a Lubaczów będzie znów spokojnym miejscem. Sprawa księdza Jana będzie jedynie świadectwem na to, że wszystko jest możliwe.

Nawet tutaj.

SIEDZIELI RAZEM. KAMILA SPOGLĄDAŁA na pakunek przyniesiony przez Michała. Powiedział, że pracował nad tym całą noc. Wciąż drżała. Kiedy zadzwonili do niej z policji, że grozi jej wielkie niebezpieczeństwo, nie mogła w to uwierzyć. Potem w drzwiach zobaczyła księdza. Jan Nowak. Dobrze go pamiętała. Chodzili ze sobą przez dłuższy czas. Było im dobrze. Potem nadszedł czas, że

Kamila znów zaczęła się bać. Musiała to przerwać. Wiedziała, że go to zaboli, bo bardzo ją kochał, ale wierzyła, że wyleczy się z tego, pozna inną dziewczynę. Tak się jednak nie stało.

I potem jeszcze te dokumenty. Wyglądało na to, że Okulicki uratował Kamilę w lesie nie przez przypadek. Chciał się do niej zbliżyć. Nie chodziło już o dom, ale o bezpieczne miejsce. Nikt do nie będzie zaglądać. Dokumenty bezpiecznie przeleżą do czasu, aż będzie mógł je stamtąd zabrać. Sytuacja się trochę zmieniła.

Teraz patrzyła na swojego wybawcę. Gdy Michał szedł do niej, zobaczył kogoś wchodzącego do jej domu. Zadzwoił do swojego kolegi, Tadka, by podzielić się obawami. Możliwe, że policja i tak zdążyłaby ją uratować, ale telefon Michała upewnił funkcjonariuszy, że to właśnie ona miała być ostatnią ofiarą.

Na razie wolą nie myśleć o bezsensownej śmierci tych dwóch dziewczyn. Nie miała pojęcia, co mogło popchnąć Jana do tak okrutnego czynu. Cieszyła się teraz tym, że żadne niebezpieczeństwo już jej nie grozi. Popatrzyła na pakunek przyniesiony przez Michała.

— Wiesz, kocham cię — zaczął nieśmiało. — Wciąż o tobie myślałem. Przygotowałem coś dla ciebie — wskazał na paczkę. — Wiele mnie to kosztowało, bo tym samym żegnam się z najpiękniejszymi wspomnieniami mojego życia.

Kamila nie wiedziała, o jakie wspomnienia chodzi. Otworzyła prezent. Ukazał się jej album. Pierwsza strona. Serce zaczęło jej szybciej bić. To były ich wspólne zdjęcia. Upamiętniały ich spacer, imprezy, ale również emocje.

— Przeszedłem do ciebie dzisiaj, żeby to spalić. Wrzucmy razem do ognia naszą przeszłość, zniszczmy wspomnienia. Nie wiem, czy to pomoże, ale chyba warto spróbować.

Kamila uśmiechnęła się. Roześmiała się na głos, co zdziwiło Michała. Pomyślała o Nowaku. Dopiero teraz zobaczyła, jak wielka różnica była pomiędzy nim a Michałem Rybakiem. Ten pierwszy chciał się pozbyć swoich wspomnień, zabijając ją, ten drugi chciał zakończyć ich związek godnie, co po raz kolejny potwierdzało jego wielką miłość do niej. To ją tylko upewniło.

— Nie chcę tego wyrzucać. Zatrzymam w swoim sercu, na zawsze. Mam nadzieję, że będziesz do końca życia pilnować, aby te wspomnienia już zawsze tam

były.

Zniknęła w jego ramionach. Terapeuta miał rację. Bała się. Ale nie miała innej możliwości. Postanowiła choć ten jeden raz pokierować się sercem. Ono nie pozostawiało jej wyboru, wskazując jednomyślnie na Michała. Chciała spróbować. Bardzo chciała. Bo bardzo go kochała. Kochali się nawzajem.

Nieważne były ostatnie dni. Pewnie wszyscy woleliby, aby ich po prostu nie było. Ale może i lepiej. W końcu znalazła w sobie odwagę. W końcu zrozumiała, czego naprawdę chce.

Epilog

Dziewięć miesięcy później

MARIA KLASKAŁA. BYŁA DUMNA ZE swojego męża. Marek przedzierał się pomiędzy stołami, przy których siedzieli wyjątkowi goście. Byli na rozdaniu Złotego Pióra, jednej z najważniejszych nagród w świecie dziennikarskim. Jego artykuł został dostrzeżony. Doniesienia okazały się dużym szokiem. Następstwem była akcja państwowych organów kontrolnych w bardzo wielu prywatnych przedsiębiorstwach. Odkryto wiele nieprawidłowości.

Obok Marii siedzieli Jasio, mama oraz Agnieszka Surma. Teraz poświęcała synkowi zdecydowanie więcej uwagi. Porozmawiała z nauczycielami. Po kilku tygodniach wszystko wróciło do normy. Jasio wygrał konkurs informatyczny, pokonawszy o wiele starszych zawodników. Zyskał tym poważanie kolegów — został doceniony, co chyba bardzo mu pasowało. Jej mama też w końcu była szczęśliwa. Praca w policji stała się prawdziwą przyjemnością, co wpływało na całe otoczenie Marii. Agnieszka Surma przestała bać się rzeczywistości. Dziewczynka poczuła się bezpiecznie, otworzyła się na świat, wciąż się śmiała, wróciła do szkoły. Paweł Kownacki został wysłany przez sąd na długi urlop w więzieniu.

Przy stole obok siedziała rodzina Majów. Dorota trzymała za rękę swojego męża. Jej teściowa wyrównywała kołnierzyk Mateuszowi. Maria spotykała się z Maj na pogawędki. Znalazły bardzo wiele wspólnych tematów. Od czasu przygody z Pawłem Kownackim Kozielska starała się nie nadużywać słowa „przyjaciół”, ale Dorota aspirowała do tej ważnej roli. Pogodziła się z teściową. Byli na rozdaniu nagród ze względu na Franka. Jego książka okazała się wielkim hitem, osiągnęła wysoką sprzedaż, wcześniej nie do pomyślenia w polskich realiach.

Prokurator miał wiele problemów, aby postawić zarzuty Janowi Nowakowi, który wtargnął na teren tartaku, ale szkodliwość była niewielka, ponieważ ukradł tylko kilka gramów ziemi. Nie można mu było zarzucić nakłaniania do samobójstwa, bo nie było na to żadnego dowodu. Nie udzielił pomocy w przypadku zagrożenia życia Teresy Wójcik i Weroniki Stępień. Ostatecznie uznano go za niepoczytalnego psychicznie — wylądował na miejscowym oddziale psychiatrycznym.

Łatwiej było z Tomaszem Domagałą i Franciszkiem Aleszkiewiczem. Ten pierwszy siedział już w więzieniu. W przypadku Aleszkiewicza sprawa była wciąż

odraczana, co było wręcz niewiarygodnym przypadkiem. Podobno był bardzo chory, cierpiał na cukrzycę, co przy tak dużych gabarytach wydawało się całkiem prawdopodobne.

Okulickiemu zostały postawione zarzuty, które następnie wycofano. Tartak przejęło państwo, dzięki czemu ludzie nie stracili pracy. Mecenasa zamknął się w czterech ścianach swojego luksusowego domu. Maria miała nadzieję, że to zmieni się jeszcze tego wieczoru.

Komendant Głowala był wychwalany za schwytanie Nowaka. Dostał propozycję objęcia komendy wojewódzkiej w Rzeszowie. Skorzystał z niej głównie z powodu pewnej pani, która pochodziła właśnie stamtąd. Krążyły plotki, że chcą się pobrać, a Maria cierpliwie czekała na zaproszenie na tę uroczystość.

Była dumna ze swojego męża. Okulicki opłacał bardzo wiele ważnych osób. Marek przedstawił Głowalę jako bohatera, który wyłamał się i oznajmił prawdę o egoistycznym mecenasie. Dzięki temu komendant zyskał kolejne plusy.

A ona, Maria Kozielska, została komendantem posterunku w Lubaczowie. Ten tytuł miał przypaść Czynickiemu, który wolał jednak wykonywać swoją dotychczasową robotę z delikatnie podwyższoną pensją. Czuli się spełniona. Wiedziała, że jej tata byłby z niej dumny.

Popatrzyła teraz z zaciekawieniem na Marka. Po podziękowaniach nadszedł czas na jego przemówienie. Długo czekał na tę chwilę. Od kiedy nadeszła wiadomość, że przyznano mu nagrodę, ogarnął go niewiarygodny entuzjazm. Wciąż powtarzał, że to wszystko niewiarygodne, że jego plan się spełnia. Marek wydał artykuł na łamach swojej gazety. Potem jego tekst został wykupiony przez bardziej utytułowane dzienniki. Choć były się o niego redakcje z całej Polski, zaczął spełniać własne marzenia. Powoli, aby nie zapomnieć o obowiązkach rodzicielskich. Założył własną gazetę — stworzył od podstaw zespół dziennikarzy.

Lepiej też było w ich życiu małżeńskim. Wakacje spędzili razem nad polskim morzem. Była to wielka przygoda dla Jasia, a Maria czuła się jak na kolejnym miodowym miesiącu. Zatem wszystko nastrojało ją pozytywnie.

To, co Maria usłyszała z ust swojego męża, całkowicie ją zaszokowało. Każdy z obecnych na sali chwycił każde jego słowo.

— Drodzy państwo! — powiedział powoli Marek. — Chyba czas

najwyższy na prawdę...

Koniec

Postscriptum od filozofa

Zatem mam znów przyjaciela. Widzimy się rzadko, ale zdarza się. Czuję jego bliskość. Wystarczy mi.

Dzisiaj dostałem przepustkę. W końcu tak się starałem. Idę na aukcję. Jest zimno. Bardzo zimno. Zapomniałem, jak się oddycha wolnością.

— Dzień dobry! Witam państwa na aukcji. Dzisiaj będziemy wyprzedawać własność — aukcjoner spojrział na kartkę — Jana Nowaka.

Niewielu jest chętnych na kupno jego rzeczy. W sumie to sam nie jestem do końca pewny, co ja tu właściwie robię. Żałuję, że mu się nie powiodło. Naprawdę żałuję. Wydaje mi się, że kiedy następnym razem będę opracowywać misję, wezmę pod uwagę fakt, że służby mundurowe są bardziej bystre i lepiej działać w pojedynkę.

Jest on. Cudowny obraz. Widziałem go w życiu tylko kilka razy. Ale ta kopia jest taka idealna. Cena wywoławcza niska. Nigdy wcześniej nie licytowałem. Jakiś staruszek podniósł rękę. Przez chwilę myślałem, czy może nie lepiej ten obraz ukraść, ale przecież mam pieniądze, przecież jestem dobrym człowiekiem.

Podnoszę rękę. Ludzie się na mnie dziwnie patrzą. Jakbym był jakimś wariatem. Pozostawię to bez komentarza. Staruszek już nie podnosi ręki. Albo nie ma siły, albo pieniędzy. Tak więc obraz jest mój. Moja pierwsza licytacja w życiu, a ją wygrałem. Jestem szczęśliwy.

Co zrobię z tym obrazem? Ładny jest, szkoda wynosić na strych. Może zatrzymam na pamiątkę mojego pobytu w Lubaczowie. Może komuś podaruję. Niech będzie muzą dla kolejnych ludzi, którzy podobnie jak Jan zapragną pozbyć się wspomnień.

Nie wiem, co będzie dalej. Starzeję się. Mam wiele pomysłów, jednak trudniej z realizacją. Będzie dobrze. Musi być.

Pozbyłem się Okulickiego. Jego już nie ma. Ogarnia mnie satysfakcja i szczęście, że pokonałem niezniszczalnego.

Jakby ci się nudziło, pamiętaj, że na mojej ławce znajdzie się miejsce również dla ciebie. Pytanie tylko, czy chcesz, czy masz odwagę. Ja będę czekał, aż nadejdzie ten dzień. Moja podróż już się zakończyła. Nigdzie się nie wybieram.

Pozwolę sobie dać ci radę na przyszłość. Nie bój się jej. To, że ci ją daję, wynika z prostego faktu, że w głębi duszy nie jestem taki zły i zależy mi na twoim szczęściu. Po za tym zasłużyłeś. Dobrnąłeś do końca, a to przywilej nielicznych.

Żyj, ciesząc się każdym kolejnym dniem. Chwytaj każdą ulotną chwilę szczęścia, bo każdego dnia to właśnie ty możesz stać się moją kolejną ofiarą...

Podziękowania

Od tego wszystko się zaczęło. W każdej kolejnej książce lista osób, do których kieruję podziękowania, jest coraz dłuższa. To w pewien sposób naturalne — opieram się na radach oraz opiniach tych, którzy służą specjalistyczną wiedzą, czasem, a niejednokrotnie również pomysłami.

Bez tych, którzy byli przy mnie w trakcie stawiania pierwszych kroków, o kolejnych tytułach pewnie nie byłoby mowy. Serdeczne podziękowania dla Marcina Mrozka, stowarzyszenia FASO, Piotra Mańki, Doroty Majewskiej, Konrada Głogowskiego, Katarzyny Marcinkowskiej, firmy PLAYSTOP oraz Rozpisani.pl.

Na specjalne wyróżnienie zasługuje mój dziadek, Jan Ostafin, który jako pierwszy miał okazję zapoznać się z treścią „Hipnozy” oraz wprowadzić podstawową korektę.

Dziękuję również moim rodzicom, którzy zawsze wspierają mnie w kolejnych projektach i dopingują bez względu na efekty.

